



OPOWIEŚCI Z PASJA



LEE WILKINSON JACQUELINE BAIRD  
CATHERINE GEORGE

*Co się zdarzyło w Wenecji?*

LEE WILKINSON JACQUELINE BAIRD CATHERINE GEORGE  
Co się zdarzyło w Wenecji?



**Lee Wilkinson**



*Wenecką przygodą*

## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

Czerwcowy wieczór był wilgotny, niebo zachmurzone. Sophia Jordan szybkim krokiem zmierzała do domu. Miała na sobie szary płaszcz z paskiem podkreślającym talię, w ręku niosła ciężką plastikową torbę.

Mieszkała przy Roleston Square, w wynajmowanym mieszkaniu na parterze, które do niedawna dzieliła z ojcem. Niestety ojciec zmarł.

Myśl o pustym mieszkaniu ciągle napełniała ją smutkiem. Ojciec chorował przez ostatni rok, ale jego śmierć - dwanaście tygodni temu - była nagła i nieoczekiwana.

Pani Caldwell, właścicielka domu przy Roleston Square, była wdową i mieszkała po drugiej stronie korytarza ze swoją kuzynką Evą. Starła się pomóc Sophii choćby miłym słowem.

Tego ranka Sophia zapukała do niej, by spytać, czy staruszka potrzebuje czegoś ze sklepu. Pani Caldwell, siwowłosa, pochylona, ale zawsze pogodna, odparła:

- Przyjdź do mnie po pracy, moja droga, zjemy razem kolację. Eva wyjechała na kurs - dodała - więc będziesz musiała sama sobie poradzić z gotowaniem, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Oczywiście, że nie. Czy chciałaby pani, żebym ugotowała coś specjalnego?

- Może paellę. Jeśli to nie kłopot...

Sophia pochyliła się, żeby pogłaskać rudego kota, który ocierał się o jej nogi.

- Żaden kłopot.

- Cudownie! - wykrzyknęła uradowana staruszka. - Nie jadłam paelli od czasu, gdy Arthur zabrał mnie na wakacje do Hiszpanii. Eva nie lubi potraw z ryżem.

- W takim razie zrobię zakupy po pracy, przebiorę się i przyjdę do pani.

- A ja nakryję do stołu - obiecała uśmiechnięta staruszka. Wręczyła Sophii listę zakupów i pieniądze. - Cudownie będzie spędzić z tobą wieczór i... zjeść świeżo przygotowaną potrawę - dodała.

Sophia opowiedziała o swoich wieczornych planach Davidowi Rentonowi. Był znanym marszandem i właścicielem prestiżowej galerii sztuki A Volonte, w której pracowała.

- Dlaczego nie wyjdiesz półtorej godziny wcześniej? - zaproponował. - Joanna sobie poradzi, a ty pracowałaś po godzinach przy wystawie prac ojca. Świetnie się spisałaś.

Peter Jordan był utalentowanym malarzem amatorem. David - jego wieloletni

przyjaciel - wyznał po jego śmierci:

- Te prace są wspaniałe. Szkoda, że nie pozwolił mi ich pokazywać. Był zbyt skromny. Próbowałem go przekonywać, by wystawiał swoje płótna. Mogłyby inspirować innych malarzy amatorów. Jednak był uparty.

- Myślę, że pomału skłaniał się do twoich sugestii - powiedziała Sophia. - Mówił o tym kilka dni przed śmiercią.

- W takim razie urządzimy wystawę wspomnieniową, retrospektywę, podsumowanie twórczości. Jeśli dołączymy też jego miniatury, to zapełnimy antresolę. Sophii spodobał się ten pomysł.

Zebrała wszystkie obrazy ojca, z wyjątkiem niewielkiego płótna wiszącego w jej sypialni. Był to portret przystojnego młodego mężczyzny o jasnych włosach i ciemnych oczach. Grymas jego ust zawierał w sobie jednocześnie ascetyzm i zmysłowość. Zawsze robił wrażenie na Sophii.

Od dzieciństwa ten tajemniczy portret był źródłem jej dziwnej fascynacji. Jako nastolatka miała na jego temat nawet romantyczne sny.

Ojciec, widząc, że Sophia lubi ten obraz, podarował go jej na szesnaste urodziny.

Peter Jordan czuł wielką radość, gdy malował. To mu wystarczało. Skończone portrety często wręczał swoim modelom, obficie szafując talentem. Co znaczyło, że jego dzieła znajdowały się u wielu osób.

David zebrał to, co mógł znaleźć, i sprowadził do galerii. Sophia spędziła wiele godzin na wieszaniu obrazów, przygotowywaniu katalogu i pisaniu materiałów dla prasy. Teraz wystawa retrospektywna Petera Jordana była gotowa i czekała na otwarcie następnego ranka.

Sophia przyjęła uprzejmą propozycję Davida i wyszła z pracy o wpół do siódmej. Zatrzymała się w lokalnym sklepie, żeby zrobić zakupy.

W piątkowy wieczór sklep był pełen ludzi. Gdy w końcu szczęśliwie dobrnęła do kasy wśród tłumu klientów i sklepowych wózków, miała oczko w pończosze, a włosy, wcześniej ciasno upięte, opadły jej na plecy. Chciała je ponownie spiąć, ale klamra gdzieś przepadła.

Gdy wreszcie wyszła ze sklepu, na dworze mżyło.

Sophia westchnęła, postawiła kołnierz płaszcza i wepchnęła za kołnierz ciemne gęste włosy.

Gdy ruszyła w stronę domu, pomyślała, że byłoby wygodniej, gdyby zakupy - choćby mleko i puszkowane jedzenie dla trzech kotów pani Caldwell - spakowano jej do dwóch toreb, nie do jednej. Co parę kroków musiała przekładać ciężar z ręki do

ręki, a plastikowe rączki wpijały się w palce.

Gdy kolejny raz przekładała torbę do drugiej ręki, jedno ucho pękło. Zawartość wysypała się wprost pod stopy wysokiego jasnowłosego mężczyzny, który szedł kilka kroków za Sophią.

Inni przechodnie przepływali obok obojętnie, ale nieznajomy zatrzymał się, kucnął i zaczął sprawnie zbierać rozsypane zakupy.

Sophia zauważyła, że miał gęste włosy, które pod wpływem mżawki zaczynały się kręcić.

Gdy wrzucił do torby ostatnie warzywa, powiedział ze śmiechem:

- Dobrze, że nie było tu jajek. - Miał przyjemny głos. I ciekawy akcent, którego nie potrafiła rozpoznać.

Trzymał torbę jedną ręką, drugą podtrzymywał ją od spodu. Wstał. Był wysoki. Gdy Sophia popatrzyła mu w twarz, poczuła...

Szok? Zaskoczenie?

Podczas gdy rozsądek mówił jej, że to nie może być on, oczy i serce twierdziły coś przeciwnego.

Chociaż nie była pewna, jakiego koloru są jego oczy w otoczeniu ciemnych rzęs, to wyraziste męskie rysy, piękne ascetyczno-zmysłowe usta i podbródek były jej tak bardzo znajome jak własna twarz w lustrze.

Poczuła radość i zachwyt. Była oczarowana, ogarnęło ją dziwne uczucie spełnienia - jakby podświadomie czekała na to spotkanie. Jakby zostało przepowiedziane.

- Obawiam się, że torba może się całkiem podrzeć. Jak daleko musi pani iść? - przerwał milczenie.

- Niedaleko - wymamrotała, nadal oszołomiona. - Wzdłuż Roleston Road.

- W takim razie niech pani prowadzi - zasugerował, chwytając torbę mocniej.

Przypomniała sobie o zasadach dobrego wychowania.

- Bardzo dziękuję, ale nie chcę zabierać panu czasu... - odparła i czekała z niepokojem na odpowiedź. Jeśli on teraz odejdzie, nigdy więcej go już nie zobaczy.

Jednak nieznajomy nie miał zamiaru odchodzić.

- Tak się składa, że idę w tę samą stronę - powiedział z uśmiechem.

Sophia była tak zachwycona, że go spotkała, i tak oczarowana jego uśmiechem, że całkiem zapomniała o smutku, który towarzyszył jej niezmiennie od wielu tygodni.

- Czy na pewno nie sprawiam panu kłopotu? - zapytała po kilku sekundach.

- Na pewno - potwierdził. - Mieszka pani przy Roleston Road?

- Nie, obok, przy Roleston Square. W jednym z tych starych domów z widokiem na ogrody.

- Mieszka pani sama? - Uniósł brwi.

- Teraz tak.

- Jest pani za młoda na to, żeby mieszkać sama.

- Nie jestem aż tak młoda.

Popatrzył na jej twarz o jasnej cerze i orzechowych oczach. Miała mały nos i pełne usta. Długie falujące ciemne włosy wymykały się zza kołnierza.

- Wygląda pani na szesnaście lat - ocenił.

- Mam dwadzieścia pięć.

Uśmiechnął się, jakby ta wiadomość go zadowoliła.

- Od jak dawna mieszka pani sama?

- Odkąd zmarł mój ojciec... parę miesięcy temu.

Usłyszał smutek w jej głosie.

- Czy to się stało niespodziewanie?

- W pewnym sensie. Chorował jakiś czas, ale zmarł nagle. - Sophia znowu poczuła łzy napływające do oczu, ale odpędziła złe wspomnienia.

- A pani mama?

- Zmarła, kiedy miałam około siedmiu lat.

- Ma pani rodzeństwo?

- Nie, jestem jedynaczką.

Zmarszczył brwi.

- Pani ojciec chyba nie był stary?

- Skończył sześćdziesiąt dwa lata. Późno się ożenił. Miał trzydzieści sześć lat.

- A po śmierci mamy nie ożenił się ponownie?

- Nie. - Pokręciła głową. - Nigdy nie rozumiałam dlaczego. Był przystojny, utalentowany, wrażliwy, miły w kontakcie i miał wspaniałe poczucie humoru.

- Utalentowany...?

- Malował obrazy. - Sophia uśmiechnęła się.

- To był jego zawód?

- Nie. Był dyplomata. Malowanie to jego hobby. Po wypadku, kiedy zakończył pracę w dyplomacji, malował więcej.

- Pejzaże?

- Czasami, ale głównie portrety. Jeden z nich bardzo pana przypomina.

Posłał jej zaskoczone spojrzenie. Sophia się zaczerwieniła.



- Mnie? - Był wyraźnie zdumiony.

- Tak.

- Naprawdę? Czy to dobry obraz?

- Opisywano go jako „wspaniały”.

Zauważyła, że mężczyzna skrzywił się sceptycznie.

- W galerii, gdzie pracuję, będzie wystawa jego malarstwa - dodała szybko.

- W której galerii? - zapytał grzecznie.

- A Volonte.

- Czy pani też jest artystką?

Pokręciła głową.

- Chciałabym, skończyłam nawet akademię sztuk pięknych. Niestety, nie mam takiego talentu jak on.

- A co właściwie pani robi w galerii?

- Wyceniam obrazy i je sprzedaję, organizuję wystawy, przygotowuję fotografie i katalogi wystaw, konserwuję i magazynuję obrazy, robię wszelkie inne konieczne prace. - Widząc, że unosi brwi, wyjaśniła: - Wcześniej przez dwa lata pracowałam w muzeum. Zajmowałam się czyszczeniem i konserwacją zniszczonych obrazów. Miałam do tego dryg, naprawdę lubiłam to zajęcie.

- Bezcenne zdolności.

- Ojciec też tak mówił.

- Bardzo go pani brakuje...

- Bardzo. Nie mogę się przyzwyczaić, że zostałam sama. - Do tej pory Sophia rzadko mówiła o swoich uczuciach. Zachowywała rezerwę, nawet wobec przyjaciół.

Dlaczego więc otworzyła serce przed nieznanym? Dlatego, że wydało jej się, że go znała. Zawsze go znała.

- Na pewno ma pani chłopaka?

- Już nie. Miałam narzeczonego, planowaliśmy ślub. Jednak kiedy mój ojciec zachorował, zajmowałam się nim wieczorami, nie miałam czasu dla narzeczonego. Pojawiły się problemy. Philip nie rozumiał, że nie mogę już być na każde jego zawołanie; w końcu oddałam mu pierścionek.

- To musiało być trudne...

- Nie tak trudne, jak mogłoby się wydawać - wyznała szczerze. - Kiedy się rozstaliśmy, uświadomiłam sobie, że bardzo go lubiłam, ale to nie była miłość.

- A potem nikt się nie pojawił?

Pokręciła głową.

- Byłem pewien - sądząc z wielkości zakupów - że karmi pani armię konkurentów - powiedział z uśmiechem.

- To dla staruszki, która jest właścicielką domu. Zaprosiła mnie na kolację.

- Nie można tego odwołać? Właśnie sam chciałem zaprosić panią na kolację.

Sophia czuła, że serce zaczyna jej bić szybciej. Jednak nie mogła przyjąć jego zaproszenia.

- Przykro mi, ale nie - odparła. - Ona bardzo czeka na ten wieczór i obiecałam jej, że przygotuję ucztę.

- Szkoda.

Nie dodał nic więcej. Sophia była ciekawa, czy żałował tego spontanicznego zaproszenia i czy odetchnął z ulgą, gdy odmówiła.

Skęcili za rogiem w spokojną uliczkę. Zatrzymali się przed zdobionym wejściem do domu numer 12. Światło latarni przy drzwiach i z jednego okna na parterze rozlewało się na chodniku. Okna na piętrze były ciemne. Całe piętro zajmowało małżeństwo prawników. Mieli jacht i wyjechali na weekend, żeby pożegłować.

Sophia spojrzała w oświetlone okno na parterze i zauważyła, że jedna z zasłon się poruszyła. Pani Caldwell na pewno na nią niecierpliwie czekała i już ją dostrzegła.

Zaczęła szukać kluczy w torebce. Miała nadzieję, że mężczyzna poprosi ją o spotkanie w innym terminie.

- Mieszka pan w tej dzielnicy? - zapytała.

- Nie, w ogóle nie mieszkam w Londynie. Jestem tu w interesach.

- Ach tak... - Nie ucieszyła jej ta informacja.

Trzymając torbę jedną ręką, wziął od niej klucze i od razu wybierając właściwy, otworzył drzwi frontowe. Gdy mijali korytarz, pani Caldwell pojawiła się w drzwiach.

- O, jesteś, moja droga! Już myślałam, że będziesz musiała pracować do późna!

- Wyszłam wcześniej, ale dużo czasu zajęło mi robienie zakupów - wyjaśniła

Sophia.

- W piątkowe wieczory zawsze są kolejki - potwierdziła staruszka i dodała, lustrując wzrokiem przystojnego nieznajomego: - Jeśli chcesz odłożyć naszą kolację i masz inne plany na wieczór, nie ma problemu...

Sophia czuła, że mężczyzna na nią patrzy. Czy oczekiwał, że ona jeszcze zmieni plany?

- Przyjdę do pani, jak tylko się przebiorę - powiedziała.



- Nie spiesz się, kochanie. Należę nam po szklaneczce sherry. Zamykam tylko na klamkę - poinformowała i zniknęła za drzwiami.

Sophia otworzyła drzwi i zapaliła światło w małym korytarzu. Po chwili przeszli do przestronnego pomieszczenia, które było połączeniem kuchni i salonu.

Sophia zdjęła płaszcz, a jej towarzysz położył torbę z zakupami na stoliku. Rozejrzał się wokół.

- Jestem zaskoczony tą ogromną przestrzenią - stwierdził.

Kiedy popatrzył wprost na nią, mogła zobaczyć, że jego oczy są szare, ale tak ciemne, że niemal czarne. Oczy, które wyglądały bardzo dziwnie przy naturalnie jasnych włosach.

Z trudem oderwała od niego wzrok.

- Kiedy pani Caldwell urządzała tutaj trzy mieszkania, wprowadzono sporo zmian.

Pokiwał głową z aprobatą.

- Naprawdę wygląda to imponująco. Na pewno dobrze się mieszka w takim wnętrzu.

- Zawsze lubiłam to mieszkanie - potwierdziła.

Nagle uświadomiła sobie, że nadal nic o nim nie wie.

- A gdzie pan mieszka?

- Różnie, głównie w Nowym Jorku.

Czy to znaczy, że nadal tam mieszka? Rozczarowana, wzięła głębszy oddech.

- Zainteresował mnie pański akcent... Nie jest typowo amerykański.

- Nie - potwierdził. - To raczej mieszanka. Jako dziecko wychowywałem się w Stanach, ale zgodnie z tradycją rodzinną studiowałem w Anglii.

- Ma pan angielskie korzenie?

- Ze strony ojca, mama jest Włoszką.

Dlatego ma taką oliwkową skórę mimo jasnych włosów... - pomyślała Sophia. I ten delikatny, intrygujący akcent...

Lekko podekscytowana, że mają ze sobą coś wspólnego, powiedziała:

- Moja mama też była Włoszką.

- Dziwny zbieg okoliczności - zauważył lekko.

- Jak miała na imię?

- Maria.

Czekała na dalsze pytania o mamę, ale - ku jej zdziwieniu - przerwał temat:

- Czy zamierza pani zmienić mieszkanie?

- Jeszcze nie wiem. Trzy pokoje to trochę za wiele jak dla mnie. Gdy żył tata, było idealnie. Wykorzystywał trzeci pokój od północy jako pracownię.

- Czy ma pani jeszcze ten portret...? Wspomniała pani, że przypominam kogoś z portretu.

- Tak.

- Czy mógłbym go zobaczyć? Jestem bardzo ciekawy...

Sophia lekko się zmieszała.

- Wisi w mojej sypialni.

Gdy spojrzała w jego oczy, tym razem wydały jej się ciemnozielone. Ze złotymi refleksami.

- Nie będę tym skrepowany, jeśli i pani nie będzie - powiedział z uśmiechem.

Sam fakt, że portret wisi w sypialni, nie był dla niej krępujący. Problem polegał na tym, że tak bardzo lubiła ten obraz. Nie chciała, by ten mężczyzna to dostrzegł.

- Jeśli jednak to pani przeszkadza... - Zauważył jej wahanie.

- Nie, nie, w porządku - zapewniła.

- Może pokaże mi pani inne prace ojca? - zasugerował.

- Niestety, wszystkie są już na wystawie.

- A dlaczego właśnie ten obraz tam nie jest?

- Bo nigdy nie został ukończony. Proszę zobaczyć - dodała już bez wahania.

Serce zaczęło jej szybciej bić, gdy prowadziła go szerokim korytarzem do swej sypialni. Zapaliła światło i wprowadziła go do środka.

Pokój był skąpo umeblowany; na podłodze leżał ciemnoróżowy dywan, ściany były białe. Obraz - jedyny w tym pomieszczeniu - wisiał pomiędzy dwoma oknami.

Mężczyzna stanął naprzeciwko i oglądał portret w milczeniu.

Szerokie ramiona, szyja i koszulka były zaledwie naszkicowane, ale cała głowa, jasne włosy, uszy, twarz o ciemnych oczach i brwiach i piękne usta były skończone.

Gdy Sophia spoglądała na przemian na swego gościa i na portret, stwierdziła, że podobieństwo jest uderzające. Jedyne różnice, które zauważała, były minimalne: mężczyzna, który stał obok niej, miał krótsze włosy niż ten na portrecie, a brwi i rzęsy o kilka tonów ciemniejsze.

Pomijając szczegóły, śmiało można go było wziąć za modela, który pozował do tego obrazu. Gdyby nie wiek portretu.

Obraz musiał zostać namalowany przed urodzeniem Sophii albo kiedy była bardzo mała.

- Ten obraz też mógłby trafić na wystawę - odezwał się mężczyzna po kilku chwilach milczenia.

Mógłby. Jednak Sophia nie chciała dzielić się nim z nikim. Odczuwała to tak, jakby obcy ludzie mogli poznać jej tajemnicę albo czytać pamiętnik.

Milczała, więc ponownie się odezwał:

- Pani ojciec był wspaniałym artystą. Te oczy są jak żywe... I miała pani rację, jest do mnie podobny. Jakbym się przeglądał w lustrze. Kiedy ten obraz został namalowany?

- Nie wiem. Chyba powstał, zanim się urodziłam. Pamiętam go od zawsze.

- A kto był modelem?

Sophia pokręciła głową.

- Nie wiem. Raz o to zapytałam. Ojciec odpowiedział, że ktoś, kogo znał krótko i dawno temu.

- Rozumiem... Dziękuję, że mogłem go zobaczyć.

Sophia oczekiwała, że powie coś więcej na temat podobieństwa, niezwykłego zbiegu okoliczności, dziwnego przypadku czy coś w tym stylu. Jednak on odwrócił się i zobaczywszy szkatułkę na stoliku, skomentował tylko:

- Ta szkatułka to wspaniałe dzieło sztuki.

- Tak, to ostatni prezent od ojca. Znalazłam ją schowaną w jego biurku.

- I wypełnioną klejnotami - zażartował, chociaż dostrzegł jej smutek.

Uśmiechnęła się.

- Niestety, pustą.

- Kiedy wystawa będzie otwarta? - zapytał, gdy szli z powrotem do salonu.

- Jutro rano. Można ją oglądać przez cały miesiąc. Chociaż David - właściciel galerii - obiecał, że będzie dostępna, dopóki będą się pojawiać zainteresowani zwiedzający. - Sophia uświadomiła sobie, że on zaraz wyjdzie i może nie ponowić swojego zaproszenia. - Jak długo zostaje pan w Londynie?

Straciła resztki nadziei, gdy usłyszała:

- Jutro wyjeżdżam. - I zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, dodał: - Zabrałem pani i tak sporo czasu. Musi się pani przebrać.

- Nie wiem, jak panu dziękować za pomoc...

- Nie ma za co - odparł. - Życzę miłego wieczoru. *Arrivederci*. - Po tych słowach wyszedł.

Kilka sekund później usłyszała stuknięcie drzwi frontowych.

Odszedł.

A Sophia nawet nie poznała jego nazwiska.

Dlaczego pozwoliła mu tak odejść? A co innego mogła zrobić?

Na przykład zaprosić go na kolację. Pani Caldwell nie miałaby żadnych obiekcji

- Sophia była tego pewna - a jedzenia starczyłoby dla trojga.

W ten sposób zyskałaby godzinę lub dwie.

Jednak straciła tę szansę. Wyszedł, za późno na żale.

Była rozczarowana i myślała o tym, co mogłoby się stać, gdyby zachowała się inaczej.

Dlaczego los postawił go na jej drodze, a potem pozwolił mu odejść?

Poczuła się, jakby ukradziono jej coś cennego, coś, do czego miała prawo...

Uświadomiła sobie, że stoi jak kołek i gapi się na drzwi, a przecież ktoś na nią czeka.

Otrząsnęła się i ruszyła do sypialni, by się przebrać. Starła się nie zerkać na portret, chociaż z trudem mogła się powstrzymać.

Zakupy dla pani Caldwell przełożyła do drugiej torby i rozejrzała się w poszukiwaniu kluczy.

Nigdzie ich nie było.

Mężczyzna otwierał drzwi, więc może zostawił klucz w zamku. Niestety nie.

Co zrobił z kluczami?

Nie było ich również w torbie z zakupami.

Sophia wyjęła z szuflady zapasowy komplet, zgasiła światło, zamknęła drzwi i ruszyła do mieszkania pani Caldwell.

Dobiegły ją dźwięki płynące z telewizora. Staruszka oglądała jakąś operę mydlaną.

- To ja! - zawołała Sophia i weszła do salonu.

To mieszkanie też było wysokie i przestronne, tutaj także kuchnię połączono z salonem.

Kominek dawał przyjemne ciepło. Dwie szklaneczki sherry czekały na stoliku.

Pani Caldwell stała przy oknie i zerkała zza firanki na ulicę.

- Rozgość się, moja droga - powiedziała.

Sophia położyła pieniądze na stoliku, a następnie zaczęła wypakowywać zakupy. Sam, najśmielszy z trzech rudych kotków, ocierał się o jej nogi, mruczając jak mały motorek.

Pani Caldwell wyłączyła telewizor pilotem i usiadła na kanapie.

- Usiądź i napij się sherry, kochanie - zaproponowała.

- Może najpierw przygotuję paellę. Kolacja nie będzie wtedy tak późno -

powiedziała, myśląc o tym, że starsza pani pewnie wcześniej kładzie się spać.

- Masz rację.

Sophia wyjęła z torby wszystkie produkty, nigdzie nie znalazła kluczy. Wypiła łyk sherry.

Sprawnie pokroiła cebule, paprykę, pomidory, dodała zmiążdżone ząbki czosnku i zaczęła wszystko lekko przysmażać.

- Paella zaczyna pięknie pachnieć - ucieszyła się pani Caldwell. - Muszę się przyznać, że ślinka już mi cieknie.

- W takim razie dobrze, że kupiłam kilka gotowych składników. Zrobię danie w krótszej wersji.

- To świetnie - oznajmiła staruszka, po czym zapytała z ciekawością: - Kim był ten piękny młody człowiek, który tu przyszedł?

- Obawiam się, że nie wiem - odparła Sophia szczerze.

- Nie znasz go?

- Właściwie nie. Na ulicy pękło ucho od mojej torby. Pomógł mi.

Pani Caldwell była wyraźnie rozczarowana.

- Niczego się o nim nie dowiedziałaś? Gdzie mieszka. Czym się zajmuje. Czy ma dziewczynę. Ja bym się zapytała, gdybym była w twoim wieku.

Sophia musiała się uśmiechnąć.

- Wiem tylko, że przyjechał do Londynu w interesach. I że jego ojciec pochodzi z Anglii. Dlatego kończył tu studia. Mama jest Włoszką.

- O, więc macie ze sobą coś wspólnego. Już dawno chciałam cię zapytać, czy masz jeszcze we Włoszech jakichś kuzynów?

- Jeśli nawet, to chyba daleką rodzinę. Podobnie jak ja, moja mama była jedynaczką. Jej rodzice szybko zmarli.

- Zapytałam, bo ten mężczyzna, który przyszedł do twojego ojca, był Włochem. Sophia była zaskoczona.

- Ktoś odwiedził ojca? Kiedy?

- Nie pamiętam dokładnie... Ojciec nie powiedział ci o tej wizycie? - Staruszka była wyraźnie zakłopotana. - To dziwne... Tamten mężczyzna przyjechał pewnego dnia taksówką. Byłaś wtedy w galerii.

- Jak wyglądał?

- Zadbany, niezbyt wysoki i korpulentny, podobnej budowy jak mój Arthur; miał gęste siwe włosy. Musiał mieć około sześćdziesiątki, ale wyglądał młodziej, bo jego bujne brwi były nadal czarne. Wasz dzwonek u drzwi frontowych nie działał, więc za-

dzwonił do mnie. Mówił bardzo słabo po angielsku. Wyjaśnił, że szuka *signore* Jordana, bo ma dla niego przesyłkę.

- Jaką przesyłkę?

- To była paczka, całkiem duża. - Pani Caldwell zaznaczyła rozmiary w powietrzu. - Skierowałam go do waszych drzwi. Twój ojciec otworzył i wpuścił go do mieszkania. Niedługo tam zabawił. Odjechał tą samą taksówką, czekała na niego.

Sophia zmarszczyła brwi. Dlaczego ojciec nic jej nie wspomniał o tej wizycie? To było niepodobne do niego. Jego życie toczyło się tak monotonicznie, że nie mógł przecież zapomnieć...

- A wracając do tego młodego człowieka - pani Caldwell przerwała jej myśli. - Dziwię się, że cię nigdzie nie zaprosił.

- Po prostu minęliśmy się jak statki na morzu - westchnęła Sophia.

- Wpadłaś mu w oko. - To było stwierdzenie, nie pytanie.

- Skąd pani wie?

- Kochanie, to oczywiste.

- On jest żonaty - odparła Sophia nieprzekonująco.

Miał około trzydziestki i na pewno był w stałym związku, stwierdziła. A może nie...

- Zauważyłam, że nie miał obrączki - powiedziała z uśmiechem pani Caldwell. - Najwyższy czas, żebyś rozejrzała się za mężem - dodała nieśmiało.

Sophia wrzuciła ryż na patelnię i zaczęła mieszać składniki.

- Nie wiem, gdzie szukać.

- Znasz to powiedzonko: miłość jest w powietrzu. Trzeba tylko chcieć ją rozpalić. Wiesz, ten mężczyzna patrzył na ciebie w taki sposób... Nietrudno było się zorientować, że bardzo mu się spodobałaś. Widziałam was razem tylko przez moment, ale byłam pewna, że gdzieś cię zaprosi. Może jutro...

- Jutro wyjeżdża - wtrąciła Sophia.

- To wstyd. Jedna randka mogłaby wystarczyć, by powstał transatlantycki związek. Interesujące określenie, nie sądzisz? - Zanim Sophia zdążyła odpowiedzieć, rzuciła: - Szkoda, że go nie zaprosiłaś na naszą kolację.

- Pomyślałam o tym dopiero wtedy, gdy wyszedł. Może by odmówił...

- Wprost przeciwnie. Patrzyłam przez okno, kiedy wychodził na ulicę. Nie odszedł od razu. Stał pod drzewem i patrzył w twoje okna. Zniknął dopiero wtedy, gdy pogasiłaś światła i wyszłaś do mnie.



Sophia była poruszona tą informacją. Gdyby wiedziała... Mogłaby się zebrać na odwagę i go zaprosić, ale teraz na wszystko już za późno.

## **ROZDZIAŁ DRUGI**

- Czy na wystawie będą miniatury ojca? - Pani Caldwell zmieniła temat.

- Tak, wiele z nich to jego najlepsze prace.

- Moja ulubiona to ta przedstawiająca ciemnowłosą dziewczynę w pięknej niebieskiej sukni balowej. Na szyi ma perły, a w ręku coś, co wygląda na maskę karnawałową. Zawsze trochę przypominała mi ciebie.

To był kolejny obraz, który szczególnie podobał się Sophii. Szata i fryzura kobiety na obrazie wskazywały, że musiał być kopią jakiegoś starego malowidła. Gdy Sophia spytała ojca, gdzie jest oryginał, odparł, że widział go bardzo dawno i nie pamięta.

- Kiedy wspomniałam Peterowi, że to mój ulubiony - odezwała się staruszka - przyznał się, że jego też. Tęsknię za nim... Popołudniami zwykle grywaliśmy w karty...

- Po chwili otrząsnęła się i wyprostowała na krześle. - A kiedy otwarcie wystawy?

- Jutro rano.

Paella była gotowa i pani Caldwell zaproponowała do niej butelkę wina marki Rioja.

- Udawajmy, że jesteśmy w Hiszpanii.

Po posiłku oświadczyła, że to najlepsza paella, jaką kiedykolwiek jadła. Rozmawiały, śmiały się i grały w karty, aż Sophia zorientowała się, że dochodzi jedenasta.

- Dziękuję za miły wieczór, ale muszę już iść. Pani na pewno chce się położyć spać.

Ruszyła korytarzem do swojego mieszkania, a gorące podziękowania staruszki nadal dźwięczały jej w uszach.

Otworzyła drzwi i zapaliła światło. Pierwsza rzecz, którą zauważyła, to jej klucze leżące pod stolikiem. Musiały tam spaść, gdy przepakowywała torby...

Nagle zeszywniała. Ogarnęło ją dziwne uczucie. Wszystkie przedmioty znajdowały się na swoim miejscu, torebka leżała tam, gdzie ją zostawiła, ale szóstym zmysłem wyczuwała, że coś było nie w porządku.

Rozejrzała się dokoła. Tak! Oba okna - frontowe i kuchenne z boku domu - zostawiła otwarte, gdy wychodziła. Teraz były zamknięte, a zasłony zasunięte!

Poczuła, jak jeżą jej się włosy na karku. Na rękach miała gęsią skórkę. Zasłony same się nie zasunęły, ktoś to zrobił z jakiegoś powodu. Włamywacz nie chciał być zauważony.

Drzwi do ogrodu były zamknięte na zasuwę, a gdyby ktoś chciał wejść od ulicy, musiałby zadzwonić... lub mieć klucze.

Jednak ktoś tu był. I może nadal jest!

Sophia zadrżała. Powoli ruszyła w głąb mieszkania, zapalając wszystkie światła.

Łazienka była pusta. Otworzyła drzwi do pracowni ojca. W nozdrzach od razu poczuła zapach farb i terpentyny. Wszystko leżało tam tak, jak zostawił - farby, pędzle, palety, nieużywane płótna. Sypialnia ojca też była pusta. Jakby niedawno stamtąd wyszedł. Pewnego dnia będzie musiała przejrzeć jego papiery i notatki, oddać ubrania pomocy społecznej, ale na razie nie mogła się na to zdobyć. Jeszcze nie.

Jedyną rzeczą, jaką zabrała z jego biurka, była ukryta w głębi paczka. Miała wielkość pudełka na buty, ale wydawała się dość ciężka. Była owinięta w pozłacany papier, z drukowaną karteczką:

*Dla Sophii, z miłością. Najlepsze życzenia z okazji 25 urodzin.*

Gdy Sophia to przeczytała, załała się łzami.

W środku znajdowała się przepięknie rzeźbiona szkatułka z kości słoniowej. Ta, na którą zwrócił uwagę jej dzisiejszy gość. Szkatułka miała lekko wypukłe wieczko, na nim dopiero po chwili rozpoznała misternie i niekonwencjonalnie wyrzeźbiony jej znak zodiaku: Ryby. W skłębionych falach unosiły się dwa koniki morskie. Jeden wyraźnie wesoły, drugi pełen melancholii, co świetnie symbolizowało podwójną naturę Ryb, skłonnych do zmiennych nastrojów.

Sophia rozplakała się wtedy. Jakim sposobem ojciec - który prawie nie opuszczał domu - mógł zdobyć tak piękny i idealny na tę okazję prezent? Jej serce przepełniała miłość i wdzięczność. Umieściła szkatułkę na stoliku w sypialni... W tym momencie wróciła do rzeczywistości. A jeśli szkatułka zniknęła?

Wzięła głęboki oddech i ruszyła do sypialni. Zapaliła światło.

Odetchnęła z ulgą. Szkatułka stała na miejscu. I ani śladu intruza, ale Sophia wyczuwała, że coś było jednak nie w porządku. Jedynym miejscem, gdzie mógłby się jeszcze ukryć, była garderoba, więc tam się skierowała. Tu też nic, tylko ubrania i znajome drobiazgi. Pomyślała z rozbawieniem, że gdyby zobaczyła tam włamywacza, na pewno umarłaby ze strachu.

Spojrzała ponownie na szkatułkę. Pomyślała, że jej wielkość odpowiada rozmiarom paczce, którą widziała pani Caldwell.

Może było to specjalne zamówienie na telefon? Dlatego ojciec nie wspomniał jej o niczym. Ale kto dostarcza paczki taksówką?

No dobrze, szkatułka znajdowała się na miejscu, a co z jej zawartością? Większość to niedroga biżuteria. Jakaś wartość przedstawiał tylko sygnet ojca i parę pierścionków.

Jeden rzut oka wystarczył - nic nie zginęło. Może cała ta koncepcja włamania to tylko jej wybujała wyobraźnia?

A co z zasłonami?

W tym domu nikt nie zasłaniał okien. Nie było takiej potrzeby. Ogród z tyłu był otoczony wysokim murem, więc nikt nie mógł się tam wkraść. Bo i po co?

Nagle wzrok Sophii padł na szufladę, gdzie przechowywała bieliznę. Była niedomknięta.

Sophia otworzyła ją. Zauważyła, że jedna z pończoch zamiast w opakowaniu leży na wierzchu. Dreszcz przeszedł jej po plecach. Była pewna, że nie zostawiła jej w ten sposób.

Otworzyła inne szuflady - ktoś przeglądał ich zawartość, starając się nie naruszać porządku. Ale czego szukał?

Sophia wzięła prysznic i położyła się do łóżka, jednak niespokojne myśli długo nie pozwalały jej zasnąć.

Spała fatalnie. Obudziła się z bólem głowy, na dworze było szaro. Spojrzała na zegarek przy łóżku - zasnęła!

Najszybciej jak mogła umyła się, upięła włosy w oficjalny kok i włożyła kostium. Zrobiła szybki makijaż i wypila parę łyków kawy. Wybiegła z domu, wkładając płaszcz.

Chociaż szła szybkim krokiem, dotarła do galerii spóźniona pół godziny.

Główna sala za drzwiami z dymnego szkła miała owalny kształt. Wystrój zaprojektowano w kolorze białym, ze złotymi i ciemnozielonymi zdobieniami i dodatkami. Wygięte schody prowadziły na antresolę. Klasyczne kolumny przydawały wnętrzu spokoju i elegancji. A Volonte była mekką świata sztuki.

Sophia zerknęła na antresolę. Kilka osób już tam spacerowało, oglądając obrazy jej ojca. W jednym końcu wysoki jasnowłosy mężczyzna i drobna kobieta o ciemnych włosach do ramion przyglądali się miniaturom.

Sophia weszła do pokoju biurowego. Przywitała się z Davidem i przeprosiła za spóźnienie. Potem zajęła swoje miejsce przy biurku w dyskretnym miejscu na sali. Zobaczyła Joannę siedzącą w pobliżu na jednej z ciemnozielonych sof. Rozmawiała z

łysiejącym mężczyzną, w którym Sophia rozpoznała znanego kolekcjonera i krytyka sztuki z Paryża.

Kobieta na antresoli nadal oglądała miniatury, jej towarzysz odszedł parę kroków i stał przed cyklem scen z Wenecji, które wisiały obok siebie.

Coraz więcej ludzi spacerowało, podziwiając obrazy. Zwyczajem galerii było pozwolić klientom i zwiedzającym na swobodne poszukiwania. Jeśli chcieli coś kupić lub o coś spytać, musieli sami podejść do pracownika galerii.

Sophia zaczęła przeglądać katalog z ostatniej aukcji.

- *Scusi signorina...* - usłyszała kobiecy głos.

- W czym mogę pomóc? - Uniosła głowę i odłożyła katalog.

Sądząc po fryzurze, przed nią stała kobieta, która przed chwilą oglądała obrazy na antresoli. Była piękna i dobrze ubrana. Miała duże czarne oczy, kremową cerę, prosty nos, pełne czerwone wargi. Długie szkarłatne paznokcie. Na pulchnych palcach lśniło kilka pierścionków, w tym jeden z wielkim brylantem, i obrączka. Z bliska wydawała się trochę starsza, niż Sophia początkowo sądziła. Miała trzydzieści kilka lat.

- Chciałabym dowiedzieć się czegoś o tym obrazie... - powiedziała po angielsku, ale z silnym obcym akcentem.

Trzymała w ręce miniaturę, o której wcześniej wspominała pani Caldwell. Tę, którą Peter Jordan lubił najbardziej.

Sophia była skonsternowana. Starła się zachować spokój.

- Proszę dać mi ten obraz - powiedziała i wyciągnęła rękę.

Mimo starań, by odezwać się grzecznie, kobieta odebrała polecenie jako rozkaz. Zmarszczyła brwi.

- Mówi pani do markizy d'Orsini.

- Przykro mi, ale nikomu nie wolno zdejmować obrazów ze ścian.

- Pani nie zrozumiała. Ja chcę go kupić.

- Niestety, nie jest na sprzedaż.

- Co pani wygaduje?! - Markiza podniosła głos. - Galeria utrzymuje się ze sprzedaży obrazów, prawda?

Sophia pochwyciła kilka zaciekawionych spojrzeń osób znajdujących się w pobliżu.

- Oczywiście - powiedziała spokojnym tonem - ale na sprzedaż są tylko obrazy wiszące w tej sali, w tym również wspaniałe miniatury.

- Ale ja chcę kupić właśnie tę.

- Niestety ten i inne obrazy prezentowane na antresoli są częścią kolekcji Petera Jordana. Nie są na sprzedaż.

- Bzdura! Jak pani śmie...

Sophia już nie słuchała. Do jej biurka zbliżał się bowiem przystojny jasnowłosy mężczyzna. Nie odrywał od niej wzroku.

Czy to zbieg okoliczności, że się tu pojawił? Na pewno nie.

Uśmiechnęła się z radości. On też się lekko uśmiechnął.

Markiza zorientowała się, że Sophia już nie zwraca na nią uwagi. Odwróciła się, złapała mężczyznę za ramię i zaczęła szybko mówić po włosku:

- Ona śmie mnie pouczać, że nie powinnam zdejmować tego obrazu...

- Przecież to ci właśnie mówiłem - odpowiedział również po włosku.

- Mam dość cudzych rad! - wybuchnęła. - Mężczyźni zawsze myślą, że mają rację! Ciągłe powtarzają: Przecież ci mówiłem! Powinieneś stanąć po mojej stronie, a nie tej zuchwałej dziewczyny...

Położył palec na jej ustach, przerywając szybki potok słów.

- Uspokój się. Ona może znać włoski. Jest...

- Wiem, kim jest. Nikim, ale ma wysokie mniemanie o sobie. Robi błąd, jeśli myśli, że może...

- *Cara*, to ty robisz błąd. Radzę ci, żebyś się uspokoiła.

- Nie potrzebuję rady! Będę mówić to, co chcę!

- Dobrze.

W jego głosie nie było gniewu, ale jakaś dziwna nuta, która sprawiła, że kobieta zmieniła ton:

- Stefano, kochanie, przepraszam... bardzo przepraszam... Nie powinnam tak na ciebie napadać... - Kiedy nic nie odpowiedział, jej oczy napęłniły się łzami. - Wybacz mi. Nie miałam racji, złościąc się na ciebie...

Sophia dostrzegła, że jego twarz łagodnieje. Czy on jest mężem tej pięknej kobiety?

Ta myśl wywołała podobny efekt, jakby otrzymała niespodziewany cios w splot słoneczny.

Jeśli nawet nie był mężem, to na pewno łączyła ich bliska więź. Świadczył o tym sposób, w jaki na niego patrzyła... jak trzymała go za rękaw... i ten miękki, poddańczo-żebrzący głosik:

- Powiedz mi, co mam zrobić...

- Przeprós panią i oddaj jej ten obraz.
- Przeprosić! Ależ Stefano...
- To może się opłacić - zasugerował.

Po chwili milczenia kobieta odwróciła się do Sophii, podała jej obraz i niechętnie mruknęła po angielsku:

- Przepraszam.
- Nic się nie stało. - Sophia zdobyła się nawet na lekki uśmiech.
- Malarz już nie żyje, prawda? - zapytała markiza chłodno.
- Zmarł w marcu.
- Czy pani wie, kiedy został namalowany ten obraz i kto był modelką?
- Niestety, nie wiem.

Markiza patrzyła na Sopię takim wzrokiem, jakby ta celowo robiła trudności.

- Proszę dać mi katalog, sama sprawdzę.
- Opis znajdzie pani na stronie dwunastej. Tytuł obrazu: „Portret weneccjanki podczas karnawału”. - Podała jej katalog.

Markiza przejrzała go i ze złością rzuciła na biurko.

- Tylko tracę czas! Chcę kupić ten obraz i...
- Już mówiłam, że nie jest na sprzedaż.
- Mam dość tych impertynencji... - Mężczyzna, którego nazywała Stefano, położył jej dłoń na ramieniu, ale strąciła ją ze złością. - Chcę rozmawiać z właścicielem galerii albo z kimś kompetentnym.

- Proszę bardzo. - Sophia wzięła słuchawkę, a kiedy odebrał David, poprosiła: - Czy mógłbyś tu na chwilę przyjść?

- Jakież kłopoty?
- Niestety tak. - Odłożyła słuchawkę. Tymczasem burza przybierała na sile.
- Jeśli myślisz, że możesz mnie tak traktować i odesłać z niczym, bardzo się mylisz! - krzyczała wściekła markiza. - Możesz być pewna, że stracisz pracę i...
- Dostyc tego, Gino - wtrącił się mężczyzna. - Robisz z siebie widowisko.

W tym momencie nadszedł David, elegancko ubrany, z kremowym goździkiem w butonierce. Miał pięćdziesiąt parę lat i był kawalerem. Miał siwe, nieco długie włosy i łagodne jasnoniebieskie oczy. Był wybitnym koneserem sztuki, a jego maniery i artystyczna aura, która go otaczała, sprawiały, że nikt na pierwszy rzut oka nie dostrzegał w nim sprytnego biznesmena.

- Pojawił się jakiś problem? - zapytał przyjaźnie.
- Owszem. Jestem markiza d'Orsini, a ta bezczelna...



David lekko się skłonił, przerywając jej.

- A ja nazywam się David Renton, jestem właścicielem tej galerii. Może pani i markiz...

- Nie jestem markizem - wtrącił jej towarzysz. - Nazywam się Stephen Haviland. Obaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

- Zapraszam do mojego gabinetu - powiedział David. - Jestem pewien, że sprawy ułożą się po państwa myśli. - Markiza posłała Sophii spojrzenie pełne triumfu. Tymczasem David dodał: - Sophio, ciebie również zapraszam, moja droga.

Gestem przekazał Joannie, by usiadła przy biurku, a następnie poprowadził gości do swego sanktuarium.

Gabinet Davida był luksusowo urządzone. Stały tam dwie zabytkowe sofy obite skórą, a w rogu znajdował się półokrągły barek. Na ścianach wisiały obrazy, każdy z nich kosztował fortunę. Na podłodze leżał orientalny dywan. Zapach kwiatów wypełniał pokój.

- Zechcą państwo usiąść.

Markiza zajęła miejsce na najbliższej sofie i spojrzała na Stephena.

Sophia usiadła na drugiej sofie. Dopiero wtedy Stephen usiadł obok markizy.

- Czy mogę zaproponować kieliszek sherry? - zapytał David i wyjął cztery kieliszki.

- Z przyjemnością się napijemy - odparła markiza.

Gdy kieliszki zostały rozdane, David usiadł koło Sophii.

- W czym mogę pomóc? - zapytał.

Markiza już się zorientowała, że David darzy Sophię specjalnymi względami, więc zmieniła taktykę.

- Pańska pracownica i ja... - zaczęła ostrożnie - jak by to powiedzieć... doszło do nieporozumienia. Pomyliłam się i chciałabym przeprosić... Zdjęłam ze ściany jedną miniaturę. Chciałam ją kupić, ale powiedziano mi, że nie jest do sprzedania.

- Mogę wiedzieć którą?

- W katalogu jest opisana jako „Portret weneckanki” podczas karnawału.

- Ten obraz jest częścią wystawy czasowej. To depozyt. To znaczy, że nie jest własnością galerii - wyjaśnił.

- A może mi pan powiedzieć, do kogo należy?

David popatrzył na Sophię.

- Ten obraz należy do mnie - oznajmiła.

- Do pani? - powtórzyła zaskoczona markiza po chwili milczenia. - Więc

dlaczego nie chciała mi pani powiedzieć, kto był modelką i kiedy został namalowany?

- zapytała z gniewem.

- Bo nie wiem. Ojciec namalował go dawno temu, zanim się urodziłam.

- Ojciec... Więc pani musi być...

- Nazywam się Sophia Jordan.

Markiza odwróciła się gwałtownie do Stephena.

- Dlaczego mi nie... - zaczęła po włosku, ale widząc jego wzrok, zamilkła.

Po kilku minutach markiza popatrzyła na Sophię i odezwała się już po angielsku:

- *Signorina* Jordan, bardzo pragnę mieć ten obraz w mojej kolekcji. Dobrze zapłacę.

- Przykro mi, że muszę panią rozczarować, ale - tak jak mówiłam wcześniej - nie jest na sprzedaż.

Markiza przygryzła wargę.

- Wszystko przez to nieporozumienie...

- To nie ma nic do rzeczy - odparła Sophia.

- Obrazy ojca są mi bardzo drogie i nie mam zamiaru sprzedawać żadnego z nich.

Markiza miała minę skrzywdzonego dziecka. Sophii zrobiło się niemal żal tej wybuchowej kobiety.

- Może obejrzy pani miniatury, które są na sprzedaż? - zaproponował David. - To znakomite dzieła. Dwie z nich bardzo przypominają „Wenecjanę”.

- Dziękuję, ale nie.

- W takim razie... - David wstał z sofy, kończąc spotkanie.

- Wracamy dzisiaj do Wenecji - powiedział Stephen, podając mu rękę na pożegnanie - co oznacza, że musimy zaraz jechać na lotnisko, ale byłbym wdzięczny, gdyby poświęcił mi pan jeszcze kilka minut.

- Oczywiście - odparł grzecznie David. - W czym mogę pomóc?

- To pilna sprawa, o której chciałbym porozmawiać z panem... - W tym momencie Sophia wstała. - ...Proszę zostać, panno Jordan. Pani obecność jest konieczna - dodał szybko.

Sophia spodziewała się, że czeka ją druga tura perswazji i nacisków, tym razem z jego strony. Utwierdziło ją w tym pełne nadziei spojrzenie markizy, którym obdarzyła Stephena.

- Moja ciotka zmarła w tym roku - zaczął, patrząc na Sophię - i zostawiła mi rodzinny dom w Wenecji. *Palazzo* Fortuna jest piękny, ale przez ostatnie wieki majątek rodziny stopniowo topniał, więc pałac został w dużym stopniu ogołocony z cennych

przedmiotów. Kiedy moja ciotka zorientowała się, że jedno skrzydło zostało podtopione, postanowiła zacząć gruntowny remont. Poprosiła mnie o pomoc finansową, którą od razu otrzymała. Wynajęła ludzi do pracy, ale wkrótce okazało się, że koszty remontu będą o wiele wyższe, niż początkowo szacowano. Ostatecznie renowacja już się zakończyła.

Ciotka miała kolejne wydatki, ale nie chciała przyjąć już ode mnie żadnych pieniędzy. Postanowiła sprzedać kilka obrazów, które były w rodzinie od pokoleń. Kilka muzeów i paru bogatych kolekcjonerów wyraziło swoje zainteresowanie. Ciotka wynajęła więc eksperta z Mediolanu, który zgodził się wycenić obrazy, wyczyścić i zrobić niezbędne naprawy. Ciotka zaplanowała nawet serię prywatnych pokazów tych dzieł dla zainteresowanych. Wszystko było w toku, ale niespodziewanie zachorowała i wkrótce potem zmarła. Ostatnim jej życzeniem było, żebym doprowadził do końca to, co zaczęła. Pierwszy pokaz obrazów ma się odbyć za sześć tygodni. Ekspert, którego ciotka zaangażowała, miał zacząć pracę w poniedziałek i przygotować pierwszą partię obrazów. Dziś rano otrzymałem wiadomość, że miał wypadek samochodowy i nie może wypełnić swoich zobowiązań. Dlatego natychmiast potrzebuję kogoś, kto go zastąpi. - Zwrócił się teraz do Sophii: - Kiedy rozmawialiśmy wczoraj, wspomniała pani, że oprócz wyceny obrazów zajmuje się też ich konserwacją... Jest pani więc osobą, jakiej szukam. Jeśli oczywiście pan Renton zaakceptuje pani wyjazd na kilka tygodni, a pani zechce pojechać do Wenecji.

Ta propozycja rozpała wyobraźnię Sophii, ale skrzywiona mina markizy podziałała jak kubek zimnej wody.

- Co ty mówisz, Stefano? - znów podniosła głos. - Nie możesz znaleźć kogoś na miejscu?

- Być może, ale to wymaga czasu, a właśnie czasu mi brakuje. - Popatrzył na Sophię. - Zapłacę tyle, ile pani zażąda, i pokryję wszystkie koszty podróży. Zatrzyma się pani oczywiście w Ca' Fortuna. Czy była pani w Wenecji?

Pokręciła głową.

- Moja matka urodziła się w Mestre, ale nigdy nie miałam okazji tam pojechać.

- W takim razie to doskonała okazja, żeby połączyć interesy z przyjemnością - powiedział i odwrócił się do Davida. - Jeśli pan się zgodzi, chciałbym jakoś zrekompensować nieobecność panny Jordan. Będzie miał pan pierwszeństwo kupna obrazów i dziesięć procent zniżki w stosunku do ceny rynkowej.

- To bardzo hojnie z pana strony - odparł David. - Nie mam nic przeciwko tej propozycji, ale wszystko zależy od decyzji Sophii.

- Może potrzebują państwo trochę czasu na rozmowę? - zapytał Stephen.

- Znakomity pomysł - podchwycił David. - Zechcą tu państwo zaczekać.

Gdy opuszczali pokój, Sophia usłyszała słowa markizy wypowiedziane po włosku:

- Chyba oszalałeś! Chcesz ją przywieźć do *palazzo*?! Ona nie potrafi... - Reszta słów została za zamkniętymi drzwiami.

## **ROZDZIAŁ TRZECI**

David usiadł za wielkim biurkiem.

- Wybacz mi ciekawość - zaczął - ale jak długo znasz pana Havalanda?

- Spotkaliśmy się wczoraj, przypadkiem. - Krótco wyjaśniła okoliczności. -

Powiedział mi, że dzisiaj wyjeżdża. Nie przypuszczałam, że się ponownie spotkamy.

- Ale byłaś zadowolona, że go widzisz - rzucił David z domyślnym uśmiechem. -

A markizę?

- Dzisiaj zobaczyłam ją po raz pierwszy.

- I nie zapytam, czy ją polubiłaś - skomentował. - A co sądzisz o tym wyjeździe do Wenecji?

- Zawsze o tym marzyłam. Ojciec dobrze znał Wenecję, często powtarzał, że kiedyś tam pojedziemy... ale tak się nie stało.

- Czy to znaczy, że zamierzasz przyjąć propozycję Havalanda?

- Tak... ale waham się. Z powodu markizy.

- Może nie będziesz musiała jej spotykać - zauważył David.

Sophia pokręciła głową.

- Mam wrażenie, że ona mieszka w tym pałacu. I nie chce mnie tam widzieć.

- Ale on wprost przeciwnie - powiedział David z uśmiechem. - Poza tym możesz zażądać, by mieszkać w hotelu. Coś cię jeszcze niepokoi?

- Ona jest bardzo piękna...

- I zamężna. Moim zdaniem są tylko przyjaciółmi. Na pewno dobrze się znają.

Ale jeśli mogę wyciągać jakieś wnioski, zwłaszcza z jego nastawienia do niej... to nie sądzę, żeby było między nimi coś więcej. Czy ty jesteś nim zainteresowana?

- Tak - przyznała otwarcie.

- Hm... Myślę, że zmiana klimatu i włoskie słońce dobrze ci zrobią. Wrócisz jako całkiem nowa kobieta.

- Oby nie ze złamanym sercem - mruknęła.

- Ty też jesteś bardzo piękna - powiedział David, który znał ją od dawna. - I masz

wspaniały charakter - dodał. - To liczy się najbardziej. Chciałbym, żebyś była szczęśliwa, moja droga, więc jeśli czujesz, że Haviland to mężczyzna dla ciebie, jedź i daj szansę szczęściu. Być może, że przy bliższym poznaniu on może się okazać nieznośny i nie będziesz chciała go znać. Ale na razie radzę ci nie zwracać uwagi na markizę, zamieszkać w pałacu i stanąć do walki, jeśli trzeba.

- Jest jeden problem... Nie wiem, jak walczyć o mężczyznę.

David roześmiał się tak serdecznie, że Sophia też w końcu musiała się uśmiechnąć.

- Po prostu bądź sobą, to wystarczy - poradził.

- A teraz chodźmy przekazać Havilandowi dobrą wieść.

Gdy weszli do pokoju, Stephen i markiza byli pogrążeni w cichej rozmowie.

Na ich widok Stephen wstał i popatrzył Sophii w oczy.

- Jaki jest werdykt?

- Z przyjemnością pojedę do Wenecji... - zaczęła. Haviland uśmiechnął się, co nieco zaburzyło jej myśli. - ...Ale pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Chciałabym zamieszkać w hotelu, a nie w *palazzo* Fortuna.

- Oczywiście, jeśli takie jest pani życzenie. Czy będzie pani gotowa do wyjazdu do poniedziałku?

- Tak - odparła bez wahania. - Jeśli będą miejsca w samolocie.

- Z tym nie powinno być problemu. Czy mam zrobić rezerwację czy woli pani sama?

- Wolę sama - odparła po chwili namysłu.

- Czy chce pani mieszkać w jakimś konkretnym hotelu?

Pokręciła głową.

- W takim razie może zaproponuję Tre Pozzi? Nie ma tam luksusów, ale jest wygodny i w dobrym punkcie. Przypuszczam, że zna pani włoski?

- Tak. Mama mówiła do mnie po włosku, a po jej śmierci ojciec dbał, żebym kontynuowała naukę.

Markiza wyglądała na zmieszaną. Stephen z aprobatą kiwnął głową.

- W takim razie dam pani numer telefonu... - Wyjął pióro i mały notes, zapisał numer i wyrwał kartkę. Podał ją Sophii. - Jeśli będzie pani znała termin przylotu, proszę do mnie zadzwonić.

- Dobrze.

Wyciągnął rękę na pożegnanie. Sophia podała mu dłoń.

To był pierwszy raz, kiedy jej dotknął. Serce zaczęło jej walić jak szalone.

Po kilku sekundach Stephen odwrócił się do Davida.

- Dziękuję, że wypożyczył mi pan pannę Jordan. Zapraszam do Wenecji na prezentację obrazów. Będzie pan miłym gościem w Ca' Fortuna.

David wymruczał podziękowanie i skłonił się przed markizą.

Markiza spojrzała na Sophię.

- Do zobaczenia w Wenecji, *signorina* Jordan - pożegnała się sztywno.

Sophia odprowadziła gości do wyjścia.

- Gdyby zmieniła pani zdanie co do sprzedaży obrazu, zapłacę każdą sumę - powiedziała markiza przy drzwiach.

- Przykro mi, ale nie zmienię zdania.

Markiza odwróciła się gniewnie i wyszła bez słowa na ulicę.

- Proszę jej wybaczyć ten upór - odezwał się cicho Stephen. - Ginę zachwycił ten obraz. Nie znosi przegrywać. Zawsze na wszystko reaguje gwałtownie... Gdy czegoś chce, zachowuje się jak dziecko. Ale proszę się nią nie przejmować. - Uśmiechnął się i dodał: - *Arrivederci*; do poniedziałku.

- Do zobaczenia.

Jego słowa były uprzejme i oficjalne, ale w spojrzeniu szarych oczu dostrzegła coś głębszego, specjalnego. Obietnicę? Marzenie, które może się spełnić?

Zadzwoniła do niego, gdy już знаła szczegóły wyjazdu.

- Pan Haviland? Mówi Sophia Jordan.

- Skoro będziemy razem pracować przez kilka tygodni, może będziemy sobie mówić po imieniu?

- Dobrze.

Podała mu datę i godzinę przylotu. Obiecał, że ktoś będzie na nią czekał na lotnisku.

- Mamy w Wenecji falę upałów - powiedział. - Weź letnie rzeczy i koniecznie kostium kąpielowy. Umiesz pływać?

- Tak, ale niezbyt dobrze. Nie pływałam od czasów szkolnych.

- W takim razie pojedziemy do Lido. Będziesz mogła potrenować. - Jego głos stał się bliższy i cieplejszy: - Czekam na ciebie. *Arrivederci*, Sophia.

- *Arrivederci*... Stephen.

Na łóżku leżały ubrania i szkatułka na biżuterię, z którą nie chciała się rozstawać. Sophia wyjęła z garderoby jeszcze kilka letnich sukienek i kolejną parę sandałów.



Wszystko porządnie ułożyła w walizce.

Jej stary kostium kąpielowy nie nadawał się już do noszenia. Musiała kupić nowy.

Gdy skończyła pakowanie walizki, postanowiła podzielić się nowinami z panią Caldwell.

Chciała jej tylko powiedzieć, że dostała ciekawą propozycję pracy w Wenecji podczas wakacji. To wystarczyło. Pani Caldwell nie kryła podniecenia.

- Cudownie! - piała z zachwytu. - Włosi są tacy romantyczni... Poznałam tam Rossana Brazzi. Był wspaniały! Co za uroczy akcent... No i ten, który tu był... Pamiętam twarz, ale zapomniałam nazwisko... - Staruszka na pewno dalej by drażyła temat, ale zjawiła się Eva i Sophia zaczęła się zbierać do wyjścia. - Nie pracuj za wiele, kochanie. Miej z tego jak najwięcej zabawy - zegnała się pani Caldwell.

- Zostawię wam klucze do mieszkania.

- Zaopiekujemy się nim. Nie zapomnij wysłać nam pocztówki.

W poniedziałek było chłodno i znowu padał deszcz, gdy Sophia wczesnym popołudniem jechała na lotnisko. Lot przebiegał rutynowo i wkrótce usłyszała komunikat, że za chwilę będą lądować na lotnisku imienia Marco Polo.

Włochy, oślepiające słońcem i upałem, wydawały się odmiennym światem w porównaniu z zimną i szarą Anglią.

Sophia odebrała bagaż i przeszła do zatłoczonej hali przylotów.

- *Ciao* - usłyszała znajomy głos.

Obok zmaterializował się Stephen Haviland.

Miał na sobie jasne spodnie i jedwabną koszulkę z krótkimi rękawami. Był opalony i uśmiechnięty. Wyglądał tak niesamowicie przystojnie...

Zaskoczona Sophia gapiała się na niego bez słowa.

- Wyglądasz na zdziwioną, że mnie widzisz - powiedział żartem.

- Nie mówiłeś, że to ty po mnie wyjdiesz. - Zaczerwieniła się.

- Nie byłem pewien, czy zdążę.

Wziął jedną ręką jej walizkę, a drugą objął ją w pasie i poprowadził do wyjścia.

- Mam nadzieję, że miałaś przyjemną podróż.

- Taaak, dziękuję - wydukała.

Czuła miły zapach jego wody po goleniu. Bliskość Stephena sprawiała, że nie mogła się skupić. Poprowadził ją do białego samochodu z otwartym dachem i włożył walizkę do bagażnika.

Gdy prowadził, ukradkiem spoglądała na jego twarz. W pewnym momencie

odwrócił głowę i popatrzył na nią. Wydało jej się, że jego szare oczy przez moment stały się zielone.

- Zbliżamy się do Mestre - powiedział po chwili. - Wenecja jest na drugim końcu grobli.

Sophia rozglądała się wokół i nie mogła uwierzyć, że marzenie o zobaczeniu Wenecji ziści się już za chwilę.

- Po raz pierwszy powinnaś zobaczyć miasto z laguny - stwierdził Stephen, jakby czytał w jej myślach. - To najpiękniejszy widok. Niestety na razie musimy skorzystać z samochodu.

- Sądziłam, że w Wenecji nie ma aut.

- Bo nie ma. Piazzale Roma to najdalsze miejsce, gdzie możemy dojechać. Potem przesiądziemy się na łódź. Za minutę będziemy już na grobli - jej nazwa to Ponte della Liberta.

- Ile ma kilometrów?

- Około trzech i pół kilometra długości. Oprócz drogi są tu też tory kolejowe.

Wjechali na jeden z zatłoczonych pasów dla samochodów. Szyny biegły po lewej stronie.

- Dobrze znasz Wenecję? - zapytała Sophia.

- Bardzo dobrze. Urodziłem się w Palazzo del Fortuna i mieszkałem tu przez siedem lat. Zawsze kochałem Wenecję i chciałem tu zostać, ale kiedy w Stanach zmarł mój dziadek i zostawił ojcu cały majątek, rodzice zdecydowali się na wyjazd do Ameryki. A to jest właśnie Piazzale Roma - zmienił temat. - Po prawej główny parking dla samochodów.

Zatrzymał się przed budynkiem, który wyglądał na blok prywatnych garaży. Pomógł Sophii wyjść i wyjął jej walizkę z bagażnika.

Obok pojawił się parkingowy w uniformie. Skłonił się uprzejmie. Stephen dał mu kluczyki.

Potem poprowadził Sophię na drugą stronę zatłoczonego placu, pełnego ludzi i autobusów. Na obrzeżach znajdowało się kilka stoisk, gdzie sprzedawano pizzę, kanapki, zimne drinki i kawałki pokrojonych arbuźów.

Zeszli po schodkach na kamienną platformę, *fundamenta*. Teraz przed ich oczami roztaczał się widok zapierający dech w piersiach. Canale Grande i Wenecja jak ze snów.

Kanał był dużo szerszy, niż Sophia sobie wyobrażała. Na lśniącej błękitnej wodzie unosiło się mnóstwo łodzi różnych kształtów i rozmiarów - od czarnych

gondoli i różnych motorówek do dużych zatłoczonych *vaporetto*. Wzdłuż *fonda* znajdowały się drewniane przystanki dla wodnych autobusów i kolorowe stoiska z jedzeniem, owocami, lodami, szklanymi wyrobami i wszelkiego typu pamiątkami dla turystów. Sophia była oczarowana. Oto Wenecja i jej niepowtarzalna atmosfera...

Sophia uniosła twarz i zorientowała się, że Stephen ją obserwuje. Kiwnął głową, jakby zaakceptował jej odczucia. W milczeniu, żeby czar nie przysł, zeszli po kamiennych schodkach do jednej z małych motorówek.

Stephen umieścił tam bagaż i pomógł wejść Sophii. Potem odcumował łódkę, włączył motor i ruszyli.

Po chwili wskazał wielki, stosunkowo nowoczesny budynek.

- To dworzec Santa Lucia. Wielu turystów dociera tu pociągiem.

Po chwili przepłynęli pod jedynym kamiennym mostem w zasięgu wzroku.

- Zawsze myślałam, że na kanałach jest mnóstwo mostów - zauważyła.

- Tak, są ich setki. Ale na Canale Grande tylko trzy, w tym Rialto.

Sophia podziwiała fasady pięknych starych budynków, rzeźbione marmurowe ozdoby pałaców i wspaniałych kościołów. Oboje rodzice znali to niezwykle miasto, a ona ogląda je dopiero teraz.

Wszystko było dziwne i trochę egzotyczne, ale czuła się tu jak w domu, jakby była na swoim miejscu.

- Jak daleko jest do hotelu? - zapytała.

- Niedaleko, ale mam nadzieję, że może jeszcze zmienisz zdanie.

- Już zamówiłam pokój. Trochę za późno na zmianę.

Stephen posłał jej lekki uśmiech.

- Byłaby to dla mnie przyjemność, gdybyś zechciała zatrzymać się w Ca' Fortuna.

- Dziękuję, ale wolę hotel. - Przypomniała sobie markizę.

- Dobrze. Oto i on. Tre Pozzi.

W recepcji okazało się, że nie ma rezerwacji na jej nazwisko. I nikt nie wiedział, jak to się mogło stać. Nie było żadnych wolnych miejsc. Zirytowana Sophia opuściła hotel.

- Jeśli nadal nie chcesz zamieszkać w Ca' Fortuna - zaczął Stephen - pojedźmy do Biura Turystycznego, może znajdą ci jakiś pokój. Albo do Ca' d'Orsini. Do domu Giny

- wyjaśnił, widząc jej zdziwione spojrzenie. - Na pewno chętnie cię przyjmie.

- Sądziłam, że markiza mieszka w Ca' Fortuna...

- To był jej dom, zanim poślubiła markiza d'Orsini. Czy nadal masz coś

przeciwko, żeby się tam zatrzymać? - zapytał z lekką ironią. Szare oczy znowu wydały jej się zielone. - Pałac jest moją własnością i ja decyduję, kogo zapraszam.

Sophia wzięła głęboki oddech.

- Dobrze. W takim razie przyjmuję zaproszenie.

- Znakomicie, chociaż długo trwało, żeby wydobyć z ciebie prawidłową odpowiedź. - Lekko pocałował ją w usta, zanim usiadł za kierownicą motorówki.

## ***ROZDZIAŁ CZWARTY***

Podczas gdy przepływali przez kolejne wąskie kanały, Sophia próbowała uporządkować skłębione myśli i emocje. Była ze Stephenem dopiero od paru godzin, a już czuła się jak przepuszczona przez wyżymaczkę. Do tego zrobiła z siebie kompletną idiotkę - raz z tą nieistniejącą rezerwacją w hotelu, a drugi raz - gdy zaakceptowała jego zaproszenie. Pokazała, że jest słaba i łatwo zmienia zdanie.

A co znaczył ten pocałunek? Czy ona mu się naprawdę podoba, czy to tylko niewinny flirt?

Trudno powiedzieć.

Postanowiła się tym teraz nie przejmować i cieszyć pięknem Wenecji. Zaczęła znowu oglądać domy po obu stronach kanału.

- Tak lepiej - skomentował Stephen, wyraźnie nie spuszczać z niej oka. - Byłaś przed chwilą taka najeżona... Czyżby mój pocałunek tak cię zdenerwował?

- Ależ skąd.

- W takim razie co?

- Uświadomiłam sobie, jak się zachowałam... wiesz, jeśli chodzi o przyjęcie zaproszenia do pałacu...

- Niezwykłe zjawisko! - Uniósł brwi. - Szczera kobieta.

- Dlaczego kobiety miałyby być mniej szczerze od mężczyzn?

- Większość kobiet, które znam, wcale nie jest ani szczerza, ani uczciwa.

- W takim razie musiałeś być związany z niewłaściwymi - wypaliła i zaraz pożałowała tych słów.

- Matka też mnie ostrzegała! - Skrzywił się błazeńsko.

Sophia nie mogła powstrzymać śmiechu.

- Niezwykłe zjawisko! Mężczyzna z poczuciem humoru.

Motorówka zwolniła.

- Zbliżamy się do Palazzo del Fortuna. - Stephen wskazał zdobiony gotycki

fronton na wprost, przy rozwidleniu Canale Grande. Węższy kanał biegł w prawo wzdłuż ściany pałacu.

Fasadę budynku zdobiły balkony, lekkie niczym z koronki, i delikatne marmurowe łuki łączące kolumny. Był to jeden z najpiękniejszych budynków, jakie Sophia tu widziała.

- Podoba ci się?

- Jest przepiękny - odparła z zachwytem. - Ile ma lat?

Stephen wyglądał na bardzo zadowolonego.

- Został wybudowany dla Giovanniego Fortuny - powiedział z nutą dumy w głosie - na początku piętnastego wieku. Budowniczości pochodzili z Mediolanu. Potem w ciągu wieków robiono różne przebudowy, ale fasada pozostała oryginalna. Jedna z najwspanialszych w Wenecji. Główne wejście jest szczególnie piękne...

Kilka marmurowych stopni prowadziło od kamiennego pomostu do drzwi, które zdobił misterny i bogaty marmurowy portal.

- Niestety jest rzadko używane, ale w przyszłości planuję częściej je otwierać.

Nad drzwiami znajdował się herb rodowy. Złoty lew i biały jednorożec na niebieskim polu. Nad nimi jedno słowo: Fortuna.

Sophia miała dziwne uczucie, że już to gdzieś widziała. Przeszedł ją dreszcz podniecenia.

- Coś nie tak? - spytał Stephen.

- Nie... Nie... Tylko... ten herb wydaje mi się dziwnie znajomy... Myślę, że już go widziałam, że go znam.

- Mogłaś go widzieć na fotografiach albo na obrazach. Albo w czasopiśmie. Jedno z nich przed laty opisywało pałac.

- Możliwe.

Jednak to, co czuła, było raczej jak... wspomnienie. Widziała ten herb z łódki, w podobnych okolicznościach, co znaczyłoby, że już tu kiedyś była.

Ale przecież nie mogła tu być.

Stephen włączył silnik i skierowali się do bocznego kanału.

W ścianie pałacu, około półtora metra nad poziomem wody, znajdowały się wysokie okna zdobione łukami, a na piętrze cofnięty balkon z cienkimi kolumnkami.

- Trochę dalej, tam gdzie widać *fondamenta*, jest południowe wejście. - Wskazał Stephen dłonią.

- Ile tu jest wejść? - zapytała, gdy wpłynęli pomiędzy otwarte drewniane wrota do przystani. Światło zachodzącego słońca już tu nie sięgało, woda miała kolor czarnej

kawy.

- Pięć, jeśli liczyć drzwi do ogrodu. Jednak zwykle przemieszczamy się łodziami, więc to jest najczęściej używane.

Zacumował motorówkę i wyskoczył na kamienny pomost. Wyciągnął rękę, by pomóc Sophii. Gdy tylko dotknęła jego dłoni, jej serce momentalnie przyspieszyło.

Z kamiennego pomostu kilka stopni prowadziło do czarnych drzwi z dużym zdobionym zamkiem i staroświeckim żelaznym dzwonkiem.

Z prawej strony znajdowały się mniejsze drzwi, z nowszym zamkiem typu Yale. Otworzyły się, gdy podeszli.

W drzwiach pojawił się niski korpulentny mężczyzna w czarnych spodniach i koszulce. Miał gęste siwe włosy i grube czarne brwi. Sophia przypomniała sobie opis pani Caldwell.

- *Ciao*, Roberto - przywitał się Stephen. - To *signorina* Jordan.

W odpowiedzi na uśmiech Sophii Roberto skłonił się z uszanowaniem.

Stephen wprowadził ją do dużej sali, gdzie znajdował się wielki kamienny kominek. Stał tam długi stół z ławami i ciężkie stare kredensy.

- Jak się domyślasz, jesteśmy teraz w skrzydle dla służby - powiedział. - Kiedyś żyła tu mała armia domowników, ale ostatnio świta liczy nie więcej niż dwanaście osób.

Przeszli do następnego pomieszczenia. Z jednej strony znajdowały się kamienne schody na wyższe piętro, a z drugiej - kilka korytarzy pod łukami, biegnących w różne strony.

- Korytarz, którym teraz pójdziemy, prowadzi do południowego wejścia - wyjaśnił. - Tam znajduje się również główny hol.

Hol był wspaniały. Bogato zdobiony marmurowy portal wspierał się na kolumnach. Kryształowe żyrandole wisiały na złoconych łańcuchach. Wielkie lustra na ścianach odbijały światło, optycznie powiększając i rozjaśniając pomieszczenie. Na środku znajdowały się schody wiodące na piętro.

Kolejny raz Sophia miała wrażenie, że już to widziała. Że już tu wcześniej była.

- A to sala balowa.

- Nie spodziewałam się czegoś tak fantastycznego - powiedziała zachwycona.

- Powinnaś ją zobaczyć wieczorem, przed balem.

- A ty ją widziałeś podczas balu? - zapytała, gdy wrócili do holu.

- Tak, dwa razy. Pierwszy raz jako dziecko, gdy cichaczem wyszedłem z pokoju, żeby popatrzeć na gości, a drugi raz gdy miałem dwadzieścia jeden lat i ciocia Fran



urządziła bal z okazji moich urodzin. Pałac był pełen światła, kolorów, muzyki i ruchu. Wszystko jakby ożyło. Można było sobie łatwo wyobrazić, jak wyglądało życie arystokratów weneckich w czasach ich świetności.

- To musiało być niezwykle. Chciałabym coś takiego przeżyć.

- Możesz. Na początku marca wypada rocznica urodzin ciotki. Będzie wtedy trwał karnawał, więc chcę urządzić bal dla uczczenia pamięci cioci Fran.

- Kiedy kończy się karnawał?

- Zwykle trwa do Wielkiego Postu. - Czy Stephen myśli, że ona zostanie w Wenecji aż do Wielkiego Postu? - Karnawał w Wenecji trwa około dziesięciu dni, każdy wkłada kostium i maskę. Kulminacja przypada na ostatni wtorek przed Popielcem. Po Canale Grande płynie procesja oświetlonych łodzi, w porcie odbywa się wspaniały pokaz fajerwerków, wszędzie są bale maskowe... - Przerwał, gdy w holu pojawiła się kobieta.

Była drobna i schludnie ubrana, miała duże czarne oczy i gęste czarno-siwe włosy spięte w kok.

- Sophio, przedstawiam ci gospodynię, Rosę Ponti - powiedział Stephen po włosku. - Ona i jej mąż Roberto pracują w pałacu już ponad trzydzieści lat.

Rosa skłoniła się i powiedziała:

- Witamy w Ca' Fortuna, *signorina* Jordan. Pani pokój jest już przygotowany. Czy mam poprowadzić?

- Dziękujemy, Roso - odezwał się Stephen. - Chciałbym najpierw oprowadzić Sophię po pałacu.

- Jak pan sobie życzy. Czy zjedzą państwo kolację o zwykłej porze?

- Może wolałabyś zjeść coś na mieście? - zwrócił się do Sophii.

Zawahała się.

- Ponieważ to twój pierwszy wieczór w Wenecji, warto, żebyś zobaczyła ją nocą - zdecydował.

- Dobrze, jeśli to nie zakłóci zwyczajów domowych.

- Uprzedź, proszę, Angela, że dzisiaj będziemy jeść w restauracji - zwrócił się do Rosy.

- Dobrze, *signore* Stefano.

- Angelo to syn Rosy - wyjaśnił Sophii. - Chłopak jest długi jak makaron. To najlepszy kucharz w Wenecji.

Rosa wyglądała na uradowaną komplementem.

- Gdyby pani potrzebowała pomocy przy rozpakowywaniu, proszę mnie

powiadomić, przyśle pokojówkę - powiedziała do Sophii.

- *Grazie*, Rosa - podziękowała Sophia z uśmiechem.

Rosa odeszła szybkim krokiem. Stephen objął Sophię w talii.

- Masz ochotę na krótki spacer po pałacu?

Kiwnęła głową.

Gdy wspinali się na piętro po krętych schodach, zapytała o to, co od paru minut nie dawało jej spokoju.

- Skąd gospodyni wiedziała, że zatrzymam się w *palazzo*?

Jego wahanie było niemal niedostrzegalne.

- Prosiłem ją, żeby przygotowała pokój na wszelki wypadek. - I żeby nie dać jej czasu na dalsze drażnienie sprawy, zmienił temat: - To oryginalne schody, jedne z najwspanialszych, są cały czas używane. Tylko w Ca' d'Oro były piękniejsze, ale zostały zniszczone w dziewiętnastym wieku. Rosyjski książę Aleksander Trubieckoj podarował pałac słynnej primabalerinie Marii Taglioni. Kazała usunąć portal i większość marmurowych zdobień. Na szczęście rodzina Fortuna, mieszkająca tu od wieków, była świadoma, co posiada, i wprowadzała niewiele zmian. A to najpiękniejsze pokoje...

Szli szerokim korytarzem. Stephen otwierał drzwi do pięknych komnat o wysokich sufitach. W każdym stały cenne meble.

- Tu na lewo jest galeria, gdzie wiszą portrety rodzinne, ale może obrazy zostawimy sobie na jutro.

Przeszli pod ozdobnym łukiem do westybulu, w którym znajdowało się kilkoro drzwi prowadzących w różne strony.

- Rodzina zajmowała tę część pałacu, dopóki wuj Paolo był zdrowy. Gdy nie mógł już chodzić po schodach, część mieszkalną przeniesiono na parter. Trochę szkoda... Salon na tym piętrze jest może zbyt sztywny, ale bardzo piękny. Nowa aranżacja pokoi, bardziej nowoczesna i praktyczna, spodobała się wszystkim, a zwłaszcza wujowi.

- Czy wuj jeszcze żyje?

- Nie, zmarł półtora roku przed ciocią Fran. - Zerknął na zegarek. - Musimy się pospieszyć. Tę część pałacu obejrzymy jutro, razem z galerią.

Poprowadził ją teraz korytarzem, z którego kolejne schody wiodły do przestronnego, wyłożonego drewnem holu. Minęli go i Stephen otworzył wielkie rzeźbione drzwi.

- Rodzinne zacisze jest teraz tutaj. Jak widzisz, wszystko urządzono tak, żeby

można wjechać wózkiem inwalidzkim na dziedziniec i do ogrodu.

W tej części znajdowały się dwie połączone ze sobą sypialnie, gabinet, jadalnia, pokój dzienny i salon z oknami aż do podłogi. Salon był szczególnie obszernym i przyjemnym pomieszczeniem. Miał idealne proporcje. Stały tu piękne meble obite skórą, które wyglądały na bardzo wygodne. Na podłodze leżał dywan ze wzorem w róże, a przed kominkiem - owcza skóra. Przy ścianach stały szafy z książkami. Rodzinne fotografie i kwiaty w wazonach sprawiały, że pokój wydawał się przyjazny i pełen życia.

Stephen zauważył, że Sophia patrzy na kominek.

- Oczywiście mamy centralne ogrzewanie, ale jeśli o mnie chodzi, to zimą ogień w kominku zawsze musi się palić.

- Nie mogę uwierzyć, że w Wenecji bywa zimno.

- Kiedy nadchodzą mgły, jest czasem przenikliwie zimno i bardzo wilgotno. A teraz chodź, pokażę ci twój pokój.

Poprowadził ją do kolejnego przestronnego pomieszczenia, z grubym wełnianym dywanem i dużym biurkiem. Tutaj też znajdował się kominek, a przez oszklone drzwi widać było dziedziniec. Obok - w sypialni - stało łóżko z ciemnoniebieskim baldachimem wspartym na czterech słupkach. W jednym rogu stała złoto-czarna skrzynia pokryta laką, a w drugim - orientalny parawan.

Sophia zauważyła, że jej walizka już tu jest.

- Na pewno chcesz się odświeżyć i przebrać przed wyjściem. Czy wystarczy kwadrans?

- Tak, to mnóstwo czasu.

Gdy tylko wyszedł, pospieszyła pod prysznic.

W biegu zauważyła, że łazienkę wyłożono kafelkami w kolorze brzoskwini.

Sophia była bardzo podekscytowana. Ale miała szczęście! Zamiast bezosobowego pokoju hotelowego trafił jej się ten przepiękny stylowy pokój w *palazzo*. I do tego obok pokoju Stephena!

Szybko wytarła się i rozczesała długie włosy. Postanowiła ich nie spinać. Włożyła srebrnooliwkową sukienkę i zrobiła delikatny makijaż. Wyjęła szkatułkę z biżuterią, a z niej parę kolczyków-perełek. Dostała je w prezencie od ojca z okazji dwudziestych pierwszych urodzin. Zakładała je właśnie, gdy usłyszała pukanie.

Włożyła szkatułkę z powrotem do walizki, chwyciła torebkę i ruszyła do drzwi.

Gdy go zobaczyła, zaschło jej w ustach.

Był ogolony i miał jeszcze wilgotne włosy, które lekko się kręciły. W eleganckiej

marynarce i czarnym krawacie wyglądał szalenie atrakcyjnie.

- Czy jesteś gotowa?

Tylko kiwnęła głową.

Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów i uśmiechnął się.

- Cudownie wyglądasz. Podoba mi się, kiedy masz rozpuszczone włosy...

Gdy mówił, ujął palcami pasmo jej ciemnych jedwabistych włosów i owinał sobie wokół palca. Sophia zaczerwieniła się, Stephen puścił kosmyk.

- Zamówić taksówkę wodną czy wolisz się przejść? - zapytał.

- Wolę spacer.

Jego uśmiech potwierdził dobry wybór.

- W takim razie chodźmy.

Poprowadził ją przez salon i otworzył wysokie oszklone drzwi na dziedziniec.

Wieczór był uroczy, spokojny i ciepły. Cienki sierp księżycy wisiał we wschodniej części nieba. W zachodniej - róż mieszał się ze złotem i ultramaryną. Powietrze było miękkie i balsamiczne.

Na środku dziedzińca znajdowała się stara kamienna studnia przykryta metalową konstrukcją. W altanie, którą tworzyły pnącza winorośli i kwitnących kwiatów, stały stół, kilka krzeseł i leżanki. Na pewno bardzo tu przyjemnie, gdy na dworze upał, pomyślała Sophia.

Dalej, za wysokim murem, znajdował się ogród. Zielony, ocieniony drzewami, pełen kwitnących roślin. Omszałe ścieżki prowadziły do dyskretnych altan i ukrytych pluskających fontann.

Gdy tak spacerowali pod drzewami z baldachimem zielonych liści, Stephen wziął dłoń Sophii i położył na swoim ramieniu.

Jej serce znowu przyspieszyło. Nagle zauważyła coś interesującego. Po lewej stronie z gąszczu połyskujących liści wznosiły się dwie potrzaskane marmurowe kolumny owinięte bluszczem. Zatrzymała się, żeby je obejrzeć.

- Ca' Fortuna został wybudowany na miejscu pałacu z czasów Bizancjum. Te kolumny były częścią oryginalnego portalu.

- Coś niesamowitego! - wykrzyknęła.

- Jeśli chcesz, pewnego dnia pokażę ci pozostałości mozaiki podłogowej, która zachowała się we wschodnim skrzydle.

- O, tak, proszę! Gdybym nie studiowała sztuki, na pewno wybrałabym archeologię. - Sophia była rozpromieniona.

Stephen uśmiechnął się, widząc jej entuzjizm.

- W takim razie mamy wiele wspólnego. Gdybym miał wolny wybór, studiowałbym historię, nauki humanistyczne i archeologię. Niestety, musiałem przejąć i poprowadzić rodzinne imperium, które stworzyli dziadek i ojciec, więc wybrałem psychologię, statystykę i ekonomię...

Do tej chwili Sophia była pewna, że Stephen musi być wielkim szczęściarzem. Jednak teraz po raz pierwszy uświadomiła sobie, że takie bogate dziedzictwo zobowiązuje i nakłada różne ciężary i ograniczenia.

Tak jakby słyszał jej myśli, dodał:

- W każdym razie jestem jednym z najszczęśliwszych ludzi na świecie.

Powinienem być wdzięczny losowi.

Gdy doszli do końca ogrodu, wyjął z kieszeni pęk kluczy. Wybrał jeden i otworzył furtkę w wysokim murze.

Wyszli na cichy plac, gdzie stał stary kościół z wielkimi czarnymi drzwiami. Po prawej stronie biegła wąska uliczka, znikając między wysokimi budynkami. Po lewej znajdował się kanał spięty metalowym mostem.

- Zanim zdecydujemy, którądy iść, muszę wiedzieć, czy masz jakieś szczególne życzenia.

Sophia nie namyślała się wcale.

- Chciałabym zobaczyć plac Świętego Marka.

- Tak przypuszczałem. Możemy zacząć wieczór aperitifem u Floriana. Niedaleko stamtąd jest Rizanti - jedna z moich ulubionych restauracji. To miłe miejsce, a jedzenie, zwłaszcza owoce morza, po prostu nie z tego świata.

- Brzmi zachęcająco.

Uśmiechnął się i ponownie wziął jej dłoń.

- Najciekawsza droga prowadzi przez most. Gdy zbliżyli się do kanału, Sophia zobaczyła stopnie wiodące do wody.

- To Rio Castagnio. Kiedy byłem mały, dostałem wiele kar za to, że wymykałem się, by tu popływać.

Gdy szli, trzymając się za ręce, Stephen opowiedział jej kilka zabawnych historii ze swego dzieciństwa.

Miękki, aksamitny zmierzch haftowany gwiazdami powoli przykrywał miasto. Wszędzie zapalały się światła, połyskując i mrugając niczym klejnoty.

Wenecja nocą była miejscem magicznym, pełnym życia i ruchu. Sophia nie kryła zachwyty.

Restauracje ze stolikami na powietrzu, na każdym płonące świece lub lampki.

Kosze pełne kwiatów. Rzędy świecących latarni. Ciemne wody kanałów z refleksami falującego światła. Muzyka akordeonu. Plusk wiosł. Szepty i śmiechy. Gondolier śpiewający serenadę. Słony posmak morza. Zapach jedzenia i wina. Perfum i kawy.

Na placu Świętego Marka spacerowało mnóstwo ludzi. Arkady były rozświetlone. Stoliki zajęte.

Po drugiej stronie placu orkiestra grała Gershwina, a bliżej - z kawiarni - dobiegały dźwięki „Bolera” Ravela.

Plac był jeszcze piękniejszy, niż oczekiwała. Wspaniała Bazylika Świętego Marka, przepiękna architektura budynków będąca połączeniem wpływów zachodnich i orientalnych, słynna wieża zegarowa i dzwonnica.

Przez kilka minut stała w milczeniu, chłonąc widok i atmosferę.

- I co o tym myślisz? - spytał Stephen.

Sophia popatrzyła na niego rozjaśnionym wzrokiem.

- To naprawdę jeden z najpiękniejszych placów na świecie - powiedziała.

- I jeden z najciekawszych - dodał i poprowadził ją do kawiarni Florian. Usiedli przy stoliku. - Przed wiekami odbywały się tu polowania na świnię, walki z bykiem, procesje, karnawał, wszelkie uroczystości. I zawsze było to serce miasta. - Przerwał, by zapytać: - Czego się napijesz? Może dzin z tonikiem?

Pokręciła głową.

- Poproszę kieliszek białego wina.

- Kieliszek *verdicchio* i wodę sodową.

Kelner szybko przyniósł drinki na srebrnej tacy.

- Spróbuj, czy ci smakuje. Jeśli nie, zamówimy coś innego - powiedział Stephen.

Upiła łyk.

- Wspaniale. Sam spróbuj. - Podała mu smukły kieliszek.

Ich oczy się spotkały na kilka sekund.

- Tak... Wspaniale - powiedział w taki sposób, że Sophia znowu się zaczerwieniła.

Roześmiał się.

Starła się na niego nie patrząc. Zbyt łatwo wprawiał ją w zakłopotanie.

Powoli sączyła wino, słuchała muzyki i obserwowała ruch na placu. Wieczorne *passaggiata*.

Młode pary spacerowały w objęciach lub trzymając się za ręce. Rodziny z dziećmi rozmawiały hałaśliwie. Dwóch spacerujących starszych panów, dobrze ubranych, wyglądało na weneckich patrycjuszów. Turyści w krótkich spodenkach ściskali w



dłoniach aparaty i kamery.

- Nie dziwię się, że kochasz to miasto - odezwała się po chwili. - Musiało być ciężko je opuścić...

- Cieszę się, że wróciłem. Chcesz jeszcze wina czy masz już ochotę coś zjeść?

- Mam ochotę na kolację.

Stephen wstał i podał jej ramię.

- W takim razie chodźmy. Carlo już na nas czeka.

## **ROZDZIAŁ PIĄTY**

Opuścili plac pod łukiem Torre dell'Orologio i po chwili skręcili w uliczkę wiodącą na mały plac. Po drugiej stronie *campo* był kanał. Tam znajdował się taras restauracji Rizanti, prawie wszystkie stoliki były zajęte.

Przy drzwiach przywitał ich mężczyzna w wieczorowym stroju.

- Stefano! Miło cię widzieć.

- I ciebie, Carlo. - Stephen objął Sophie. - *Cara mia*, przedstawiam ci mojego starego przyjaciela, Carla Verdiego. A to Sophia Jordan, wyjątkowa osoba, o której ci mówiłem...

Sophia uśmiechnęła się uprzejmie. Carlo uklonił się i pocałował ją w rękę.

- Jestem zaszczycony, że mogę panią poznać. Ośmielę się powiedzieć, że jest pani jeszcze piękniejsza, niż Stefano opisywał. - Sophia zarumieniła się, a Carlo zwrócił się do Stephena: - Moje gratulacje. Jesteś szczęściarzem, że znalazłeś taką kobietę... Dzisiaj kolacja na koszt firmy. Mam tu dla was stół, ale jest sporo ludzi, więc może wolelibyście usiąść na dziedzińcu?

W restauracji było wiele uroczych małych sal z lustrami i freskami na ścianach. W każdej znajdowały się dwa lub trzy stoliki, w większości zajęte przez elegancko ubranych gości.

Ale wieczór był taki cudowny...

- Tak, wolimy na powietrzu - zdecydowała Sophia.

Stephen kiwnął głową z aprobatą. Kolejny raz mieli podobne zdanie.

- Czy lubi pani owoce morza? - zapytał Carlo.

- Uwielbiam.

- Znakomicie! W takim razie musi pani wpadać tu częściej. Dzisiaj polecam specjalne menu na wieczór. Kucharz przeszedł samego siebie! - Carlo przywołał kelnera i polecił mu zaprowadzić gości do stolika.

Usiedli przy stoliku pod baldachimem na dziedzińcu oświetlonym latarniami.

Kelner na chwilę zniknął, po czym wrócił z butelką szampana w wiaderku pełnym lodu i dwoma kieliszkami.

- Z pozdrowieniami od *signore* Verdiego. - Otworzył butelkę, korek wystrzelił. Nappełnił kieliszki bąbelkującym winem.

- *Signore* Verdi chyba myśli, że to jakaś wyjątkowa okazja - zauważyła Sophia. Stephen nie odpowiedział, więc zapytała: - Co mu powiedziałeś, że tak uważa...?

- Wspomniałem, że to twoja pierwsza wizyta w Wenecji - odparł gładko.

Zmarszczyła czoło.

- Skoro tak, to dlaczego ci gratulował?

- Powiedziałem mu to, co tobie w galerii - że znalazłem kobietę, której szukałem.

Sophia miała neodparte wrażenie, że chociaż te słowa były prawdziwe, kryło się za nimi coś jeszcze, jakieś drugie dno.

Ale dlaczego chciał cokolwiek ukrywać?

Zanim miała czas, by się nad tym zastanowić, Stephen uniósł kieliszek.

- Za nas... Za owocną współpracę.

Kelner przyniósł pierwsze danie. Był to rybny mus, tak lekki i delikatny, że Sophia mogła się tylko delektować, nie zwracając sobie głowy pytaniami.

Drugie danie - makaron z krewetkami w sosie szparagowym - było równie wyśmienite. A tiramisu - poza wszelką konkurencją.

Gdy jedli, prawie nie rozmawiali. Dopiero przy kawie Stephen przerwał ciszę:

- Mam nadzieję, że kolacja spełniła twoje oczekiwania?

- Wszystko było przepyszne - powiedziała z zachwytem. - Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek jadła równie smaczne potrawy.

- Ja również - przyznał z uśmiechem. - Oczywiście towarzystwo też jest ważne. Moim zdaniem, dobrym jedzeniem trzeba się delektować. To wielka przyjemność jeść z kobietą, która nie musi mówić przez cały czas.

Sophia była zadowolona, że nie zinterpretował tego inaczej i nie uznał jej za nudną.

- A, pomijając jedzenie, co myślisz o tej restauracji?

Uśmiechnęła się do niego.

- Jest rzeczywiście wyjątkowa. Nie dziwię się, że to jedna z twoich ulubionych.

- Tak, to rodzinna firma. Pierwszy raz przyprowadziła mnie tu ciotka, kiedy byłem mały. Ojciec Carla dał mi do spróbowania łyk *chianti*.

- Smakowało?

- Udawałem, że tak. Ale ciocia Fran odgadła, co naprawdę myślę, i gdy tylko ojciec Carla odszedł, dała mi cukierka. Wtedy postanowiłem, że nie będę pił wina, gdy dorosnę.

- Jaka była twoja ciotka? Wydaje mi się, że miła i interesująca...

Stephen zastanowił się przez chwilę.

- Serdeczna, spokojna, bardzo uczciwa, przedsiębiorcza - kiedy trzeba, romantyczka i marzycielka. Delikatna i współczująca - ale nie słaba - kobieta, która dawała więcej, niż dostawała, i bardziej kochała, niż nienawidziła. Interesowała się literaturą, sztuką i muzyką. Bardzo dobrze grała na fortepianie. Gdy ją widywałem, zawsze była uśmiechnięta i pogodna, ale unosił się wokół niej jakiś smutek. Jakby życie nie dało jej tego, czego najbardziej pragnęła.

Sophia była oczarowana tym opisem.

- Lubieś ją?

- Bardzo.

- Czy ciocia i wujek mieli dzieci?

Kiwnął głową.

- Gina jest ich córką.

- O... - Sophia nie kryła zaskoczenia. - Markiza jest twoją kuzynką?

- Tak.

- Na pewno bawiliście się razem jako dzieci.

- Raczej nie. Była między nami różnica wieku, więc Gina najpierw mnie nie zauważała, a potem unikała. Dopiero później, kiedy przyjeżdżałem do Wenecji, spędzaliśmy wspólnie czas i poznaliśmy się lepiej...

Sophia myślała o tym, co właśnie usłyszała. Skoro Gina była córką właścicieli pałacu, dlaczego go nie odziedziczyła? Może...

- Wiem, co myślisz - powiedział, obserwując jej twarz. - Zastanawiasz się, dlaczego dostałem w spadku ten pałac. I co wywnioskowałaś?

- Przypuszczam, że chcieli... a może tak każe tradycja... żeby dziedziczył męski potomek - wybrnęła.

- To prawda, że wujek Paolo bardzo pragnął mieć syna - odparł. - Gdyby go mieli, może sprawy ułożyłyby się inaczej. Ale to nie jest warunek dziedziczenia. Ciocia Fran otrzymała pałac po swoich rodzicach. Chodziło o to, by dziedzic należał do rodu Fortuna. Widzisz, wujek Paolo był o dziesięć lat starszy od cioci. Był wdowcem, kiedy się poznali, a Gina jest jego córką z pierwszego małżeństwa. Kiedyś był szalenie przystojny i miał w sobie wiele uroku - jeśli się starał. Ale miał także inne, mniej

przyjemne oblicze. Nie było łatwo z nim żyć.

- Czy twoja ciotka i Gina były w dobrych stosunkach?

- Niestety nie. Fran bardzo się starała, ale Gina nie akceptowała drugiego małżeństwa ojca i nie znosiła myśli, że inna kobieta może zająć miejsce jej matki. Była tak nieznośna, że w końcu nawet ojciec miał dość awantur i posłał ją do szkoły z internatem, licząc, że ona się zmieni. Na pozór życie układało się lepiej, ale Gina za wszystko winiła macochę i ciągle pretensje zatruły wszelkie relacje między nimi. W rezultacie Gina była nieszczęśliwym dzieckiem i chociaż byłem wtedy nastolatkiem, pamiętam, że jej współczułem.

Sophia słuchała w skupieniu.

- Czy stosunki między nimi poprawiły się, gdy Gina dorosła?

- Raczej nie. Na szczęście pałac jest duży i żyjąc pod jednym dachem, mogły wzajemnie się unikać. Było parę okazji w roku, kiedy musiały się spotkać. Odnosiły się wtedy do siebie z chłodną uprzejmością. Tylko tyle. Gina miała właściwie oddzielny apartament i spore kieszonkowe, więc ten stan rzeczy jej odpowiadał. Dopóki jej ojciec nie zachorował. Była przyzwyczajona do życia w luksusie i nie miała zamiaru z tego rezygnować. Ale myśl o tym, że jej sytuacja może się zmienić, jeśli coś stanie się z ojcem, bardzo ją zaniepokoiła. Dlatego przyjęła oświadczyzny markiza d'Orsini.

- To znaczy, że wyszła za niego dla pieniędzy? - Sophia nie mogła powstrzymać tonu dezaprobaty w głosie.

Stephen uniósł brwi.

- Czyżbyś to potępiała?

- Przepraszam, nie chciałam...

- Nie masz za co przepraszać - przerwał jej. - Uczciwość jest jak powiew świeżego powietrza. Więc nie akceptujesz małżeństwa dla pieniędzy?

- Nie - odparła stanowczo.

- Dlaczego?

- Bo nie wyobrażam sobie, by ta osoba była szczęśliwa w takim związku.

- Ten przypadek to potwierdza - stwierdził smutno. - Gina mogła wyjść za człowieka, który był w niej zakochany. Zrobiłby dla niej wszystko, ale był młody i mało zasobny. Wiedziała, że jego rodzina nie lubi jej i ma skuteczne sposoby perswazji, gdyby się sprzeciwił i z nią ożenił. On chciał to zrobić, ale Gina bała się życia w biedzie. Więc kiedy zjawił się markiz... o trzydzieści pięć lat od niej starszy... była na tyle głupia, że została jego żoną. Na początku traktował ją jak królową i obsypywał prezentami. Jednak miesiąc miodowy szybko minął i sytuacja się zmieniła.

Jej życie stało się piekłem...

- Przykro mi - odezwała się Sophia łagodnie.

- Masz dobre serce. Większość ludzi powiedziałyby, że Gina dostała to, co chciała. I w końcu miałyby rację. - Zamilkł na chwilę, po czym zaczął opowiadać: - Stary sadysta traktował ją tak, jakby była niewolnicą, a nie żoną. Przez osiem lat musiała znosić wszelkie obelgi, poniżenia i liczne zdrady. Kiedy umarł, nikt jej nie winił, że wreszcie odetchnęła z ulgą. Myślała, że będzie przynajmniej bogatą wdową i właścicielką pałacu, ale i tym razem się przeliczyła. Staruch zostawił jej tylko małą pensyjkę i pozwolenie na mieszkanie w pałacu do końca życia. Gdyby wyszła ponownie za mąż, straci i jedno, i drugie... To oznacza, że potrzebny jej kolejny bogaty mąż - dodał cynicznie.

- Ale po tylu nieszczęściach...

- Myślisz, że to ją czegoś nauczyło? Niektórzy ludzie są oporni na nauki. Może tym razem trafi lepiej. Powiedz mi... - wpatrywał się w nią przenikliwym wzrokiem - skoro nie akceptujesz małżeństwa dla pieniędzy, co jest dla ciebie najważniejsze w związku?

- Miłość - powiedziała Sophia po dłuższej chwili.

- Romantycznie. I szczerze - skomentował.

Sophia wyczuła, że kpi.

- A dla ciebie? Jeśli nie miłość, to co?

Sięgnął po jej dłoń.

- Wierzę, że miłość, połączona z wzajemnym szacunkiem i troską, to najlepsza szansa na szczęście, chociaż nie gwarantuje, że małżeństwo przetrwa. Ciocia Fran też tak myślała, ale tych elementów brakowało w jej związku i był on bardzo daleki od jej marzeń.

Sophia cofnęła dłoń i zaczerwieniła się lekko.

- Więc nie tylko pasierbica przysparzała jej problemów?

- Nie... gdyby miała na głowie tylko to, z łatwością by sobie poradziła. Ale Paolo od początku zaczął zachowywać się arogancko. Pewnego wieczoru był pijany i przyznał się, że ożenił się z nią tylko po to, by dostać pałac i bezcenne Padewskie Perły, które były w rodzinie Fortuna od pokoleń. Ciotka sporządziła więc testament - w razie jej śmierci nie otrzymałby ani jednego, ani drugiego. Zorientował się szybko, że popełnił błąd. Przysięgał, że gadał bzdury, przeproszał, ale Fran nie zmieniła zapisu. Oburzony wyjechał i zabrał Ginę. Wkrótce wrócił, ciekawy, czy zmieniła zdanie. Przekonał się, że nie, więc znowu wyjechał, tym razem - jak twierdził - na dobre.

Rodzina namawiała ciocię Fran, żeby się rozwiodła, ale ona nie uznawała rozwodów. Kiedy nikt się nie spodziewał, że go jeszcze zobaczy, nagle Paolo wrócił po półtora roku i błagał ją o drugą szansę. Wbrew zdaniu rodziny przyjęła go ponownie pod swój dach, wraz z córką. Bardzo się wtedy starał i przez jakiś czas wydawali się szczęśliwi. Paolo chciał mieć dziecko. Prawdopodobnie po to, by odziedziczyło te dwie rzeczy, których tak pragnął - dodał Stephen zimno. - Fran też chciała mieć dziecko, ale gdy nie mogła zajść w ciążę, zaakceptowała ten stan rzeczy. Paolo nie. Oskarżał ją o bezpłodność i wysyłał na badania. Odmawiała, więc sam się przebadał. Okazało się, że to on ma problem i nie może już zostać ojcem. Ten fakt, zamiast poprawić sytuację, tylko ją pogorszył. Paolo zaczął pić, urządzał awantury, niszczył przedmioty. Kilka razy ciocia musiała uciekać z pałacu z Rosą i Robertem. Jednak nadal nie zażądała rozwodu. - Stephen przeczesał włosy dłonią. - Powiedziała kiedyś, że chociaż trudno mi sobie to wyobrazić, dawniej ten pałac zawsze był szczęśliwym miejscem i w przyszłości będzie szczęśliwym domem dla mnie. I tym sposobem, z powodu jej przedwczesnej śmierci, jestem tutaj szybciej, niż sądziłem.

Sophia była zafascynowana jego opowieścią.

- Zamierzasz tu mieszkać na stałe?

- Tak. Do Stanów muszę jeździć od czasu do czasu, ale mam tam człowieka, któremu mogę ufać, i kilku doświadczonych menedżerów. Poza tym istnieją nowoczesne technologie. Mogę zarządzać firmą stąd. Coś się stało?

- Nie... A dlaczego pytasz?

- Przez chwilę miałaś taką minę, jakby coś cię zaniepokoiło.

- Nie, wszystko w porządku. Jestem po prostu trochę zmęczona.

Zerknął na zegarek.

- Jest później, niż myślałem. Miałaś dzisiaj ciężki dzień.

Poprosił kelnera o zamówienie taksówki.

Podczas gdy żegnali się z Carlem, dziękując za wspaniałą kolację, przy brzegu kanału już pojawiła się taksówka wodna.

Zrobiło się chłodniej. Gdy ruszyli, Sophia zadrzała pod wpływem powiewu.

Stephen zdjął marynarkę i okrył jej ramiona. Wstrzymała oddech, czując ciepło jego ciała i zapach męskiej wody toaletowej.

Wzdłuż kanałów spacerowało jeszcze sporo ludzi, ale zamykano już niektóre kawiarenki i restauracje. Po większych kanałach pływały gondole, jednak na mniejszych, które mijali, było pusto.

Na chwilę zatrzymali się na światłach skrzyżowania. Potem ruszyli tak szybko,



że Sophia ledwo mogła pochwycić kształty i cienie. Ścieżki światła latarni na ciemnej wodzie. Przegniłe wrota starej przystani, które wyglądały jak czarne zęby w otwartej paszczy. Świejące oczy przemykającego kota...

Sophia poznała kanał, który biegł wzdłuż pałacu. Wkrótce wpłynęli do oświetlonej przystani.

Gdy taksówka odpłynęła, Stephen odwrócił się do Sophii.

- To wstyd niepokoić służbę o tej porze, więc stój spokojnie, a ja poszukam kluczy. - Podeszedł bardzo blisko i zanurzył rękę w prawej kieszeni marynarki, którą miała na sobie Sophia.

Uniosła ku niemu twarz i wstrzymała oddech.

- Patrzysz na mnie tak, jakbyś prosiła o pocałunek... - powiedział miękko.

- Ale...

Stłumił pocałunkiem dalsze jej słowa. Po kilku sekundach uniósł głowę i bez słowa otworzył kluczem drzwi. Wprowadził ją do środka.

Minęli pokój służby. Echo ich kroków odbijało się od ścian. Skierowali się do skrzydła, gdzie znajdowały się ich pokoje.

Gdy znaleźli się w salonie, Stephen zdjął marynarkę z jej ramion i nic nie mówiąc, znowu wziął Sopię w ramiona.

Czuła, że całe życie czekała na tego mężczyznę. Na tę chwilę. Jej zwykła ostrożność opuściła ją. Stephen całował jej czoło, skronie, powieki i policzki, szyję i ramiona. Sophia zatraciła się w świecie zmysłowych doznań.

Gdy zaczął zsuwać ramiączka jej sukni, otworzyła oczy. Miał na twarzy wyraz satysfakcji i triumfu.

Co ja robię? - pomyślała trzeźwiej. Spotkali się przecież kilka dni temu. Jeśli jest na tyle bezwolna, by iść z nim od razu do łóżka, co on o niej pomyśli?

Czuła, że Stephen zdobył już jej serce, ale nie mogła od razu stracić głowy. Ta myśl podziałała jak zimny prysznic.

Cofnęła się i poprawiła ramiączka sukienki.

- Przepraszam... nie mogę... - bąknęła.

- Dlaczego? Przecież mówiłaś, że nie ma nikogo w twoim życiu.

- Bo nie ma.

- Więc w czym problem?

Problem polegał na tym, że posunęła się za daleko. Kierowała się uczuciem, nie rozsądkiem. Stephen ponownie ją objął i uniósł jej twarz.

- Nie całuj mnie - powiedziała. Jednak pocałował ją delikatnie.

- Dlaczego nie?

- Bo ja tego nie chcę - odparła zdecydowanie.

- Kłamiesz. Właśnie tego chcesz - szepnął. - Nie próbuj mi wmówić, że to oczarowanie nie jest wzajemne... Pragniesz tego samego co ja...

- Stephen... proszę...

- Powiedz mi prawdę - nalegał.

Sophia wzięła głęboki oddech.

- Nie chcę z tobą spać - wypaliła.

- Dlaczego zmieniłaś zdanie?

Zaczerwieniła się.

- Prawie się nie znamy...

- Ja wiem o tobie to, co chciałem wiedzieć - oznajmił. - Czy śpiąc razem, nie poznalibyśmy się lepiej? Przynajmniej w sensie biblijnym?

- Nie chcę z tobą spać - powtórzyła głośniej.

Zacisnął szczęki, ale głos miał nadal spokojny.

- Sophio, powiedz mi dlaczego...

- To dla mnie za szybko - szepnęła.

- Więc jak długo ma trwać, według ciebie, okres próbny dla konkurentów?

- Nigdy nie miałam sznura konkurentów ani kochanków. Nie jestem tego typu kobietą. I nigdy... - Chciała mu to wyjaśnić, ale nagle zrezygnowała. To nie ma sensu. Odwróciła się i poszła do swojego pokoju.

Zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami. Drżała na całym ciele.

Dobrze zrobiła, oczywiście, że tak.

Więc czemu czuła się tak nieszczęśliwa?

Bo chciała być z nim. W jego ramionach.

To był mężczyzna, którego naprawdę kochała. I będzie kochała, nawet jeśli jego zainteresowanie okaże się przelotne. Chciała z nim być i mieć choćby wspomnienia.

Ale już było za późno. Z powodu własnej dumy odrzuciła go i uciekła.

Teraz na pewno będzie ją traktował zimno i z dystansem. Ich kontakty będą tylko służbowe.

Jej pierwszy uroczy dzień w Wenecji mógł skończyć się szczęśliwie - słodkimi marzeniami, oczekiwaniem jutra, nadziejami na przyszłość... Zamiast tego zakończył się gniewem i rozczarowaniem.

Sophia zaczęła płakać.

Wyciągnęła rękę, żeby włączyć światło. Wcisnęła włącznik, ale światło się nie

zapaliło.

Spróbowała ponownie. Nadal nic.

W pokoju było ciemno, ale noc nie taka czarna. Sophia po omacku zdołała dotrzeć do sypialni.

Wcisnęła włącznik, tutaj światło też się nie zapaliło. Przecież w innych częściach pałacu świeciły lampy. Może więc tu przepaliły się żarówki?

Po tym, co się zdarzyło, nie mogła teraz poprosić Stephena o pomoc.

Postanowiła poradzić sobie po ciemku. Otworzyła drzwi do łazienki, gdzie było światło, zmyła makijaż i umyła zęby.

Już miała się położyć, gdy poczuła, że ma w uszach kolczyki. Sięgnęła do walizki po szkatułkę z biżuterią. Ale szkatułki nie było...

I na pewno nie zostawiła ubrań w takim nieporządku.

Ktoś przeszukiwał jej walizkę i ukradł szkatułkę!

Po chwili paniki odetchnęła z ulgą. Szkatułka nie zniknęła, była pod niedbale rzuconymi ubraniami.

Ktokolwiek grzebał w jej rzeczach, musiał się śpieszyć albo został spłoszony, bo zostawił spory bałagan.

Ale kto to mógł być?

To nie złodziej - bo nic nie zginęło.

Wścibska pokojówka? Mało prawdopodobne.

Nowa myśl zaświtała jej w głowie. Ktoś przeszukiwał również jej londyńskie mieszkanie. Czy to możliwe, żeby te dwa zdarzenia były ze sobą powiązane?

Sophia musi więc mieć coś, na czym bardzo zależy intruzowi. Czyżby przyjechał za nią po to aż do Wenecji? To śmieszne i niedorzeczne!

Włożyła kolczyki do szkatułki i weszła do łóża pod baldachimem.

## *ROZDZIAŁ SZÓSTY*

Sophia nie mogła zasnąć. Myśli wirowały jej w głowie. W końcu otworzyła oczy i wpatrywała się w ciemność.

Co to...?

Gdzieś w najdalszym kącie, w pobliżu parawanu, coś się poruszyło. Sophia raczej to wyczuła, niż zobaczyła.

Przeszył ją dreszcz strachu. Usiadła na łóżku.

- Kto tam jest? - zapytała ostrym tonem.

Żadnej odpowiedzi. Tylko cisza.

Oczywiście nikogo tam nie ma. To tylko nerwy. Robi z siebie idiotkę.

Już miała się położyć, gdy uświadomiła sobie wyraźnie, że... słyszy czyjś oddech.

Włosy zjeżyły jej się na karku. Sama starała się nie oddychać. Nasłuchiwała.

Żadnego dźwięku.

Była tak wyczerpana i spięta, że niemal czuła, jak popada w obłąd.

Musi wstać i sprawdzić, kto się tam czai. Inaczej nie zaśnie.

Zacisnęła zęby i opuściła stopy na podłogę. Ruszyła w stronę kąta z parawanem. Zrobiła tylko kilka kroków, gdy jakiś człowiek wyskoczył na nią z ciemności.

Sophia wrzasnęła przeraźliwie.

Napastnik popchnął ją i uderzył tak, że momentalnie znalazła się na podłodze.

Niemal straciła dech. W tym momencie do pokoju wbiegł Stephen.

Przypadł do niej i pomógł jej usiąść.

- Jesteś ranna? - dopytywał się niespokojnie.

Do pokoju wpadało tylko światło z otwartych drzwi za nim. Sophia nie widziała więc, jaki miał wyraz twarzy.

- Nie... nic mi nie jest - wydusiła.

- Na pewno?

- Tak, muszę tylko złapać oddech...

Stephen pomógł jej wstać i posadził ją na najbliższym stojącym fotelu.

- Poczekaj minutę - powiedział i zniknął w mroku.

Gdy wrócił, Sophia pod wpływem szoku trzęsła się jak osika. Stephen wziął ją na rękę, zaniósł do oświetlonego salonu, posadził na kanapie i obłożył poduszkami.

Gdy na nią popatrzył, pomyślał, że nigdy nie widział piękniejszej kobiety. Jej

twarz bez makijażu była taka niewinna i bezbronna, na ramiona opadały w nieładzie jedwabiste ciemne loki, zielone oczy wydawały się ogromne.

- Jestem głupcem - powiedział. - Nie powinienem zostawiać cię samej.

- Nic mi nie jest, naprawdę - zapewniła, ale wargi jej drżały.

Chwycił jej dłoń, była lodowata. Szybko poszedł do swojej sypialni i po chwili wrócił z ciepłym kocem, którym ją owinął.

Z dębowej szafki wyciągnął butelkę brandy i dwa kieliszki. Ustawił je na małym stoliku i napelnił. Jeden podał Sophii.

- Pij powoli - polecił.

Sophia jeszcze drżała i zęby dzwoniły jej o szkło. Po chwili dreszcze ustąpiły.

Stephen wziął w dłoń jej wolną rękę.

- Teraz lepiej. Masz cieplejsze ręce i wracają ci rumieńce - ocenił.

Sophia dopiero teraz zauważyła, że Stephen jest boso i ma na sobie krótki, niebieski męski szlafrok przewiązany paskiem.

Miał zmierzwione i chyba jeszcze mokre włosy, jakby właśnie wyskoczył spod prysznic, gdy krzyczała...

Nagle ktoś zapukał do drzwi. Sophia podskoczyła ze strachu.

- Nie bój się, to tylko Roberto. Ciekawe, co znaleźli.

Stephen poszedł otworzyć i chwilę rozmawiał z Robertem ściszonego głosem.

- *Va bene... Grazie...* Tak, dwóch wystarczy... Nie, nie ma potrzeby. Reszta może wrócić. *Buona notte.*

Wrócił do Sophii i nalał jej jeszcze trochę brandy.

- To lekarstwo - powiedział, uprzedzając jej protesty. Nalał też sobie i usiadł wygodnie. - A teraz opowiedz mi po kolei, co się zdarzyło, gdy poszłaś do pokoju.

- Zorientowałam się, że w moim salonie nie ma światła, podobnie w sypialni... Sądziłam, że to jakaś awaria. Rozebrałam się. Zdjęłam kolczyki i wtedy zauważyłam, że moja szkatułka na biżuterię leży w innym miejscu, pod ubraniami, i ktoś grzebał w mojej walizce.

- Czy coś zginęło?

- Wydaje mi się, że nie...

- Ale na pewno się zaniepokoiłaś.

- Tak, pomyślałam, że może... - zawahała się - jakiś służący...

Stephen zmarszczył brwi.

- I co zrobiłaś potem?

- Położyłam się, ale nie mogłam zasnąć. Zauważyłam jakiś ruch koło parawanu...

a potem usłyszałam coś... jakby człowiek z astmą starał się cicho oddychać.

Postanowiłam sprawdzić, co to jest.

- Dlaczego mnie nie zawołałaś? - zapytał i szybko dodał: - Przepraszam, głupie pytanie. Mów dalej.

- Szłam w stronę parawanu, gdy ta postać wyskoczyła i uderzyła mnie... - Jej głos zaczął drżeć. Stephen przykrył jej dłoń swoją. Ten ciepły gest uspokoił ją. - Widziałam tylko ciemny kształt, ale jestem pewna, że to był mężczyzna. I miał coś czarnego na głowie.

- Masz rację. Gdy biegłem do twojej sypialni, zobaczyłem, jak ucieka na dwór przez oszklone drzwi. Wysłałem służbę, żeby przeszukała ogród. Roberto powiedział, że nie znaleźli włamywacza, ale furtka na *campo* była uchylona. Widocznie intruz bardzo się śpieszył. Znaleźli też zepsutą zgubioną latarkę.

- Czy w Wenecji jest wiele włamań?

- Nie, częściej zdarzają się kradzieże uliczne. W przeciwieństwie do innych miast jest tu bezpiecznie i można spacerować nocą.

- Ale skoro furtka była otwarta, złodziej wykorzystał możliwość...

- Niestety, to włamanie było zaplanowane - przerwał jej. - Roberto zawsze robi wieczorny obchód. Zapewnił mnie, że sprawdził wszystkie bramy i furtkę w ogrodzie - były zamknięte. Nasz włamywacz dostał się do pałacu przez oszklone drzwi w twoim salonie. Pewnie zauważyłaś, że mamy wszędzie system alarmowy. Intruz wszedł tu, a alarm się nie włączył. To znaczy, że miał klucze i do furtki, i do oszklonych drzwi.

- Myślisz, że liczył na to, że pokój będzie pusty?

- Prawdopodobnie. Szukał czegoś, co spodziewał się tam znaleźć. Spłoszyłaś go.

- Ale skoro szukał tam czegoś szczególnego, dlaczego tracił czas na grzebanie w mojej walizce?

- Nie wiem. Jesteś pewna, że nic nie zginęło?

- Mam tu tylko jedną wartościową rzecz - piękną szkatułkę, którą dostałam na urodziny. Dzięki Bogu nie zginęła.

Przez chwilę miała ochotę wspomnieć o dziwnym zdarzeniu w londyńskim mieszkaniu, ale zrezygnowała. Stephen gotów pomyśleć, że Sophia popada w paranoję.

- Nie rozumiem tylko, dlaczego ten ktoś zdecydował się ukryć, a nie uciekł - powiedziała.

- Pewnie czekał, aż zaśniesz. Wtedy mógłby się wymknąć niezauważony. Gdyby zamknął za sobą na klucz oszklone drzwi i furtkę w ogrodzie, nikt by się niczego nie domyślił. Jediną wskazówką mogłyby być te sztuczki ze światłem.



- Jak on to zrobił?

- Po prostu wykręcił żarówki.

Siedzieli w milczeniu przez kilka minut, pogrążeni w myślach.

- Najwyższy czas iść spać - odezwał się Stephen. - Musisz być absolutnie wykończona. - Wstał. - Zaraz wkręcę nowe żarówki.

- Gotowe - oznajmił, gdy wrócił.

Jej duma, opanowanie i zwykły rozsądek straciły na znaczeniu pod wpływem tego, co się wydarzyło. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, był powrót do tamtego pokoju i samotna noc.

Chciała zostać ze Stephenem, znaleźć się w jego ramionach. Jednak po tym, co powiedziała mu wcześniej, nie mogła wyjawiać swoich uczuć. Zdjęła z siebie koc i wstała.

Chciała się odwrócić, ale Stephen złapał ją za nadgarstek.

- Jakiś problem?

- Nie, nic takiego.

- Powiedz mi - nalegał.

- Wspomniałeś, że ten złodziej miał klucze. Czy on może wrócić...?

- Wątpię, ale kilka osób stoi na straży.

- To dobrze - odparła z westchnieniem ulgi.

- Jeśli chcesz, możesz spać u mnie - zaproponował. - Nie musisz wracać do swojej sypialni. To znaczy... możemy się zamienić. Nie miałem na myśli spania razem... - dodał szybko.

- Nie chcę spać sama - szepnęła.

- No to mamy problem. Jestem człowiekiem z krwi i kości i nie mogę obiecać, że gdy znajdziemy się w jednym łóżku, będę trzymał ręce z daleka od ciebie.

- Nie musisz - odparła.

- Jesteś pewna? - spytał po chwili ciszy.

- Tak.

- Czy to nie jest zbyt wysoka cena, żeby czuć się bezpiecznie?

- Nie chcę czuć się bezpiecznie.

- Co się stało z tą ostrożną kobietą, która mówiła, że to za szybko? Że za krótko się znamy?

Popatrzyła mu w oczy.

- Może pod wpływem strachu, ale tamta kobieta przestała istnieć.

Stephen uśmiechnął się, wziął ją na ręce i zaniósł do swojej sypialni.

Postawił ją przy szerokim łóżku pod baldachimem na czterech kolumnkach.

- Pozwól mi na ciebie popatrzeć - poprosił.

Stała w kręgu złotego światła nocnej lampki. Stephen patrzył na nią z zachwytem. Była taka piękna...

Zsunął z ramion jej satynową koszulkę i położył Sopię na łóżku. Usiadł obok.

Dotykał jej, sunąc dłonią od ramion do stóp. Sophia czuła niemal każdy nerw swego ciała. Potem położył się przy niej i zaczął ją całować, mówiąc, jak jest piękna i jak bardzo jej pragnie. Wkrótce zabrał ją na szczyty rozkoszy i razem wrócili z powrotem na ziemię.

Sophia jeszcze nigdy nie czuła się tak szczęśliwa. Wypełniała ją radość i uczucie spełnienia.

W tym momencie rozumiała, dlaczego miłość tak inspiruje poetów i kompozytorów, pisarzy i filozofów.

Pomyślała, że zdarzył jej się cud - znalazła mężczyznę swego życia, mężczyznę z portretu, o którym od tak dawna śniła.

Obudziły ją promienie słoneczne wpadające do pokoju. Zerknęła na zegarek. Było wpół do jedenastej.

Jej koszula leżała obok na krześle. Sophia włożyła ją i poszła do salonu. Stephena nie było. Przeszła więc dalej, do swojego apartamentu.

Miała tak dobry nastrój, że nawet widok parawanu i wspomnienie skradającego się napastnika nie wydawały jej się już przerażające.

Wzięła prysznic i włożyła bawełnianą sukienkę. Zdecydowała, że jest zbyt gorąco na makijaż, więc tylko upięła włosy w kok i poszła poszukać Stephena.

W jego salonie pokojówka odkurzała dywan. Powiedziała Sophii, że *signore* Haviland już zjadł śniadanie i jest w biurze.

Zapukała do drzwi jego gabinetu.

- Kto tam? - zapytał.

Na dźwięk jego głosu Sophii zrobiło się gorąco.

- To ja.

Po chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich Stephen. Miał na sobie dobrze skrojone spodnie i białą koszulkę polo rozpiętą pod szyją. Uśmiechnął się do Sophii.

- Dzień dobry, moja śpiąca królowo. - Pocałował ją lekko w usta. - Wyglądasz promiennie.

- I tak się czuję - odparła.

- Strachy odleciały?

Kiwnęła głową.

Właściwie powinna być wdzięczna tajemniczemu włamywaczowi, pomyślała z cieniem ironii. Gdyby nie on, jej noc i poranek wyglądałyby zupełnie inaczej.

- A więc terapia zadziałała - stwierdził Stephen.

- To była terapia? - Sophia starała się, żeby zabrzmiało to obojętnie.

- Między innymi. - Znowu ją pocałował. - Musisz być głodna. Zadzwoń po śniadanie?

Pokręciła głową.

- Nie, jest już późno, poza tym wczoraj zjadłam wspaniałą kolację. Zaczekam na lunch.

- Może w takim razie kawa albo herbata? Sok pomarańczowy?

- Poproszę kawę, jeśli to nie kłopot.

- Żaden kłopot. Gorąca kawa powinna być jeszcze w pokoju śniadaniowym.

- Nie chcę odrywać cię od pracy - powiedziała Sophia, widząc, że zamierza jej towarzyszyć.

- Załatwiłem już wszystkie pilne sprawy. Inne mogą poczekać.

Poprowadził ją do pięknego pokoju śniadaniowego, gdzie na kredensie stał na podgrzewaczu dzbanek z kawą.

Stephen napełnił dwie filiżanki. Do kawy Sophii dodał cukru i śmietanki, bo wiedział, że taką lubi. Sam wolał czarną bez cukru.

Przez kilka sekund siedzieli i pili kawę w milczeniu.

- Dokąd dzisiaj pójdziemy? - zapytał po chwili.

- Cała Wenecja czeka, żeby ją odkrywać.

Sophia postanowiła trochę okiełznać swoją ekscytację.

- Sądziłam, że przyjechałam tu do pracy - powiedziała z poważną miną.

- Jeśli tak nalegasz, możesz pracować przez godzinę, potem wychodzimy.

Zdecyduj, co chcesz najpierw zobaczyć.

- Nie wiem, wolę zdać się na ciebie. - Po chwili wahania dodała: - Któregoś dnia chciałabym wstąpić do baru U Harry'ego. Wiem, że to bardzo turystyczne miejsce, ale...

- Wcale nie. Absolutnie nie można tego pominąć. - Wypił łyk kawy. - Otwarto go w latach trzydziestych i wiele sławnych osób tam bywało, na przykład Ernest Hemingway i Maria Callas. Nawet dzisiaj to nie jest bar tylko dla turystów.

Przychodzą tam różni ciekawi ludzie - pisarze, fotograficy, gwiazdy filmowe, artyści bogaci i popularni. Może zmienisz zdanie i zamiast pracować pójdziemy...? - Posłał jej

łobuzerski uśmiech.

Sophia zawahała się. Jednak przeważyło poczucie odpowiedzialności i samodyscyplina.

- Mówiłeś, że pierwsza prezentacja obrazów ma się odbyć za sześć tygodni?

- Zgadza się.

- W takim razie powinnam najpierw je zobaczyć i ocenić, jak dużo pracy wymagają. Potem zdecyduję, czy mogę wyjść.

- Oto kobieta z zasadami.

- Występuje równie często jak mężczyzna z zasadami - odparła.

- Niestety, nie znałem ich wiele. Może spotykałem się z niewłaściwymi kobietami, jak zasugerowałaś wczoraj.

- Mówisz to z goryczą.

- Raczej z rozczarowaniem. Jeszcze kawy?

- Nie, dziękuję.

- W takim razie chodźmy. Obejrzymy najpierw Długą Galerię, pokażę ci rodzinne portrety.

Gdy wychodzili, w pokoju pojawiła się Rosa.

- *Buon giorno, signorina* - przywitała Sophię z uśmiechem.

- *Buon giorno.*

- Czy życzy pani sobie, żebym przyniosła śniadanie?

- Nie, dziękuję, Roso. Poczekam na lunch.

- Czy zjedzą państwo lunch i kolację w pałacu? - Rosa zwróciła się do Stephen.

- Kolację zjemy tutaj, a lunch na mieście. Będziemy zwiedzać Wenecję.

Rosa skinęła głową i zapytała:

- Polubiła pani nasze miasto, *signorina* Jordan?

- O tak! To miłość od pierwszego wejrzenia.

Rosa uśmiechnęła się.

- Pamiętam, że było podobnie, kiedy pani oj...

- Musimy już iść - przerwał jej Stephen niegrzecznie. Sophia spojrzała na niego zaskoczona. - Wrócimy wieczorem. - Skierował się do drzwi. Odwrócił się z ręką na klamce. - Roso, przekaz Angelowi, że kolacja ma być na ósmą.

- Dobrze, *signore* Stefano.

- Gdyby było coś pilnego, jakiś czas będziemy w Długiej Galerii lub w starych apartamentach na piętrze.

Objął Sophię w pasie i poprowadził ją przez hol ku schodom.

Sophia zastanawiała się, dlaczego zachował się tak szorstko wobec Rosy. To było niepodobne do niego. Zupełnie nie w jego stylu.

## **ROZDZIAŁ SIÓDMY**

Długa Galeria wyglądała wspaniale. Na ścianach wisiały w rzędach stare obrazy, niektóre miały prawie sześćset lat. Podłoga była marmurowa, sufit bogato zdobiony.

- To jest jeden z tych najbardziej godnych uwagi. - Stephen wskazał portret mężczyzny o srogiej twarzy i czarnych brwiach, ubranego w tradycyjny strój dożów. - Giovanni Fortuna był dożą pod koniec czternastego wieku. Obraz namalował Gentile Bellini. A to jest prapraprababka cioci Fran - wskazał portret przedstawiający znamienitą starą damę z wyniosłą miną; damę namalowano w czarnej sukni, miała na szyi podwójny sznur lśniących pereł. - Portret malował Rafael Anafesto.

Sophia przypomniała sobie perły, które namalował jej ojciec, jako element stroju „Wenecjanki”.

- Te perły są przepiękne.

Stephen zerknął na nią, po czym odpowiedział:

- Tak, to są słynne Padewskie Perły. Te, które Paolo miał nadzieję przejąć.

Sophia chciała zapytać, co się z nimi stało, ale Stephen przeszedł już do następnego obrazu.

- To jest Foscari...

Szli wzdłuż galerii, a Stephen opowiadał o poszczególnych portretach - kogo przedstawiają i kto dany obraz namalował.

- A ten? - Sophia wskazała portret pięknej ciemnowłosej dziewczyny. Jej fryzura i strój wskazywały na lata trzydzieste dwudziestego wieku.

- Modelką była Lucia Fortuna, daleka kuzynka, która mieszkała w Weronie. Malarz jest nieznany.

Podeszli do portretu dwóch małych dziewczynek, w wieku około czterech lat, siedzących obok siebie ze złożonymi na kolanach rączkami. Obie miały ciemne włosy i ciemne oczy, były ubrane w identyczne różowe sukienki z falbankami, we włosach miały wstążki tego samego koloru.

- Bliźniaczki! - wykrzyknęła Sophia. - Jak miały na imię?

- Silvia i Francesca. Silvia, ta po lewej, to moja mama. A po prawej ciocia Fran. Zawsze były sobie bardzo bliskie - powiedział z nutą smutku.

- Czy twoja mama żyje?

- Tak. Nadal jest piękna i nie wygląda na swoje lata.
- Czy jest tu jakiś inny jej portret?
- Niestety nie. Ten obraz jest ostatnim rodzinnym portretem. Później już nic nie dodano.

Sophia przyglądała się dziewczynkom na obrazie.

- Nie jesteś wcale podobny ani do mamy, ani do cioci - zauważyła.
- Zgadza się. Wygląd i temperament mam po ojcu.
- Czy on...?
- Jest w dobrej formie i po wielu latach ciężkiej pracy przeszedł na emeryturę.

Teraz on i mama sporo podróżują, zwiedzają świat i cieszą się własnym towarzystwem. Mama miała dużo więcej szczęścia niż ciocia Fran. Moi rodzice nadal się kochają po trzydziestu paru latach szczęśliwego związku. Doszli do końca galerii.

- I co myślisz o tych portretach? - zapytał.

Zdaniem Sophii, niektóre były frapujące, inne czarujące, inne trochę mniej udane, ale wszystkie bardzo interesujące - i to mu właśnie powiedziała.

- Chyba nie zamierzasz sprzedawać części zbioru? - zapytała.

Popatrzył na nią uważnie.

- Uważasz, że nie powinienem?

- Oczywiście, że nie! To byłby fatalny błąd i wstyd... - Umilkła. - Przepraszam, nie powinnam tego mówić. To w końcu nie moja sprawa.

- W porządku, odpowiedziałas tylko na pytanie. Gina uważa, że powinienem się ich pozbyć, póki jest w Wenecji wielu zainteresowanych kupców.

- No, jeśli potrzebujesz pieniędzy na utrzymanie pałacu... - zaczęła.

- Nie potrzebuję - wtrącił.

- W każdym razie ja bym je zatrzymała - odparła i z zachwytem przyglądała się jednemu z portretów.

- Czy to dlatego, że sztuka jest twoją pasją? - zapytał, obserwując ją z uśmiechem.

- Nie, główny powód jest taki, że cały ten zbiór tworzy unikatowe i fascynujące drzewo genealogiczne w obrazach.

- Masz rację. Ciocia Fran też tak traktowała tę kolekcję. Oczywiście nie mam zamiaru sprzedawać żadnego z tych portretów.

- W takim razie może teraz obejrzymy obrazy, które twoja ciotka chciała sprzedać?

Przeszli przez apartamenty, w których dawniej mieszkali właściciele pałacu,



zanim przenieśli się na parter.

Wszystkie pokoje były przestronne i bogato wyposażone, z wyjątkiem jednego małego pokoiku, który pełnił funkcję saloniku i zarazem gabinetu. Stephen powiedział, że to był pokój cioci Fran.

- To było jej prywatne terytorium. Tu pisała swój dziennik i listy. Tu się kryła, gdy chciała być sama ze swoją muzyką. A obok jest główny salon, zupełnie inny...

Wielki salon ozdabiała piękne meble, ale nie było tam żadnych osobistych pamiątek, kwiatów ani fotografii. Sophia patrzyła na wielki kryształowy żyrandol, marmurowy kominek, ogromne lustra w rzeźbionych ramach i... niezwykle stare okna. Składały się z wielu nierównych szklanych szybek, lekko różniących się odcieniem, oprawnych w ołów i zakończonych łukiem. Sophia nie mogła oderwać od nich oczu. Pokój wydał jej się obcy i dziwny, ale te okna już kiedyś widziała i polubiła...

- Miałaś rację, te okna są wspaniałe... To rzeczywiście piękny pokój. Mam dziwne uczucie, że już go widziałam... I to na pewno nie było zdjęcie w czasopiśmie. Znam te okna... jakbym spędziła tu miłe chwile...

To śmieszne! Przecież nigdy nie była w Wenecji, a jeśli nawet, to nie mieszkałaby chyba w tym pięknym pałacu!

Sophia wmawiała sobie, że to iluzja, jakiś dawny sen: Widziała siebie jako małą dziewczynkę, która siedzi przy tych oknach na kolanach kobiety. A ta się śmieje i ją przytula. Kobieta zdejmuje z palca pierścień z wielkim błyszczącym diamentem i na jednej z tych krzywych szybek wydrapuje nim jej imię: *Sophia*...

- Co się stało? - zapytał Stephen, który przyglądał się jej z zaciekawieniem. - Wyglądasz, jakbyś wpadła w trans.

Jego głos przywołał ją do rzeczywistości. Tajemnicza wizja się rozplynęła.

- Chyba śniłam na jawie...

- Opowiedz mi.

- To było dziwne, jakby w mojej głowie powstawały obrazy... Byłam mała... Siedziałam na kolanach jakiejś kobiety... Napisała diamentem moje imię na jednej z tych szybek...

- Na której?

- W środkowym oknie, około metra od podłogi - odpowiedziała bez wahania i podeszła do okna.

W rogu jednej z szybek - na odpowiedniej wysokości - cienkie litery układały się w wyraźny napis *Sophia*.

- No, no... - mruknął Stephen.

Sophia spojrzała na niego zdumiona.

- Nie rozumiem... Jeśli nigdy tu nie byłam, skąd się wziął ten napis...?

- Może to nie chodzi o twoje imię. Ciocia Fran miała imiona Francesca Sophia.

Ale to oczywiście nie wyjaśnia, skąd wiedziałaś, że ten napis tu jest. Może jesteś medium? - dodał z uśmiechem.

Pokręciła głową.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Tajemnicza sprawa. - Dotknął lekko jej policzka. - Nie przejmuj się. Zostaw to swojemu biegowi. Tajemnice często rozwiązują się same. - Objął ją i dodał: - A teraz proponuję obejrzeć obrazy cioci Fran.

- Gdzie one są?

- W sąsiednim pokoju.

Naprzeciwko kominka stał masywny dębowy kredens z sześcioma rzędami drzwiczek.

Stephen wskazał mały panel na ścianie za kredensem.

- To specjalny system ochrony. Alarm się włącza, gdy ktoś próbuje otworzyć drzwi bez wpisania sześcioliterowego kodu. Łatwo go zapamiętać.

Wpisał słowo *Fenice* i otworzył drzwi.

Sophia zobaczyła długie pomieszczenie, które wypełniały rzędy obrazów ustawionych na specjalnych stelażach.

- Większość obrazów wisiała w pokojach na dole - objaśnił Stephen - ale kiedy rodzina przeprowadziła się na parter, ciocia postanowiła urządzić tutaj magazyn.

Wtedy zrobiono tę konstrukcję. Tak to działa. - Obrócił jeden ze stelaży, żeby pokazać obraz. Potem obrócił znowu, żeby pokazać następny.

Sophia była pod wrażeniem pomysłu.

- Znakomity system. Musimy zrobić coś podobnego w galerii.

- Dzięki temu są łatwo dostępne i można je oglądać bez kłopotów. W sąsiednim pomieszczeniu ciocia urządziła pracownię. Są tam wszelkie materiały potrzebne do renowacji i konserwacji.

- Na pewno obejrzałeś wszystkie te obrazy. Czy według ciebie wymagają dużo pracy?

Stephen opierał się o stelaż, odwrócił się do niej.

- Szczerze mówiąc, oglądałem je, gdy jeszcze wisiały w pokojach. Odkąd są w tym magazynie, nie miałem czasu, by się im przyjrzeć.

- Mam nadzieję, że większość jest w dobrym stanie. Te, które wymagają

zaawansowanych zabiegów konserwatorskich, mogą być pokazane na ostatniej prezentacji. Szkoda, że muszą tkwić w tym magazynie.

- Niektóre z nich to prawdziwe dzieła sztuki, ale trochę mroczne. Jeśli dobrze pamiętam, przedstawiają głównie śmierć, rozkład i krwawe sceny myśliwskie. Coś, czego nie chciałabyś oglądać ani rano, ani wieczorem. - Roześmiał się.

W tym momencie usłyszeli pukanie do drzwi. Weszła Rosa.

- Przepraszam, że przeszkadzam, *signore* Stefano, ale przyszła pani markiza. Chce z panem rozmawiać. Mówi, że to bardzo ważne.

Stephen kiwnął głową.

- Dziękuję, Roso. Zaraz schodzę.

Gdy gospodyni wyszła, Stephen westchnął.

- Muszę iść i sprawdzić, o co chodzi. Wrócę najszybciej, jak się da. - Przy drzwiach się odwrócił. - O, byłbym zapomniał... w prawej szufladzie biurka cioci jest ręcznie spisany katalog obrazów i wszelkie informacje o ich pochodzeniu. - Posłał jej całusa i wyszedł.

Sophia uśmiechnęła się na ten romantyczny gest.

Poszła do małego saloniku. To była kryjówka cioci Fran, jak wspomniał Stephen. Sophia powinna czuć się tu jak intruz. Jednak wcale nie miała takiego wrażenia.

Zawsze była wyczulona na atmosferę wnętrza. Tutaj była mile widziana, wiedziała to, stojąc w pokoju i rozglądając się wokół.

Przed kominkiem wyłożonym kafelkami, na kremowym dywanie, stała miękka skórzana kanapa i niski stolik. Po obu stronach kominka wisiały półki z książkami. Przy jednej ścianie stał fortepian z różanego drewna, a naprzeciwko dobrze dobrane duże biurko. Na ścianach znajdowały się kinkiety na świece.

Prosty, uroczy pokój wiele mówił o właścicielce. Sophia żałowała, że nie dane jej było poznać pani z pałacu Ca' Fortuna.

Podeszła do biurka i otworzyła górną szufladę. Obok gustownej papeterii leżał katalog, którego szukała.

Po szybkim przejrzaniu oceniła, że skrypt - napisany wyraźnym, ładnym pismem - zawierał obszerne i wszechstronne informacje. Sophia uśmiechnęła się do siebie. Przypomniała sobie, jak Stephen opisał ciotkę: „przedsiębiorcza - kiedy trzeba”.

Wzięła katalog i kartkę papieru, pożyczyła pióro. Wróciła do zmagazynowanych obrazów i zaczęła je oglądać, robiąc notatki.

Stephen miał rację. Płótna były wspaniałe, ale ponure. Idealne do sal muzealnych lub zbiorów kolekcjonerskich. Jednak nie były to obrazy, które ludzie chcieliby mieć w

prywatnych mieszkaniach.

Większość z nich zachowała się w dobrym stanie. Dwa wymagały czyszczenia. Wyglądało na to, że Sophia będzie miała o wiele mniej pracy, niż oczekiwała. To dobra wiadomość.

Czy aby na pewno? Wszystko zależy od tego, co zamierza Stephen. Jakie ma plany wobec niej...

Nagle drzwi się otworzyły. Sophia odwróciła się z uśmiechem.

Jednak jej uśmiech szybko zbladł, bo w drzwiach nie pojawił się Stephen, tylko markiza.

Perfekcyjny makijaż, czarne włosy, gładkie i lśniące jak skrzydło kruka, połyskujące karminowe wargi, jedwabne pończochy, wysokie obcasy, drogi jedwabny kostium w kolorze błękitno-fioletowym, podkreślający zgrabną figurę... Wszystkie te elementy nie uszły uwagi Sophii. W swojej skromnej bawełnianej sukience i sandałach na bosych stopach poczuła się bezbarwna i nieatrakcyjna.

- Widzę, że pani pracuje, *signorina* Jordan - odezwała się markiza po angielsku, uśmiechając się sztucznie. - Mam nadzieję, że praca posuwa się do przodu?

- Dopiero wstępnie obejrzałam obrazy - odparła Sophia uprzejmie.

- Nie dziwi mnie to. Stefano powiedział mi, że późno pani dziś zaczęła. - Sophia zeszywniała na te słowa, ale markiza dodała: - Nocny napastnik...?

Sophia odetchnęła z ulgą.

- Tak.

- Musiał panią bardzo przestraszyć?

Sophia popatrzyła na nią i odpowiedziała tak śmiało, jak tylko potrafiła.

- Owszem.

- Jestem pewna, że Stefano od razu przybiegł, żeby panią pocieszyć.

Sophia milczała, więc markiza odezwała się po chwili:

- Skoro pani dzisiaj zasnęła, pewnie nie zdążyła pani ocenić obrazów. Czy już może wiadomo, ile czasu zajmie konserwacja?

- Nie, jeszcze nie. - Nie miała zamiaru informować o niczym tej aroganckiej kobiety.

- Stefano powiedział mi, że zamiast pracować chce pani z nim spędzić popołudnie na zwiedzaniu...

- To była jego sugestia.

Markiza zmrużyła oczy.

- Moim zdaniem, dla własnego dobra powinna pani szybko wykonać pracę, za

którą pani płacą, i jak najprędzej wyjechać z Wenecji.

- Dla własnego dobra?

- Wenecja to nie zawsze jest zdrowe miejsce do życia.

- Co pani ma na myśli, mówiąc „nie zawsze zdrowe”?

Markiza lekceważąco machnęła dłonią z długimi czerwonymi paznokciami.

- Nic szczególnego. Tylko to, że może Londyn wydaje się bezpieczniejszy. W mieście, którego się nie zna, jest zawsze jakiś element... zagrożenia. Nie sądzi pani?

- Słyszałam coś innego. Wenecja jest bardzo bezpiecznym miastem - odparła Sophia spokojnie.

- Tak, dla większości ludzi. Mam jednak nadzieję, że będzie pani na tyle rozsądna, żeby pracować szybko, bez zbędnych przerw, i czym prędzej wróci do Londynu.

- Przepraszam, że to mówię, ale moim zdaniem, to nie jest pani sprawa. - Słowa markizy w końcu wyprowadziły Sophię z równowagi.

Czarne oczy Giny zapłonęły gniewem.

- Myli się pani. Wszystko, co dotyczy Stefana, jest moją sprawą. Powinien zajmować się pracą, planami na przyszłość, a nie biegać wokół jakiegoś... gościa! - Ostatnie słowo rzuciła z takim wstrętem, że Sophia od razu odgadła, że to Stephen tak ją określił w rozmowie z markizą.

- I to właśnie do niego należy decyzja - odparła.

- On jest tak głupio... - markiza urwała, szukając właściwego angielskiego przymiotnika - ...donkiszotowski - dokończyła triumfalnie. - Jego czas jest zbyt cenny, żeby go marnować na prowadzenie po mieście panienki, która aż się do niego pali. - Gdy Sophia nie odpowiedziała, dodała niecierpliwie: - Nie masz nic do powiedzenia?

- Tylko tyle, że pani dobór słów jest niestosowny. Ale jeśli ktoś jest zazdrosny...

- Jak śmiesz tak do mnie mówić?! Jak mogę być zazdrosna o kogoś takiego jak ty - kompletne zero z klasy pracującej! Nie wyobrażaj sobie, że mi zagrażasz! Stefano i ja mamy ten sam status, wspólną przeszłość... I nie miej złudzeń - wycodziła markiza z wściekłością. - On kocha mnie i chce się ze mną ożenić... Tak, może obecnie bawi się tobą... Przelotnie... To wszystko, co możesz mieć. Stefano jest bardzo atrakcyjny. Jeśli takie nic jak ty rzuca się na niego, co on może zrobić? Tracisz czas, jeśli liczysz na to, że go złapiesz w swoje sieci, idąc z nim do łóżka. Piękniejsze od ciebie próbowały grać w tę grę i przegrały. On jest mój! Zawsze należał do mnie. Chcieliśmy być razem. Gdybym nie była tak głupia... - urwała nagle, zaczerpnęła powietrza i powtórzyła: - Stefano jest mój.

Sophia nigdy nie słyszała tylu obelg pod swoim adresem. Bardzo się starała zapanować nad głosem.

- Skoro jest twój, jak twierdzisz, to niby dlaczego chce spać ze mną?

- To mężczyzna z temperamentem, a ja formalnie jestem jeszcze w żałobie. Gdy żałoba się skończy, weźmiemy ślub. Jego krótkie przygody pójdą w zapomnienie. Będzie mi wierny, jestem tego pewna. Więc jak pani widzi, *signorina* Jordan - markiza znowu przybrała oficjalny ton - nie ma pani czego szukać w Wenecji. Tak jak wcześniej wspomniałam, to może być niebezpieczne. Radzę pakować manatki i wracać do domu. Nawet dzisiaj. Zanim przydarzy się pani coś nieprzyjemnego...

W tym momencie rozległo się pukanie w lekko uchylone drzwi.

- Kto tam? - spytała markiza.

Weszła Rosa.

- Czego chcesz? - rzuciła markiza ostrym tonem. Twarz Rosy nie wyrażała żadnych uczuć.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale dzwoni *signore* Longheni. Chciał panią zastać przed wyjściem...

- Powiedz mu, że już idę.

Gdy Rosa zniknęła za drzwiami, markiza spojrzała na Sophię płonącym wzrokiem.

- Nie zapomnij, co ci powiedziałam. - Po tych słowach odwróciła się na wysokich obcasach i wyszła.

Sophia odetchnęła z ulgą, ale drzwi się nagle otworzyły i markiza wykonała ostatni strzał:

- Jeśli jesteś rozsądna, nie wspomnisz Stefanowi o tej rozmowie. Powiedz mu, że rezygnujesz z pracy, i wracaj do domu pierwszym samolotem.

Drzwi się zamknęły.

Sophia stała nieruchomo i czuła, jak zaczyna drzeć ze zdenerwowania. Nerwy wreszcie puściły. Myślała o tym, ile było prawdy w słowach, które tu padły.

To może być prawda, że Stephen „się nią bawi”. Wiedziała o tym od samego początku. Ale nawet jeśli tak, jej uczucie do niego było zbyt głębokie, nie mogła tego powstrzymać.

Również prawdą mogła być informacja, że Stephen kiedyś chciał poślubić swoją kuzynkę. Była piękna, należeli do tego samego świata, na pewno zabiegał o nią...

W takim razie dlaczego zaprosił do Wenecji Sophię, wbrew woli i życzeniu markizy, swojej przyszłej żony? I jak mógłby być wierny markizie po ślubie, skoro nie



był wierny przed ślubem...?

A może wcale nie zamierzał się z nią zenić? Może to tylko myślenie życzeniowe markizy? Jakies dawne wyblakłe złudzenia? Markiza mogłaby je urzeczywistnić, gdyby pozbyła się kogoś, kogo uważała za rywalkę. Dlatego próbowała przestraszyć Sophie.

Sophia powoli odzyskiwała pewność siebie i hart ducha, który na chwilę ją opuścił. Nie może być tak głupia, żeby dać się otumanić kłamstwami i zastraszyć groźbami tej zazdrosnej, aroganckiej kobiety.

Jest w Wenecji z mężczyzną, którego kocha. I zostanie tu, dopóki nie skończy pracy, której się podjęła. Chyba że Stephen wcześniej powie jej, żeby wyjechała. Jednak nie wierzyła, że tak się zdarzy. Przypomniła sobie ostatnią noc. Jego czułość, namiętność... i jego spojrzenie, gdy weszła dziś do gabinetu.

Sophia uświadomiła sobie jasno, czego pragnie. Kocha go i chce z nim być. Pragnie jego pocałunków i pieszczot. Długo na niego czekała, całe życie. Nie może zrezygnować z tej szansy. Raj był dla niej w jego ramionach.

Drzwi znowu się otworzyły i musiała wrócić do rzeczywistości.

- Jak idzie? - zapytał Stephen, uśmiechając się do niej.

Sophia przełknęła ślinę.

- Właśnie skończyłam przegląd.

- Przepraszam, że zniknąłem na dłużej. Gina miała pilną sprawę, która wymagała mojej pomocy. - Zerknął na notatki, które zrobiła. - I jaki werdykt?

- Dwa obrazy wymagają czyszczenia, poza tym większość jest w całkiem dobrym stanie - zakomunikowała tonem profesjonalistki.

- Więc nie będzie problemu z zorganizowaniem pierwszego pokazu?

- Nie. Żadnego.

Czekała, że poda jakiś termin, ale nie zrobił tego. Podszedł do ostatniego obrazu, który oglądała. Artysta w przerażający sposób przedstawił na nim piekło i wieczne potępienie.

- Czy któryś z tych obrazów ci się spodobał? - zapytał Stephen. - Czy powinienem coś zatrzymać?

- Na pierwszy rzut oka nie - przyznała szczerze.

- Zgadzam się z tobą, że większość tych dzieł najlepiej by wyglądała w muzeum.

- Co za ulga! - A potem rzucił tym samym tonem: - O czym myślałaś, kiedy wszedłem? Wyglądałaś, jakbyś była gdzieś w innym świecie...

- Ja... byłam... - wydukała zaskoczona. Podszedł do niej i uniósł jej twarz.

- Powiedz, o czym myślałaś. Tylko nie mów, że o pracy.

- Nie wiem...

- Nie wykręcaj się. Chcę wiedzieć, jakie myśli przywołały na twoją twarz taki wyraz...

- Jaki wyraz?

W tym momencie pochylił się i ją pocałował. Kiedy czuła, że już uginają się pod nią kolana, niespodziewanie uniósł głowę.

- Taki jak teraz - oznajmił z triumfem.

Gdy otworzyła oczy, odwrócił ją tyłem do siebie i objął. Zobaczyła ich wspólne odbicie w dużym lustrze. Przystojny jasnowłosy mężczyzna z lekkim uśmiechem na wargach wyglądał jak zdobywca. Ciemnowłosa kobieta sięgała mu zaledwie do brody. Miała senne zielone oczy. Na twarzy zachwyty i rozmarzenie. To była twarz zakochanej kobiety.

Gdyby to był obraz olejny, mógłby mieć tytuł „Podbój zdobywcy”.

Sophia pomyślała, że można w niej czytać jak w otwartej książce. Natomiast on był tylko ucieleśnieniem triumfującej męskości.

Jej najgłębsze emocje zostały tak bezceremonialnie obnażone, podczas gdy on nie zdradzał swoich. Nie czuła się z tym komfortowo.

Objął ją mocniej.

- I co myślisz? - zapytał.

- Wyglądam, jakbym była lekko ugotowana - mruknęła, mając nadzieję, że on zinterpretuje ten żart jako opis stanu pożądania, a nie miłości.

Spróbowała się uwolnić z jego ramion.

Patrzył na nią bez słowa. Pozwolił się odsunąć.

Sophia miała nogi jak z waty. Powiesiła na miejscu ostatni obraz, zebrała swoje notatki i katalog. Gdy się odwróciła do Stephena, jej twarz przybrała już maskę spokoju.

- Zjemy teraz lunch? - zapytał. - Musisz być bardzo głodna.

- Owszem, konam z głodu.

- Na co masz ochotę?

- Marzę o *spaghetti bolognese*. To prawdziwy smak Włoch - odparła bez wahania.

Roześmiał się.

- Znam świetne miejsce. Giorgio robi najlepsze *spaghetti bolognese* w całej Wenecji. Ale najpierw wstąpimy na drinka do baru U Harry'ego. To niedaleko. Zanim

wyjdziemy, pokażę ci, jak włącza się alarm.

- Czy markiza jeszcze tu jest? - spytała Sophia, gdy schodzili po schodach.

- Nie, wyszła kilka minut temu. Je dzisiaj lunch z Giovannim Longhenim, to jej dawna sympatia. Wrócił ze Stanów. Miły, spokojny człowiek i teraz na szczęście bogaty. Dzwonił tutaj z wiadomością, że spóźni się pół godziny.

Sophia odetchnęła z ulgą, co nie uszło uwagi Stephena.

- Powiedziała, że chce się z tobą przywitać. Mam nadzieję, że nie była niegrzeczna.

Sophia milczała, więc dodał:

- Więc jednak była...

- Nie, wcale nie! - skłamała.

- Akurat!

Sophia przygotowała się na kolejne pytania, ale Stephen porzucił ten temat.

## **ROZDZIAŁ ÓSMY**

Zeszli na parter.

- Wezmę tylko torebkę, dobrze? - powiedziała Sophia.

- Oczywiście. Aha, dzisiaj wieje bryza, ale jest jeszcze goręcej niż wczoraj.

Posmaruj się kremem z filtrem i weź okulary przeciwsłoneczne - doradził.

- Dobrze.

Stephen dotknął jej policzka.

- Piękna i wrażliwa...

Gdy wróciła, czekał na nią w salonie. W kieszeni koszuli miał polaroid.

- Idziemy w upale czy płyniemy? - zapytał.

- Upał mi nie przeszkadza. Lubię nosić sandały, więc skoro mamy odkrywać miasto, chodźmy na spacer.

Stephen objął jej ramiona.

- Co za wspaniała kobieta! - mruknął. Posłała mu uśmiech.

- Chcesz mi wmówić, że kobiety, które znasz, nie lubią chodzić?

- Owszem, na przykład Gina nie zrobi kroku, jeśli nie musi. Chyba że wybiera się na zakupy.

Sophia spochmurniała na wzmiankę o markizie. W milczeniu słuchała echa ich kroków na marmurowej posadzce holu. Potem szli korytarzem pod łukami, który wiódł do południowego wejścia.

Na zewnątrz było jak w piekarniku. Upału nie studziła nawet bryza. Słońce świeciło oślepiająco. Sophia założyła ciemne okulary.

Przeszli przez ten sam most, co poprzedniego wieczoru. Mijając wąskie *calles* i zakurzone *compos* szli w stronę placu Świętego Marka.

Miasto było ciche, uliczki opustoszałe. Od czasu do czasu zza zamkniętych okiennic dobiegały dźwięki telewizora. Przez otwarte drzwi warsztatów można było zobaczyć artystów przy pracy.

- Gdy jest tak gorąco, mieszkańcy raczej siedzą w domach lub na zacienionych patiach - powiedział Stephen.

Jednak kiedy doszli do miejsc najczęściej odwiedzanych przez turystów, w wąskich uliczkach i przy kanałach znowu pojawił się tłum. Ludzie siedzieli w kawiarenkach pod pasiastymi parasolami, jedząc i sącząc zimne drinki. Gołębie spacerowały, gruchając. Koty wylegiwały się w słońcu na balkonach i parapetach.

- Gdzie dokładnie jest bar U Harry'ego? - zapytała Sophia.

- Niedaleko, pięć minut spacerkiem. Nad wodą. W miejscu, gdzie Canale Grande rozszerza się i przechodzi w Canale di San Marco, Stephen zatrzymał się i wskazał coś w oddali.

- Ten pasek lądu to Giudecca. Na wschodnim krańcu wyspy stoi słynny hotel Cipriani otoczony ogrodami. To jedyny hotel w Wenecji, który ma basen. - A to nasz bar...

Bar U Harry'ego znajdował się na rogu. Wyglądał na cichy i spokojny. Nie miał w sobie nic z krzykliwości i przepychu, jakiego się spodziewała. Wnętrze było urządzone z prostotą i elegancją, nie było tam czerwonych pluszów ani złocen.

Podczas gdy sączyli martini z lodem, do baru - tak jak zapowiedział Stephen - weszło kilka znanych osób.

- Jeśli chcesz, możemy tutaj zjeść lunch - zaproponował.

Pokręciła głową.

- Odpowiada mi poprzedni plan.

- Dobrze, możemy tu jeść innym razem.

- Jestem ciekawa, czy mój ojciec tu przychodził - wypowiedziała na głos swoją myśl.

- To możliwe. Widziałem na wystawie kilka interesujących obrazów z Wenecji. Myślę, że dobrze znał miasto.

Sophia kiwnęła głową.

- Bardzo dobrze. Uwielbiał je.

Stephen wziął jej dłoń w swoje ręce.

- To dziwne, że nigdy cię tu nie przywiózł.

- Zawsze obiecywał, że kiedyś pojedziemy. Ale gdy jeszcze mógł podróżować i byliśmy za granicą, nigdy tu nie dotarliśmy. Kiedy robiliśmy plany wakacyjne i proponowałam Wenecję, odpowiadał, że może następnym razem.

- Mówiłaś, że twoja mama urodziła się w Mestre. Opowiedz mi o niej. Jaka ona była?

- Nie pamiętam jej dobrze. Miałam niecałe siedem lat, kiedy zmarła. Wszystko, co wiem, to chyba raczej z opowieści taty. - Przerwała na chwilę, po czym kontynuowała: - Miała na imię Maria. Była drobna, miała ciemne włosy i czarne oczy. Tata mówił, że była piękna i krucha niczym porcelana. Była jedynaczką. Pewnie dlatego, że urodziła się, gdy jej rodzice byli w średnim wieku. W dzieciństwie miała ataki gorączki reumatycznej, co bardzo nadwreżyło jej zdrowie. Nigdy nie była bardzo silna.

- Gdzie twoi rodzice się poznali?

- W Rzymie. Mój ojciec pracował tam w służbie dyplomatycznej. Mój dziadek - ojciec mamy - był przemysłowcem. Kiedy przeszedł na emeryturę, kupił apartament blisko Villa Borghese i zamieszkał tam z żoną i córką. Mój ojciec poznał całą rodzinę podczas jednego z przyjęć w ambasadzie brytyjskiej. Mama lubiła Rzym, ale tęskniła za Wenecją, gdzie zostawiła przyjaciół. Kiedy ona i tata się zaręczyli, przy najbliższej sposobności wrócili do Wenecji. - Sophia pociągnęła łyk drinka. - Zawsze byłam ciekawa, jak ona znosiła te wszystkie przeprowadzki po ślubie. Ojciec pracował przecież w różnych ambasadach, a ona zawsze uważała Wenecję za swój dom...

- Stare przysłowie mówi: „Tam dom twój, gdzie serce twoje” - wtrącił Stephen. Uśmiechnęła się.

- Myślę, że kochała mojego ojca i dlatego wszystkie przeprowadzki - według niej - były tego warte.

Wypili drinki i udali się do Giorgia. Stoliki stały pod parasolami na niewielkim placu. Zjedli najlepsze *spaghetti bolognese*, jakie Sophia kiedykolwiek próbowała. Zamówili również karafkę czerwonego *chianti*.

Gawędzili jak starzy przyjaciele, Sophia była niemal szczęśliwa.

Zgodzili się, że kawa jest u Giorgia wyśmienita i siedzieli już nad drugą filiżanką tego cudownego napoju, gdy stolik obok zajęło małżeństwo z dwoma niemal identycznymi chłopcami. Gdy rodzina czekała na złożenie zamówienia, ojciec grał z synkami w słówka. Sophia zwróciła na nich uwagę, zaczęła się przysłuchiwać.

Chłopcy często odpowiadali identycznie i jednocześnie. Widać było, że są doskonale zgrani.

Podzieliła się tym spostrzeżeniem ze Stephenem.

Kiwnął głową.

- Tak, często jeden z bliźniaków wie, co myśli drugi.

- Czy twoja mama i ciocia też znały nawzajem swoje myśli? Mówiłeś, że były bardzo blisko...

- Tak, ale nie łączyła je taka myślowa więź, jaka zdarza się u prawdziwych bliźniaków.

- O... Sądziłam, że były bliźniaczkami. Na obrazie wyglądały prawie tak samo.

- Urodziły się w odstępnie dwunastu godzin. - Uśmiechnął się, widząc jej zaskoczoną minę.

- Wychowywano je jak bliźniaczki, ale nie były nawet siostrami. Czy pamiętasz portret dalekiej kuzynki Lucii Fortuna? Zwróciłaś na niego uwagę w galerii.

- Tak, portret bardzo pięknej dziewczyny.

- Była moją babką. Zaszła w ciążę, kiedy miała szesnaście lat. Mało brakowało, a okryłaby hańbą siebie i rodzinę. Margherita i Enrico Fortuna - to ich całe życie uważałem za dziadków - oczekiwali wtedy pierwszego dziecka. Były z tym jakieś problemy i lekarze ostrzegali, że może to być ich jedyne dziecko. Lucia i Margherita miały zbliżone terminy porodu. Margherita zgodziła się wziąć dziecko Lucii i wychować je jak swoje. Dwie gałęzie rodziny porozumiały się. Lucia zamieszkała w pałacu w Wenecji, przebywała tu parę miesięcy „z wizytą u krewnych”. Po porodzie wróciła do Werony, jej reputacja pozostała bez skazy. Wszyscy niewtajemniczeni natomiast dowiedzieli się, że Margherita urodziła bliźniaczki, Silwię i Francescę.

- Co się stało z twoją prawdziwą babką?

- Trzy lata później poślubiła księcia di Radenza...

- Fascynująca historia...

- Dowiedziałem się o wszystkim od mamy dopiero po śmierci dziadków. Wtedy zrozumiałem, że osoba, którą zawsze nazywałem „ciocią Fran”, nie jest wcale moją ciocią, mimo że oboje należymy do rodziny Fortuna. - Po chwili dodał jakby do siebie:

- Co w pewnych okolicznościach jest szczęściem od losu...

Zanim Sophia zdążyła zapytać, co ma na myśli, poprosił, żeby poszli dalej.

- Jeśli się zgodzisz, proponuję, żebyśmy obejrzelisi Pałac Dożów i Most Westchnień. Potem możemy spacerować dalej, na przykład w stronę Arsenału i pawilonów Biennale.



Odkrywali Wenecję w blasku kończącego się popołudnia. Gdy ponownie zawędrowali w okolice placu Świętego Marka, zamówili koktajle w słynnej osiemnastowiecznej Gran Caffè Quadri.

O siódmej wrócili do pałacu na kolację.

- Kazałem przenieść twoje rzeczy do sypialni, która sąsiaduje z moją - uprzedził Stephen, gdy szli w stronę apartamentów.

- O... - Sophia zaczerwieniła się lekko. Ciekawe, co sobie pomyślała gospodyni, wykonując to polecenie?

- Po tym, co zaszło ostatniej nocy, Rosa myśli, że to rozsądne. Oczywiście, jeśli ty nie masz nic przeciwko...? - Kolejny raz Stephen dał dowód, że potrafi odgadywać myśli Sophii.

Dobrze wiedziała, że powinna mieć coś przeciwko, zwłaszcza że mógł najpierw z nią to skonsultować. Jednak tylko bez słowa pokręciła głową.

- Jestem pewien, że ten pokój ci się spodoba. To była sypialnia cioci Fran.

- Czy tam zmarła?

Kiwnął głową.

- Tak. To ci przeszkadza?

- Nie, jeśli nie ma tam złych wibracji. - Uśmiechnęła się.

- Zapewniam cię, że nie. Wprost przeciwnie. Rosa uwielbiała swoją panią. Dzięki niej pokój wygląda tak jak za życia Fran, oczywiście nie ma tam jej ubrań ani rzeczy osobistych. Jednak wyczuwa się przyjemną atmosferę, która przypomina uroczą panią tego pałacu.

- W takim razie nie ma problemu.

Stephen założył jej za ucho luźny kosmyk włosów.

- Jak rozsądnie! Niektóre kobiety odrzuciłyby ten pomysł.

- To zależy, jak się postrzega rzeczy. W tak wiekowym miejscu to chyba niemożliwe, by spać w pokoju, gdzie nikt nie umarł.

- Mówiąc szczerze - powiedział z błyskiem w oku - nie chcę, byś tam spała.

Miałem nadzieję, że będziesz spać w moim łóżku. - Uśmiechnął się i pochylił, żeby ją pocałować.

Jednak zanim dotknął wargami jej ust, wyprostował się i westchnął.

- Jeśli cię teraz pocałuję, to nie dotrzemy na kolację, a znając Angela, na pewno przygotował coś wspaniałego.

Sophia znowu miała nogi jak z waty. Mimo to poszła za Stephenem do pokoju,

który kiedyś był sypialnią jego ciotki.

Tak jak mówił, pokój był czarujący i wygodny. Stały tam stare meble, wyczyszczone do połysku, zgrabne łóżko z czterema kolumnkami i kominek wypełniony żywymi kwiatami. W sypialni znajdowały się dwa długie okna zakończone łukami. Rzeczywiście panowała tu miła atmosfera.

Stephen otworzył drzwi z lewej strony.

- A to wejście do mojej sypialni. - Następnie wskazał dwoje identycznych drzwi po przeciwnej stronie. - Tam jest łazienka, a obok garderoba.

Sophia rozejrzała się po pokoju. Jej walizka została rozpakowana, rzeczy rozłożone. Piękna drogocenna szkatułka z biżuterią stała na komodzie. Pasowała tam znakomicie, jakby zawsze zajmowała to miejsce.

Stephen obserwował twarz Sophii.

- I co? W porządku?

- Tak, jak najbardziej.

- W takim razie zostawię cię, żebyś się przygotowała do kolacji.

Zaproponowałbym wspólny prysznic, ale... - Nie dokończył i zniknął za drzwiami do swojej sypialni.

Sophia zdjęła sukienkę i sandały. Ruszyła pod prysznic.

Otworzyła pierwsze drzwi, ale okazały się wejściem do garderoby. Drugie prowadziły do luksusowej łazienki wyłożonej kafelkami w kolorze brzoskwińowym. Znajdowała się tam wanna oraz kabina prysznicowa. Na podłodze z terakoty leżał biały dywanik.

Po kąpieli Sophia włożyła prostą jedwabną granatową sukienkę. Włosy upięła w elegancki kok. Założyła też złote kolczyki w kształcie kół.

Gdy weszła do salonu, Stephen już na nią czekał. Miał na sobie świetnie skrojony garnitur, białą koszulę i czarny krawat. Był tak szalenie atrakcyjny, że Sophii niemal zaparło dech.

Wziął ją za rękę i zmierzył wzrokiem od stóp do głów.

Prosty krój sukienki podkreślał jej wspaniałą figurę. Skóra lekko zarumieniła się na słońcu. Zielone oczy lśniły blaskiem.

Stephen pocałował jej dłoń.

- Wyglądasz jak urzeczywistnione marzenie każdego mężczyzny - powiedział.

Serce zabiło jej mocniej. Skoro była jego marzeniem, to już więcej, niż oczekiwała.

Stephen objął ją i poprowadził do eleganckiej jadalni z dębową podłogą. Usiedli

przy dużym stole oświetlonym świecami w srebrnych kandelabrach. Zmieściłoby się tu dwanaście osób.

Stół przykrywał lniany obrus; stała na nim piękna zastawa, świeże kwiaty w wazonie, kryształowe kieliszki.

Sophia była ciekawa, czy Rosa też zadawała sobie tyle trudu, gdy Stephen mieszkał tu sam.

Stephen otworzył butelkę wina i nalał je do kieliszków. Sophia nie mogła oderwać oczu od bukietu żółtych róż, tak słodko pachnących.

- Te kwiaty są przepiękne... - szepnęła zachwycona.

- To właśnie cała Rosa. Może cię wreszcie przywitać w ulubiony sposób. Kiedy jestem tu sam, zwykle jadam w pokoju śniadaniowym i Rosa nie ma okazji, by pokazać swój talent. Myślę, że trochę ją tym rozczarowałem - dodał.

Sophia uśmiechnęła się.

- Gdy się uśmiechasz, jesteś jeszcze piękniejsza...

Umilkł, gdy weszła gospodyni z pierwszą potrawą.

- Roso, *signorina* właśnie mówiła, że kwiaty są przepiękne - powiedział.

Gospodyni uśmiechnęła się.

- Pani Francesca zawsze lubiła kwiaty na stole... A ta zupa *zucchini al basilico* była jedną z jej ulubionych.

Sophia spróbowała i oznajmiła:

- Jest pyszna.

- Powiem Angelowi, że pani smakuje - odparła zadowolona Rosa.

Kolejno podała jeszcze *finocchio alla toscana*, kluseczki ze szpinakiem i serem *ricotta*, kurę *alla valdostana*, ser śmietankowy *mascarpone* i tartę daktylową. Wszystko smakowało wspaniale. Nic więc dziwnego, że skoncentrowali się na potrawach, niewiele rozmawiając.

Sophia dobrze się czuła w towarzystwie Stephena, była zrelaksowana, ale kilka razy dostrzegła, że patrzy na nią płonąącym wzrokiem.

Kiedy Rosa przyniosła na deser ser i ciasteczka, Stephen podziękował jej i poprosił, żeby przekazała również podziękowania dla Angela.

Rosa kiwnęła głową z uśmiechem.

- Czy kawę podać państwu tutaj czy w salonie?

- Prosimy w salonie - zdecydował Stephen.

Wkrótce wrócili do salonu, a Rosa przyniosła tam na tacy dzbanek z kawą i filiżanki. Stephen nalał kawy do porcelanowych filiżanek. Dla siebie nalał jeszcze

kieliszek brandy. Potem usiadł na kanapie obok Sophii, która starała się patrzeć gdziekolwiek, byle nie na niego.

Jej uwagę przykuła fotografia w srebrnej ramce, stojąca na półce z książkami. Zdjęcie było trochę zamglone. Rozpoznała na nim Rosę, która stała obok dwojga osób siedzących w fotelach. Byli to: szczupła kobieta z siwiejącymi włosami i młody przystojny mężczyzna o jasnych włosach, który uśmiechał się do obiektywu.

Twarz kobiety wydała jej się znajoma, chociaż nie wiedziała skąd. Natomiast w mężczyźnie od razu rozpoznała Stephena, młodszego niż teraz.

- Ile miałeś lat, kiedy zrobiono to zdjęcie? - spytała.

Popatrzył na fotografię.

- Osiemnaście, jeśli dobrze pamiętam. Siedzieliśmy w ogrodzie, Rosa właśnie przyniosła nam herbatę. Ciocia Fran podarowała Robertowi aparat fotograficzny na urodziny. Poprosiła, żeby zrobił nam zdjęcie. Jak widzisz, nie jest to szczególnie udana fotografia, ale ciocia zawsze ją lubiła. Po tylu latach ona i Rosa były ze sobą bardzo związane. Umilkł na chwilę i dodał: - Rosie chyba brakuje kobiety w tym pałacu. Teraz, kiedy na stałe mieszkam w Wenecji i mogę stąd zarządzać Haviland Holdings, ona ma nadzieję, że się wreszcie ożenię.

Sophia przypomniała sobie słowa markizy.

- Ale ty nie masz takiego zamiaru? - Zreflektowała się, że zabrzmiało to niezręcznie i wymamrotała: - To znaczy... do tej pory... nie chciałeś?

- Chciałem, ale dawno temu. Dwukrotnie. Miałem wtedy dwadzieścia parę lat i byłem dość naiwny. Sądziłem, że znalazłem to, czego szukałem. Obie dziewczyny były piękne, ale uroda to nie wszystko. Chciałem mieć żonę czarującą, ciepłą, o szerokich horyzontach, ale Roz okazała się zimna i powierzchowna, a na dodatek nieszczerą i nieuczciwą. Helen z kolei była skomplikowana i pełna pasji, ale - co odkryłem dopiero później - całkiem pozbawiona zasad moralnych. Przysięgała, że mnie kocha, ale kochała raczej moje pieniądze. Chciała je zdobyć i dać mężczyźnie, w którym naprawdę była zakochana. - Twarz Stephena spochmurniała, gdy to opowiadał. Jego oczy pociemniały. Już się nie uśmiechał. - Po tych przygodach zdecydowałem się odłożyć plany małżeńskie. Co nie znaczy, że żyłem jak mnich. Jednak unikałem poważnych związków i skoncentrowałem się na pracy. Po blisko dziesięciu latach muszę przyznać, że finansowo bardzo się to opłaciło. - Rozluźnił się i oparł wygodnie na kanapie. - Haviland Holdings jest teraz dwa razy większą firmą i wartą trzy razy tyle niż wtedy, gdy przejmowałem nad nią kontrolę. Myślę, że nadszedł czas na zmianę stylu życia. Obecnie praca może się u mnie znaleźć na drugim miejscu. Sam dysponuję swoim

czasem i mógłbym go poświęcić rodzinie bez żadnych limitów. Wreszcie czuję się wolny i chcę korzystać z wszelkich przyjemności, które niesie życie.

Sophia ucieszyła się, że rozmawia z nią tak otwarcie.

- Jak rozumiałam, wkrótce więc zamierzasz się ożenić i mieć dzieci?

- Tak.

- Dlatego że tak chcesz czy z poczucia obowiązku? - zapytała, zanim zdążyła pomyśleć.

- Chodzi ci o to, że muszę mieć dziedzica rodzinnej fortuny?

- Przepraszam... Nie powinnam...

- Nie, w porządku. - Znowu ujął jej dłoń. - Sam coś takiego mówiłem wczoraj wieczorem w ogrodzie... o rodzinnych obowiązkach. Mogłaś tak to zrozumieć. Ale zapewniam, że jeśli się ożenię, to tylko dlatego, że będę tego chciał, a nie z poczucia obowiązku.

- Rozumiem... - Sophia pomyślała z niepokojem, że markiza w tej kwestii mogła powiedzieć prawdę. - Masz kogoś konkretnego na myśli? - zapytała.

- Tak, i mam nadzieję, że ona wkrótce zostanie moją żoną. Kończę trzydzieści lat i chciałbym założyć rodzinę, póki oboje jesteśmy jeszcze młodzi.

Sophia czekała, aż wymieni imię tej kobiety, i czuła się tak, jakby stała pod gilotyną. Stephen jednak nie dodał ani słowa.

Kto inny mógłby to być jak nie markiza?

To właśnie w niej był zakochany przez tyle lat...

Fakty zaczynały do siebie pasować. Po studiach był zbyt młody, miał mało pieniędzy. I, z przyczyn oczywistych, jego rodzina nie akceptowała tego wyboru...

Teraz sytuacja się zmieniła. Stephen jest dojrzałym mężczyzną i nie musi nikogo pytać o zdanie. To bardzo bogaty człowiek z charyzmą, poza tym wyjątkowo atrakcyjny fizycznie. Mężczyzna, którego markiza na pewno nie wypuści z rąk, bo potrzebuje kolejnego bogatego męża...

Sophia rozumiała, że wszystkie jej nadzieje i marzenia były daremne. Na próżno się łudziła. Zaschło jej w gardle, z trudem przełknęła ślinę.

- Co się stało? - zapytał Stephen, widząc, że zbladła. - Wyglądasz na zmęczoną...

- Bo jestem zmęczona - skłamała.

- To rozumiałe. Spacerowaliśmy parę godzin, a ty nie jesteś przyzwyczajona do takiego upału.

- W Londynie mieliśmy tego roku długą i zimną wiosnę. Niemal bez słońca. Już myślałam, że lato nigdy nie przyjdzie... - Umilkła nagle. Uświadomiła sobie, że papple

bez sensu.

Stephen wstał i chwycił jej dłonie.

- Chodźmy do sypialni.

Sophia poczuła, że ogarnia ją złość. Wyrwała rękę.

- Nie będę z tobą spać!

- Dobrze - jego głos był spokojny - nie będziemy się kochać, jeśli jesteś zmęczona, ale możesz spać w moich ramionach.

- Nie chcę! Nie chcę spać z tobą w jednym łóżku... Nie chcę być wykorzystywana... Zamierzam wrócić do Londynu...!

Stephen wyglądał, jakby celnie go uderzyła. W tym momencie ktoś zapukał do drzwi. Oboje zeszywnieli.

- Proszę - odezwał się Stephen.

W drzwiach stanęła Rosa, wyglądała na wzburzoną.

- Przepraszam, że przeszkadzam, *signore* Stefano, ale Roberto musi z panem pomówić.

- Czy to nie może poczekać do jutra?

Rosa posłała mu znaczące spojrzenie.

- Myślę, że powinien pan iść teraz. To bardzo pilne.

- Dobrze. Zaraz przyjdę.

Rosa zniknęła.

Stephen westchnął, ujął twarz Sophii w swoje dłonie i lekko pocałował ją w usta.

- Nie wiem, kochanie, co cię tak zdenerwowało, ale porozmawiamy o tym, kiedy wrócę.

Jeszcze jedno badawcze spojrzenie, jeszcze jeden pocałunek i wyszedł.

Sophia stała nieruchomo jak posąg, patrząc na zamknięte drzwi. Czuła rosnący gniew i irytację.

Jak on może tak się zachowywać, jeśli należy do innej kobiety?!

Wszystko to jest tylko zabawą. „On się bawi...”. Bardziej światowa i doświadczona kobieta mogłaby traktować tę znajomość jako wymianę przyjemności, rodzaj *quid pro quo*, i cieszyć się, że trafił jej się tak atrakcyjny i czuły kochanek.

Ale nie Sophia.

Powiedział do niej „kochanie”, ale przecież jej nie kocha. I nigdy nie pokocha. On gra w jakąś grę, a Sophia zaangażowała swoje najgłębsze uczucia. Musi więc się wycofać jak najszybciej.

Co powinna teraz zrobić?



Gdzieś niedaleko usłyszała odgłos otwieranych i zamykanych drzwi.

On może zaraz przyjść! Sopię ogarnęła panika.

Co mu powie? Jak spojry mu w twarz?

Miły, przytulny pokój stał się teraz pułapką. Sophia rozejrzała się wokół w desperacji.

Musi wyjść na powietrze... Wyjść stąd... Musi w spokoju pomyśleć...

Podeszła do oszklonych drzwi wiodących do ogrodu. Ogród był niczym sanktuarium...

Chwyciła klamkę. Nagle w świetle zmierzchu dostrzegła na zewnątrz jakąś postać, która się poruszyła... Ktoś tam był.

Sophia odwróciła się, przeszła przez pokój i otworzyła drzwi na korytarz. Odetchnęła z ulgą. Hol był pusty.

Jej obcasy stukały na marmurowej posadzce. Sophia obawiała się, że może kogoś spotkać, ale bez przeszkód dotarła do południowego wyjścia. Po krótkiej walce z klamką otworzyła ciężkie, nabite ćwiekami drzwi i znalazła się na opustoszałej przystani przy kanale.

Miała w głowie tylko jedną myśl: uciekać. Przeszła przez most i szybkim krokiem podążyła trasą, którą już znała. Ta część miasta - z małymi *campos* i plątaniną wąskich uliczek - była cicha i niemal bezludna. Zapadał zmrok.

Sophia miała głowę wypełnioną tyloma sprzecznymi emocjami, że nie zwracała uwagi na otoczenie. Wreszcie zmęczenie sprawiło, że zwolniła tempo marszu.

Szła teraz wolniej, wzburzenie również powoli ustępowało. Powietrze było o tej porze o wiele chłodniejsze. Skutecznie studziło emocje. Sophia czuła, że odzyskuje spokój i jasność myślenia.

Doszła do wniosku, że ma trzy rozwiązania. Może wrócić do gościnnego apartamentu w *palazzo*. Albo znaleźć jakiś hotel. Albo wrócić do Londynu pierwszym samolotem.

Wszystkie trzy opcje niestety wymagały powrotu i rozmowy ze Stephenem. Spotkania oko w oko. A tego chciała przede wszystkim uniknąć.

Gdyby znalazła jakiś hotel, mogłaby jutro skontaktować się z Rosą i poprosić o przysłanie rzeczy na lotnisko. Dotarłaby tam taksówką i poczekała na najbliższy samolot.

Jednak rozsądek podpowiadał jej, że znalezienie noclegu na jedną noc może się okazać niemożliwe. Hotele były pełne turystów i mogła liczyć tylko na szczęście...

Nagle z mroku wyskoczył kot. Ten nagły ruch zwrócił jej uwagę. Sophia ocknęła

się z zamyślenia. Rozejrzała się wokoło.

Była jedyną osobą na ulicy, wśród wysokich murów i zamkniętych okiennic. Wokół panowała ciemność, było cicho i pusto.

Wysoko w górze paliło się parę lamp, ale były rozmieszczone rzadko i pomiędzy kręgami bladego światła leżały duże połacie mroku. Na końcu ulicy zobaczyła światło połyskujące na czarnej wodzie. Gdyby poszła prosto, nie patrząc pod nogi, wpadłaby do kanału.

Sophia straciła resztki odwagi. Postanowiła szybko wrócić tam, gdzie krążą turyści i pali się więcej świateł. Musi gdzieś usiąść i wypić kawę. A potem wybrać kilka hoteli... Nagle oblał ją zimny pot. No tak, wyszła przecież bez torebki! Bez pieniędzy, dokumentów i karty kredytowej nie zameldują jej w żadnym hotelu, gdyby nawet znalazł się wolny pokój.

Musi wracać do *palazzo*. Niestety. Jej ucieczka była daremna.

Z ciężkim sercem zawróciła. Wydawało jej się, że idzie tą samą drogą, ale po kilku minutach stwierdziła, że błądzi. Kompletnie straciła orientację. Nie wiedziała, gdzie jest.

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY**

Sophia dostrzegła na murze tabliczkę z nazwą ulicy. Spróbowała odczytać napis. Niestety, tabliczka wisiała wysoko, a światło było zbyt słabe.

Na drugim końcu *calle* była kolejna tabliczka.

Sophia stała z zadartą głową, próbując odczytać litery, gdy nagle kątem oka dostrzegła, że coś się skrada.

Przeszedł ją dreszcz, włosy na karku stanęły dęba, poczuła na ciele gęsią skórę. Usiłowała przeniknąć wzrokiem ciemność.

Wszędzie było cicho. Żadnego dźwięku.

Przypomniała sobie, co markiza mówiła o Wenecji.

Zacisnęła zęby, starając się powstrzymać rosnący strach. Nie może pozwolić, żeby słowa tej złej kobiety ją przestraszyły. Musi się opanować. Ruszyła dalej.

Jednak teraz była zdenerwowana i przeczulona. Chociaż słyszała tylko odgłos swoich kroków na bruku, często oglądała się przez ramię. Nikogo nie dostrzegła, ale szóstym zmysłem wyczuwała, że ktoś za nią idzie.

Unikała wąskich uliczek, wybierała tylko lepiej oświetlone *calles*. Czuła, że jej nogi są jak z waty. Miała nadzieję, że przynajmniej zachowuje dobry kierunek i idzie w

stronę Canale Grande.

Po kilku minutach, które były dla niej niczym wiek, znalazła się na szerszej ulicy; wydała jej się znajoma. Czy to jest droga, która prowadzi do mostu nad Rio Castagnio?

Jeśli tak, *palazzo* znajduje się niedaleko. Sophia odetchnęła z ulgą. Miejsce, z którego uciekła, było teraz wymarzonym schronieniem.

Tak, to jest ten most, a dalej po prawej widać Canale Grande. Światła na jego brzegach połyskiwały na wodzie.

Natomiast na wodzie kanału Rio Castagnio nie było żadnych falujących promieni. Jedyne źródła światła w pobliżu stanowiły dwie lampy na placyku naprzeciwko i jasno iluminowana przystań Palazzo del Fortuna. Przy południowym wejściu płonęły latarnie.

Sophia poczuła się bezpieczna. Ruszyła przez most i już miała zejść na drugi brzeg kanału, kiedy ktoś gwałtownie popchnął ją z tyłu. Wpadła do wody.

Krzyknęła, zanim zanurzyła się razem z głową w zimnej wodzie. Zaskakująco zimnej.

Starła się wypłynąć na powierzchnię i zachować spokój.

Czy w ciemności zdoła odnaleźć schodki na brzeg? Czy napastnik będzie tam na nią czekał? - myślała gorączkowo.

Najlepiej, jeśli od razu popłynie do przystani przy pałacu. Ale czy da radę? Była raczej kiepską pływaczką. Do tego mokre ubranie krepowało jej ruchy. Walczyła, by utrzymać się na powierzchni.

Po Canale Grande przepłynęła łódź. Fale dotarły po chwili do Rio Castagnio i zalały twarz Sophii. Zakaszła. Jej głowa znowu znalazła się pod powierzchnią. Słona woda dostała się do ust i nosa.

Sophia szamotała się w wodzie, krztusząc się i kaszląc. Nagle usłyszała plusk, jakby ktoś wskoczył do kanału.

Po dwóch sekundach chwycił ją czyjeś silne ramiona.

Ogarnęła ją szalona panika. Była przekonana, że ten ktoś chce ją utopić. Zaczęła się z nim szarpać.

- Sophia... Sophia... - Wreszcie dotarło do niej, że to głos Stephena.

Znieruchomiała. Wtedy chwycił ją i szybko popłynął na plecach do brzegu.

Parę sekund, później inny mężczyzna wyciągnął do niej rękę i pomógł jej wejść po schodkach na brzeg. Sophia w nikłym świetle latarki poznała, że to Roberto.

Stephen po chwili stanął obok niej, jego ubranie ociekało wodą. Nie miał tylko

butów i marynarki.

- Dziękuję - szepnęła.
- Nic ci nie jest? - zapytał z troską.
- N-nie, n-nic - wydukała, szczękając zębami.

Stephen sięgnął po marynarkę, która leżała na brzegu, i okrył jej ramiona. Potem odwrócił się do Roberta.

- Południowe wejście jest zamknięte, a nie chcę alarmować kobiet. Czy możesz wezwać łódź i poprosić Carla, żeby nas stąd zabrał? Będzie znacznie szybciej niż przejście przez ogród.

Roberto odpiął od paska walkie-talkie i spełnił prośbę Stephena.

Głos w odbiorniku odpowiedział:

- Cieszę się, że *signorina* jest bezpieczna. Będę tam za minutę. Już wracałem do pałacu, jestem niedaleko. - Gdy skończył mówić, usłyszeli dźwięk motorówki i zobaczyli oświetloną łódź płynącą w ich stronę po Rio Castagnio.

Za chwilę Sophia już siedziała w motorówce. Dołączył do niej Stephen. Roberto wziął jego buty.

- Dam znać innym, że koniec poszukiwań - powiedział.

- Dziękuję, Roberto. Do jutra. *Buona notte*.

Po paru minutach już byli na przystani pałacu.

- Bardzo dziękuję za pomoc, Carlo - Stephen zwrócił się do kierowcy motorówki.  
- Czy mógłbyś potem zaryglować drzwi?

- Oczywiście, *signore* Haviland. *Buona notte*.

Sophia i Stephen wciąż ociekali wodą. Szybko pospieszyli przez hol i salon do łazienki Stephena.

Sophia trzęsła się z zimna i szoku. Nie była zdolna zebrać myśli.

Kiedy Stephen zdjął jej buty i próbował zsunąć z ramion mokrą sukienkę, odepchnęła go niezdarnie.

- Zostaw mnie... Ja sama...

- Daj spokój. Sama nie możesz nawet ustać. Pomogę ci. Nie musisz się wstydzić, już widziałem cię nagą.

Kiedy jej ubranie utworzyło cieknący stos na podłodze, Stephen sam się szybko rozebrał, chwycił ją, zanim zdążyła zaprotestować, i oboje znaleźli się pod gorącym prysznicem.

Ciepła woda zadziałała terapeutycznie. Po chwili Sophia przestała drżeć. Stephen zaczął wyjmować spinki z mokrej fryzury, która była kiedyś kokiem. Potem sięgnął po

szampon, umył jej głowę, a potem sobie.

Para kłębiła się wokół nich, to też działało uspokajająco.

Stephen zakręcił wodę i wytarł Sophię dużym ręcznikiem. Zachowywała się, jakby była w transie.

Potem wyciągnął dwa szlafroki i w jeden z nich zawinął Sophię. Przewiązał ją paskiem w talii. Następnie wysuszył jej włosy suszarką i rozczesał.

Gdy skończył te zabiegi, poprowadził ją do salonu i usadził w fotelu.

- Jest już późno, musisz być wyczerpana - powiedział łagodnie. - Proponuję, żebyśmy porozmawiali jutro. Ale zanim pójdziemy spać, napijmy się brandy.

Sophia nadal czuła się dziwnie. Jakby była nie w pełni obecna.

- Nie mogę pić brandy - zaprotestowała, bo poczuła lekkie mdłości.

Stephen jednak podszedł do szafki i wrócił z dwiema szklaneczkami.

Widząc jego wzrok, wzięła jedną bez zbędnych dyskusji.

Usiadł naprzeciwko i patrzył, jak Sophia powoli sączy brandy, otrząsając się od czasu do czasu.

Szybko poczuła ciepło w żołądku, które rozlewało się po całym ciele. Zerknęła na Stephena, siedział teraz z pochyloną głową, pogrążony w myślach.

Przed chwilą był jej ratunkiem, wybawieniem, źródłem siły, jego opiekuńcze ręce były dla niej oparciem... Teraz znowu widziała w nim mężczyznę, który przyciągał ją jak magnes.

Gdy opróżniła szklaneczkę, wstała chwiejnie.

- Dokąd się wybierasz? - zapytał łagodnie.

- Do swojego pokoju.

Już miała sięgnąć klamki, kiedy jego dłoń znalazła się na jej nadgarstku.

- Chciałbym, żebyś została, Sophio.

- Chcę wyjść - odparła.

- Nie dzisiaj. Tej nocy powinnaś spać tutaj.

- Nie mam zamiaru spać z tobą - fuknęła.

- Dobrze. Ujmę to inaczej: śpij w moim łóżku.

- Nie chcę!

Uniósł brwi.

- Przecież już w nim spałaś.

Zaczerwieniła się.

- To był błąd. Chcę wrócić do mojego pokoju.

- Po tym wszystkim, co zaszło tego wieczoru, nie mogę spuścić cię z oka. -

Zaczynał tracić cierpliwość. - Dlaczego uciekłaś i sama chodziłaś po zmroku? Jaki to miało sens?

- Mówiłeś, że w Wenecji jest bezpiecznie.

- Bo jest, z wyjątkiem bardzo szczególnych okoliczności.

Zmusił ją, żeby ponownie usiadła w fotelu.

- Czy zdajesz sobie sprawę, co przeżywałem?! Wróciłem do salonu, a ty rozplynęłaś się w powietrzu... Tyle osób cię szukało... a potem usłyszałem ten krzyk... - Umilkł, zacisnął usta i opadł na fotel naprzeciwko.

Sophia uświadomiła sobie, że jest wściekły.

Jego reakcja przypominała jej o pewnym wypadku, którego świadkiem była w tym roku.

Mały chłopiec wyrwał się z rąk matki i wbiegł na ulicę wprost pod koła przejeżdżającego samochodu. Kierowca zdołał zahamować. Matka - zamiast przytulić dziecko - ze strachu zaczęła na nie wrzeszczeć i nim potrząsać. Dopiero potem rozplakała się z ulgi.

Sophia poczuła, że również jest bliska łez. Wstała z fotela i uknęła przy Stephenie.

- Przepraszam... nie przyszło mi do głowy, że będziesz się denerwował.

- Mówisz to poważnie?! Naprawdę myślisz, że nie dbam o ciebie? Że mnie nie obchodzi, czy coś ci się stanie czy nie?

Sophia wstrzymała oddech. A więc mu na niej zależy!

Co nie oznaczało, że ją kocha. Jednak w tym momencie to wystarczyło.

Wyczerpana położyła głowę na jego kolanach. Poczuła, że on głaszcze jej włosy.

Po chwili wstał i podniósł ją z kolan.

- Teraz do łóżka. Jutro porozmawiamy.

Wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni. Położył się obok niej. Sophia ułożyła głowę na jego ramieniu i zasnęła w ciągu kilku sekund.

Spała głęboko, bez żadnych snów. Otworzyła oczy, gdy promienie słoneczne padały na ścianę. Zegarek wskazywał jedenastą. Ponownie obudziła się sama w tym wielkim łóżu.

Wstała i jak automat poszła do swojej sypialni.

Pokój był zalany słońcem. Sophia stanęła i przyglądała się tej pięknej sypialni. Zwróciła uwagę na małe niebieskie kafelki, którymi wyłożony był kominek, i różowy aksamit sofy i fotela.

Nad kominkiem wisiał obraz. Był to portret młodej kobiety z ciemnymi lokami,



ciemnymi oczami i uroczą twarzą w kształcie serca. Miała na sobie siedemnastowieczną błękitną suknię balową, na szyi podwójny sznur pereł, które zdawały się jaśnieć wewnętrznym światłem - Sophia poznała, że były to owe słynne Padewskie Perły. W rękę kobieta z obrazu trzymała srebrną karnawałową maskę.

Sophia stała jak zamurowana i nie mogła oderwać wzroku od portretu. Bez wątplenia był to oryginał, z którego ojciec namalował swoją miniaturę.

Miniaturę, którą tak bardzo chciała kupić markiza...

Ale Stephen też widział miniaturę. Jeśli wiedział, że oryginał znajduje się w pałacu, dlaczego nic o tym nie wspomniał?

Zagadkę może więc rozwiązać tylko on.

Sophia szybko wzięła prysznic. Włożyła spódnicę i top. Na nogi - sandały o płaskich podeszwach. Włosy związała w luźny węzeł.

Zafascynowana znowu zapatrzyła się w obraz.

W tym momencie usłyszała głos Stephena:

- Tu jesteś! Byłem ciekawy, gdzie tym razem cię znajdę. - W jego głosie była ulga. Widocznie się obawiał, że znowu wyszła bez słowa.

Stał w otwartych drzwiach. Miał na sobie oliwkowe spodnie i jedwabną koszulkę w podobnym odcieniu, rozpiętą pod szyją.

Wydawał się spięty, jakby zachowanie spokoju i równowagi kosztowało go trochę wysiłku.

- Jak się dzisiaj czujesz? - zapytał grzecznie.

- Bardzo dobrze, dziękuję - odpowiedziała tym samym tonem. Spojrzała na obraz i dodała: - Dlaczego nie powiedziałeś mi w galerii o tym portrecie?

- Nie byłem pewien, czy wiesz o jego istnieniu. Ta historia jest zbyt skomplikowana, żeby ją wyjaśnić w paru słowach. Ja z kolei nic nie wiedziałem o miniaturze i byłem zaszokowany awanturą, którą Gina wywołała.

- Skoro nie wiedziałeś o miniaturze, to po co przyszedłeś do galerii?

- Żeby zobaczyć ciebie.

- O... - Zaskoczył ją. - Jeśli oryginał znajdował się w pałacu, dlaczego markiza chciała mieć miniaturę?

- Nie wiedziała, że ten portret nadal tu jest. Paolo go nie cierpiał. Podczas jednej z awantur usiłował go zniszczyć. Ciocia poprosiła więc Roberta, żeby zdjął obraz i gdzieś schował. Chociaż brzydziła się kłamstwem, powiedziała Paolowi, że obraz skradziono. Zaraz po jego śmierci ponownie pojawił się na swoim miejscu nad kominkiem.

- To dziwne, że twój wuj żywił taką niechęć do uroczego starego obrazu - powiedziała Sophia, zmieszana jego opowieścią.

- On wcale nie jest stary. Suknia i fryzura mogą mylić, ale jeśli dobrze się przyjrzyysz, łatwo poznasz, że powstał w tym samym czasie co miniatura. - Gdy Sophia popatrzyła na niego przenikliwie, dodał: - I namalował go ten sam człowiek.

- Myślisz, że tata namalował oba obrazy?

- Na pewno.

- Więc skąd się tu wziął ten portret?

- Właśnie tutaj został namalowany. To portret cioci Fran, kiedy była młoda. Tę suknię uszyto specjalnie dla niej na czas karnawału. Miała ją na balu...

Ojciec znał tę piękną kobietę i ukrywał ten fakt przede mną. Podobnie jak Stephen - pomyślała.

- Wiedziałaś, że twoja ciotka i mój ojciec się znali, więc dlaczego... - zaczęła, ale nagle doznała olśnienia i dokończyła: - Nasze spotkanie nie było przypadkowe!

- Nie.

- Śledziłaś mnie.

- Tak.

- Dlaczego?

Stephen westchnął.

- To długa i skomplikowana historia, którą i tak chciałem ci opowiedzieć, zanim wrócisz do Londynu. Proponuję, żebyśmy jednak najpierw zjedli lunch. Musisz być głodna. Później ci opowiem wszystko, co wiem.

Dzień był przepiękny. Zjedli więc posiłek w ogrodzie pod baldachimem z zielonych liści prześwietlonych słońcem. Owoce morza, sałatki, ser i owoce bardzo smakowały na powietrzu.

Jedli w milczeniu. Napięcie między nimi rosło.

Rosa po lunchu przyniosła im kawę.

Sophia patrzyła wyczekująco na Stephena, gdy napelniał dwie filiżanki.

- Obiecałeś, że po lunchu wszystko mi opowiesz.

- I tak będzie. - Zmrużył oczy od słońca. - Zastanawiam się tylko, od czego zacząć.

- Zaczynj od tego, dlaczego markiza tak chciała mieć tę miniaturę. To przecież portret kobiety, której nienawidziła.

- Gina chciała kupić ten obraz, bo ciocia Fran ma na nim Padewskie Perły.

Krótko po namalowaniu tego portretu perły zniknęły. Moi rodzice przypuszczali, że

ciocia zdeponowała je w banku, żeby Paolo nie położył na nich ręki. W każdym razie nikt więcej ich nie widział. Podczas ostatniej choroby ciocia Fran spotkała się z prawnikiem i sporządziła testament. Jednak nie złożyła tego dokumentu u niego i nie mogliśmy go znaleźć tak od razu. W każdym razie pogrzeb odbył się zgodnie z jej życzeniem, które przekazał nam prawnik. Ciocia zabezpieczyła finansowo Rosę i Roberta, *palazzo* wraz z wyposażeniem zapisała mnie, a Padewskie Perły - swojej „córce”. Ten ostatni zapis był dla wszystkich zaskoczeniem, a nawet szokiem, bo wiadomo było, jak bardzo ciocia i Gina nawzajem się nie lubiły. Wkrótce okazało się, że pereł wcale nie zdeponowano w banku. Po prostu zniknęły. Albo jakby nigdy nie istniały. Rosa i Roberto, dwie osoby cioci najbliższe, potwierdzali, że perły istniały, ale ten portret był jedynym na to dowodem. Gina oczywiście oskarżyła ich oboje o kradzież, ale zdecydowanie odpierali zarzuty. Moi rodzice sądzili, że jeśli perły rzeczywiście ktoś ukradł, najprawdopodobniej był to Paolo. Jednak ciocia Fran nawet po jego śmierci nigdy nie wspomniała, że zginęły. Ja byłem zdania, że ukryła je w jakimś bezpiecznym miejscu.

- Czy w końcu zostały znalezione? - spytała Sophia.

Stephen pokręcił głową.

- Gina porzuciła pomysł, że to Rosa i Roberto są złodziejami i zaczęła myśleć tak jak ja. Trzeba było spróbować rozwiązać tę zagadkę. Zaczęliśmy szukać, ale *palazzo* to ogromne pole do poszukiwań...

- Jeśli już jesteśmy przy pałacu... - zaczęła Sophia, gdy Stephen umilkł. - Skąd się tu wziął mój ojciec?

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Stephen zastanawiał się przez moment, jak zacząć.

- Fran miała w dzieciństwie ukochaną przyjaciółkę. Nazywała się Maria Caldoni.

- Moja matka... - szepnęła Sophia.

- Tak. Kiedy rodzina Caldoni wyprowadziła się do Rzymu, przyjaciółki za sobą tęskniły i odwiedzały się, gdy tylko nadarzyła się okazja. Po zaręczynach Maria i twój ojciec kilka razy przyjeżdżali do Wenecji, zatrzymywali się tutaj. Moi rodzice i ja nadal mieszkaliśmy w *palazzo*. Miałem wtedy pięć lat i pamiętam, jak przyjeżdżali. Wówczas ciocia Fran była już mężatką, ale jak tylko zrozumiała, że popełniła fatalny błąd, próbowała ukryć ten fakt przed wszystkimi. Tamtego roku Maria i twój ojciec przyjechali na karnawał w Wenecji. Wtedy namalował portret Fran i, jak sądzę, tę miniaturę dla siebie. Zaczął też malować portret mojego taty...

Serce Sophii zabiło mocniej.

- To dlatego ten portret tak mi ciebie przypominał...

- Tak... Jest niedokończony, ponieważ wkrótce potem przeprowadziliśmy się do Stanów.

Sophia nie mogła otrząsnąć się ze zdumienia.

- Niesamowite podobieństwo... To wprost nie do uwierzenia...

- Mój ojciec oczywiście postarzał się przez lata, ale na fotografiach widać, że kiedy był w moim wieku, wyglądał niemal identycznie. Różnimy się tylko wzrostem. Jestem kilka centymetrów wyższy.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi, kto jest na portrecie, kiedy ci go pokazywałam?

- Mówiłem ci, to bardzo zawikłana historia. Nie wiedziałem, czy znasz jakiegokolwiek fakty. Ja dopiero w ostatni weekend poznałem ją całą - po przeczytaniu pamiętnika cioci Fran i po rozmowie z Rosą. - Na widok jej miny pełnej dezaprobaty dodał: - Tak, wiem, że czytanie prywatnych zapisków to wścibstwo, ale nigdy bym tego nie zrobił, gdyby nie wyraźne polecenie w testamencie. W ostatniej woli ciocia zapisała ten pamiętnik mnie. Zaznaczyła, że chciałyby, żeby ludzie, których najbardziej kochała, poznali, jakie naprawdę było jej życie, i zrozumieli motywy jej decyzji.

- Ale czyby chciała, żebym ja też poznała ten pamiętnik? - zapytała Sophia niepewnie.

- Tak. Zdecydowanie. Opowiadać dalej?

- Tak, proszę.

- To się działo po tym pamiętnym karnawale, kiedy pijany Paolo zdradził się przed Fran, dlaczego naprawdę ją poślubił. W tym czasie twój ojciec zakochał się we Fran, a ona w nim...

Zapadła cisza. Pierwsza odezwała się Sophia:

- Mój ojciec i twoja ciotka byli w sobie zakochani?

- Tak. Być może Paolo domyślał się tego i poczuł się zagrożony... W każdym razie nienawidził tego portretu. Niedługo potem rozstali się, Paolo zabrał Ginę i wyjechał. Wtedy twój ojciec błagał Fran, żeby się rozwiodła i wyszła za niego. Oficjalnie był nadal narzeczoną Marii, jej rodzice planowali wielkie wesele, przygotowania były w toku. Jednak twój ojciec był gotów powiedzieć narzeczonej prawdę i odwołać ten ślub. Fran - mimo że bardzo go kochała - nie pozwoliła na to.

Los zrządził, że wtedy rodzina Caldoni wyjechała na miesiąc do Kapsztadu w odwiedziny do krewnych. Maria pojechała z rodzicami. Twój ojciec skorzystał z okazji i przyjechał sam do Wenecji przekonać Fran, by zmieniła zdanie. Na szali ważyło się jej szczęście, ale była niewzruszona. Napisała w pamiętniku, że nie chciała rujnować życia najlepszej przyjaciółce. Powiedziała twojemu ojcu, że zawsze będzie go kochać, a jeśli on równie mocno kocha ją, powinien ożenić się z Marią. Wrócił więc do Rzymu, a kiedy narzeczona przyjechała z Afryki, odbyło się huczne wesele. W tym momencie ani twój ojciec, ani Fran nie wiedzieli, że ona spodziewa się dziecka. Po paru miesiącach, kiedy Fran już miała pewność, że jest w ciąży, nieoczekiwanie do pałacu zjechał Paolo. W zaistniałych okolicznościach powinna mu powiedzieć, żeby wracał, skąd przyszedł, ale ona jak zwykle trzymała się swoich żelaznych zasad. Kiedy się zorientował, że Fran nadal nie ma zamiaru uwzględnić go w swoim testamencie, wyjechał obrażony, tym razem na dobre. - Sophia patrzyła na Stephena oczami szeroko otwartymi ze zdumienia. A on kontynuował: - Gdy ciąża stała się widoczna, Fran nigdy nie opuszczała pałacu. O wszystkim wiedzieli tylko Rosa, Roberto, twój ojciec i Maria. Twój ojciec znał prawdę, ale Maria myślała, że to dziecko Paola. Po trzech miesiącach małżeństwa Maria też spodziewała się dziecka. Niestety, poroniła. Okazało się, że ataki gorączki reumatycznej tak osłabiły jej serce, że kolejna ciąża byłaby zagrożeniem dla życia. Maria bardzo to przeżywała. Wpadła w depresję. Fran bardzo współczuła im obojgu. Miała wyrzuty sumienia, że skrzywdziła i najlepszą przyjaciółkę, i ukochanego mężczyznę. Jako zadośćuczynienie zaproponowała im, żeby adoptowali jej dziecko, jeśli urodzi się zdrowe. Postawiła tylko dwa warunki. Pierwszy - absolutnie nikt, zwłaszcza Paolo, nie może się dowiedzieć, że ona urodziła dziecko. Prawdopodobnie bała się, że odgadłby prawdę i narobił wiele kłopotów. Drugi

warunek - dziecko nigdy się nie dowie, że zostało adoptowane. Maria i twój ojciec zgodzili się na wszystko i tydzień przed terminem porodu przybyli do *palazzo*. Papiery adopcyjne czekały już tylko na wypełnienie i podpisanie. Doktor i prawnik obiecali dyskrecję. Wszyscy w napięciu czekali na narodziny dziecka...

- I...? - Sophia była prawie pewna, że wszystko zakończy się jakąś tragedią.

Jednak Stephen odparł spokojnie:

- I Fran w dniu własnych urodzin - szóstego marca - urodziła córeczkę.

Sophia znieruchomiała, zaskoczona.

- Szóstego marca są moje urodziny.

- Zgadza się.

- Czy jestem córką Fran?

- Tak. Była bardzo dzielną i szlachetną kobietą. Potrafiła zrezygnować z jedyne go mężczyzny, którego kochała, i z dziecka, którego zawsze pragnęła. Maria i twój ojciec chcieli ci dać na imię Francesca, ale Fran nalegała, żeby nazwać cię Sophia, jej drugim imieniem.

- Nigdy mnie już nie zobaczyła? - zapytała Sophia cicho.

- Ze względu na Marię nigdy o to nie prosiła. Ale gdy miałaś cztery lata, Maria przyjechała z tobą do Wenecji i zabrała cię do *palazzo*. Wtedy Fran cię widziała. W pamiętniku napisała, że te kilka dni były najszczęśliwsze w jej życiu. Wspomina, jak byłaś zachwycona, kiedy napisała pierścieniem na szybce twoje imię... Twój sen na jawie okazał się więc na pół zapomnianym przeżyciem z dzieciństwa.

To był pierwszy i ostatni raz, kiedy się spotkałyście. Fran napisała, że zawsze byłaś w jej myślach. Postanowiła dać ci Padewskie Perły na dwudzieste piąte urodziny. Gdy termin urodzin się zbliżał, zaczęła mieć jakieś przeczucia na temat swojej śmierci. Ostatni wpis w pamiętniku mówi, że postanowiła poczynić kroki, żeby perły bezpiecznie trafiły w twoje ręce. Dodała, że chociaż Maria i Paolo nie żyją i nie mogą już czuć się zranieni, obiecała twemu ojcu, że poznasz prawdę właśnie wtedy, na dwudzieste piąte urodziny. Gdyby dożył, prawdopodobnie sam opowiedziałby ci o wszystkim.

Zanim testament Fran ujrział światło dzienne, nikt - z wyjątkiem Rosy i Roberta - nie miał pojęcia, że Fran ma rodzoną córkę. W testamencie zapisano nie tylko, że Fran przekazuje perły córce. Podano jej nazwisko: Sophia Jordan. Gdy Gina zrozumiała, że perły nie są przeznaczone dla niej, wpadła w furję. Początkowo nie chciała uwierzyć w istnienie jakiejś nieznannej córki. Twierdziła, że to złośliwa sztuczka Fran, żeby jej dokuczyć. Jednak Rosa i Roberto potwierdzili, że Fran ma córkę.



Padewskie Perły zniknęły, ale to nie była jedyna zaginiona rzecz. Ciocia Fran miała piękną szkatułkę na biżuterię, którą ja też pamiętałem. Szkatulka rozplynęła się w powietrzu. Niedawno spytałem o nią Rosę i powiedziała mi, że przed śmiercią Fran wysłała Roberta z przesyłką do Londynu. Rosa przypuszczała, że była w niej szkatulka. Paczka miał być doręczona twemu ojcu.

- Oczywiście! - wykrzyknęła Sophia. - Pani Caldwell otwierała drzwi Robertowi. Opisała mi go dokładnie. Gdy pierwszy raz go zobaczyłam, od razu pomyślałam, że pasuje do tego opisu. Gdy skojarzyłam fakty, doszłam do wniosku, że w tej paczce przysłano szkatułkę, którą potem znalazłam w biurku ojca. Była tam również karteczka z życzeniami... Ojciec nie wychodził z domu, sądziłam więc, że zamówił ten niezwykle prezent pocztą. Wszystko tak doskonale pasowało, na wieczku były wyrzeźbione moje znaki zodiaku...

- Fran ucieszyłaby się, że prezent ci się spodobał. To był jeden z jej najcenniejszych skarbów. Dostała tę szkatułkę od swoich rodziców na dwudzieste piąte urodziny. Obie jesteście spod znaku Ryb.

Oczy Sophii napełniły się łzami.

- Jeśli wysłała ci szkatułkę, perły na pewno były w środku...

Sophia pokręciła głową, ocierając łzy.

- Nic nie znalazłam... Nie wiem, co się z nimi stało...

- Może twój tata, znając ich wartość, wyjął je i umieścił gdzieś w bezpiecznym miejscu.

- Nie! - zawołała. - Zostały skradzione! Tego wieczoru, kiedy się poznaliśmy, wyszłam do pani Caldwell. Wtedy ktoś przeszukiwał moje mieszkanie! Grzebał w szufladach... Nie wiem, jak zdołał wejść... - nagle urwała. Zapadła długa cisza. - To ty - rzuciła Sophia oskarżycielskim tonem. - Ty ukradkiem zabrałeś klucze i potem wróciłeś, by tam myszkować!

- Tak - przyznał się.

- Więc przyjechałeś do Londynu z powodu tych pereł. Chciałeś je odzyskać.

- Przyjechałem z powodu pereł, owszem, ale wcale nie miałem zamiaru ich odzyskiwać. Chciałem się upewnić, czy Fran w ogóle wysłała perły i czy trafiły do właściwej osoby. Nie zapominaj, że to się działo, zanim przeczytałem pamiętnik. Nigdy wcześniej nie słyszałem o Sophii Jordan. Gina dowiedziała się o wizycie Roberta w Londynie i zaczęła podejrzewać jakieś oszustwo. Byłem skłonny się z nią zgodzić. Perły zostały dostarczone komuś nieznanemu, cała sprawa wyglądała dość tajemniczo. Roberto miał dostarczyć przesyłkę pod wskazany adres, do *signore*

Jordana, ale wcale nie sprawdził, czy to był właśnie ten człowiek...

- Mówiłeś, że ojciec bywał częstym gościem w *palazzo*. Roberto mógł go rozpoznać.

- Właściwie był tam dłużej tylko raz, ponad dwadzieścia lat temu. Rosa na pewno by go poznała, ale Roberto rzadko stykał się z gośćmi. Sam to zresztą przyznał. Chcąc się upewnić, że wszystko jest w porządku, postanowiłem sam wybrać się do Londynu i zabawić w detektywa. Kiedy Gina o tym usłyszała, koniecznie chciała jechać ze mną. Ona nie lubi podróżować sama. Jej dawny przyjaciel, Giovanni Longheni, który mieszka od lat w Kalifornii, przebywał wtedy w Londynie w interesach. Powiedziała, że chce się z nim spotkać i spędzić razem trochę czasu. I tak się stało. Ale wracam do tematu: Szybko ustaliłem, że Peter Jordan nie żyje, a kobieta, którą ciocia Fran nazwała „córką”, pracuje w galerii sztuki. - Stephen nie odrywał oczu od twarzy Sophii. - Nie wiedziałem, jakim człowiekiem jesteś. Chciałem się upewnić, czy Fran nie padła ofiarą jakiejś intrygi. Tamtego wieczoru, w piątek, gdy Gina umówiła się z Giovannim, poszedłem do galerii A Volonte, żeby ci się przyjrzeć. - Lekko dotknął jej policzka. - I doznałem szoku. Te oczy i kształt twarzy... twoje gesty... atmosfera spokoju i siły wokół ciebie... To dziwne, ale od razu byłem przekonany, że jesteś córką Fran. Potrzebowałem dowodu. Chciałem się zorientować, jak dużo wiesz i czy masz perły. Musiałem więc z tobą porozmawiać. Kiedy wyszłaś z galerii, szedłem za tobą. Czekałem na właściwy moment, żeby podejść. I nagle szczęśliwym trafem torba, którą niosłaś, upadła na chodnik...

Twoja pierwsza reakcja mnie zaniepokoiła. Patrzyłaś, jakbyś mnie znała. Jakby moja twarz była ci znajoma... Gdy zobaczyłem tamten portret, zrozumiałem dlaczego... - Uśmiechnął się. - Chociaż ten portret potwierdzał związki z Wenecją i *palazzo*, nadal wiele pytań domagało się odpowiedzi. Zobaczyłem szkatułkę cioci Fran. Powiedziałaś mi, że była pusta, ale musiałem sprawdzić...

- Więc podstępnie zabrałaś klucze i pod moją nieobecność przeszukiwałaś mieszkanie - dokończyła za niego. Nie mogła uwierzyć, że tak wygląda prawda.

- Przepraszam cię. Nie jestem z tego dumny.

- Przypuszczam, że nie znalazłaś tych pereł?

- Nie. Wróciłem do hotelu i zacząłem się zastanawiać, co dalej robić. Miałem wrażenie, że nic nie wiesz o perłach ani o *palazzo*, ani o żadnej ze spraw związanych z Wenecją. Jednak musiałem się upewnić. Chciałem znaleźć pretekst, żeby lepiej cię poznać. I oczywiście dotrzeć do sedna tej tajemnicy. Nie mogłem zostać dłużej w Londynie - pilna sprawa biznesowa wymagała mojej obecności - więc myślałem nad

tym, w jaki sposób mogę ściągnąć cię do Wenecji. Zajęło mi to pół nocy, ale zdołałem wymyślić niezły plan...

- A więc skłamałeś! - prychnęła Sophia. - Wcale nie chcesz sprzedawać tych obrazów!

- Nie, akurat ta część historyjki jest prawdziwa. Kłamstwem było to, że ekspert miał wypadek i że ja pilnie potrzebuję twojej pomocy. On naprawdę miał wypadek, ale pierwszy pokaz obrazów jest dopiero za kilka miesięcy, więc do tej pory zdąży wyzdrowieć. W każdym razie ten mój drobny podstęp okazał się skuteczny i zgodziłaś się przyjechać. Nie muszę chyba mówić, że Gina była przerażona. Nie chciała, żebyś zbliżała się do pałacu. Z dwóch powodów. Bała się, że jeśli perły są gdzieś ukryte, Fran mogła ci dać wskazówki, jak je znaleźć. Nie wierzyła, że jesteś córką Fran, i chciała zrobić wszystko, żebyś nie dostała tych pereł. Drugi powód był trochę inny: zazdrość. Zawsze lubiłem Ginę, ale nie składałem jej żadnych propozycji. Byłem świadomy, że chętnie widziałyby mnie jako męża numer dwa. Gdyby zdobyła bogatego męża i te perły na dodatek, byłaby zachwycona. Więc widzisz, że stanowiłaś dla niej poważne zagrożenie... Trochę się uspokoiła, kiedy usłyszała, że chcesz zamieszkać w hotelu. Gdy wróciłem do Wenecji, zrobiłem to, od czego powinienem był zacząć: przeczytałem pamiętnik ciotki Fran. I wszystko stało się jasne. Prawie wszystko... Gina oczywiście nie mogła się pogodzić z myślą, że perły prawnie ci się należą. Nie była też zachwycona, gdy odkryła, że mieszkasz tutaj. Zażądała, żebym natychmiast znalazł ci pokój w hotelu. Nie miałem zamiaru jej słuchać.

Sophia skojarzyła pewne fakty.

- To twoja sprawa! - wykrzyknęła. - To ty odwołałeś moją rezerwację.

Dlaczego?

- Bo chciałem, żebyś mieszkała w moim domu. Krótko mówiąc, chciałem opiekować się tobą i kontrolować sytuację. Chociaż nie wszystko potoczyło się według planu. Najpierw Rosa oznajmiła, że byłaś oczekiwana w *palazzo*, potem wspomniała o twoim ojcu. Jednak największym problemem okazała się wściekłość Giny. Ten napastnik w sypialni, który tak cię przestraszył... Uświadomiłem sobie wtedy, do czego ona zmierza.

- To markiza go tu przysłała?

Stephen pokiwał głową.

- Tak. To nie było trudne do odgadnięcia. Intruz miał klucze. Gina nadal posiada jeden komplet od czasów, gdy tu mieszkała. Tylko ona mogła je komuś dać...

- Ale co ten włamywacz tu robił?

- Szukał pereł. Miał przeszukać twoje rzeczy. Gina sądziła, że mogłaś przywieźć ten naszyjnik ze sobą. Nie wykonał zadania, przeszkodziłaś mu swoim powrotem do pokoju. Wczoraj wieczorem Rosa poprosiła mnie na chwilę w pilnej sprawie. Roberto i inni złapali mężczyznę, który ukrywał się w ogrodzie. Czekał, aż się ściemni, żeby ponownie dostać się do twojego pokoju. Zanim tam dotarłem, zdążył się wyrwać i uciec. Roberto jednak go rozpoznał. To jeden ze służących w Ca' d'Orsini.

Gdy wróciłem, ty zniknęłaś. Zacząłem się niepokoić. Jeden z służących widział, jak się wysliznęłaś południowym wyjściem. Mój niepokój wzrósł, bo Rosa powiedziała mi, że przypadkiem podsłuchiwała, jak Gina ci groziła. Nie wierzyłem, by miała na myśli jakieś fizyczne zagrożenie, ale jednak... - Przeczesał palcami włosy. - Nie wzięłaś torebki, więc nie miałaś przy sobie ani telefonu, ani pieniędzy na taksówkę. To znaczyło, że spacerujesz nocą sama, a ten człowiek, który nam uciekł, gdzieś może się czaić. Od razu zorganizowałem poszukiwania. Włamywacz cię śledził, więc dobrze wiedział, jak wyglądasz. Zapewne wiedział też, że wyszłaś z pałacu. Zgłosił to swojej szefowej - mieli kontakt przez telefon komórkowy. Dała mu odpowiednie instrukcje: nadarzyła się świetna okazja, żeby przestraszyć cię tak, byś natychmiast opuściła Wenecję. - Rysy Stephena stwardniały. - To jest niewybaczalne! Gina kazała mu wepchnąć cię do kanału. Nie wiedziała nawet, czy umiesz pływać ani czy będzie ktoś w pobliżu, by ci pomóc... Mogę tylko dziękować Bogu, że usłyszałem twój krzyk. Gdybym nie wracał z poszukiwań przez *campo*, mogłabyś utonąć. Dzisiaj rano poszedłem do Giny i powiedziałem jej... - Urwał, bo Rosa przyniosła tacę z zimnymi drinkami.

Zebrała puste filiżanki i zawahała się przez chwilę.

Stephen spojrzał na nią.

- Co się stało? - zapytał.

- Nic takiego, *signore* Stefano. Tylko Roberto przypomniał sobie, że w paczce, którą zawiózł do Londynu, był też list. Pomyślałam, że powinien pan to wiedzieć.

- Dziękuję, Roso.

Gospodyni odetchnęła z ulgą i odeszła.

- Oczywiście - powiedział Stephen. - Powinienem się domyślić. Roberto zna tylko kilka słów po angielsku. Jeśli Fran nie zadzwoniła wcześniej do twojego ojca, musiała napisać list.

Sophia piła powoli sok owocowy i niecierpliwie czekała na dalszy ciąg opowieści.

- Więc rozmawiałaś dziś z markizą...

- Tak. Początkowo zaprzeczała, że ma coś wspólnego z tym atakiem, ale kiedy zagroziłem, że pójde na policję, przyznała się, że tamten człowiek postępował według jej wskazówek. Przysięgała, że nie chciała, by stało ci się coś złego, on miał cię tylko przestraszyć. Powiedziała mi też - może po to, bym był zazdrosny - że Giovanni Longheni, ten, którego po latach spotkała w Londynie, poprosił ją o rękę. Dał jej kilka dni do zastanowienia. Jeśli ona odpowie: tak, przyjedzie po nią z Kalifornii. Giovanni to ten człowiek, o którym ci wspominałem. Był bardzo młody, gdy chciał się z nią żenić. Jego rodzina sprzeciwiała się i chciała zostawić go bez grosza. Gina z kolei nie mogła znieść myśli, że będzie biedna. Giovanni skończył elektronikę i sam dorobił się sporego majątku. Pieniądze nie są więc już problemem. W każdym razie Gina nadal zwlekała z odpowiedzią, mając jeszcze jakieś nadzieje związane ze mną. Rozwiałem je definitywnie, radząc jej, żeby przyjęła oświadczenia Giovanniego. - Widząc zaskoczone spojrzenie Sophii, dodał: - Nigdy nie miałem zamiaru poślubić Giny. Lubiałem ją, aż do tej pory, ale to jest ostatnia osoba, z którą mógłbym spędzić życie. Nagadała ci kłamstw, żeby się pozbyć rywalki. - Wyjął pustą szklankę z jej dłoni i pocałował Sophię w rękę. - Teraz rozumiem twoje zachowanie.

- Wyraźnie powiedziałeś, że chcesz się ożenić...

- Tak, jeśli mnie zechcesz.

- Ja? - szepnęła Sophia.

- To ciebie wybrałem jako moją żonę, przyjaciółkę i kochankę. Towarzyszkę na całe życie. I matkę moich dzieci. Gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy, już przepadłem. Zakochałem się od pierwszego wejrzenia. Nie mogę sobie wyobrazić, żebym mógł żyć z kimś innym... Zacząłem mieć nadzieję, że ty czujesz podobnie, ale kiedy powiedziałaś, że chcesz wyjechać, zrozumiałem, że się myliłem...

- Dlatego byłeś zły?

Kiwnął głową.

- Myślałem, że ci na mnie nie zależy.

- Chciałam wyjechać, bo zależało mi aż za bardzo.

- Moja ukochana... - Stephen przytulił ją i zaczął całować. Po chwili zapytał: - Kiedy za mnie wyjdiesz?

Serce Sophii przepelniała radość.

- Jak najszybciej. Szkoda, że tata nie doczekał tego wydarzenia. Byłby szczęśliwy - dodała drżącym głosem.

- Podobnie jak Fran... - Stephen pokiwał głową. - Żałuję, że nie znaleźliśmy pereł, mogłabyś je założyć w dniu ślubu. Szkoda, że nie wiemy, co Fran napisała w



tym liście. Może tam było jakieś rozwiązanie zagadki.

- Wiem, że ojciec nie zniszczyłby tego listu. Prawdopodobnie nadal leży w biurku. Nie przeglądałam jeszcze jego papierów, oprócz jednego czy dwóch, które musiałam znaleźć. - Nagle przyszedł jej do głowy dobry pomysł: - Wiem! Zadzwoń do pani Caldwell! Ona ma klucze do mieszkania. Poproszę ją, żeby poszukała tego listu w biurku.

- No to chodźmy!

Pani Caldwell była zachwycona, słysząc głos Sophii. Po wymianie uprzejmości i najważniejszych informacji Sophia poprosiła ją o przysługę.

- Ten list prawdopodobnie nie ma znaczka, dostarczono go przez posłańca - dorzuciła na koniec.

- Jeśli chcesz zaczekać, kochanie, zaraz idę do twojego mieszkania.

Po kilku minutach w słuchawce ponownie zabrzmiał głos staruszki.

- Chyba znalazłam ten list - mówiła zdyszana i podekscytowana. - Na kopercie jest tylko nazwisko twojego ojca. Wysłać ci go pocztą czy teraz przeczytać?

- Proszę mi go przeczytać.

- Jak sobie życzysz, kochanie. - Sophia i Stephen słyszeli, jak zaszeleścił papier. - Jest krótki - zapowiedziała pani Caldwell. - Czytam:

*Mój Najdroższy,*

*Po tylu latach rozłąki jest tak wiele do powiedzenia, że lepiej milczeć. Masz moje błogosławieństwo, by wyjawić Sophii prawdę na jej dwudzieste piąte urodziny. W moim imieniu daj jej szkatułkę i Padewskie Perły.*

*Szkatułka ma sekretną skrytkę. Żeby ją otworzyć, trzeba przesunąć ogonki koników morskich w odwrotną stronę.*

*Kocham Cię i zawsze będę kochać. Czuję, że nie zabawię już długo na tej ziemi, ale miłość nigdy nie umiera i jeśli Bóg pozwoli, spotkamy się znowu w innym, lepszym miejscu.*

*Francesca*

Sophia podziękowała pani Caldwell, powstrzymując łzy. Obiecała, że wszystko jej wyjaśni po powrocie. Podekscytowana poszła do sypialni po szkatułkę.

Wróciła do salonu, postawiła ją na stoliku i drżąc, kciukami przycisnęła ogonki koników morskich na wieczku.

Usłyszeli ciche kliknięcie. Oskoczyła górna rzeźbiona część wieczka, które



wydawało się grube i solidne. W przestrzeni między ściankami znajdował się irchowy woreczek. Sophia rozplątała sznurek i ze środka wysunął się podwójny sznur lśniących pereł.

- Są takie piękne - szepnęła zachwycona.

- Nie tak piękne jak ty - powiedział Stephen.

Wyjął naszyjnik z jej drżących rąk i zapiał na jej szyi.

Potem zaprowadził ją do sypialni i zasunął zasłony.

- Co robisz?

- Miałem takie fantazje... że kocham się z tobą, gdy masz na sobie tylko te perły... - Zaczął wyjmować spinki z jej włosów. - Ale najpierw chcę, żebyś zobaczyła, jak ja ciebie widzę... - Odwrócił ją do lustra w owalnej ramie.

Jednak Sophia wolała patrzeć na jego odbicie. Na jego uśmiechniętej twarzy, podobnie jak na własnej, widziała miłość.



Jacqueline Baird  
*Spotkanie w Wenecji*

scandalous

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Maksimilian Andrea Quintano, Maks dla przyjaciół, wyszedł z łazienki ubrany tylko w granatowe jedwabne bokserki. Potrzebował powietrza i, kiedy wychodził na balkon ciągnący się wzdłuż całego apartamentu, gorąco zapragnął, żeby ból skroni zniknął. Oczywiście sam był sobie winien. Dwa dni temu skończył trzydzieści jeden lat i, choć niechętnie, zrobił to, czego od niego oczekiwano: spędził cały dzień w rodzinnej posiadłości w Toskanii z ojcem, macochą i pozostałymi członkami rodziny.

A kiedy wczoraj wrócił do Rzymu, zaraz po przejściu corocznych badań medycznych potrzebnych do polisy ubezpieczeniowej, umówił się na lunch ze swoim najlepszym przyjacielem Frankiem i kilkoma innymi znajomymi z czasów studenckich. Impreza skończyła się w momencie, gdy Franco poniewczasie przypomniał sobie o swojej żonie oczekującej go w ich domu na Sycylii. Maks, który i tak miał tam lecieć następnego dnia, zgodził się towarzyszyć Francowi, by skończyć zabawę na wyspie.

I tak o czwartej trzydzieści nad ranem Maks wsiadł do taksówki, która zawiozła go do hotelu Quintano, gdzie spodziewano się go późnym popołudniem.

Od kiedy dziadek Maksa wybudował pierwszy hotel na wyspie, jeszcze przed przeprowadzką do Toskanii, tradycją rodziny Quintano stało się spędzanie sierpniowych wakacji w tym miejscu. W minionej dekadzie Maks dość rzadko dotrzymywał jej towarzystwa, pozostawiając pielegnowanie tradycji swojemu bratu Paulo.

Głęboka zmarszczka przecięła szerokie czoło Maksa na rzyśl o tragicznej śmierci starszego brata w wypadku samochodowym cztery miesiące temu. Kiedy Paulo entuzjastycznie wkroczył do rodzinnego biznesu i zaczął wieść prym wśród hotelarzy, Maks mógł korzystać z wolności w realizowaniu własnych projektów, pamiętając, jak wiele zawdzięcza bratu.

Maks ukończył uniwersytet z tytułem magistra geologii. Dopuszczając do głosu naturę podróżnika, wyruszył do Ameryki Południowej, gdzie już wkrótce wygrał w pokera kopalnię szmaragdów. Dzięki niemu kopalnia zaczęła przynosić ogromne dochody i dała początek MAQ Mining Corporation, która przez dziewięć lat powiększyła się o kopalnie w Afryce, Australii i Rosji. MAQ Corporation zyskała ogólnoświatowy status, a Maks został multimilionerem na własnych zasadach.

Ale, jak brutalnie przypomniano mu o tym kilka miesięcy temu, nawet wszystkie pieniądze świata nie rozwiążą każdego problemu.

Wstrząśnięty i pogrążony w głębokim smutku po śmierci Paula zaproponował ojcu pomoc w prowadzeniu interesów hotelarskich. Ojciec poprosił go o dopilnowanie spraw związanych z hotelem na Sycylii.

Maks potarł bolące skronie. Właściwie urlop dobrze mu robi. *Dios!* Nigdy więcej, obiecał sobie. Jakimś cudem, kiedy dotarł do hotelu tuż przed świtem, oprzytomniał na tyle, żeby poprosić nocnego portiera o zachowanie w tajemnicy jego przedwczesnego przybycia. Nie życzył sobie, żeby mu przeszkadzano.

Maks przeszedł do salonu. Potrzebował kawy, czarnej i mocnej. Natychmiast. Wtem stanął jak wryty. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie padł ofiarą halucynacji.

Wysoka, szczupła kobieca postać z naręczem kwiatów zdawała się sunąć w jego stronę. Miała jasne, prawie białe włosy, które, spięte w długi kucyk, odsłaniały nieziemsko piękną twarz. Nie widział jej piersi, za to wąską talię podkreślał czarny skórzany pasek mocno trzymający prostą czarną spódnicę sięgającą nad kolana. Prosta spódnica uwydatniała zmysłową linię bioder i nóg... Nagły przypływ pożądania nie potrzebował komentarzy. Była boska.

- *Ciao, bella ragazza* - wydusił.

Wysłana przez kierownika hotelu, żeby ustawić kwiaty i sprawdzić apartament przed przybyciem znamienitego właściciela, Sophie Rutheford zdumiała się na dźwięk głębokiego męskiego głosu. Podniosła głowę w stronę otwartych drzwi balkonowych.

Kwiaty wypadły jej z rąk na widok potężnego mężczyzny.

Zlustrowała go wzrokiem. Gęste czarne włosy opadały na szerokie czoło, a półprzymknięte powieki skrywały ciemne oczy osadzone w surowej, przystojnej twarzy o kwadratowej szczęce. Miał opalone muskularne ciało o szerokich ramionach i rozbudowanej klatce piersiowej. Przypominał wspaniałego kolosa. Jej zielone oczy rozszerzyły się z podziwu dla tej niezwykłej manifestacji męskiej siły.

A potem ruszył w jej stronę...

- O mój Boże! - krzyknęła, ponieważ się zdając sobie sprawę, że on nie miał prawa tu być.  
- Proszę się nie ruszać! Wzywam ochronę.

Krzyk odbił się echem w głowie Maksa. Zamknął na chwilę oczy. Dopiero po chwili jego przytępiony umysł zarejestrował, że mówiła po angielsku. Powoli otworzył oczy, ale zanim zdążył się odezwać, młoda kobieta zniknęła za drzwiami. Usłyszał dźwięk klucza przekręcanego w zamku i nie mógł uwierzyć własnym uszom. Ta szalona



dziewczyna zamknęła go w jego własnym apartamencie...

Kręcąc głową ze zdumienia, podniósł słuchawkę telefonu i powiadomił o swoim przybyciu Aleksa, kierownika hotelu. Potem zamówił kawę i poszedł do sypialni. Jak tylko się ogolił i ubrał, wrócił do salonu, gdzie sprzątaczką sprzątała kwiaty z podłogi, a Aleks właśnie stawiał na stole tacę z kawą. Nie można było nie dostrzec ledwie skrywanego rozbawienia w jego oczach, kiedy witał się ze starym przyjacielem.

- Maks, jak dobrze cię widzieć. Domyślam się, że to ty jesteś tym niepożądanym olbrzymem, który chciał obrabować lokal - powiedział Aleks i wybuchnął śmiechem.

- Bardzo zabawne. A teraz mi wyjaśnij, kim jest ta szalona dziewczyna? - poprosił Maks, nalewając kawę do filiżanki. Wypił czarny płyn, zanim opadł na jedną z dwóch kanap.

- To Sophie Rutherford-odparł Aleks, przysiadając się do Maksa. - Jej ojciec, Nigel Rutherford, jest właścicielem Elite Agency w Londynie. Załatwiają liczne sprawy wielu naszych europejskich klientów i Nigel poprosił mnie, czy jego córka mogłaby popracować tutaj przez kilka miesięcy podczas przerwy w zajęciach na uniwersytecie, żeby lepiej poznać język. Studiuję rosyjski i chiński, ale nieźle radzi sobie także z włoskim, francuskim i hiszpańskim. Pomyślałem, że skoro przyciągamy

tak liczną międzynarodową klientelę, może okazać się bardzo pomocna. Wystarczył miesiąc, żeby dowiodła swojej wartości. Poza tym każde zajęcie przyjmuje z ochotą i nic nie sprawia jej kłopotu.

- Jeśli jest taka dobra, jak twierdzisz, to muszę zaufać twojej ocenie. - Maks uśmiechnął się do starszego mężczyzny. - Ale domyślam się, że także jej uroda mogła wpłynąć na twoją decyzję - żartował.

- Wiedziałem, że to powiesz - odparł Aleks z uśmiechem. - Ale w przeciwieństwie do ciebie ja potrzebuję czegoś więcej niż tylko ładnej buzi, żeby wpłynąć na... zwłaszcza w moim wieku.

- Kłamca - powiedział Maks przeciągle, a zmysłowy uśmiech zamajaczył na jego ustach, kiedy obraz młodej kobiety powrócił w jego pamięci. - Każdy mężczyzna z krwi i kości na pewno widzi, jaka jest boska, i chciałby bliżej ją poznać.

- Sophie nie jest dla ciebie, Maks - powiedział Aleks niespodziewanie poważnie. - Ma tylko dziewiętnaście lat i, kiedy nie pilnuje jej ojciec, znajduje się pod moją opieką. Choć bardzo cię lubię, nie sądzę, żeby była w twoim guście. Poważnie podchodzi do studiów i nie jest typem dziewczyny, która mogłaby wdać się w romans. Bardziej marzy się jej zamążpójście.

Maks nie poczuł się urażony. Aleks był dla niego niczym wuj, dobrze go znał. Wiedział, że chociaż kochał kobiety, a one kochały jego, Maks

nie miał zamiaru się żenić, ani teraz, ani być może nigdy. Od śmierci Paula ojciec nieustannie go nagabywał, że najwyższy czas się ustatkować, przypominając Maksowi, że jak na razie nie istniał żaden męski potomek, który mógłby nosić dumne nazwisko Quintano. Ale Maks nie chciał wiązać się na stałe. Wolał podróżować po świecie, robić to, co kochał. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, było małżeństwo.

- Wielka szkoda. - Zrobił rozczarowaną minę.  
- Jest rozkoszna. Ale nie obawiaj się, staruszk. Obiecuję, że jej nie uwiodę. Czy teraz możemy przejść do interesów?

Nieco później po południu Maks minął drzewa okalające prywatną plażę hotelu i wgramolił się na skalisty cypel prowadzący do małej zatoczki, którą odkrył jako chłopiec. Uwielbiał skakać ze skał i to właśnie tam odkrył swoje zamiłowanie do geologii. Liczył na to, że kąpiel rozjaśni mu umysł i orzeźwi ciało.

W pewnej chwili coś przyciągnęło jego uwagę. Zmrużył oczy, przyglądając się bacznie, gdy nagle zdał sobie sprawę, że patrzy na dziewczynę, którą spotkał dziś rano. Odrzuciła do tyłu lśniąca pelerynę włosów i wyciągnęła się na ręczniku.

Bardzo cicho podszedł do niej. Musiał przyznać, że różowe bikini było dość skromne w porównaniu z tymi, które widział, ale figura, którą oblekało, była nadzwyczaj kobieca. Miała zamknięte oczy,

a jej przepiękne, jedwabiste włosy przykrywały jedną pierś. Kolejny raz zwrócił uwagę na jej nogi. Rzeczywiście były długie, szczupłe i bardzo seksowne. Natomiast jej skóra była gładka jak jedwab z delikatnym odcieniem opalenizny. Maks nie mógł oderwać od niej oczu i natychmiast pożałował obietnicy złożonej Aleksowi.

Kiedy się przysunął, jego ciało rzuciło na nią cień, więc otworzyła oczy.

- Sophie Rutherford, jak się domyślam? - mruknął i wyciągnął rękę. - Nazywam się Maks Quintano. - Dziewczyna szybko usiadła. - Dzisiaj rano nie zdążyłem się przedstawić. Proszę mi wybaczyć, jeśli wprowadziłem panią w zakłopotanie. - Uśmiechnął się.

- Tak... - Zaczerwieniła się i podała mu dłoń. - Miło mi pana poznać, panie Quintano, ale wydaje mi się, że to ja powinnam przeprosić za to, że zamknęłam pana w pokoju.

Maks poczuł delikatne drżenie jej dłoni i spojrzął w niesamowicie zielone oczy. Dostrzegł w nich zakłopotanie, ale także kobiece zaciekawienie, którego nie potrafiła ukryć. W jednej chwili kac przestał go męczyć.

- Proszę, mów mi po imieniu. Nie musisz mnie przeproszać. To była moja wina. Musiałem cię zaskoczyć. W każdym razie jest za gorąco na sprzeczki i tak się składa, że zajęłaś moją ulubioną plażę. - Znów się uśmiechnął. - Nie chciałbym cię

znów przeganiać, więc może zostaniesz i pozwolisz mi udowodnić, że moje przeprosiny płyną z głębi serca i nie jestem ogromnym włamywaczem.

Sophie cofnęła dłoń z jego uścisku.

- Aleks ci o tym powiedział? To takie żenujące.

Nigdy przedtem nie czuła tak silnego pożądania. Dzisiaj rano rzuciła na niego tylko jedno spojrzenie i zachowała się jak przerażone dziecko. A teraz desperacko starała się zatrzeć złe wrażenie.

- Na swoje usprawiedliwienie mogę powiedzieć, że naprawdę jesteś bardzo wysoki - dodała z kwaśnym uśmiechem.

- Mam sto dziewięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i naprawdę nie musisz czuć się zakłopotana, Sophie. Zapewniam cię, że ja nie czuję się zakłopotany. Może pójdziemy popływać? Sądząc po czerwieni twojej twarzy, przyda ci się ochłoda - zasugerował Maks. Nie dając jej czasu na odpowiedź, dodał: - Ścigamy się do wody!

Oczywiście Sophie pobiegła za nim. Ani przez chwilę nie wątpił, że postąpi inaczej. W końcu kobiety uganiały się za nim od czasu, gdy stał się mężczyzną. Wpadając do wody, Maks odwrócił się i opryskał ją. Uśmiech rozświetlił jej twarz. Dostrzegł także figlarne iskierki w jej oczach. A już po chwili pochyliła się i też go ochlapała.

Dziki harce, które miały miejsce potem, ani

trochę nie ostudziły rozbuchanego libido Maks. Czy ona w ogóle zdawała sobie sprawę, że kiedy się pochylała, jej bujne piersi skakały w górę i w dół, niemal wypadając ze stanika? W końcu Maks nie mógł tego znieść. Chwycił ją w ramiona.

- Próbujesz mnie ochlapać? Zapłacisz mi za to, młoda damo - oświadczył, po czym ruszył w głąb morza do miejsca, gdzie woda sięgała mu do ud.

- Ani się waź! - krzyknęła, ściskając go mocno za szyję, a jej zielone oczy błyszczały z radości.

- Zrobiłbym wszystko, żeby mieć cię w ramionach, Sophie - zażartował Maks, patrząc jej głęboko w oczy.

Na dłuższą chwilę ich spojrzenia się spotkały. Żarty się skończyły, kiedy pożądanie, gwałtowne i prymitywne, zawładnęło ich ciałami. Zielone oczy Sophie pociemniały. Czuła jedną rękę Maksu pod swoimi udami, a drugą na plecach. Serce zabiło jej mocniej, a puls przyśpieszył, podczas gdy reszta świata stanęła w miejscu.

Jej spojrzenie powędrowało ku jego szerokim, jędrnym ustom i instynktownie jej wargi rozchyliły się, kiedy wyobraziła sobie, jak by to było, gdyby ją pocałował. W następnej sekundzie znalazła się w morzu, połykając słoną wodę. Plując i kaszląc, wstała i otarła twarz z wody. Maks wpatrywał się w nią z dziwnym, niemal pełnym żalu wyrazem twarzy.



- Chyba oboje powinniśmy ochłonać. Idę popływać, Sophie.

Po tych słowach zanurkował niczym delfin, zostawiając za sobą jedynie cienką zmarszczkę na spokojnej tafli oceanu. Dopiero potem Sophie zdała sobie sprawę, że powinna była go raczej skojarzyć z rekinem... Nic, co przeżyła przez ostatnich dziewiętnaście lat, nie przygotowało jej na spotkanie mężczyzny takiego jak Maks Quintano.

Po śmierci matki ojciec wysłał ją do żeńskiej szkoły z internatem. Miała kilkoro znajomych i spędzała szkolne wakacje w domu w Surrey z gosposią Meg, podczas gdy ojciec poświęcał się pracy. -

Na pierwszym roku na uniwersytecie odzyskała pewność siebie. Z zachwytem odkryła, że wysoki wzrost nie przeszkadzał w zawieraniu znajomości z rówieśnikami obu płci i umówiła się nawet z kilkoma chłopakami. Ale nigdy nie czuła nic takiego, co kurczyłoby jej żołądek, wywoływało ciarki na plecach tak, jak robił to kpiący uśmiech i swawolny dotyk Maksa Quintano.

Rozmarzony uśmiech zamajaczył na jej ustach, kiedy wróciła na plażę i usiadła na ręczniku. Nadal czuła dotyk jego palców na rozgrzanej skórze... Czy to była miłość, czy tylko fascynacja? - zastanawiała się, nie mogąc oderwać od niego wzroku.

Maks wykonał obrót pod wodą i zaczął płynąć z powrotem do brzegu, czując ukojenie. Nie miał kobiety od powrotu do Włoch. Wytrzymał cztery miesiące celibatu i był przekonany, że właśnie z tego powodu tak gwałtownie zareagował na uroczą Sophie.

Trzymając ją w ramionach, wiedział, że chciała go pocałować. A on tak bardzo pragnął posmakować nie tylko jej ust, ale znacznie więcej. Ale słusznie postąpił i zostawił ją samą, tak jak prosił Aleks. Aleks miał rację. Była za młoda.

Przekonany o swojej nieomyślności, wyszedł z wody zamaszystym krokiem i odgarnął włosy z twarzy. Zobaczył, że nadal tam była, a kiedy ruszył w jej stronę, uśmiechnęła się. Wszystkie jego dobre intencje wyparowały. Miał zamiar spędzić trochę czasu na Sycylii, więc co złego mogło być we flircie z piękną dziewczyną?

- Chodź, Sophie. - Podał jej rękę. - Za długo leżałaś na słońcu. Odprowadzę cię do hotelu. - Kiedy wstała, Maks cmoknął ją w policzek. Dostrzegł cię w jej niesamowitych oczach i zanim zrobił z siebie kompletnego idiotę, dodał: - Odkryję przed tobą sekret labiryntu.

Po upływie dwóch tygodni Sophie była zakochana po uszy. Pierwszy raz w życiu dała się porwać temu niesamowitemu uczuciu. Na sam widok Maksa Quintano jej serce zaczynało mocniej bić.

I choć traktował ją z przekorną życzliwością, zaproszenia na plażę albo na spacer wystarczyły, żeby znalazła się w siódmym niebie. Oczywiście za każdym razem zgadzała się niczym rozentuzjzmowany szczeniak. Maks w każdej sytuacji zachowywał się jak dżentelmen.

A dziś wieczorem zaprosił ją na kolację do restauracji w Palermo. W końcu prawdziwa randka!

Rozgorączkowana wybiegła z łazienki i weszła do salonu domku letniskowego, który dzieliła z koleżanką Marnie, główną recepcjonistką hotelu.

- Co o tym myślisz, Marnie? - zapytała, obracając się w miejscu.

Kupiła wytworną zieloną suknię z jedwabiu w sklepie hotelowym z nadzieją, że wyrwie wrażeń na Maksie.

- Niech pomyślę. Spotykasz się z Maksem Quintano - zażartowała Marnie.

- Tak - rozpromieniła się Sophie. - Dobrze wyglądam?

- Ołśniewająco! Maks padnie przed tobą na kolana. Jesteś pewna, że wiesz, co robisz? - zapytała Marnie, marszcząc czoło. - Już wcześniej ostrzegałam cię przed Maksem i jego kobietami. Pokazałam ci nawet artykuł w gazecie. Rozumiem, co czujesz, ale on jest od ciebie znacznie starszy, bardziej obyty i doświadczony. A ty jesteś młoda i masz studia. Nie porzucaj tego dla przelotnego romansu, bo na nic więcej nie możesz liczyć.

Sophie zeszywniała.

- Wiem i słyszałam wszystkie plotki, ale jestem pewna, że te opowieści są grubo przesadzone.

- Wierz, w co chcesz. Nastolatki zwykle tak robią - rzuciła oschle Marnie. - Chcę ci tylko powiedzieć, żebyś była ostrożna. Maks jest multimilionerem i prowadzi życie stosowne do swoich dochodów. Rzadko zatrzymuje się tutaj na dłużej niż weekend. Ten jeden raz został na tak długo, wyłącznie żeby spełnić wolę ojca i rodziny po śmierci brata. Ale to się zmieni, bo słyszałam dzisiaj, że wkrótce pojawi się reszta klanu. A wtedy Maks nie wytrzyma długo.

- Nie możesz być tego pewna - upierała się Sophie, a jej serce waliło tak mocno, jakby właśnie Maks obwieścił, że wyjeżdża.

- To prawda, ale między Maksem a jego ojcem panują nie najlepsze stosunki. Za to doskonale rozumie się ze swoją przyrodnią siostrą Giną. Powszechnie wiadomo, że od lat coś ich łączy. Niektórzy twierdzą, że ona toleruje inne kobiety w jego życiu, bo bez reszty oddaje się karierze. Ale plotki głoszą, że stary Quintano już dawno powiedział Maksowi, że nie godzi się na taki związek. Stwierdził, że o ile mu wiadomo, są bratem i siostrą, i nic innego nie wchodzi w grę. Ale sytuacja się zmieniła i Maks stał się panem własnego losu. Dlatego jeśli kiedykolwiek zdecyduje się na ślub, nie zdziwię się, jeśli to Giną

zostanie jego żoną. Więc strzeż się, Sophie, i nie rób niczego głupiego.

Dzwonek do drzwi okazał się wybawieniem. Jak tylko Sophie otworzyła drzwi i ujrzała Maksą, uderzając przystojnego i eleganckiego w doskonale skrojonym garniturze, jej twarz pojaśniała.

Maks odwrócił uśmiechniętą twarz w stronę otwartych drzwi i spojrzał na Sophie. Na chwilę zaparło mu dech. Włosy upięła na czubku głowy w skomplikowanym koku. Jej piękna twarz nosiła ślady delikatnego makijażu. A jeśli chodzi o to, co miała na sobie... Sięgająca do połowy ud tuba z jedwabiu w kolorze szmaragdów podkreślała każdą linię jej kobiecej sylwetki. Cholera, już na sam widok ogarniało go podniecenie.

- Wyglądasz olśniewająco i najwyraźniej jesteś gotowa do wyjścia.

- Tak.

Maks kolejny raz musiał przypomnieć sobie, co obiecał Aleksowi. Ale problem polegał na tym, że Sophie intrygowała go pod każdym względem. Rozśmieszała go, była mądra i doskonale bawił się w jej towarzystwie. A przy tym wyglądała tak, że... Nigdy nie powinien był zapraszać jej na kolację. Nie ufał sobie na tyle, żeby mieć pewność, że jej nie tknie.

Sophie nie wyczuwała jego wątpliwości, bo zarówno podczas krótkiej przejażdżki samochodem,

jak i wtedy, gdy prowadził ją za rękę do restauracji, była zwyczajnie zbyt podekscytowana.

Maks zamówił szampana, a kiedy trzymali w rękach pełne kieliszki, uniósł swój ze słowami:

- Za piękną dziewczynę i piękną noc.

Sophie zrobiło się gorąco na samo wspomnienie nocy. Czy miał na myśli to, o czym marzyła? Czy zamierzał bardziej zaangażować się w ten związek? Czy chciał ją całować i kochać się z nią? Uznała, że tak, bo jego bezdenne, ciemne oczy śmiały się do niej, kiedy stuknęli się kieliszkami.

Sophie pozwoliła, żeby Maks zamówił za nią. W miarę jak na stole pojawiały się kolejne dania, a szampan lał się strumieniem, czuła się coraz bardziej oczarowana jego osobą. Rozmawiali o wszystkim, a Maks od czasu do czasu przerywał konwersację uśmiechem albo dotykiem dłoni. Karmił ją jedzeniem, którego nigdy wcześniej nie próbowała, obserwując jej reakcję z rozbawieniem i czasem czymś więcej. Pod koniec kolacji Sophie wiedziała, że zakochała się w Maksie bez pamięci.

- Wspaniały posiłek - westchnęła zadowolona, kiedy Maks płacił rachunek.

Może i jedzenie było wspaniałe, pomyślał Maks, ale nie pozwoliło mu zapomnieć o torturach, jakie przeżywał. Musiał oszaleć, jeśli choć przez chwilę myślał, że uda mu się poprzestać na niewinnym flircie. Kiedy objął ją w pasie i wyprowadził z zatłoczonej restauracji, wiedział, że jest zgubiony.



Nie był masochistą. Musiał czym prędzej zakończyć tę randkę albo naprawdę straci nad sobą panowanie, co nigdy wcześniej mu się nie przytrafiło. Odsuwając ręce od Sophie, Maks otworzył dla niej drzwi samochodu, ale jego serce nie przestało bić wolniej. Wyglądała tak niesamowicie cudownie i była tak cholernie naiwna, że nawet nie próbowała ukrywać swoich uczuć.

Do czasu, kiedy wsunął się za kierownicę i uruchomił silnik, udało mu się opanować. Manewrując wzdłuż krętej drogi do hotelu, zerkał na Sophie i zdał sobie sprawę, że nie miał prawa się na nią złościć. To nie była jej wina, że miała urodę i ciało kusicielki, które działały na mężczyzn niczym magnes.

Po sporej dawce śmiechu i intymności, której zakosztowali w restauracji, Sophie wyczuwała, że nastroj Maksa uległ zmianie. Kiedy zgasił silnik, spojrzała na niego i zastanowiła się, co zrobiła nie tak.

- Jesteśmy na, miejscu - rzuciła idiotycznie i spłonęła rumieńcem.

- Och, Sophie, co ja mam z tobą zrobić?

Dostrzegła zmysłowy uśmiech na jego ustach, kiedy objął ją w pasie i przyciągnął bliżej. Zamruczał coś łagodnie, coś, czego nie zrozumiała, a potem jego usta musnęły jej wargi i tylko to się liczyło.

Czuła się tak, jakby w jej głowie zaczął się

pokaz sztucznych ogni. Zarzuciła mu ręce na szyję i zamknęła oczy. Czuła jego ręce przesuwające się w górę ku jej piersiom.

- *Dio!* Tak bardzo cię pragnę... -jęknął.

Ujrzał namiętność w jej błyszczących oczach. Wiedział, że mógł ją mieć. Omal nie uległ pokusie. W końcu nie był z kamienia, a odmawianie nagłej potrzebie ciała nie było czymś, do czego przywykł. Niemniej złożył obietnicę, więc musiał zapanować nad impulsami.

Delikatnie odepchnął ją i wysiadł z samochodu. Kiedy szedł, żeby otworzyć jej drzwi, wziął kilka głębokich wdechów.

- *Chodź, cara.*

Sophie spojrzała zamglonymi oczami na wyciągniętą rękę Maksa. Zapanowanie nad drżeniem własnej dłoni wymagało ogromnego wysiłku. Spojrzała na domek lotniskowy, a potem znowu na Maksa, nie wiedząc, co zrobić ani co powiedzieć. Wyczuwając jej wahanie, objął ją w pasie i zaprowadził do drzwi. Dopiero przy drzwiach obrócił ją w ramionach.

- Dziękuję ci za wspaniały wieczór, Sophie. Nie mogę wejść. Muszę wykonać kilka telefonów do krajów położonych w różnych strefach czasowych. Wiesz, jak to jest. - Musnął ustami jej czoło. - Jutro wyjeżdżam, ale może jeszcze kiedyś zjemy razem kolację. Co ty na to?

Pragnął jej, ale dręczyła go myśl, że jeden raz

z Sophie mógłby nie wystarczyć. Nie wierzył w miłość, ale był na tyle bystry, żeby się zorientować, że to, co do niej czuł i jak łatwo tracił nad sobą panowanie w jej obecności, mogło zamącić mu w głowie.

- Dziękuję, będzie mi bardzo miło - wymamrotała.

Maks dostrzegł w jej oczach nieskrywany pozdew i ból, i chociaż tak bardzo jej pożądał, wiedział, że Aleks miał rację. Ona nie była dla niego. Obserwował ją w relacjach z gośćmi, personelem i dziećmi, którymi tak chętnie się zajmowała. Była troskliwa i wszyscy ją uwielbiali. Zasługiwała na wszystko,- co najlepsze, a on był zbyt cyniczny, żeby wierzyć w miłość. A przy tym była zbyt młoda i zbyt romantyczna na ten rodzaj związku, który by mu odpowiadał. Moment był nieodpowiedni. Może za kilka lat, kiedy skończy studia, i nadal będzie samotna... Kto wie...?

- Dobranoc, słodka Sophie. - Ponieważ nie mógł odmówić sobie dotknięcia jej ten ostatni raz, uniósł palec i nakreślił kontur jej ust, przywracając uśmiech na jej wargi. - Tak lepiej. Dziewczyna taka jak ty zawsze powinna się uśmiechać.

Otworzył dla niej drzwi i, popychając ją lekko, nakłonił do wejścia do środka.

- Uważaj na siebie - dodał, czując narastającą frustrację.

Odwrócił się na pięcie i odszedł. Podjął decyzję.

Poleci do Rosji, żeby rozwiązać kilka problemów z kierownikiem projektu. O ile dobrze pamiętał, recepcjonistka firmy, Nikita, była bardzo kreatywną kochanką. Z arogancką pewnością siebie wytłumaczył sobie, że świat pełen jest pięknych kobiet. Nie potrzebował Sophie i już wkrótce wymazał ją z pamięci.

scandalous

## ROZDZIAŁ DRUGI

### *Siedem lat później*

W sobotę po południu Sophie zaparkowała swój antyczny samochód na podjeździe, chwyciła aktówkę z tylnego siedzenia i odetchnęła z ulgą, wchodząc do swojego domu rodzinnego. Timothy, jej brat, wybiegł na spotkanie. Rzucając aktówkę, chwyciła go i ucałowała.

- Cześć, kochanie - powiedziała, niosąc go do eleganckiego salonu, gdzie siedzieli jego matka i ich ojciec.

Sophie spojrzała na macochę, Margot, a potem na ojca. Natychmiast wyczuła napięcie i zaczęła zastanawiać się, co się stało.

- Dobrze, że już jesteś - powiedziała Margot.

Żadnego cześć ani jak się masz, pomyślała oschle Sophie i usiadła na kanapie, nadal trzymając Tima na rękach.

- Rozumiem, że powinniśmy czuć się zaszczytzeni, że znalazłaś czas dla brata w swoim napiętym grafiku. Dokąd wybierasz się tym razem?

- Do Wenecji, na międzynarodową konferencję

na temat bogactw naturalnych na świecie. Ale do jutrzejszego wieczoru mam wolne, więc mogę zająć się tym małym człowiekiem. - Sophie uściśkała Timothy'ego, po czym dodała: - Może spędzicie z tatą wieczór poza domem? - Pomyślała, że taka propozycja przywróci uśmiech na twarz Margot.

Dwie godziny później siedziała w kuchni ze stali nierdzewnej, w domu, w którym się urodziła, karmiąc Tima jego ulubionymi paluszkami krabowymi i zastanawiając się nad tym, jak bardzo zmieniło się jej życie.

Pięć lat temu, po ukończeniu studiów, wybrała się na roczną wyprawę dookoła świata. Po powrocie odkryła, że nowa sekretarka ojca została jego dziewczyną, a do tego ciężarną. Potem wzięli ślub. Gospośia Meg odeszła na prośbę Margot, co oburzyło Sophie. A cztery miesiące później urodził się jej rozkoszny młodszy brat. Sophie zakochała się w Timie od pierwszego wejrzenia i to właśnie ze względu na niego spełniała wszystkie życzenia Margot.

Sophie rozejrzała się po supernowoczesnej kuchni. Jej dom rodzinny w Surrey uległ całkowitej przemianie pod wpływem Margot, tak że teraz z trudem go poznawała. Na szczęście dzięki małemu spadkowi po matce mogła pozwolić sobie na zakup własnego mieszkania z widokiem na morze w Hove.



Na co dzień dużo podróżowała po świecie. Ciesząc się opinią doskonałej tłumaczki, udało jej się stworzyć imponującą listę klientów, zarówno tych korporacyjnych, jak i prywatnych. Ostatnie osiem tygodni spędziła w delegacji handlowej, podróżując po Chinach, a przedtem sześć tygodni w Ameryce Południowej.

W tym tygodniu pierwszy raz od wielu miesięcy pojawiła się w domu. I nie chodziło o to, że nie lubiła Margot. Właściwie powinny mieć wiele wspólnych tematów do rozmów, jako że Margot była od niej starsza zaledwie o dwa lata. Niestety, za bardzo się od siebie różniły. Margot była towarzyskim stworzeniem i uwielbiała wystawne życie. Zawsze musiała bywać w najlepszych restauracjach i odwiedzać właściwe miejsca. Ale, żeby oddać jej sprawiedliwość, Sophie musiała przyznać, że przy całej miłości do śmietanki towarzyskiej i ubrań od najlepszych projektantów była dobrą matką i nie zostawiłaby Tima z nikim, kogo nie znała.

Chociaż Sophie kochała swojego braciszka, z ulgą myślała o locie do Wenecji. Wiedziała, że wyobraźnia nie płatała jej figli. Atmosfera pomiędzy jej ojcem a Margot naprawdę była napięta i nic nie zdawało zmienić się na lepsze, kiedy wrócili w porze lunchu po spędzonej poza domem nocy. Coś musiało psuć się w ich związku. Ale tak długo, jak nie wpływało to na życie Tima, nie miała zamiaru się przejmować.

Miała wystarczająco dużo zmartwień z pierwszym od siedmiu lat wyjazdem do Włoch. Sama myśl o tym przywoływała niemiłe wspomnienia o pierwszej i jedynej przygodzie miłosnej w jej życiu. Maks Quintano zranił ją, kiedy wyjechał po wspólnie spędzonym wieczorze. A mimo to tydzień później ochoczo wskoczyła mu do łóżka. Po stracie dziewictwa skwapliwie przystała na propozycję małżeństwa i zgodziła się nawet trzymać ją w tajemnicy do spotkania z jego ojcem. Przez całe dwa dni była szaleńczo szczęśliwa. I wtedy odkryła, że w jego mniemaniu małżeństwo oznaczało otwarty związek.

Cyniczny uśmiech wykrzywił jej usta. Dostała ważną lekcję. Mężczyznom nie wolno ufać. Przez lata tylko utwierdziła się w tym przekonaniu, widząc, jak zachowywali się na konferencjach z dala od żon i dzieci. Przestała liczyć, ile razy żonaci mężczyźni składali jej propozycje. Do perfekcji opanowała lodowate spojrzenie i chłodną odmowę.

W kolejny wtorkowy wieczór Sophie weszła do sali balowej jednego z najlepszych weneckich hoteli u boku Abe Asamova. Abe był pięćdziesięciokilkuletnim, łysiejącym Rosjaninem z wydatnym torsem, który ledwo sięgał jej do ramienia. Ucieszyła się na jego widok, kiedy pojawił się w hotelu drugiego dnia konferencji, bo miło było wyłonić przyjazną twarz z morza nieznajomych.

Abe był dowcipny i cieszył się złą, choć niezasłużoną reputacją kobieciarza. Tylko Sophie wiedziała, że był oddany żonie i rodzinie. Na ostatnim roku studiów spędziła w Rosji letnie wakacje, ucząc angielskiego czwórkę jego wnuków.

Dlatego kiedy Abe poprosił, żeby towarzyszyła mu na oficjalnej gali połączonej z tańcami, zgodziła się. Firma, dla której obecnie pracowała, także nie posiadała się z radości, bo Abe Asamov był potentatem naftowym i właścicielem licznych złóż na terenie Rosji. Sophie nie była pewna, czy wierzyć w jego zapewnienia o tym, że znał tylko rosyjski, ale nie dbała o to, bo lubiła jego towarzystwo.

Kiedy weszli na salę, kelner wskazał im stolik. Sophie rozejrzała się, zajmując miejsce. Znała wielu z obecnych na przyjęciu gości. Zauważyła ambasadora Petera i jego żonę Helen, a obok nich parę, która pracowała dla włoskiego rządu, Aldo oraz jego żonę Tinę. Poza tym byli tam również dwaj Hiszpanie, Felipe i Cesare, których usadzono tuż obok niej. Uznała, że to bardzo miłe towarzystwo, dlatego powoli zaczęła się odprężyć.

Wszystkie stoliki stały w półkolu przy małym parkiecie zakończonym podium, na którym grał zespół jazzowy. Mężczyźni wyglądali nienagannie w eleganckich garniturach, a kobiety miały na sobie suknie od najlepszych projektantów i klejnoty warte miliony. Ale Sophie nie czuła się

onieśmielona. Przez ostatnie lata pracowała i obracała się wśród najbogatszych ludzi z całego świata, a nawet wśród koronowanych głów. W efekcie nauczyła się, jak zachowywać się w towarzystwie.

Po domu najbardziej lubiła chodzić w dżinsach i swetrze, niemniej skompletowała garderobę niezbędną do pracy. Czarna atłasowa suknia od Diora, którą wybrała na dzisiejszy wieczór, należała do jej ulubionych, podobnie jak kryształowy naszyjnik z kolczykami do kompletu. Wiedziała, że prezentowała się nienagannie.

Zrelaksowana zerknęła w stronę grupki spóźnialskich, zajmujących miejsca przy stoliku po drugiej stronie parkietu, i szeroko otworzyła oczy. To był Maks Quintano i jego przyrodnia siostra Gina. Czym prędzej odwróciła głowę. Była prawie pewna, że jej nie zauważył.

Serce waliło jej jak młotem. Przesunęła krzesło tak, żeby odwrócić się plecami do jego stolika z nadzieją, że pozostanie niezauważona. Odwróciła się do Cesare'a i zapytała po hiszpańsku:

- Czym się pan zajmuje? - Po uzyskaniu odpowiedzi skupiła na nim całą uwagę. - Zajmuje się pan nauką o Ziemi? To bardzo interesujące.

W odległym końcu sali Maks Quintano uśmiechał się do Giny, choć nie dotarło do niego ani jedno jej słowo. Rozpoznał Sophie Rutherford, jak tylko przekroczył próg. Jej blond głowy po prostu

nie dało się pomylić z żadną inną. Krój jej sukni eksponował jedwabście gładkie plecy. Poczuci ścisk w gardle na wspomnienie wspólnie spędzonych chwil.

Odnotował moment, w którym ta królowa śniegu go rozpoznała, bo odwróciła się gwałtownie. Na wiele lat wymazał ją ze swojego życia. Niestety, cztery miesiące temu, kiedy jego ojciec zmarł na atak serca, nazwisko Rutherford ponownie się pojawiło, tym razem chodziło jednak o Nigela Rutherforda. Co ciekawe, dwa miesiące później podczas krótkiej podróży do Ameryki Południowej Maks dowiedział się, że Sophie Rutherford stała się obiektem wielu spekulacji.

Jako wykonawca ostatniej woli ojca, Maks pośpieszył na pomoc swojej owdowiałej macosze w prowadzeniu rodzinnego interesu. Przeprowadził audyt, który utwierdził go w przekonaniu, że hotele przynosiły ogromne zyski. Niemniej okazało się, że kilka firm zwlekało ze spłatą całkiem sporych długów. Największy zaciągnęła Elite Agency z Londynu, firma Nigela Rutherforda.

Dalsze dochodzenie ujawniło, że Nigel był dłużny pieniądze nie tylko sieci hoteli Quintano. W przyszłym tygodniu miało się odbyć w Londynie spotkanie wszystkich jego wierzycieli. Początkowo Maks nie miał zamiaru w nim uczestniczyć. Wolał wysłać swoich prawników, żeby w jego imieniu doprowadzili sprawę do końca.

Ale teraz, kiedy kilka metrów od niego siedziała piękna Sophie Rutherford, sącząc szampana i uśmiechając się tak, jakby cały świat się dla niej nie liczył, przyszedł mu do głowy nowy pomysł. Dobrze wiedział, że jeśli pojawi się na tym spotkaniu, z łatwością przekona pozostałych wierzycieli, że należy doprowadzić do bankructwa firmę jej ojca.

Sophie była jedyną kobietą, która od niego odeszła. Potrzebował sporo czasu, żeby uporać się z taką zniewagą. A teraz przeznaczenie znów postawiło ją na jego drodze. Dobrze wiedział, że zrealizuje swój plan i wykorzysta władzę.

Okrutny żart losu ponownie pchnął Maksa w ramiona Sophie. A wszystko przez chorobę...

Kiedy wrócił z Rosji do swojego apartamentu w Rzymie, natychmiast zadzwonił do swojej byłej dziewczyny i zaprosił ją na kolację. Randka nie zakończyła się sukcesem, dlatego nazajutrz pojawił się w biurze wcześniej rano i w końcu uporał się z prywatną korespondencją, której nie otworzyła jego asystentka. Zerknął na wyniki badań medycznych, które wykonał kilka tygodni wcześniej. Jeden z nich rodził wątpliwości, dlatego kontakt z doktorem Foscarim był konieczny.

Dwie godziny później Maks siedział odrętwiały z przerażenia po tym, jak Foscarini poinformował go, że analiza moczu wykazała nieprawidłowy poziom testosteronu, co wskazywało na raka jąder.



Lekarz wyjaśnił mu, że ten rodzaj raka często występuje u mężczyzn między dwudziestym a czterdziestym czwartym rokiem życia, ale łatwo można go leczyć. Na koniec dodał, że nie należy się martwić, bo wyniki badań nie są jednoznaczne, ale trzeba poczynić pewne działania. Dlatego też Maks umówił się na wizytę u specjalisty w najlepszym szpitalu w Rzymie.

Kiedy opuszczał klinikę, czuł szpony strachu zaciskające się na jego wnętrzościach. Ale nie zamierzał się poddawać. Musiał znaleźć jakieś rozwiązanie i to szybko. Giną była onkologiem. Znała najlepszych specjalistów w tej dziedzinie. Nie tracąc ani chwili, umówił się z nią na lunch.

Do południa Maks wiedział o swojej domniemanej chorobie więcej, niżby sobie życzył. Zawsze bezpośrednio Giną natychmiast zadzwoniła do doktora Foscariego, po czym powiedziała Maksowi, żeby nie panikował. Wytłumaczyła mu, że nieprawidłowy poziom testosteronu mógł mieć inną przyczynę i że w leczeniu raka jąder skuteczność sięga dziewięćdziesięciu pięciu procent. Na prośbę Maksa nakreśliła najgorszy scenariusz, gdyby okazało się, że to jednak rak.

Kiedy zaczęła opisywać mu szczegółowo leczenie i efekty uboczne, uprzedziła o możliwości impotencji i poradziła zamrozić spermę na wypadek bezpłodności, Maks naprawdę poczuł się chory. Żeby podnieść go na duchu, Giną obiecała

skontaktować się z kolegą z amerykańskiej kliniki, na co Maks zasugerował, że najlepiej natychmiast polecieć do Ameryki.

W końcu Gina uspokoiła jego skołatane nerwy. Maks w pełni jej ufał. Zawsze tak było, odkąd ich rodzice się pobrali. On miał wtedy cztery, a ona pięć lat. W jednej chwili stali się sobie tak bliscy jak rodzeństwo biologiczne i tak już zostało. Wspierała go, kiedy postanowił zostać geologiem, a on popierał jej wybór studiów medycznych.

- Maks? Maks!

Dźwięk jego imienia wyrwał go z nieprzyjemnych wspomnień z przeszłości. Spojrzał na Ginę i dwoje innych ludzi towarzyszących im na przyjęciu - Rosę i jej męża Teda. Ginę i Rosę od lat łączył namiętny romans, a Ted miał swoje powody, żeby trzymać to w tajemnicy. Rosa była matką dwójki jego dzieci, a poza tym Maks dobrze wiedział, że Ted od dawna spotykał się z kochanką. Natomiast Maks dochował tajemnicy na życzenie Giny. Była przekonana, że prawda wstrząsnęłaby rodzicami, a ewentualny skandal wokół jej związku mógłby zaszkodzić jej karierze.

- Przepraszam, Gino.

Uśmiechnął się. Osobiście uważał, że Giną się myliła. Jego zdaniem, w dwudziestym pierwszym wieku niewiele osób na świecie przejmowało się jeszcze preferencjami seksualnymi innych ludzi. Ale to nie był jego sekret.

- Widziałaś ją? Sophie Rutherford? - zapytała Gina. - Dobrze się czujesz?

- Tak. - Dostrzegł troskę w jej oczach, dlatego dodał: - Nie mogę powiedzieć, żeby jej wybór partnera wywarł na mnie wrażenie. - Rzucił spojrzenie na złotowłosą Wenus, a jego usta wygięły się w cynicznym uśmiechu. - Ale nie jestem zaskoczony.

Jako człowiek czynu, Maks zazwyczaj nie poddawał się refleksyjnemu nastrojowi. Ale teraz, kiedy jadł, z trudem koncentrował się na otaczającej go rzeczywistości, kiedy kilka metrów dalej siedziała kobieta odpowiedzialna za tak wiele bolesnych-wspomnień.

Tamtego straszego dnia Maks pożegnał się z Gina przed restauracją i wolno ruszył w stronę biura, miotany burzą emocji. Jako człowiek przekonany o własnej wartości, szcycący się tym, że zawsze wszystko kontrolował, każdego dnia podejmował decyzje handlowe warte miliony i nigdy nie wątpił w słuszność swoich działań, zdziwił się, że tak samo jak każdy był podatny na nieznane mu dotąd uczucia wątpliwości i strachu. Lubił swoją pracę, odnosił sukcesy i był zamożny. Przeżywał kolejne lata, nie myśląc o przyszłości. Ale teraz musiał zmierzyć się z faktem, że być może nie miał przed sobą żadnej przyszłości. Nagle wszystko, co osiągnął, wydało się niewiele warte.

Kilka dni temu Maks myślał, że ma tyle czasu,

ile tylko potrzebuje, i że nie musi jeszcze zastanawiać się nad małżeństwem i dziećmi: W swojej arogancji wyobrażał sobie, że nie nadszedł odpowiedni moment na romans z Sophie, że jej nie potrzebował. Ale w obliczu groźby poważnej choroby czas stał się nagle bardzo ważny.

Pod wpływem impulsu zadzwonił do swojego pilota i godzinę później leciał na Sycylię. Potrzebował nieskomplikowanego towarzystwa Sophie, jej nieskrywanej adoracji, jej cudownego ciała. Nie zmierzał czekać ani chwili dłużej. Zamierzał ją zdobyć, nawet jeśli to miałyby być ostatnia kobieta w jego życiu.

Po dotarciu na miejsce przyjrzał się znajomej scenerii ogrodów hotelowych. Zmrużył oczy, przyglądając się trzem młodym chłopakom w basenie, którzy grali w wodne polo z dziewczyną. Tą dziewczyną była Sophie. JCiedy ją obserwował, wyszła z wody i usiadła na leżaku. Młodzi mężczyźni ułożyli się dookoła niej na ziemi. Widok dobrze znanego mu różowego bikini rozwiął wszelkie wątpliwości. Jego ciało nadal gwałtownie reago- wało na jej wdzięki.

- Cześć, Sophie. Widzę, że świetnie się bawisz...  
- Pociągnął delikatnie długi mokry kosmyk jej włosów opadających na plecy.

Odwróciła głowę, a jej zielone oczy zrobiły się wielkie niczym spodki.

- Maks, wróciłeś! Nie wiedziałam.

Czerwień jej policzków i uśmiech na jej twarzy w zupełności wystarczyły Maksowi.

- Ośmielę się zapytać, czy masz plany na wieczór. - Oczywiście odpowie, że nie. Ani przez moment w to nie wątpił. - Pomyślałem, że może przejedziemy się na wybrzeże i urządzimy sobie piknik.

- Z przyjemnością - odparła, a uśmiech zagościł na jej ponętnych ustach.

Maks nie mógł się powstrzymać, żeby nie chwycić jej w ramiona i nie pocałować. Tak bardzo pożądał tej kobiety. Najwyraźniej jego testosteron miał się świetnie. Mimo to opanował emocje i delikatnie odsunął ją od siebie.

- Przyjadę po ciebie o ósmej. - Po tych słowach odwrócił się i odszedł.

Sophie patrzyła, jak odchodzi. Jej wzrok błędził czule po jego ciele, a rozpacz i wątpliwości minionego tygodnia ustąpiły miejsca euforii.

Później tego wieczoru Maks pomógł jej wysiąść z samochodu i, biorąc kosz z tylnego siedzenia, chwycił ją mocno za rękę.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała Sophie.

Zaparkował przy przystani małego miasteczka, a ona rozglądała się dookoła z rozkoszą. Kolorowe światła tańczyły w ciemnościach, kreśląc kontury jachtów unoszących się na wodzie.

- La Porto Piccolo - odparł, spoglądając na nią z uśmiechem. - To było ulubione miejsce spotkań

mojego przyjaciela i moje, kiedy byliśmy młodszy. Obaj kupiliśmy pierwsze jachty w wieku dziewiętnastu lat, żeby robić wrażenie na dziewczynach. Zawsze cumowały tutaj, z dala od wścibskich spojrzeń naszych rodzin. Przystań jest mała, ale spędziliśmy tu wiele fantastycznych chwil. - Podając jej rękę, pomógł wejść na pokład.

Sophie nie była pewna, czy podobały jej się wnioski płynące z tej opowieści. Czy to był jakiś statek miłości? I ile dziewczyn Maks wprowadził na pokład? Ale nagle dostrzegła stolik i dwa krzesła ustawione na błyszczącym pokładzie.

- Zjemy tutaj? - zapytała.

- Tak. - Postawił kosz na stole i porwał ją w ramiona. - Mamy taką piękną noc, więc pomyślałem, że możemy się nią rozkoszować, uczując na pokładzie. - Pocałował ją. - Nie masz pojęcia, jak bardzo chciałbym ci się przypodobać. - Znów ją pocałował.

Zaskoczyła ją łagodność, którą dostrzegła w jego oczach. Maksowi naprawdę na niej zależało.

- Już ci się to udało - wyznała szczerze. - Tak bardzo za tobą tęskniłam. Tęskniłam za twoimi niesfornymi czarnymi włosami, twoim przekornym uśmiechem... - Odgarnęła jedwabisty pukiel z jego czoła. - Cieszę się, że wróciłeś.

- Później pokażesz mi, jak bardzo. - Maks nakrył dłonią jej rękę na jego piersi i pochylił głowę, żeby delikatnie musnąć ustami jej szyję. Sophie



zadrżała, kiedy poczuła jego język na swojej wrażliwej skórze. - Ale najpierw zapraszam na zwiedzanie jachtu i kolację.

Czując jego palce na swoim brzuchu, Sophie ledwie dostrzegła jacht. Rzuciła okiem na jedną małą kabinę, w której Maks wspomniał coś o „dwóch kojach”, a potem otworzył drzwi do drugiej kabiny.

- Pochyl głowę - poinstruował ją, wprowadzając do środka i zamykając za sobą drzwi. Kabina była mała, a oświetlały ją jedynie światła przystani, które rzucały migotliwe cienie na podwójną koję. - Nadaje się tylko do spania - mruknął, ogrzewając oddechem jej czoło.

Sophie czuła się jak we śnie. A kiedy Maks zacieśnił uchwyt na jej talii i odwrócił twarzą do siebie, zabrakło jej tchu. Wpatrywała się jak zahipnotyzowana w jego ciemne oczy, zapominając o ostrzeżeniach nakazujących ostrożność.

Wtedy jego usta odnalazły jej wargi, zatraciła się w niesamowitych doznaniach, których doświadczało jej ciało. Uniósł głowę i napotkał jej wzrok.

- Chcesz tego? - zapytał ledwie słyszalnym głosem, kiedy delikatnie odgarnął jedwabisty kosmyk włosów z jej policzka.

- Tak - wykrztusiła, a już po chwili oboje leżeli nadzy w łóżku.

Nigdy nie przypuszczała, że można przeżywać taką rozkosz.

- Powinnaś była mi powiedzieć, że będę pierwszy...

- Pierwszy i jedyny - westchnęła. - Tak bardzo cię kocham.

- Och, Sophie, uwielbiam cię. Jesteś bezcenna. Nigdy się nie zmieniaj - mruknął łagodnie.

- Zmieniłam się dzięki tobie - wyszeptwała.

- Wiem. - Maks znów pocałował jej usta, po prostu nie mógł się powstrzymać. - Ale to ja powinienem ci podziękować. Podarowałaś mi coś bardzo cennego, wartego znacznie więcej, niż możesz sobie wyobrazić.

Nigdy przedtem nie kochał się z dziewczyną i nigdy wcześniej nie spotkał się z taką dziką namiętnością. Zapomniał o całym świecie. Ale w tym tkwił problem. Spojrzał w jej rozpalone miłością oczy i chciał jej o wszystkim powiedzieć, ale po prostu nie mógł zepsuć tej chwili. Zamiast tego usłyszał, jak wypowiada dziwne słowa:

- Wyjdź za mnie.

I nagle zrozumiał, że naprawdę tego zapragnął. Bez względu na to, co przyniesie los. Sophie musiała być jego i tylko jego...

Tłumiąc w sobie złość, Maks posłał chłodne spojrzenie przyczynie swojej podróży przez wspomnienia. Z perspektywy czasu zdał sobie sprawę, że jego oświadczenia były prawdopodobnie zwykłą reakcją na poważny uszczerbek męskiego ego,

jakiego doznał na wieść o raku jąder. Ale wtedy łudził się, że to było coś więcej.

Maks ponownie spojrzął na Sophie, ale tym razem przez dłuższą chwilę obserwował spod przymrużonych powiek, jak uśmiecha się i czaruje mężczyznę siedzącego obok. Zauważył, że Abe Asamov pogładził palcem jej policzek i jego usta wykrzywiły się w gorzkim, cynicznym uśmiechu.

*Dio!* Sophie z pewnością z nim sypiała i robiła to wyłącznie dla pieniędzy. Obrzydzenie targnęło jego wnętrzościami. Kiedy widział, jak schodzą z parkietu, i przyglądał się, jak całuje tłustego Rosjanina w policzek, uznał, że nie będzie dłużej czekał, żeby z nią porozmawiać. Właściwie nie zamierzał czekać ani minuty.

Podobno zemstę najlepiej brać na chłodno. Maks tłumaczył sobie, że nie czuje nic poza lodowatą wściekłością na piękną Sophie i na to, kim się stała. Zerwał się na równe nogi. Już raz myślał, że moment był nieodpowiedni na romans z Sophie, ale potem zmienił zdanie. Dwa dni później został bezceremonialnie porzucony. A tym razem to on odejdzie pierwszy...

## ROZDZIAŁ TRZECI

Instynkt obronny nakazywał Sophie uciekać. Powinna była wiedzieć, że powrót do Włoch nie wróżył nic dobrego. Spotkała Maksa. Jednak musiała przetrwać tę kolację, żeby udowodnić sobie, że po pierwsze, jest profesjonalistką, a po drugie, Maks Quintano nic dla niej nie znaczy.

Na szczęście Abe poprosił ją o przetłumaczenie słów Cesare'a, na co przystała z ochotą. Jeśli będzie koncentrowała się na obu panach, może uda jej się zapomnieć o Maksie i Ginie.

Kiedy wróciła na uniwersytet po krótkim romansie z Maksem, było jej naprawdę ciężko. Ale z pomocą przyjaciół, a także dzięki pracy, w końcu przekonała samą siebie, że jej na nim nie zależy. Irytowało ją, że jego widok nadal ją rani.

Przez kolejną godzinę Sophie jadła, piła i uśmiechała się, ale nadal miała świadomość obecności Maksa Quintano. Czuła się tak, jakby jego wzrok spoczywał na niej. Prowadzenie zwykłej rozmowy wymagało od niej sporo silnej woli. Błyszczała możliwie najjaśniejszym blaskiem, podziwiana przez Cesare'a, co nie uszło uwagi Abe.

- Sophie? Za bardzo się starasz. Bez względu na to, kogo usiłujesz unikać, wykorzystaj mnie, a nie Cesare'a. Jego mogłabyś zranić, ale ja mam szerokie ramiona i chętnie odegram małą scenkę.

- Za dużo widzisz - westchnęła Sophie, a kiedy Abe poprosił ją do tańca, udało jej się przywołać na usta niemal naturalny uśmiech.

Co zaskakujące, Abe był niezłym tancerzem pomimo tuszy. Sophie odprężyła się przy muzyce, a jej wysoka, smukła- sylwetka zwróciła uwagę wielu mężczyzn.

- Jak już mówiłem, jesteś piękną kobietą - powiedział Abe, kiedy dźwięki melodii ucichły. Objął ją w pasie i zaprowadził do stolika. - Kimkolwiek jest ten facet, to głupiec i nie zasługuje na ciebie. Zasługujesz na wszystko, co najlepsze. Nie zapominaj o tym.

Spojrzała w surową twarz Abe i zdała sobie sprawę, że nie tylko był wyjątkowo miłym, ale także przenikliwie bystrym mężczyzną.

- Masz rację. - Uśmiechnęła się i pocałowała go w policzek. - Dziękuję.

- Przepraszam - usłyszała głęboki męski głos. - Czy mogę poprosić do tańca pana partnerkę?

Abe spojrzał na Maksę bynajmniej nieonieśmieszony jego wzrostem i bardzo wolno zlustrował go wzrokiem, zanim uniósł pytająco brwi w stronę Sophie i zapytał w ojczystym języku, o co chodzi. Ale ona była zbyt zszokowana nagłym pojawieniem

się Maksa i jego propozycja, żeby próbować kłamać, dlatego przetłumaczyła dokładnie jego słowa.

- Ach tak. - Spojrzał na Maksa. - Chcesz moją kobietę? - wydukał po angielsku, a w jego niebieskich oczach tańczyły złośliwe iskierki.

Sophie wiedziała, że Abe świetnie się bawi. Dał Maksowi do zrozumienia, że jest jego kochanką, a Maks najwyraźniej w to uwierzył. Miał czelność ją osądzać, kiedy to on miał legion kochanek!

- Mam nadzieję, że dostąpię zaszczytu zatańczenia z pana czarującą towarzyszką. Sophie i ja znamy się z dawnych czasów. - Patrzył wyzywająco na Abe.

Abe rozłożył ręce w teatralnym geście.

- Nie jestem jej właścicielem. Może więc zapytasz samą zainteresowaną.

Nagle okazało się, że Abe zna angielski o wiele lepiej, niż ktokolwiek przypuszczał. Maks odwrócił głowę i napotkał jej spojrzenie.

- Czy mogę prosić cię do tańca, Sophie? Twój partner najwyraźniej nie ma nic przeciwko - stwierdził z uśmiechem.

- Maks, co za niespodzianka - rzuciła chłodno. Słowa nie mogły wyrazić złości, którą w sobie tłumiła, kiedy dwaj mężczyźni rozmawiali tak, jakby wcale jej nie było. - Nie wiedziałam, że umiesz tańczyć. Gina cię nauczyła? — zapytała uszczypliwie.

- Szczerze mówiąc, tak, między innymi.

Nagle zdała sobie sprawę, że stoi w milczeniu, uwięziona między dwoma mężczyznami na parkiecie, zwracając uwagę wszystkich obecnych.

- Nie wątpię. A skoro przyszedłeś z nią dziś wieczorem, nie powinienesz poprosić do tańca właśnie jej?

- Nie, Gina ma inne rzeczy na głowie - odparł, spoglądając z rozbawieniem w stronę stolika.

Jego nieczułość i obojętność zaskoczyły ją. Obrzuciła go wściekłym spojrzeniem. Prawie nic się nie zmienił. Jego ciemne włosy były trochę krótsze i miejscami przyprószone siwizną, ale rysy twarzy być może trochę się wyostrzyły. Było w nim coś twardego, czego nie pamiętała z przeszłości, ale nadal emanował seksapilem.

- Jestem zaskoczona, że chcesz ze mną zatańczyć.

Maks wyciągnął rękę w jej stronę.

- A nie powinnaś. W końcu kiedyś byliśmy sobie bardzo bliscy, Sophie.

Jego lśniące oczy drwiły z niej i przez chwilę się wahała. Jednak nie ufała mu i przypuszczała, że jeśli się nie zgodzi, wymyśli coś znacznie bardziej kompromitującego, a plotka była ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała.

- Z rozkoszą zatańczę z panem, panie Quintano - powiedziała i podała mu dłoń.

Maks wyczuł, że nie spodobał jej się ten



pomysł, ale była zbyt dobrze wychowana, żeby odmówić. Celowo splótł palce z jej palcami, czując delikatne drżenie.

- To nie było takie trudne - mruknął jej do ucha, pochylając głowę, kiedy prowadził ją na parkiet.

Wygrał pierwszą bitwę, chociaż ona nawet za bardzo nie walczyła. Kiedy się zatrzymali, chwycił jej drugą rękę i specjalnie przytrzymał na wyciągnięcie ramion.

- Dobrze wyglądasz. - Bez skrępowania omiół wzrokiem jej sylwetkę. Mówił prawdę. Sophie Rutherford zamieniła się w elegancką damę, nawet jeśli jej morale było tak niskie. - Właściwie wyglądasz piękniej niż kiedykolwiek. Nadal lubisz męskie towarzystwo. A muszę przyznać, że Abe Asamov to niezły kasek! Zdajesz sobie sprawę, że jest żonaty? - rzucił cynicznie, po czym przyciągnął ją bliżej i wprawnie pokierował nią w takt wolnej muzyki.

Muśnięcie jego długich nóg, znajome ciepło i zapach przyprawiły Sophie o dreszcz. Miała nadzieję, że w ten sposób jej ciało dawało znać, jak wielką czuła do niego odrazę. Bez względu na powód nie miała zamiaru dać czegokolwiek po sobie poznać. Nie była już nastolatką. Wyrosła na pewną siebie, obytą w świecie kobietę, która potrafiła kontrolować sytuację.

- I co z tego? - zapytała, wzruszając ramionami. - Nie szukam męża.

- Nie wątpię - mruknął Maks, spoglądając na nią spod przymkniętych powiek. - Bardziej niż ktokolwiek inny zdaję sobie sprawę, że lubisz dobrobyt i przyjemności. Ale stres i obciążenia związane z małżeństwem z pewnością nie są dla ciebie.

- Tak dobrze mnie znasz... - zaświergotała słodko, czując jego silną dłoń na swoich nagich plecach.

- Masz rację. - Przesunął wzrok na łagodną linię jej piersi widoczną w głęboko wyciętym dekolcie i sardoniczny uśmiech wykrzywił mu usta. - I nie miałbym nic przeciwko, żeby znów cię poznać. Co ty na to, Sophie? - zapytał arogancko. - Ja zamiast Abe? Podobno kobieta nigdy nie zapomina swojego pierwszego kochanka.

Maks był zbyt bezpośredni, jeśli nie ordynarny. Nie mogła uwierzyć, że kiedyś kochała tego mężczyznę.

- Jesteś obrzydliwy - wymamrotała w końcu, próbując się od niego odsunąć.

Jego bliskość wywoływała zamęt w jej głowie. Wiek ani trochę nie osłabił bijącego od niego zwierzęcego magnetyzmu i chociaż nim gardziła, ciągnęło ją do niego niczym ćmę do ognia. Czuła się dokładnie tak samo jak podczas ich pierwszego spotkania i nienawidziła tej bezsilności, którą w niej rozbudzał.

- Może. - Poczowała jego usta na czubku głowy.  
- Ale nie odpowiedziałas na moje pytanie.

- Nie zasługuje na odpowiedź. - Spojrzała mu prosto w twarz. W jej zielonych oczach strach mieszał się ze złością. - Nie wiem, po co w ogóle poprosiłeś mnie do tańca, skoro po naszym rozstaniu nigdy więcej nie chciałeś się ze mną spotkać. Ani czemu się na to zgodziłam. Wszystko przez dobre maniery, chociaż ty najwyraźniej nie możesz się nimi pochwalić. Nie widziałam cię od siedmiu lat i z chęcią przeżyję bez twojego widoku kolejnych siedem, a nawet dłużej!

- Ale się z ciebie zrobiła sekutnica, a ja tylko starałam się być miły - powiedział jedwabistym głosem. - Może nie jestem tak bogaty jak Abe, ale z pewnością mogę zapewnić ci życie na poziomie, do jakiego przywykłaś. Może i masz suknię od Diora, ale twoja biżuteria to zwykły kryształ. Jeśli zostaniesz moją kochanką, będziesz nosiła diamenty. Mogę ci to obiecać - zakończył drwiąco.

- Czemu ty...

Ale słowa ją zawiodły. Nie musiała tego znosić, nawet jeśli jej zdradzieckie ciało nadal przeszywał dreszcz emocji pod wpływem tego mężczyzny. Sugestia, że mogłaby zostać jego utrzymanką, przepełniła czarę goryczy. Spróbowała wyswobodzić się z jego uścisku.

- Przestań - ostrzegł ją. - Pomyśl o konsekwencjach. Wolałbym, żebyśmy doszli do porozumienia, niż wzbudzili zainteresowanie tłumu.

- Do porozumienia! Co ty wygadujesz?

Kiedy muzyka ucichła, Sophie oparła ręce na jego torsie, żeby go odepchnąć, ale on zacieśnił uścisk, uniemożliwiając jej odwrót. Spojrzała na niego krzywo, dostrzegła wściekłość w jego twardej spojrzeniu i zobaczyła, że opuszcza głowę. Chyba nie odważy się pocałować jej publicznie, zdażyła pomyśleć, zanim złożył na jej ustach namiętny pocałunek. Była zbyt zaskoczona, żeby się opierać, dlatego nie zrobiła nic, żeby mu przeszkodzić. Dopiero kiedy uniósł głowę, zdała sobie sprawę, że dla pozostałych gości wyglądało to tak, jakby pozwoliła mu na ten pocałunek.

- Ale z ciebie pozbawiony skrupułów drań.

- W- stosunku do ciebie nie mam żadnych. Może teraz Abe zrozumie moją wiadomość. Byłaś moja, zanim stałaś się jego, i znów będziesz moja.

- Czyś ty oszalał? - zapytała, ale zawroty głowy wywołane pocałunkiem bardziej kazały jej martwić się o własny umysł. - Nie przyjęłabym cię nawet jako prezent.

- Ale przyjmiesz. - Rozplatał ręce i chwycił ją w pasie. - Twoje ciało mówi mi wszystko, co powinienem wiedzieć - dodał, prowadząc ją do stolika. - Słyszałem o tobie pikantne historie od mojego przyjaciela z Ameryki Południowej. Najwyraźniej twoja kariera naprawdę nabrała tempa. Wygląda na to, że popyt na twoje zdolności, nie tylko językowe, jest ogromny.

- Tak słyszałeś?

Przeraziła ją myśl, że Maks Quintano mógł znać ludzi, dla których pracowała. Właściwie nie było w tym nic dziwnego. W końcu poruszali się w tym samym kręgu.

- Syn chilijskiego ambasadora, fantastyczny zawodnik drużyny polo, zadurzył się w tobie po same uszy. Kiedy pojawiłaś się na jego ostatnim pucharowym meczu, nie mógł oderwać od ciebie oczu, dlatego spadł z konia i złamał nogę. Chyba nie muszę dodawać, że nie uznałaś za stosowne trwać u jego boku.

Sophie pamiętała to wydarzenie, ale plotka, która zrodziła się w jego wyniku, naprawdę ją przeraziła, bo prawie nie знаła mężczyzny, o którym była mowa. Wzruszyła ramionami.

- I co z tego?

- Słyszałem również, że twój ojciec ponownie się ożenił i masz małego braciszka.

- Tak - odparła mechanicznie.

Kosztowało ją wiele wysiłku, żeby iść spokojnie u jego boku, kiedy tak naprawdę chciała od niego uciec i ukryć się.

- Jeśli zależy ci na poufności tych informacji, spotkasz się jutro ze mną na lunchu, żeby wszystko omówić. Zadzwoń do ciebie do hotelu w południe - zakomenderowałam, kiedy dotarli do stolika.

- Nie mamy czego omawiać - mruknęła, kiedy odsunął dla niej krzesło.

Spojrzała na jego napiętą, cyniczną twarz i za-

dała sobie w duchu pytanie, dlaczego chciał się z nią spotkać, skoro miał u boku kochającą Ginę... i co to wszystko miało wspólnego z jej rodziną.

- Po prostu przyjdź - powiedział z jedwabistym uśmiechem. - I dziękuję ci za taniec. - Odwrócił się do jej towarzysza i dodał: - Dziękuję ci, Abe. - Zmrużył oczy z wyrazem triumfu, kiedy spojrział w twarz starszego mężczyzny.

Abe długo zwlekał z odpowiedzią. Wytrzymał spojrzenie Maksa, po czym pokręcił łysą głową.

- Nie potrzebuję podziękowań - odparł oschle. - Ma pan moje... - Odwrócił się do Sophie i zapytał, jak wyrazić coś po angielsku. Następnie odwrócił się do Maksa i powtórzył: - ...poparcie.

- Co miałeś na myśli, oferując Quintano swoje poparcie? - zapytała Sophie, jak tylko Maks się oddalił. - Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi. Nie mogę znieść tego człowieka i na pewno nie zjem z nim jutro lunchu.

- Królowa lodu pęka — zażartował Abe. - A jeśli nie wiesz, czemu oferowałem mu poparcie, to może się mylę i jeszcze nie wszystko stracone - odparł tajemniczo. - W takim razie Quintano nie potrzebuje mojego poparcia i możemy kontynuować naszą grę. - Wezwał kelnera i zamówił szampana. - Moja żona z radością wysłucha tej opowieści. Oboje od dawna na to czekaliśmy. Jesteś zbyt cudowna, żeby być sama.

Sophie zaprzeczyła, jakoby interesował ją Maks

Quintano, i starała się ze wszystkich sił udawać, że jego nieoczekiwane pojawienie nie wywarło na niej wrażenia. Sączyła szampana i prowadziła rozmowę z pozostałymi gośćmi przy stoliku, ale jej emocje buzowały, grożąc eksplozją.

Miała Maksowi za złe, że znów wtargnął do jej życia i umyślnie poniżył ją, całując przed całym tłumem. Natomiast sobie miała za złe, że mu na to pozwoliła. Nadal był z Gina, a skoro składał jej propozycję, to nadal uganiał się za spódniczkami. Skoro to wszystko wiedziała, wystarczyło tylko wyrzucić go z głowy. Wypiła szampana, a potem Abe zaproponował kawę. Niedługo potem wyszli.

Maks patrzył, jak opuszczają przyjęcie. W jego ciemnych oczach płonął ogień piekielny. Abe Asamov nigdy więcej nie będzie miał szansy spędzenia nocy z Sophie. Już on tego dopilnuje.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

W hotelu Sophie rozebrała się i ruszyła prosto do łazienki. Po kąpieli włożyła bawełnianą koszulę nocną i wślizgnęła się pod kołdrę. Padała z nóg, ale sen nie nadchodził. Przewracała się z boku na bok, próbując wykasować z pamięci obraz Maksa. Na próżno.

Już przy okazji ich pierwszego spotkania zakochała się w nim bez pamięci, a kiedy dwa tygodnie później opuścił hotel, czuła się zdruzgotana. Na szczęście z pomocą Marnie niemal udało jej się przekonać samą siebie, że tak było lepiej. Maks Quintano wyprzedzał ją w każdy możliwy sposób. Był od niej znacznie zamożniejszy, starszy i zbyt światowy dla niewinnej młodej studentki. Powoli zaczynała w to wierzyć.

Niestety, wszystko zmieniło się, kiedy tydzień później wrócił niespodziewanie. Wszystkie jej wątpliwości i zastrzeżenia rozwiały się jak dym na wietrze. Wystarczyło jedno zaproszenie na randkę.

Dopiero znacznie później Sophie zrozumiała, że została uwiedziona przez eksperta. Ale, kiedy

zaprowadził ją na jacht, nie protestowała. Oczami wyobraźni nadal widziała jego uśmiech, choć od tamtej nocy minęło wiele lat. Nigdy wcześniej nie zaznała takiej rozkoszy. Erotyczne pieszczoty jego dłoni i ust doprowadzały ją do szaleństwa. A jeszcze do tego ta propozycja małżeństwa... Oczywiście zgodziła się bez zastanowienia. Ale ten euforyczny stan trwał tylko jedną noc.

Z zamkniętymi oczami Sophie przywołała w pamięci Maksa wychodzącego do restauracji hotelowej w tamto niedzielne popołudnie. Wyglądał niezwykle elegancko w jasnych spodniach i luźnej bawełnianej koszulce. Oparł się leniwie o biurko recepcji, za którym od kilku godzin pracowała Sophie, odnalazł jej spojrzenie i uśmiechnął się zmysłowo.

- Miałem nadzieję, że dołączysz do mnie podczas sjesty - powiedział, nakrywając dłonią jej palce. - Nie musisz się czerwienić, Sophie. - Zachichotał. - Wszystkie zaręczone pary zachowują się tak samo. Właściwie tutaj na Sycylii to już tradycja. A przecież nie chciałybyś rozgniewać miejscowych - zażartował.

- Jest pan nienasycony, sir - odwzajemniła żart. - A ja mam obowiązki jeszcze przez godzinę.

Zerknął na zegarek na rękę, a potem jego oczy napotkały jej spojrzenie. W ich głębi czaiła się czułość.

- Chyba mogę poczekać dwie godziny, ale

będzie mi bardzo ciężko - stwierdził, uśmiechając się szelmowsko.

Ktoś przerwał im rozmowę, wzywając go po imieniu. Odwrócił się, a ona patrzyła osłupiała, jak Maks biegnie w stronę drobnej kobiety o chłopięcej figurze i krótko przystrzyżonych czarnych włosach. Chwytał ją w ramiona i ucałował w oba policzki. Tyrada po włosku wymagająca machania rękoma trwała co najmniej pięć minut, po których Maks odwrócił się do biurka, obejmując mocno tę kobietę.

- Sophie, chciałbym przedstawić ci moją siostrę Ginę. A to moja przyjaciółka Sophie.

Sophie uśmiechnęła się nieśmiało do Giny i wyciągnęła rękę.

- Miło mi.

Gina posłała jej promienny uśmiech.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Jesteś urocza. - Ucisnęła jej dłoń i natychmiast odwróciła się do Maksa. - Nic się nie zmieniłeś. Wynajęłabym buldożer, żeby zetrzeć cię na miazgę!

Roześmiała się i chociaż Sophie nie zrozumiała dowcipu, uznała, że Gina wydaje się dość sympatyczna.

- Sophie, bądź tak dobra i dopilnuj, żeby przysłali do mojego apartamentu lekki lunch i kawę. Gina jeszcze nic nie jadła, a czeka nas długa rozmowa. Zobaczymy się później.

Sophie patrzyła, jak Maks wchodzi do windy,

obejmując Ginę. Wytracona z równowagi przez jego bezceremonialne zachowanie, poczuła, że jej szczęście trochę przygasło. Zadzwoiła do kuchni, żeby przekazać instrukcje Maksa. Ale jak tylko odłożyła słuchawkę, przypomniała sobie ostrzeżenie Marnie.

Gina nie była jego prawdziwą, ale przyrodnią siostrą. Plotki głosiły, że od lat miał z nią romans.

Nie czuła się ani trochę lepiej, kiedy o czwartej Marnie przyszła ją zastąpić. Kiedy powiadomiła ją o nieoczekiwanym przyjeździe Giny, dostrzegła współczucie w oczach przyjaciółki, co tylko podsycało jej wątpliwości. Markotna i podejrzliwa ruszyła do domku letniskowego, zdjęła uniform i wzięła prysznic.

Może przez kobiecą dolegliwość była zazdrosna i humorzysta. Z tą myślą poszła do sypialni i ubrała się w szorty oraz koszulkę. Ale po chwili wpadła w jeszcze gorszy nastrój, kiedy zdała sobie sprawę, że na kilka kolejnych dni może zapomnieć o seksie.

Nigdzie nie mogła znaleźć sobie miejsca. Krążyła po domku, nie odrywając oczu od telefonu. Na pewno Maks zaraz do niej zadzwoni. Przecież dobrze wiedział, że skończyła pracę o czwartej.

Ale o piątej nie mogła dłużej znieść narastającej niepewności, dlatego postanowiła przejść się po ogrodach do labiryntu, który Maks pokazał jej pierwszego dnia.

Sophie przewróciła się na plecy i zacisnęła powieki, próbując powstrzymać łzy, które nawet po tylu latach cisnęły się jej do oczu. Nadal słyszała w głowie ich głosy tak wyraźnie, jakby to było wczoraj.

- Maks, musisz jej powiedzieć, jeśli zamierzasz się z nią ożenić. Młode kobiety są dzisiaj o wiele bardziej dojrzałe. Jestem pewna, że upora się z tą sytuacją bez większych trudności. - Sophie rozpoznała głos Giny i wyczuła w nim usilną prośbę.

- Naprawdę tak myślisz? Nie jestem pewien. Jest bardzo młoda i zupełnie niedojrzała.

Z jaką sytuacją? - zastanawiała się Sophie. Bardzo wolno zbliżała się do końca żywopłotu i, jak się miało później okazać, do końca swoich marzeń.

- W takim razie po co w ogóle poprosiłeś ją o rękę?

- Bo zachowałem się nierozważnie i nie skorzystałem z zabezpieczenia, więc może być w ciąży.

Sophie zamarła bez ruchu. Tak bardzo oczarowały ją jego pieszczoty i oświadczyły, że nawet nie pomyślała o ewentualnych konsekwencjach. A przecież naprawdę mogła zająć w ciąży. Jak mogła być taka głupia? Oczywiście Maks od razu o tym pomyślał. I dlatego poprosił ją o rękę. Czy taki był prawdziwy powód ich sekretnych zaręczyn?

Sophie nie mogła złapać powietrza. Przeszył ją ból, jakby ktoś wbił w nią ostry nóż. Maks powiedział, że ją uwielbia, że była bezcenna, ale nigdy nawet nie wspomniał, że ją kocha.

- Mogłam się domyślić. - Pogardliwy głos Giny wdarł się do jej myśli. - Ostrzegałam cię, żebyś nie działał impulsywnie, ale nie. Ty zachowujesz się jak większość mężczyzn na widok pięknej kobiety. Ale bez względu na wszystko nie możesz się z nią ożenić, jeśli nie wyznasz jej prawdy. Ona prawie cię nie zna, a moim zdaniem jest za młoda na małżeństwo. Nawet nie skończyła studiów. Ma prawo wybrać, czy chce znaleźć się w takiej sytuacji. Jeśli ty jej tego nie powiesz, ja to zrobię.

Sophie zdumiał fakt, że Maks znosił taką burę bez słowa protestu. Musiał bardzo cenić Ginę, co do tego nie miała wątpliwości. Co więcej, ona musiała zajmować w jego życiu bardzo ważną pozycję, skoro pozwalała sobie na takie komentarze.

- Sophie może być na tyle głupia, żeby pójść z tobą do łóżka. Która dziewczyna by nie była na jej miejscu? Nawet nie policzę. Już dawno przestałam - warknęła Gina ze złością. - Ale z tego, co opowiedziałeś mi o jej osiągnięciach naukowych, nie może być aż tak głupia. Szybko domyśli się, że coś jest nie tak, kiedy jej świeżo upieczony mążonek regularnie będzie znikał z domu, prawdopodobnie także nocami, a po powrocie nie będzie

miał siły, żeby się z nią kochać. Oboje wiemy, że tego nie da się uniknąć.

- Powiem jej - oświadczył Maks. - Ale jeszcze nie teraz. Minęło dopiero kilka dni.

- Och, Maks, kocham cię. Ale jesteś typowym facetem! - obruszyła się.

- Wiem. - Zachichotał. - I też cię kocham. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił. Ale spójrz na to z innej strony. Przy odrobinie szczęścia być może nie będę musiał nic mówić Sophie.

Nagle wszystko do niej dotarło. Marnie miała rację. Maks i Gina byli kochankami. Na pewno rozmawiali o tym, jak Sophie będzie znosić ich romans, będąc młodą mężatką. Nie mogła winić Giny. Ona chciała wyznać jej prawdę. To Maks kręcił i kłamał.

Trawiły ją ból i wściekłość. Łzy cisnęły się jej do oczu, ale nie pozwoliła im płynąć. Chciała krzyczeć. Jak mogła w ogóle pomyśleć, że on ją kocha?

Wysłała z ukrycia. Tak bardzo chciała się mylić, ale kiedy ujrzała ich na własne oczy, wszystkie wątpliwości rozprysły się jak bańka mydlana. Siadzieli na ławce, obejmowali się. Język ciała świadczył o łączącej ich silnej więzi. Na ten widok jej serce zamieniło się w kamień.

- Masz rację, Maks, nie musisz mi nic mówić - warknęła. - Wszystko słyszałam i...

- Wszystko słyszałaś? - Skoczył na równe



nogi. - Przepraszam. Powinienem wyznać ci prawdę. Nie chciałem, żebyś dowiedziała się w ten sposób. - Podszedł do niej. Na jego twarzy malował się pełen żalu, a może nawet wstydu, uśmiech.

Wyciągnęła rękę, żeby go powstrzymać.

- Nie musisz niczego żałować. Gina ma rację. Jestem za młoda na małżeństwo, a twoja sytuacja wcale mi nie odpowiada. I tak wyjeżdżam pod koniec tygodnia, więc równie dobrze możemy pożegnać się już teraz. Powodzenia.

- Nie, Sophie, chyba nie mówisz poważnie!  
- wykrzyknął. - Nie jest tak źle, jak może się wydawać. Chodź, usiądź z nami. Gina wszystko ci wytłumaczy.

Nie jest tak źle! Obrzydzenie wykrzywiło jej usta. Może nie było tak źle w ich wytwornym, dekadentckim świecie.

- Nie.

Potrząsnęła głową, a jej zielone oczy miały pioruny. Jej bohater... jej kochanek... Przebiegły, kłamliwy szczur miał czelność proponować jej, żeby usiadła z nim i jego kochanką. Co chcieli jej tłumaczyć? Jak wygląda związek w trójkącie?

- Słyszałam wystarczająco dużo i nie mamy sobie nic do powiedzenia. To było ciekawe doświadczenie, ale w tych okolicznościach muszę położyć mu kres. Nie jestem zainteresowana życiem, które nakreśliłeś. Poza tym na szczęście nie jestem w ciąży, więc nie masz się czym martwić.

Maksowi tak naprawdę nigdy na niej nie zależało. Nawet jego miłość do Giny nie przypominała czegoś, co Sophie mogłaby nazwać prawdziwą miłością. W końcu zrozumiała, że ten mężczyzna był najbardziej aroganckim, samolubnym manipulatorem, jakiego kiedykolwiek poznała.

Sophie zobaczyła, jak prostuje masywne ramiona. Przez sekundę wydawało jej się, że dostrzegła ból w jego ciemnych oczach, ale musiała się pomylić, bo kiedy ponownie spojrzała mu w twarz, dostrzegła jedynie pozbawioną wyrazu maskę.

- Bardzo się co do ciebie pomyliłem. Masz rację, nie mamy sobie już nic do powiedzenia. I nie ma potrzeby, żebyś zostawała w hotelu do końca tygodnia. Wyświadczy mi przysługę i spakuj się najszybciej, jak potrafisz. Załatwię to z Alekssem. Bilet lotniczy odbierzesz na recepcji. Nigdy więcej nie chcę cię widzieć.

Właściwie to dziwne, że po takim czasie wciąż jeszcze rozpamiętywała ich rozstanie. To już było, minęło. Gina i Maks w pełni na siebie zasługiwali. A co do jutrzejszego lunchu, na pewno nie zje go w towarzystwie tego... Z tą myślą zasnęła.

Ale następnego dnia pod koniec porannej konferencji, kiedy prowadziła ożywioną rozmowę z organizatorem, Tonym Slaterem, straciła pewność siebie, kiedy nagle w holu pojawił się Maks Quintano.

- Sophie. - Skinął głową w jej stronę i wyciągnął

rękę do Tony'ego Slatera. - Dobrze znów cię widzieć, Tony. Słyszałem, że konferencja odniosła sukces. Uważam, że przedstawiono kilka całkiem niezłych pomysłów, z których można by zrobić użytek w przyszłości. Może omówimy je kiedyś?

Sophie otworzyła usta ze zdziwienia. Nie mogła uwierzyć, że miał czelność przeszkodzić im w trakcie rozmowy. Jednak twarz Tony'ego zdawała się mówić całkiem coś innego. Najwyraźniej on nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Wielki Maks Quintano właśnie zaproponował mu spotkanie!

- Byłoby cudownie - rozpromienił się w zachwycie.

Maks posłał jej triumfujące spojrzenie i roześmiał się, znów zwracając się do Tony'ego:

- Sophie i ja znamy się od dawna. Właśnie zabieram ją na lunch. O ile się orientuję, dziś po południu wygłoszone zostaną jedynie mowy zamykające konferencję. Wyświadczyć mi przysługę i przepraszam w imieniu Sophie wszystkich zainteresowanych. Chciałbym pokazać jej coś w Wenecji jeszcze przed jutrzejszym odlotem. - Wyciągając wizytówkę z kieszeni, dodał: - To mój numer. Zadzwoń do mnie rano, żebyśmy mogli się umówić.

Sophie próbowała oponować. Musiała wywiązać się z umowy, a to oznaczało, że powinna zostać do końca. Ale skoro organizator konferencji utrzymywał, że to nie będzie konieczne i że załatwi to

z klientami, musiała spasować. Maks wyprowadził ją z hotelu. Męska solidarność, pomyślała zgryźliwie.

Strzepnęła rękę Maksą, jak tylko stanęli na chodniku.

- Myślisz, że tak sprytnie zmanipulowałeś Tony'ego Slatera? Uważasz, że możesz przeszkadzać mi w pracy? - warknęła.

Spoglądał na nią. Jesienne słońce rozświetlało jego czarne włosy i podkreślało wyraziste rysy twarzy. Cały w czerni przypominał samego diabła. Ale ona się nie bała.

- Mam dla pana wiadomość, panie Quintano. Nie zjem z panem lunchu. Ani dzisiaj, ani nigdy. - Przyciskając torebkę bliżej ramienia, dodała: - Ale dzięki za dzień wolny od pracy. - Obróciła się na pięcie i odeszła.

Maks pozwolił jej na to, bo zmierzała we właściwym kierunku. Zaczekał swoją łódź motorową kilka metrów dalej i chociaż był przygotowany na to, że będzie musiał nieść ją, kopiącą i wydzierającą się wniebogłosy, na razie z przyjemnością patrzył, jak idzie. Spięte luźno włosy tworzyły jedwabistą pelerynę na jej plecach. Jej pośladki w dopasowanej, krótkiej granatowej spódnicy prezentowały się wspaniale, a długie nogi w jedwabnych pończochach cieszyły jego oczy.

Sophie nie spojrzała za siebie. Nie miała odwagi. Wpatrywała się usilnie w lśniąca taflę wody,

gratulując sobie tak sprawnej ucieczki. Nagle ktoś złapał ją w pasie i unióś w górę. Zaczęła się szamotać, ale już po chwili została posadzona na skórzanym fotelu łódki. Zanim zdążyła wstać, Maks włączył silnik i ruszył.

- Jesteś nienormalny! - krzyknęła. - W tej chwili zatrzymaj tę łódź albo dopilnuję, żeby aresztowano cię za porwanie!

Ku jej zdumieniu usłuchał. Silnik zgasł, a zaraz potem Maks odwrócił się i pochylił nad sterem, przysuwając do niej twarz.

- Jeśli ktokolwiek zostanie aresztowany, to na pewno twój ojciec, Nigel Rutherford. Za oszustwo. Chyba że zrobisz, co ci powiem.

- Straciłeś rozum! Nie możesz grozić mnie ani mojemu ojcu.

Nagle przypomniała sobie ostatni komentarz Maksa na temat jej rodziny. Wcześniej nic sobie z tego nie robiła, ale teraz zaczynała się niepokoić. Narastała w niej niepewność. Bo niby skąd on wiedział, że jego ojciec ponownie się ożenił i że ma syna?

- Nie muszę - odparł spokojnie.

- Ale czemu? - zapytała i natychmiast zamilkła.

Próbowała wyczytać cokolwiek z surowej twarzy Maksa. Wiedziała, że jej ojciec go nie zna. Siedem lat temu po powrocie z Włoch rozmawiali o rodzinie Quintano i wyraźnie zakomunikował, że tylko raz spotkał się z właścicielem. Poza tym znał

tylko Aleksa. Może to on wspomniał coś o stanie cywilnym jej ojca.

Czy Maks wiedział coś o jego interesach? Czy coś szło nie tak? Napięcie między nim a Margot było widoczne, kiedy odwiedziła ich w zeszłym tygodniu. Sophie przygryzła dolną wargę. Może mieli problemy finansowe, o których nic nie wiedziała. Dobry Boże, biorąc pod uwagę, z jaką lekkością Margot wydawała pieniądze, to było całkiem możliwe.

- Bo prawo się tego domaga. Kiedy za tydzień odbędzie się spotkanie jego wierzycieli, będzie ugotowany - powiedział Maks. - Chyba że ci pomogę. A to będzie cię słono kosztować.

- Jacy wierzyciele? I co znaczy, że mi pomozesz?

- Wydaje mi się, że wiesz. Ale jeśli nie, domyśl się - odparł z drwiną w głosie. - A ja tymczasem zawiozę nas na lunch.

Odwrócił się i włączył silnik. Sophie przez chwilę wpatrywała się w jego plecy i żałowała, że nie ma pod ręką sztyletu, chociaż zabicie go nie rozwiązałoby problemów. Wciąż na nowo odtwarzała w głowie odbytą przed chwilą rozmowę. Im więcej o niej myślała, tym większe stawały się jej obawy i złość. Ale nie miała zamiaru sprzeczać się z Maksem, dopóki nie dowie się, o co chodzi.

Próbowała skupić się na pięknie otaczającego ją krajobrazu. Wenecja w połowie października była

chłodnym i magicznym miejscem, tym bardziej że inwazja turystów chwilowo dobiegła końca. Skąpane w słońcu budynki ciągnące się wzdłuż kanałów, liczne stateczki przecinające wodę, kręte mosty powinny wzbudzać podziw. Ale nie w tej sytuacji. Była zbyt spięta i znajdowała się zbyt blisko Maksa, żeby móc zachwycać się czymkolwiek.

scandalous



## ROZDZIAŁ PIĄTY

Sophie usłyszała, że silnik ucichł. Unosząc głowę, zdała sobie sprawę, że zbliżali się do pomostu. Zerknęła w górę i zobaczyła duży, elegancki dom w kolorze wyblakłego różu z masywną kamienną klatką schodową z wejściami po obu bokach. Na wprost otworzyły się ogromne podwójne drzwi, zza których wybiegł mężczyzna, żeby schwycić linie, którą rzucił mu Maks. W ciągu kilku sekund przycumowali do brzegu.

Sophie zaczęła się podnosić, Maks chwycił ją za rękę, chcąc pomóc. Próbowwała się wyswobodzić, ale on tylko zacisnął palce. Przez chwilę jego oczy miały błyskawice, a kiedy się odezwał, jego słowa brzmiały jak groźba:

- Sophie, zachowuj się. Nie pozwolę, żebyś postawiła mnie w kłopotliwej sytuacji wobec personelu. Czy to jasne?

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie chcę tu być. Oboje pozbędziemy się kłopotów, jeśli pozwolisz mi odejść - powiedziała, przeciągając samogłoski.

Tylko się roześmiał.

- Sprytna zagrywka, ale nic z tego.

Po chwili, obejmując ją mocno na wysokości ramion, przedstawił jej Diega, człowieka do wszystkiego, który wcześniej przywiązał cumę, po czym ruszył za nim do drzwi.

Dom był wspaniały. Sophie stała na środku głównego holu. Podłogę tworzyła fantastyczna marmurowa mozaika utrzymana w kolorach ziemi, wykończone złotymi listwami ściany miały barwę magnolii, a całości dopełniały gustownie dobrane dzieła sztuki. Marmurowe kolumny tworzyły ramy ogromnych rozmiarów holu, a otwarte drzwi odsłaniały długi zastawiony stół. Odchyliła głowę, żeby spojrzeć na sufit, i aż westchnęła na widok kopuły malowidłami dorównującej Kaplicy Sykstyńskiej oraz pokaźnego żyrandola z kryształu z Murano. Zaparło jej dech w piersiach. Imponujące lustrzane schody na zewnątrz deklasowała jedynie bajeczna marmurowa klatka schodowa wewnątrz budynku.

- Witaj u mnie w domu, Sophie.

Oniemiała z wrażenia zerknęła na Maksa.

- Zdumiewające! - wykrzyknęła. - Nie miałam pojęcia, że mieszkasz w Wenecji.

Rodzina Quintano stanowiła niewyczerpane źródło plotek, kiedy jeszcze pracowała w hotelu na Sycylii. Wiedziała, że Maks miał apartament w Rzymie, ale nikt nigdy nie wspominał o Wenecji. Gdyby wiedziała, nie postawiłaby nogi w tym mieście.

- Kupiłem ten dom niedługo przed naszym pierwszym spotkaniem. Wtedy był walącym się *palazzo*, ale przywróciłem mu dawną świetność. Podoba ci się?

- Czy mi się podoba? Chyba żartujesz. Tu jest pięknie. - Uśmiechnęła się, na chwilę zapominając o animozjach.

- To dobrze. W takim razie spodoba ci się po-  
byt tutaj.

- Nie tak szybko. Ja... - Nie miała szansy do-  
dać, że nie zamierza zostać nawet na lunch, bo  
porwał ją władczo w ramiona.

Jego czarne oczy lśniły z emocji, a jego usta  
całowały ją z takim żarem, że straciła grunt pod  
nogami. Oparła ręce na jego ramionach, próbując  
go odepchnąć, ale on tylko przycisnął ją mocniej,  
żeby nie mogła się poruszyć. Nigdy wcześniej nikt  
jej tak nie całował, tak dziko i tak zaborczo.  
Przeraziły ją uczucia, jakie w niej rozbudził.

Zamknęła oczy i próbowała zmusić ciało, żeby  
nie reagowało.

- W co ty pogrywasz? - zażądała wyjaśnień,  
walcząc o oddech.

- Próbuję... - odparł Maks z miażdżącą szcze-  
rością. - Jeśli mam spłacić dług twojego ojca, mu-  
szę wiedzieć, co zyskam w zamian.

Nagle wszystko stało się jasne. Sophie z przera-  
żeniem spojrzała mu w twarz.

- Wydaje ci się, że zostanę z tobą, żeby wyciąg-

nać ojca z tarapatów? - wybełkotała. - O to ci chodzi? - Potrząsnęła głową, poddając się narastającej furii. - Muszę cię rozczarować, ale mój ojciec jest dorosły. I nawet jeśli ma kłopoty, w co szczerze wątpię, musi poradzić sobie z nimi sam.

- Ale to nadal twój ojciec. - Wypuścił ją z uścisku i zrobił nerwowy krok w tył. - Może bankructwo dobrze mu zrobi. Jestem tylko ciekaw, jak to wpłynie na twojego młodszego brata. - Wzruszył ramionami. - Ale przecież to nie twoje zmartwienie.

- Drań. Na twój widok robi mi się niedobrze. Jeśli mój ojciec potrzebuje pieniędzy, dam mu wszystko, co mam, a nawet zaciągnę dla niego pożyczkę. Ale nigdy nie przyjmę pieniędzy od ciebie.

Spojrzał na nią cynicznie spod przymrużonych powiek.

- Do spotkania wierzycieli ojca zostało tylko kilka dni. Niewiele czasu, żeby mu pomóc. Co więcej, powinnaś wiedzieć, że kilka godzin temu zadzwonił do mnie twój przyjaciel Abe. Wiedział o naszym lunchu. Poprosił, żebym cię od niego pożegnał i kazał mi się tobą opiekować. Z tego, co wiem, wybiera się na Karaiby, gdzie zamierza dołączyć do swojej żony i dzieci. Więc jeśli liczysz na jego pieniądze, możesz o tym zapomnieć.

To było bardzo w stylu Abe, żeby dorzucić swoje psotne trzy grosze. Na pewno zaśmiewał się teraz ze swojego żartu. Ale jej nie było do śmiechu.

Oczywiście była wściekła, ale także ogarniał ją bezbrzeżny smutek, że Maks, którego dawniej kochała, mógł żyć szczęśliwie w moralnej próżni.

- Odjęto ci mowę? - zapytał zadowolony z siebie.

Potrząsnęła głową z obrzydzeniem.

- Co powie Gina, jeśli przyjmę twoją skandaliczną propozycję?

- Na pewno nie będzie szczęśliwa. Ale jako moja kochanka nie będziesz musiała się z nią spotykać.

Prawie zaczęła żałować Giny. Bezdusznosc Maksu przerażała ją. Przez chwilę chciała wyjść z tego domu, złapać taksówkę, pojechać do hotelu i pierwszym samolotem wrócić do Anglii, do normalności. Ale wtedy pomyślała o Timothy.

Maks Quintano nie był człowiekiem, który zwykł się mylić, kiedy w grę wchodziły interesy. Postąpiłaby niemądrze, gdyby uznała, że Maks nie ma racji co do jej ojca, i zwyczajnie odwróciła się na pięcie. Dlatego najpierw musiała poznać fakty.

Maks dostrzegł niezdecydowanie na jej pięknej twarzy. Dobrze wiedział, o czym myślała.

- Jeśli mi nie wierzysz, zadzwoń do ojca i zapytaj go. - Wskazał ruchem ręki telefon stojący na konsoli. - Nie krępuj się.

Pragnał Sophie bardziej niż jakiegokolwiek innej kobiety. Zrozumiał to ostatniej nocy. W końcu

tylko ją poprosił o rękę. Ale ona uciekła na wieść o jego chorobie. Minęło trochę czasu, zanim udało mu się wygrać z rakiem. Potem stał się o wiele bardziej powściągliwy w sprawach seksu. Ale Sophie rozbudziła w nim dawne żądze. Stała teraz przed nim i przyglądała mu się w milczeniu.

- Zadzwoń z komórki - odezwała się w końcu, próbując choć trochę kontrolować tę niewygodną dla niej sytuację. - I chciałabym zostać sama.

- Zaczekam na ciebie w jadalni - mruknął, po czym odwrócił się i odszedł, gdy ona tymczasem sięgnęła do torebki po telefon.

Wraz z tą rozmową telefoniczną skończyło się jej życie. Już od samego początku wszystko wydawało się podejrzanę. Po pierwsze ku swojemu zaskoczeniu zastała ojca w domu. A potem, kiedy poinformowała go, że wpadła na Maksa Quintano zeszłego wieczoru na przyjęciu i że jego zdaniem miał poważne kłopoty finansowe, był zaskakująco szczery. Przyznał, że grupa wierzycieli, od właścicieli linii lotniczych po hotelarzy, ma spotkać się w przyszły poniedziałek. Najwyraźniej zalegał z płatnościami. Na koniec dodał, że wszystko by uregulował, gdyby sprzedał dom i wynajął coś małego do czasu, aż wyprostuje swoje sprawy, ale Margot nie zgodziła się na takie rozwiązanie, dlatego szukał pomocy w bankach. Jednak w zeszłym tygodniu Margot w końcu zrozumiała, że trzeba

sprzedać dom. Czekali właśnie na pośrednika nieruchomości.

Jego ostatnie słowa wciąż rozbrzmiewały jej w głowie: „Jestem pewien, że uda mi się przekonać wierzycieli, żeby wstrzymali się z roszczeniami do czasu, aż sprzedam dom. Pamiętaj tylko, żeby nie rozgniewać Maksa Quintano. Jego ojciec zmarł kilka tygodni temu i on przejął rodzinny interes. Wtedy też dowiedział się o moich długach. Gdyby rodzinnymi sprawami pokierowała wdowa po zmarłym, sprawy potoczyłyby się zupełnie inaczej”.

Jej ojciec nigdy nie miał zbyt dobrego zdania o kobietach w świecie biznesu. Przy tak szowinistycznym podejściu aż dziw brał, że Margot udawała się nim tak sprawnie kierować. Z tą myślą weszła do jadalni. Maks siedział na końcu długiego stołu. Słońce wychwytywało srebrne nitki połyskujące w ciemnej gęstwinie jego schludnie przystrzyżonych włosów. Ani jeden lok nie opadał mu na czoło. Zmienił się. Był szczuplejszy, bardziej powściągliwy, ale nadal wystarczyło jedno jego spojrzenie, żeby przyśpieszał jej puls.

- Rozmawiałaś z ojcem? - zapytał.

- Tak. - Podeszła do krzesła po prawej stronie Maksa, gdzie Diego przygotował dla niej nakrycie.  
- Miałaś rację.

Maks wstał i odsunął dla niej krzesło. Dżentelmen jak zawsze. Omal nie roześmiała się na myśl



o hipokryzji tego człowieka. Po co traktował ją jak damę, skoro zamierzał uczynić z niej prostytutkę? Mimo to nic nie powiedziała i usiadła.

- Zwykle ją mam - oświadczył arogancko, wracając na miejsce. Po chwili Diego wszedł do pokoju z szampanem. - Dziękuję, Diego. Sam sobie poradzę.

Wziął butelkę, odkorkował ją wprawnie i napełnił dwa kieliszki. Podał jeden Sophie.

- Proponuję toast za starych znajomych i odnalezionych kochanków.

- Na nic się jeszcze nie zgodziłam - zaprotestowała Sophie, choć bez przekonania.

- Twoja obecność przy tym stole mówi mi, że się zgodziłaś - stwierdził, a z jego oczu wyzierało rozbawienie. - Inaczej zniknęłabyś z tego domu w mgnieniu oka.

Zalała ją gorąca, wściekła gorycz. Postanowiła, że nie podda się bez walki.

- Mój ojciec wystawił na sprzedaż rodzinną posiadłość. Jak tylko ją sprzeda, spłaci długi - poinformowała go.

Jednak w głębi serca nie mogła sobie wyobrazić swojego małego braciszka bez dachu nad głową i zrujnowanego ojca.

- Nie ma na to czasu - odparł Maks łagodnie. - Dopilnowałem tego dzisiaj rano.

- Ty... ale jak? - Sophie znów poczuła skurcz żołądka.

- Miałem bardzo pracowity poranek. Wykupiłem długi twojego ojca i tym samym zostałem jedynym wierzycielem. A zatem jego los jest teraz w moich rękach. - Uniósł brwi. - Albo twój...

- Świnia! - wykrzyknęła. - Naprawdę spodziewasz się, że będę z tobą sypiać, żeby spłacić dług mojego ojca?

- Właściwie to nie chodzi mi o spanie. Udawanie cnotliwej kiepsko ci wychodzi. Poza tym wiem, że Abe Asamov był ostatnim z niewątpliwie długiej listy twoich kochanków. - Posiał jej oskarżycielskie spojrzenie, po czym uniósł kieliszek. - Napij się. Wyglądasz tak, jakbyś tego potrzebowała. -

Policzki Sophie poczerwieniały ze złości, ale dobrze pamiętała ostrzeżenie ojca, dlatego opanowała się, choć z trudem.

- Nie zamierzasz się ze mną kłócić, Sophie? - drażnił ją, pochylając się w jej stronę z usatysfakcjonowanym uśmiechem na ustach.

Ale ona tylko wzruszyła ramionami, choć buzowała w niej mieszanka uczuć - między innymi pragnienie, żeby zdrapać ten uśmiech z jego twarzy.

- Walka nie jest najlepszą metodą rozwiązywania konfliktów. Obstawałabyrn raczej za rozsądną rozmową.

- Rozsądna Sophie - zakpił. - Ale czy jesteś w stanie spłacić długi ojca do przyszłego ponie-

działku? - Kiedy przez dłuższy czas siedziała bez słowa, dodał: - Przyjmuję twoje milczenie za słowo „nie”. A więc umowa stoi?

Skinęła niechętnie głową. Niemal w tej samej chwili pojawił się Diego ze srebrnym półmiskiem. Chwilę później Sophie dłubała w grzybowym risotto bez apetytu. Jej żołądek bronił się przed tymi kilkoma kęsami, które próbowała przełknąć. Następnie na stole pojawiły się kotlety cielece, które Sophie zignorowała. Tymczasem Maks najwyraźniej czerpał ogromną przyjemność z jedzenia.

- Może wina? Albo kawy? - zapytał. - A potem przejdziemy do interesów.

Zerknęła na do połowy pusty kieliszek, zdając sobie sprawę, że i tak wypita zdecydowanie za dużo na pusty żołądek.

- Nie, dziękuję.

- Muszę powiedzieć, Sophie, że mnie zaskoczyłaś - powiedział, posyłając jej badawcze spojrzenie, długie, wędrujące od jej twarzy w dół. - Nie przypuszczałem, że tak szybko przystaniesz na moją propozycję.

Ten arogancki szatan dobrze wiedział, że nie miała innego wyjścia. Jednak mylił się w tylu innych kwestiach. W minionych latach spotykała się z kilkoma mężczyznami i całowała z nimi, ale żaden z nich nie sprawił, żeby zapragnęła czegoś więcej. Uważała, że to niesprawiedliwe, ale przecież życie takie właśnie było, inaczej nigdy nie

znalazłaby się tutaj. Tymczasem kilka godzin spędzonych z Maksymem doprowadziło ją na skraj wyczerpania nerwowego. Jeśli miała z nim zostać, musiała przyjąć jego reguły gry.

- No cóż, tak jak powiedziałeś, Abe poleciał na Karaiby, a mój ojciec twierdzi, że czas to pieniądz. - Uśmiechnęła się beztrudnie, po czym zmierzyła go wzrokiem. - W końcu nie jesteś taką złą alternatywą. - Jednym haustem osuszyła kieliszek. - A teraz przejdźmy do sedna sprawy. Chciałabym dowiedzieć się, ile zamierzasz mi zapłacić, oczywiście poza uregulowaniem długów mojego ojca. Nie wiem, jakie są stawki dla kochanek, dlatego zaufam twojej wiedzy. - Dostrzegła głęboką bruzdę na jego czole, więc tym bardziej ochoczo zagłębiała się w temat. - Mam tutaj zostać czy może powinnam wynająć własny apartament? Muszę poznać szczegóły tej transakcji. I chcę mieć je na piśmie.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kąsanie takiego mężczyzny jak Maks Quintano nie było rozsądne, o czym Sophie przekonała się prawie natychmiast. Oczywiście wiedziała, że jej odpowiedź go rozwścieczy, ale nie przypuszczała, że do tego stopnia. Skoczył na równe nogi, chwycił ją za nadgarstek i podniósł z fotela, po czym obrócił twarzą do siebie jednym płynnym ruchem.

- *Dio!* Skusiłabyś samego diabła tą swoją wyszczekaną buźką - warknął, a jego ciemne oczy połyskiwały wściekle. - Wymagasz szkolenia w zakresie, jak być kochanką. Na początek zapamiętaj sobie, że w złym tonie jest wspominać byłych kochanków. A teraz do mojego gabinetu!

Na jednej ze ścian jego gabinetu od sufitu po podłogę ciągnęły się rzędy książek, a po drugiej stronie stał najnowocześniejszy komputer. Po obu stronach dużego kominka znajdowały się fotele, a naprzeciwko okna biurko oraz wygodne krzesło.

Maks nadal zaciskał palce wokół jej nadgarstka. Ciskając pod nosem przekleństwa, posadził ją na jednym z foteli.

- Zostań tutaj i nie ruszaj się.

Wzdrygnęła się na myśl o sile jego ledwie kontrolowanej furii, kiedy on podszedł energicznie do biurka i opadł na krzesło.

- Chcesz mieć wszystko na piśmie? Więc będziesz mieć - oświadczył i chwycił za telefon.

Godzinę później rzucił jej dokument, ale Sophie już nie zależało. Cała ta sprawa napawała ją obrzydzeniem. Zawsze wiedziała, że bezwzględność cechowała Maksą, ale nigdy nie przypuszczała, że mógł zachowywać się tak brutalnie.

Zadzwoił do swojego prawnika, który pojawił się już po piętnastu minutach. Rozmowa była tak zenująca jak żadna inna w całym jej życiu. Maks jako jedyny wierzyciel jej ojca zgodził się odstąpić od roszczeń w zamian za jej zgodę na wspólne życie do chwili zakończenia umowy. Wtedy dług zostanie anulowany. Innymi słowy, Sophie stanowiąła zabezpieczenie długu swojego ojca. Na jej prośbę zapisano klauzulę stanowiącą, że mogła odejść, jak tylko dług zostanie uregulowany. Choć prawnik twierdził, że nie była konieczna, Sophie nalegała, bo nie wierzyła Maksowi.

Próbowała negocjować, utrzymując, że kochanka powinna mieć własne mieszkanie, na co Maks odpowiedział, że nie ufa jej na tyle, żeby spuścić ją z oczu. Nie miała mu nic więcej do powiedzenia. Prawnik przedstawił ostateczną formę dokumentu, który następnie podpisali.

- Jesteś zadowolona? - rzucił Maks, górując nad nią niczym wielki anioł zemsty.

Wstając, podniosła torebkę.

- Wystarczająco jasno określiłeś moją pozycję. A teraz, jeśli pozwolisz, wrócę do hotelu i wykonam kilka telefonów. Ułożę grafik na tydzień albo dwa. Wrócę jutro - poinformowała go lodowatym głosem.

- Nie. Możesz zrobić to wszystko tutaj. Żądam satysfakcji. - To mówiąc, chwycił ją w ramiona i zaniósł po schodach na górę, nie zwracając uwagi na ciosy padające raz za razem na jego tors.

- Postaw mnie! - warknęła. - Potrafię jeszcze chodzić.

- Ale nie będziesz miała okazji - odparł, popychając drzwi ramieniem. - Bo twoja pierwsza lekcja odbędzie się właśnie tutaj - dodał, stawiając ją. Ani na chwilę nie odrywał od niej twardego spojrzenia, nawet kiedy zamykał drzwi. - Kochanka jest zawsze gotowa i uległa wobec swojego mężczyzny. - Chwycił ją za ramiona. - I nigdy go nie bije. - Zrobił pauzę. - Chyba że została o to poproszona w celu sprawienia rozkoszy - zażartował.

Rozejrzała się spłoszona po luksusowo wyposażonym pokoju. Jej pełne strachu spojrzenie spoczęło na ogromnym łóżku.

- Co ja zrobiłam? - jęknęła, zatrzymując wzrok na Maksie.

- Jak na razie jeszcze nic takiego. Ale to się



zmieni. - Popchnął ją w głąb pokoju, a sam zatrzymał się przy łóżku. - Zdejmij marynarkę. I całą resztę... poza pasem do pończoch.

- Skąd wiesz, że...? - Ale przerwał jej, kładąc palec na jej ustach.

- Zauważyłem na łodzi. Koniec tych pytań.  
- Odsunął się i usiadł na skraju łóżka. - Chcę sprawdzić, czy jesteś warta ceny, jaką za ciebie płacę.

Chciał ją upokorzyć. Właściwie robił to przez cały czas, ale po raz pierwszy Sophie zaczęła zastanawiać się dlaczego. Przyjrzała mu się uważnie. Mógł mieć każdą kobietą. Dlaczego więc szantażował ją? Dlaczego tak jej nienawidził?

Rozstali się wiele lat temu. Z technicznego punktu widzenia to ona rzuciła jego, ale ostatecznie poszła mu na rękę. Powinien być zadowolony z takiego obrotu sprawy. Mimo to zachowywał się w stosunku do niej wrogo, jak gdyby chciał się za coś zemścić. Może jako jedyna uraziła jego męskie ego? Ale jakie to miało znaczenie po siedmiu latach?

- Zaplanowałeś to? Wiedziałeś, że będę w Wenecji? - zapytała, chociaż powinna była to zrobić znacznie wcześniej. Musiała poznać prawdę.

- Nie - odparł. - Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, byłem w żałobie po śmierci brata, która dopadła go cztery miesiące wcześniej. A cztery miesiące temu zmarł mój ojciec. Japończycy kojarzą

czwórkę z nieszczęściem. Uważają, że to liczba szatana. Nie jestem przesądny, ale masz zwyczaj pojawiać się w moim życiu zaraz po tragedii.

- Wzruszył ramionami. - Zrządzenie losu czy zwykły zbieg okoliczności? Zdecyduj sama. Zobaczyłem cię z Asamovem. Wyglądałaś piękniej niż kiedykolwiek i znacznie dojrzalej. Po prostu zapragnąłem cię mieć.

- I dlatego to robisz?

Maks dostrzegł konsternację w jej oczach oraz błądź twarzą i skrzywił się. Przypominała dziewicę, która za chwilę ma zostać złożona w ofierze. Do diabła! Znów to robiła. Roztaczała wokół siebie tę aurę niewinności. Cyniczny uśmiech wykrzywił jego usta.

- Ja nic nie robię. Ja tylko czekam na przedstawienie.

Pozbyła się wszelkich wątpliwości. Maks nie miał żadnych uczuć. W takim razie, jeśli chce mieć dziwkę, będzie ją miał. Pełna złości rzuciła marynarkę, a potem zsunęła bluzkę z ramion. Rozpięła spódnicę i opuściła ją na podłogę. Na koniec oparła ręce na biodrach i spojrzała na niego wyzywająco.

- Podoba ci się to, co widzisz? - zaczęła prowokować go szyderczo.

Pozwoli mu patrzeć, ale niech skona, jeśli położy się obok niego i podda bez walki.

Maks musiał przyznać, że widok bardzo mu się podobał... Spojrzał jej prosto w twarz.

- Na razie tak. - Wstał powoli. - Tylko że to jeszcze nie koniec. - Sięgnął do góry i rozpiął perłową spinkę, jej włosy posypały się na ramiona. - Wolę cię w rozpuszczonych włosach. - Przerzucił miękkie kosmyki przez jedno ramię i nakreślił palcem linię jej piersi. - Postaraj się o tym pamiętać.

Sophie zadrżała, czując, jak opuszcza ją upór.

- Tak - mruknęła, spuszczać wzrok.

- Może być na początek. Szybko się uczysz.

Poczuła jego palce na swoich nagich ramionach. Wiedziała, że pocałuje ją lada moment. Nie miała zamiaru odpowiadać. Nie zrobię tego, zaklinała się w duchu, - zaciskając pięści. Ale kiedy poczuła dotyk jego ust, cała determinacja stopniała niczym lód. Nie opierała się, ale także nie reagowała.

- Nie uciekniesz, Sophie. Jedynie odwleczesz to, co nieuniknione, i zrobisz sobie krzywdę, próbując mi odmawiać.

Objął ją ręką w pasie i przyciągnął do siebie, odnajdując jej usta. Od jego pocałunków kręciło się jej w głowie. A kiedy ukąsił ją w szyję, kwilący krzyk wydarł się z jej ust.

- Przysięgam, że doprowadzę cię do szaleństwa - warknął. - Ale to już chyba nie ma znaczenia.

Na sekundę zawładnął nią strach.

- Tak, drzyj dla mnie. - Z tymi słowami podniósł ją z ziemi, położył na łóżku. - Tak sobie ciebie wyobrażam - jęknął, pożerając ją wzrokiem.

Biały koronkowy pas i pończochy były jedynym jej nakryciem, a wspaniałe włosy okrywały jej ramiona. Zawładnęła nim żądza. Rozebrał się szybko, nie odrywając od niej oczu. Na widok jego nagiego ciała Sophie szeroko otworzyła oczy, zafascynowana. Jego silne ciało emanowało męskością, którą zapragnęła poczuć z takim samym żarem jak wtedy, kiedy kochali się po raz pierwszy. Wiedziała, że potem znów będzie go nienawidzić, ale teraz to nie miało znaczenia. Nie krępowała jej nawet ich nagość.

- Nie zapomnij się zabezpieczyć - powiedziała, odzyskując część samokontroli. - Nie chcę, żeby ta wstrętna historia miała jakiegokolwiek konsekwencje.

- Nie jestem nierozważny.

Przez chwilę wbijał palce w jej ramiona, a z jego ciemnych oczu wзираła pogarda, której nawet nie starał się ukryć. Ogarnęła go prymitywna potrzeba napawania się widokiem jej boskiego ciała tak długo, jak tylko się dało, żeby odcisnąć na niej piętno, spychając wszystkich byłych kochanków w niebyt. Sięgnął po prezerwatywę.

Kiedy ją pocałował, Sophie znów zalała fala emocji. Dotknęła go, pozwalając ręką na nowo odkrywać jego silne ramiona. Musnęła palcami jego plecy. Maks pochylił głowę i odsunął się, tak że jej ręce opadły na łóżko.

- Cierpliwości, *bella mia*.

Powoli przesuwał ręce po jej ciele, zaczynając od kostek i posuwając się coraz wyżej ku udom. Sophie obserwowała bezradnie, jak wolno zsuwał pończochy z jej nóg, które potem całował, posuwając się coraz wyżej. Drżała pod wpływem tych pieszczot.

Jednym szybkim ruchem zanurzył się w jej ciele, a ona objęła go rękami i nogami. I nagle czas się dla niej zatrzymał. Była tylko namiętność, ekstaza i jego męskie ciało.

scandalous

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Następnego dnia rano Sophie otworzyła oczy i ziewnęła. Przez chwilę trwała w błogiej nieświadomości. Wyciągnęła się leniwie i skrzywiła. Bolał ją każdy mięsień ciała, co przypomniało o upokorzeniu, którego doznała minionej nocy.

Maks, który niezmiennie sądził, że przez ostatnie siedem lat zdobyła mnóstwo doświadczenia, dał jej lekcje z zakresu erotyki i pokazał rzeczy, o których nawet nie śniła. Co gorsza, jej ciało reagowało na każde nowe przeżycie o wiele bardziej intensywnie, niżby sobie tego życzyła. Odwróciła głowę na bok, ale jedynym śladem obecności Maksy było wgniecenie w poduszce i zapach jego ciała.

Zegarek na stoliku nocnym pokazywał ósmą. Rozejrzała się dookoła nieufnie, jak gdyby spodziewała się, że lada moment Maks wyskoczy z ukrycia.

Nie mogła spojrzeć mu w twarz... jeszcze nie teraz. Powoli ruszyła do łazienki. Weszła do ogromnej okrągłej kabiny prysznicowej i odkręciła wodę. Tysiące kropli rozbiło się o jej ciało. Zamknęła

oczy. Wspomnienia z ostatnich dwudziestu czterech godzin wróciły w ułamku sekundy.

Delikatny seks w czasach młodości nie przygotował jej na to, czego doświadczyła teraz. Co więcej, nie rozpoznawała siebie w tej dzikiej kobiecie, którą stała się w jego ramionach. Nie miała pojęcia, do czego jeszcze jest zdolna. Straciła do siebie zaufanie. Zakreśliła wodę, zawinęła mniejszy ręcznik w turban na głowie i wróciła do sypialni.

Nie chciała pamiętać niczego, co świadczyło o tym, jak bardzo on ją upokorzył. Ta jedna myśl nie opuszczała jej, kiedy w towarzystwie Maksa pojechała do hotelu po swoje rzeczy, a także podczas milczącego obiadu. A kiedy próbowała się odezwać, podkreślić swoją niezależność i nalegać na powrót do Anglii w celu uregulowania spraw związanych z mieszkaniem, on zabrał ją do łóżka.

Trochę później, kiedy spoglądała na zmiętą pościel, wykrzywiła usta w grymasie na wspomnienie wzmianki Maksa o tym, że to była jej sypialnia. Nie miała pojęcia, gdzie znajdowała się jego. No cóż, przynajmniej nie będzie musiała z nim sypiać. Dziwne, bo ta myśl nie dodawała jej otuchy.

Pochylając się, zaczęła energicznie wycierać włosy ręcznikiem z nadzieją, że pozbędzie się z głowy obrazu swojej haniebnej kapitulacji.

- Pomogę ci.



Podskoczyła na dźwięk jego głosu.

- Jak się tutaj znalazłeś? - zapytała ostro.

- Wyskoczyłem spod ziemi z samego piekła  
- odparł drwiąco. - Taka pewnie byłaby twoja wersja. A tak naprawdę moja sypialnia znajduje się tuż za drzwiami. Mamy wspólną łazienkę i garderobę. Dziwię się, że nie zauważyłaś.

Oczywiście, że zauważyła, ale nie zarejestrowała tego faktu, bo od wczorajszego popołudnia nie mogła myśleć o niczym innym poza... Ale zanim zdążyła sformułować ciętą ripostę, Maks łagodnie opuścił jej niespokojne ręce, przyciągnął ją do siebie i ku jej zaskoczeniu zaczął suszyć jej włosy.

Przez chwilę kusiło ją, żeby oprzeć głowę na jego szerokiej klatce piersiowej i poddać się jego zabiegom, ale ta odrobina dumy i szacunku do samej siebie, która jej jeszcze została, nie pozwoliła na to. Odepchnęła go, zostawiając z ręcznikiem w dłoniach.

- Nie musisz tego robić. Skorzystam z suszarki.

- Może i nie muszę, ale chcę. - Nagle zachichotał, wydając głęboki, bardzo seksowny dźwięk. - Tym bardziej że ten ręcznik za chwilę spadnie na podłogę.

- Co takiego? - Spojrzała w dół i zobaczyła, że ręcznik rzeczywiście się zsuwa.

Pośpiesznie chwyciła go i przycisnęła do piersi.

Maks pocałował ją, ale po chwili odsunął się niespodziewanie.

- Niechętnie rezygnuję z dalszej części - mruknął jej do ucha - ale musimy zdażyć na samolot.

- Jaki samolot?! - wykrzyknęła skonsternowana.

- Jesteśmy umówieni z twoim ojcem na lunch - poinformował, odsuwając od niej ręce. - Jak na razie doskonale wywiązujesz się ze swojej części umowy. Czas na mnie. Ale najpierw chciałbym poznać rodzinę, dla której stałaś się tak uczynna - dodał cynicznie.

Cofnął się, odwrócił i podszedł do drzwi. Ale najwyraźniej o czymś sobie przypomniał, bo przystanął i obrócił głowę w jej stronę.

- Spotkamy się na dole za czterdzieści pięć minut. Nie pozwól na siebie czekać.

Sophie odszukała garderobę, gdzie kilka jej rzeczy wisiało w szafie. Była gotowa w niecałe pół godziny. W głowie jej się nie mieściło, że po tym wszystkim, co zrobił, Maks Quintano śmiał zorganizować spotkanie z jej rodziną. Po co? Żeby jeszcze bardziej ją poniżyć?

Zerknęła na swoje odbicie w lustrze. Przewiązała włosy czerwoną apaszką. Włożyła ten sam granatowy kostium, który miała na sobie wczoraj. Całości dopełniała czerwona bawełniana bluzka i mokasyny w tym samym kolorze. Nie mogła zrobić nic więcej z uwagi na bardzo skromną

zawartość walizki, którą spakowała na ten wyjazd. Poza suknią wieczorową, kostiumem i kompletem bluzek zabrała jeszcze tylko dres. Wątpiła jednak, żeby Maksowi spodobała się wizja kochanki w dresie. Najeżyła się na tę myśl. Kiedy w końcu pogodzi się z faktem, że została jego kochanką?

Pamiętała, jak sprawdzała definicję tego słowa w słowniku matki wiele lat temu, kiedy Meg wspomniała o ostatniej kochance ojca. Była to kobieta utrzymywana i opłacana, dokładnie tak jak ona teraz. Wmawiając sobie, że to nie ma znaczenia, wyprostowała się, uniosła dumnie głowę i zeszała na dół.

Maks już na nią czekał i chociaż obiecała sobie, że będzie nad sobą panować, poczuła ucisk w żołądku pod wpływem jego spojrzenia.

- Jesteś punktualna. - Wykrzywił zmysłowe usta z rozbawieniem. - A może nie mogłaś się doczekać spotkania ze mną? - zażartował.

- Co to, to nie - zapewniła go ponuro. - Ale nie mogę się doczekać twoich wyjaśnień odnośnie dzisiejszego spotkania z moim ojcem. Chyba nie jesteś aż takim draniem, żeby wyjawić mi szczegóły naszej umowy?

- Ostrzegałem cię, żebyś ważyła słowa.

Chcąc ją ukarać, zgniótł jej usta w namiętym pocałunku. Sophie na początku była zdecydowana go odepchnąć, ale potem poczuła znajomy piżmowy zapach. Zarzuciła mu ręce na szyję i od-

wzajemniła pocałunek, spragniona jego bliskości. Wtedy bez ostrzeżenia odepchnął ją.

- Możesz mnie nazywać, jak chcesz, ale i tak mnie pragniesz - mruknął z rozbawieniem. - Za bardzo się martwisz. - Nie próbował ukryć drwiny, kiedy dodał: - Zważywszy okoliczności, twój ojciec będzie zachwycony tym spotkaniem.

- Ale co...?

- Co zamierzam mu powiedzieć? - dokończył za nią. - Oczywiście prawdę.

- Zwariowałeś?! Nie możesz tego zrobić! Może i nie jest najlepszym ojcem na świecie, ale to w końcu ojciec. Jeszcze cię zabije!

Roześmiał się jej w twarz.

- Och, Sophie. - Potrząsnął głową. - Kiedy mówiłem o prawdzie, miałem na myśli moją wersję.

Objął ją w pasie i kolejny raz pocałował, przyprowadzając ją o dreszcze.

- Poznaliśmy się i zaprzyjaźniliśmy wiele lat temu na Sycylii. Potem spotykaliśmy się wiele razy w Ameryce Południowej, a ostatnio tutaj w Wenecji. W końcu zostałeś moją dziewczyną. Czy coś takiego mogłoby rozgniewać twojego ojca?

- Straciłeś rozum. Mój ojciec na pewno w to nie uwierzy.

- Uwierzy, bo będzie tego chciał. Domyślam się, że jako wdowiec często spotykał się z kobietami

i był dla nich hojny. Według moich informacji, ostatnia żona kosztowała go fortunę. Dlatego śmiało możemy uznać, że przełknie naszą historię, oczywiście pod warunkiem że będziesz współpracować.

Maks nie mylił się co do jej ojca. Po śmierci żony rzeczywiście miał wiele kobiet. Sophie musiałyby być ślepa, żeby tego nie zauważyć. Niemniej próbowała się tym nie przejmować i prawie jej się udało. Ukrywając uczucia głęboko pod maską obojętności, posłała Maksowi lodowate spojrzenie.

- Co masz na myśli?

Ujął jej brodę i spojrzał głęboko w oczy.

- Musisz udawać oddaną i zakochaną kobietę. Na pewno robiłaś to nieraz, więc nie powinnaś mieć większych problemów. Zwłaszcza po ostatniej nocy. - Pocałował ją ostatni raz przed wyjściem.

Godzinę później Sophie siedziała spięta w jego prywatnym odrzutowcu. Maks wyjaśnił jej z nieskrywanym entuzjazmem, że był to najszybszy odrzutowiec. Mieścił do ośmiu osób i był bardzo przydatny, kiedy trzeba było podróżować po świecie, załatwiając interesy. Zabawki dla dużych chłopców, pomyślała zgryźliwie Sophie, dla bardzo bogatych chłopców.

Zerknęła na Maksa siedzącego w fotelu obok. Miał na nosie okulary i od godziny przeglądał jakieś dokumenty, które wydobył wcześniej z du-

żej aktówki. Nerwowo przygryzła dolną wargę. Nadal nie była pewna, czy potrafi udawać ukochaną kobietę Maksa Quintano.

Siedząc na lewo od ojca, obok Timothy'ego, Sophie próbowała sprawiać wrażenie szczęśliwej. Jednak z Maksem i Margot po drugiej stronie stołu nie było to łatwe zadanie.

Juz kiedy zajechali limuzyną pod jej rodzinny dom i zobaczyła tabliczkę „Na sprzedaż”, gradowe chmury zasnuły jej myśli. Moment decydującej rozmowy odwlekła jedynie prośba Timothy'ego o przejazdkę limuzyną. I kiedy ona spełniała życzenie malca, Maks odbył prywatną rozmowę z jej ojcem.

Po powrocie od razu zorientowała się, że Maks musiał zaoferować pomoc jej ojcu. Wszyscy byli szczęśliwi, zwłaszcza Margot, która od samego początku flirtowała z nim bezwstydnie. Jednak Maks przez cały czas trzymał Sophie blisko siebie, odgrywając rolę zakochanego amanta. Puścił jej rękę dopiero wtedy, gdy Margot wskazała im miejsca przy stole.

Po wielu wścibskich pytaniach Margot, Maks opowiedział, jak zwrócił uwagę na Sophie już na Sycylii. Potem wymyślił bajeczkę o ich ponownym spotkaniu w Ameryce Południowej kilka miesięcy temu. Właściwie to oboje tam wtedy byli, ale nawet się wtedy nie widzieli. Sophie podziwiała

łatwość, z jaką Maks żonglował faktami, zręcznie unikając kłamstw. Na koniec wyznał, że dopiero w Wenecji zaczęli spotykać się na poważnie.

- Prawda, *cara*? - rzucił w jej stronę, spoglądając na nią znacząco.

- Tak.

Co innego mogła powiedzieć? I tak zdradzały ją rumieńce zalewające twarz. Jej ojciec na pewno to wyczuł. A kiedy Margot poprosiła ją o pomoc w kuchni przy parzeniu kawy, sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót.

- Mój Boże, wygrałaś los na loterii! - piała z zachwytem. - Nie mogę uwierzyć, że usidliłaś takiego mężczyznę jak Maks Quintano. Całe szczęście, że ci się udało. Jeśli mądrze rozegrasz tę grę, może się z tobą ożeni. Chcesz mieć dzieci, więc postaraj się o nie. Dzięki temu będziesz ustawiona do końca życia.

Sophie nieraz zastanawiała się, czy Margot celowo zaszła w ciążę. A teraz poznała odpowiedź. Chciała jej wytłumaczyć, że lubiła swoje życie w dotychczasowej formie, ale zrozumiała, że to byłoby kłamstwo. Zaznawała szczęścia tylko w obecności Maksa.

- Tak się cieszę, że nie będziemy musieli sprzedawać domu - kontynuowała Margot, ustawiając filiżanki na tacy.

- Nie, Margot, ty nic nie rozumiesz. Dom i tak trzeba sprzedać.



- Nie bądź śmieszna. Zachowujesz się jak twój ojciec. Przecież nawet jeśli sprzedamy dom, najpierw trzeba będzie spłacić hipotekę, więc nie zostanie tego wiele. Ale z jakiegoś powodu Maks cię wybrał. Może jesteś dobra w łóżku. - Spojrzała na Sophie z powątpiewaniem. - Słyszałam, że jest wspaniałym kochankiem. Może podoba mu się myśl, że będzie mógł cię uczyć... Nieważne. Tak czy inaczej, wystarczy jedno twoje słowo, żeby nie dopuścił do sprzedaży twojego rodzinnego domu. Więc zacznij mówić, przestań się martwić i podaj mi śmietankę oraz cukier.

Kiedy wracały do jadalni, Sophie nie miała odwagi spojrzeć nikomu w oczy. Wiedziała, że po śmierci matki hipoteka domu została automatycznie spłacona z jej polisy na życie, a przynajmniej tak powiedział ojciec. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że ponownie może ją obciążyć. Jak mogła być tak głupia? Młoda, droga w utrzymaniu żona musiała w końcu do tego doprowadzić.

Kiedy Margot pochyliła się w stronę Maksa, prawie pożerając go wzrokiem i proponując coś mocniejszego do picia, Sophie nie wytrzymała. Odsunęła krzesło i chwyciła Timothy'ego, ściągając go z krzesła.

- Chodź, Tim, i tak długo wytrzymałeś. Pójdziemy na spacer.

Po tych słowach energicznym krokiem opuściła jadalnię, kierując się do kuchni. Trzymając Tima

za rękę, otworzyła drzwi prowadzące na zewnątrz. Na dworze oiało ją chłodne, jesienne powietrze. Wzięła kilka głębokich wdechów, próbując oczyścić umysł z dręczących ją myśli. Tim pociągnął ją za rękę.

- Możemy wejść do domku na drzewie? - zapytał.

Na widok jego zadowolonej, niewinnej twarzyczki jej serce wypełniła miłość. Zrozumiała, że podjęła słuszną decyzję. Musiała walczyć o szczęśliwy dom dla brata, nawet jeśli będzie musiała uchronić ojca od bankructwa kosztem własnej wolności. Sophie dobrze wiedziała, że taka kobieta jak Margot, młoda i atrakcyjna, nie zostanie z dużo starszym mężem bez pieniędzy. Uśmiechnęła się do Tima.

- Tak, oczywiście, kochanie.

Ruszyli ścieżką wijącą się między przyszczyżonymi klombami i wypielegnowanymi trawnikami do miejsca, gdzie bukszpan skrywał sad i pastwisko. Pod jabłoniami znajdowały się wysłużona dziecięca huśtawka i zjeżdżalnia. To było ulubione miejsce Sophie z dzieciństwa. Pamiętała, jak matka huśtała ją wysoko w górę, a potem chwyciła w ramiona.

Łzy napływały jej do oczu, kiedy podeszli do buku, a na którym zamontowano skrzypiącą platformę eufemistycznie nazywaną przez Tima „domkiem na drzewie”. Sophie zbudowała go przy

pomocy matki, kiedy miała osiem lat, a w zeszłym roku wzmocniła konstrukcję. Pomogła małemu wdrapać się na górę i ruszyła za nim. Pograżona we wspomnieniach nie usłyszała zbliżających się kroków.

- Naprawdę, Sophie, co Maks sobie pomyśli? Chodzić po drzewach w twoim wieku...! - Margot, uwieszona na ramieniu Maksa, roześmiała się perliście. - Przysięgam, że Sophie jest czasem bardziej dziecinna niż Timothy. Wciąż jej powtarzam, że tak nie wolno, ale ona mnie nie słucha. - Podniosła głowę, żeby spojrzeć na Sophie. - Natychmiast zejść na dół.

Widząc ją na drzewie z liśćmi we włosach i dzieckiem na rękach, Maks pomyślał, że wcale nie wygląda dziecinnie, chociaż na jej twarzy malowało się iście łobuzerskie poczucie winy.

- Słyszałaś, co powiedziała twoja matka, Sophie - zażartował Maks.

- Nie jestem jej matką - oburzyła się Margot, a Sophie z trudem stłumiła śmiech.

Maks zignorował Margot i skupił się na uroczej, tryskającej humorem twarzy Sophie.

- Złóż w tej chwili - rozkazał stanowczo. - Ale najpierw podaj mi Timothy'ego. - Wyciągnął ręce i spojrzał w górę, uśmiechając się promiennie. - Potem wejdę na górę do ciebie.

Jego uśmiech był tak naturalny i nieoczekiwany, że Sophie roześmiała się i podała mu Tima.

Jednak zanim malec stanął na ziemi, szybko zeszła z drzewa. Maks jak zwykle objął ją w pasie, przyciągając bliżej.

- Dziwna z ciebie kobieta. Piękna, elegancka... i zachowujesz się jak dziecko. Najwyraźniej muszę się tobą dobrze opiekować.

Podobnie jak setką innych kochanek, pomyślała Sophie, ale mimo to czuła się w jego ramionach dziwnie bezpiecznie i nie zamierzała się z nim sprzeczać. Natomiast nie ustąpiła, kiedy jej macocha zaproponowała, żeby zostali na noc. Za nic w świecie nie miała zamiaru się zgodzić.

- Nie, niestety nie możemy. - Rzuciła Maksowi spojrzenie. Siedział na kanapie obok Sophie z wyprostowanymi nogami i szklaneczką brandy w dłoni. Zachowywał się jak u siebie w domu.

- Muszę zajrzeć do mojego mieszkania i sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

- Naprawdę, Sophie, tak rzadko cię widzujemy.

- Margot nie dawała za wygraną. - Musicie zostać. Mieszkanie może zaczekać.

- Przykro mi, Margot. Musimy już iść - rzuciła, ruszając do drzwi.

Maks zauważył, jak bardzo jest spięta. Spojrzał na jej ojca i jego żonę. Zrozumiał, że ma przed sobą dwoje skupionych wyłącznie na sobie ludzi. Przypomniał sobie, jak Sophie opowiadała mu o śmierci matki i szkole z internatem. Ojciec troszczył się o nią, dopóki ta troska nie zakłócała jego rytmu

życia. Z radością przyjął ofertę Maksa, nie dbając o uczucia córki.

Czym prędzej wyciągnął telefon i zadzwonił po samochód. Czuł się winny, że postawił Sophie w tak niezręcznej sytuacji. Wcześniej nawet nie podejrzewał, że jest zdolny do takich uczuć.

Przed wyjściem ojciec pocałował Sophie w policzek, a Margot ucałowała powietrze. Tylko Timothy sprawiał wrażenie szczerze zmartwionego. Wzięła na ręce młodszego brata i uściślała go, obsypując jego twarzyczkę całusami. Obiecała mu, że latem będzie mógł odwiedzić ją nad morzem. W końcu wsiadła do samochodu.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Maks, spoglądając na jej wilgotne oczy.

Odgarnęła kosmyk z policzka, zanim spojrzała na niego obojętnie.

- Oczywiście. W jeden dzień rozwiązałeś problem mojego ojca. Nie mogłabym być szczęśliwsza. Co mam ci powiedzieć? - odparła.

Nie czekając na jego reakcję, odwróciła głowę. Maks nigdy wcześniej nie widział jej tak znieśmaczonej i pokonanej. Nagle zaczęło dręczyć go sumienie. Nie był już pewien, czy dobrze zrobił, za wszelką cenę domagając się zemsty na tej kobiecie.

- Może: dziękuję. - Maks chwycił ją za brodę i zmusił, żeby na niego spojrzała. - Ale rozumiem, że nasza umowa nie napawa cię radością. Jednak

przy odrobinie dobrej woli z obu stron może uda nam się wypracować sensowne porozumienie. Zastanów się nad tym.

Następnie położył aktówkę na kolanach, wyjął najnowszy raport na temat nowych badań w Ekwadorze i pogrążył się w lekturze. Tymczasem Sophie, zbyt zmęczona, żeby zareagować na jego nedorzeczną propozycję, zamknęła oczy.

scandalous

## ROZDZIAŁ ÓSMY

- Sophie... Sophie, obudź się.

Głęboki głos dobiegł ją z oddali, więc powoli otworzyła oczy. Leżała na piersi Maksa, rękę trzymała pod jego marynarką, a palce zaciskała na koszuli. Podniosła głowę.

- Zasnęłam - mruknęła.

- Zauważyłem - odparł, uśmiechając się do niej. - Jesteśmy na miejscu.

- Przepraszam. Musiałam przerwać ci pracę - powiedziała zbyt zakłopotana, żeby na niego spojrzeć.

- Nie ma za co. Cała przyjemność po mojej stronie. - Zachichotał, po czym wysiadł z samochodu.

Jej mieszkanie znajdowało się na pierwszym piętrze wiktoriańskiego domu z oknami po obu stronach wejścia, położonego niedaleko morza.

- Wspaniały widok - stwierdził Maks, podając jej rękę, kiedy wysiadała z samochodu.

Kiedy stanęła na chodniku, dotarło do niej, że nie chce Maksa w swoim mieszkaniu. To było jej sanktuarium, jej schronienie przed całym światem.



- Nie musisz wchodzić.

Rzuciła mu uśmiech, który zbladł na widok jego natarczywego spojrzenia. Naprawdę był niesamowicie atrakcyjnym mężczyzną i patrzenie na niego sprawiało jej prawdziwą przyjemność. Po chwili zamrugła i spłoneęła rumieńcem.

- Może poprosisz kierowcę, żeby przewiózł cię po okolicy. I tak nie może tutaj zaparkować. Brighton to naprawdę bardzo ładne miejsce - poinformowała go z godnym podziwu chłodem. - Spakuję tylko kilka rzeczy i wpadnę do sąsiadki. To nie potrwa długo.

Próbowała wyzwolić rękę z jego uścisku, ale on tylko zmarszczył brwi.

- Chyba nie mówisz poważnie, Sophie. - Nie puszczając jej, odprawił kierowcę na całą noc. - Już się dzisiaj najeździłem.

Sophie wsunęła klucz w zamek drzwi frontowych i weszła do eleganckiego holu wyłożonego drewnianymi panelami. Kiedy szła po schodach, ezowała na sobie jego spojrzenie. Czym prędzej otworzyła drzwi swojego mieszkania i wpuściła go do środka.

- Może nie spełnia twoich standardów - powiedziała beznamiętnym głosem, prowadząc go do salonu - ale ja je lubię.

Bez zastanowienia zrzuciła buty, położyła torbę na sofie i odwróciła się do niego. Maks zrozumiał, że nie chce go tutaj.

- Nie wątpię - odparł, rozglądając się dookoła.
- Jest urocze.

Mieszkanie było bardzo eleganckie, z wysokim sufitem, jasną dębową podłogą, kominkiem z szarego marmuru i dużym oknem z widokiem na morze. Całości dopełniały jasny dywan oraz sofy. Przy jednej ze ścian stała wysoka mahoniowa biblioteczka pełna książek. Powyżej wisiało kilka obrazów.

- Napijesz się kawy albo wina? - zapytała Sophie, czując się niekomfortowo w narastającej ciszy.

- Poproszę wino. Wasza angielska kawa jest okropna.-

Maks zdjął kurtkę, powiesił ją na poręczy sofy i usadowił się wygodnie.

- Zostawiłam w lodówce butelkę chardonnay z Afryki Południowej, ale nie gwarantuję, że okaże się lepsze od kawy - rzuciła lodowatym głosem.

Czym prędzej wyszła do kuchni. Nie chciała patrzeć, jak panoszy się w jej domu, jakby był u siebie. Powiesiła marynarkę na oparciu sosnowego krzesła. Wyjęła butelkę z lodówki, otworzyła ją i nalała wino do dwóch kryształowych kieliszków. Nie śpieszyła się, chcąc odwlec moment, kiedy znów przed nim stanie. Ale nagle dotarło do niej, że wybrała złą taktykę. Im prędzej się go stąd pozbędzie, tym lepiej. Opróżniła swój kieliszek i wstawiła butelkę do lodówki.

Chwilę później weszła do salonu i postawiła przed nim kieliszek na stole.

- Proszę bardzo. Jeśli będziesz chciał sobie dolać, butelka jest w lodówce. Idę się spakować.

Ale nie zdążyła zrobić nawet kroku, bo chwycił ją w pasie i pociągnął w dół.

- Czemu to zrobiłeś? — zapytała ze złością, próbując wstać.

- Zrelaksuj się, Sophie. Masz śliczne mieszkanie. Odpręż się. Nigdzie się dzisiaj nie wybieramy.

Jego ręka rozgrzewała jej skórę przez cienką warstwę materiału bluzki. Palcami kreślił koła na jej obojczyku. Uwielbiała jego zmysłowy dotyk i na chwilę zapało jej dech. Zerknęła na stojący na kominku zegar. Jeśli się pośpieszą, wrócą do Włoch przed dziesiątą. Tak, musiała się o to postarać. Tym razem mu nie ulegnie.

- Jest dopiero szósta. - Z trudem wydobywała kolejne słowa, ale nie poddawała się. - Mogę się pośpieszyć. O siódmej będziemy na lotnisku. Po drodze zajmie nam dwie i pół godziny, więc o pół do dziesiątej dotrzemy na miejsce.

- To miło, że nie możesz doczekać się powrotu do mojego domu, i jestem pod wrażeniem twojej znajomości matematyki, ale nie uwzględniłeś różnicy czasów. - Maks spojrział na nią z rozbawieniem. - Więc nic z tego.

- Nie możesz tutaj nocować. Na pewno nic ze

sobą nie zabrałeś. A poza tym mam pustą lodówkę. Może lepiej przenieśmy się do hotelu.

- Po pierwsze, hotel odpada. Po drugie, zawsze jestem przygotowany, więc mam ze sobą trochę rzeczy. A po trzecie, na pewno gdzieś w pobliżu znajdziemy jakąś restaurację. Czy rozwiązałem wszystkie twoje problemy?

- Niech ci będzie. - Zmusiła się do uśmiechu.

- W takim razie idę wziąć prysznic. Chodzenie po drzewach nie należy do najczystszych zajęć.

- Wskazała pilot od telewizora leżący na stole.

- Pooglądaj telewizję, jeśli chcesz. To może trochę potrwać.

Przyjrzał się jej uważnie, po czym wstał.

- Wolę dotrzymać ci towarzystwa w łazience - oznajmił.

- Nie zmieścimy się razem pod prysznicem - rzuciła, nie patrząc za siebie.

Powoli wyszła z pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Oparła się o ścianę, wyczerpana fizycznie i psychicznie. W ciągu ostatnich pięciu dni jej życie zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni. A najgorsze w tym wszystkim było to, że pozwoliła temu bezdusznemu mężczyźnie zawładnąć nim.

Kiedy wychodziła spod prysznicza, nadal miała mętlik w głowie. Próbowwała zdusić emocje, które wywoływał w niej Maks. Rola kochanki niewątpliwie jej ubliżała, ale z drugiej strony nie mogła zaprzeczyć, że jego dotyk nie sprawiał jej przyjem-

ności. Nie mogła się dłużej oszukiwać. Pragnęła go z zaciekleścią, która ją przerażała. Nie mogła się przed nim odsłonić. Wtedy odebrałby jej resztki dumy.

Uwierając się, próbowała odpowiedzieć sobie na pytanie, jak można pożądać kogoś, kto wzbudza nienawiść, kogoś, komu się nie ufa. A to mogła stwierdzić z całą pewnością. Nie ufa Maksowi Quintano.

Włożyła džinsy i sweter, po czym wróciła do salonu. Maks nadal siedział na sofie. Przeglądał jakieś dokumenty. Kiedy weszła, podniósł głowę.

- Cóż za zmiana.  
- Kiedy jestem w domu, zawsze się tak ubieram. - Posłała mu chłodne spojrzenie. - Jeśli istnieją jakieś zasady dotyczące ubioru kochanek, powinienes mnie z nimi zapoznać.

Maks widział, że była na niego zła, chociaż jego zdaniem nie miała na co narzekać.

- Muszę przyznać, że nic mi o tym nie wiadomo.

Przyjrzał się jej uważnie. Wyglądała olśniewająco. Niebieskie džinsy opinały się na jej długich nogach, a głęboko wycięty dekolt swetra odsłaniał fragment piersi. Jasne włosy opadały swobodnie na ramiona. Przypominała tamtą nastolatkę, którą poznał na Sycylii. Na to wspomnienie załała go fala złości. To ona go skrzywdziła. Zostawiła w najgorszym momencie życia.

Chwycił ją w ramiona i pocałował. Wiedział, że

ona go pragnie. Ale wtedy poczuł wstręt zarówno do niej, jak i do siebie. Odepchnął ją.

- Gdzie jest łazienka? - zapytał. - Muszę się umyć.

Sophie zrozumiała, że jeśli miała zamiar przetrwać kolejne tygodnie, a może nawet miesiące, musi zachowywać się tak samo chłodno i bezdusznie jak Maks.

- Pierwsze drzwi na prawo - odparła.

Maks usłyszał śmiech, kiedy kilka minut później szedł do salonu. Stanął w progu i patrzył na nią. Siedziała na obitym miękką tkaniną parapecie i rozplątywała się w uśmiechach.

- Naprawdę, Sam, ale z ciebie ziółko.

Na dźwięk imienia „Sam” Maksa zmroziło. Musiał wydać jakiś dźwięk, bo odwróciła głowę w jego stronę i uśmiech natychmiast zniknął z jej twarzy.

- Posłuchaj, nie mogę teraz rozmawiać, ale obiecuję, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby wrócić na czas. W porządku?

Odłożyła słuchawkę i wstała.

- To ktoś znajomy? - zapytał surowo, po czym usiadł na sofie, próbując przełknąć gorycz zazdrości.

- Tak. Połączyła nas podróż.

- Jak miło.

Sophie spojrzała na niego podejrzliwie. Słowo „miło” nie figurowało w jego słowniku. Poza tym

wymówił je w taki sposób, że nabrało całkiem nowego znaczenia.

- Było cudownie - odparła zdecydowanie, dając mu do zrozumienia, że nie umartwiała się po ich rozstaniu. - Skoro jesteś gotowy, może przejdziemy się nad morzem do mojej ulubionej włoskiej restauracji. Pewnie nie odpowiada twoim gustom, ale serwują tam świetne jedzenie.

- Cieszę się, że chociaż włoskie potrawy przypadły ci do gustu.

Ugryzła się w język, by nie powiedzieć, że tak naprawdę z całych Włoch nie lubi tylko jego.

- Zadzwońę do sąsiadki, żeby poinformować ją o zmianie planów. To zajmie tylko chwilę.

- Proszę bardzo. Ty tutaj dowodzisz.

Było po jedenastej, kiedy wyszli z restauracji. Pierwszy raz od wielu dni Sophie udało się odprężyć, być może dzięki trzem kieliszkom wina, które wypłała do kolacji. Maks chwycił jej dłoń i wsunął sobie pod ramię.

- Przejdziemy się czy mam wezwać taksówkę?

- Nawet nie próbuj. - Uśmiechnęła się do niego. - Wszystkie puby zamykają o jedenastej i jeśli wcześniej nie zamówiło się taksówki, nie ma mowy, żeby ją jakkolwiek złapać.

Oczywiście udowodnił jej, że się myliła, otwierając przed nią drzwi taksówki dwie sekundy później.

- Mówiłaś prawdę o tej knajpcie. Mają naprawdę świetną kuchnię. Poza tym nigdy w życiu nie zostałem tak szybko obsłużony, ale to chyba twoja zasługa - stwierdził Maks oschle, obejmując ją na tylnym siedzeniu taksówki. - Wygląda na to, że dobrze znasz tę rodzinę. Pewnie często tam bywasz.

- To prawda, dwa albo trzy razy w tygodniu, kiedy nie podróżuję po świecie.

- Odniosłem wrażenie, że synowie właściciela, Benito i Rocco, są z tobą zaprzyjaźnieni.

- Kumplujemy się. Kiedy podróżowałam po świecie z Sam, w Australii dołączyli do nas Benito i Rocco. Razem wróciliśmy do Anglii. Wciąż utrzymujemy kontakt.

*Dio!* Czyli za Sophie ciągnął się cały ogon wielbicieli. Może wszyscy już ją mieli.

- Nie jestem zaskoczony - warknął, zacieśniając uścisk na jej ramieniu.

Dostrzegł zaskoczenie w jej oczach i natychmiast przywołał się do porządku. Ale nie mógł się powstrzymać przed dotykaniem jej, dlatego wsunął dłoń między oparcie a jej kark. Była piękną, tryskającą energią młodą kobietą, którą wprowadził w świat seksu. Po nim kolejni kochankowie pojawiali się w jej łóżku. W końcu nie musiała żyć w celibacie.

Mógł poradzić sobie ze wszystkimi Abe Asamovami tego świata, ale kiedy widział ją dziś



wieczorem z dwoma młodymi mężczyznami, taką odprężoną i spokojną, musiał sobie przypomnieć, że był dużo starszy od Sophie. Zrozumiał, że powinien być wdzięczny bogom za taki dar losu, bo przecież ta kobieta była bezcenna.

Taksówka dojechała na miejsce, wyrwijąc go z zamyślenia. Weszli do mieszkania objęci. Jak tylko zamknęły się za nimi drzwi, Maks obrócił ją w ramionach.

- Pokaż mi swoją sypialnię, Sophie - zażądał.  
- Jak najszybciej, *cara*.

Spojrzał w dół na jej twarz, przyciskając ją mocno. Sophie zrozumiała, że to, co miało nastąpić, było tak nieuniknione jak nadejście nocy po dniu. Każda komórka jej ciała domagała się tego, co jej oferował. Czy walka miała sens? Sięgnęła po jego dłoń, splótła z nim palce i poprowadziła go korytarzem do sypialni.

Maks roześmiał się głośno na widok kobiecego wystroju tego pokoju. Dywan w kolorze kości słoniowej był puchaty i miękki. Naprzeciwko drzwi stało łóżko z białym, muslinowym baldachimem przywiązany do słupków różowymi wstążkami. Delikatna biała toaletka i szafy w tym samym antycznym stylu były pomalowane w blade różę. Pod jedyną wolną ścianą stał dopasowany szezlong.

- Jak możesz spać, kiedy obserwuje cię tyle par oczu? - Skinał w stronę tłumu lalek na parapecie

i małego domku w stylu gregoriańskim ustawionego poniżej na podłodze.

- Sypiam jak dziecko - oświadczyła Sophie, wyzwalając się spod zmysłowego uroku, który nad nią roztoczył.

- Intryguje mnie, czemu kobieta tak inteligentna i wytworna jak ty ma taką sypialnię.

- Domek dla lalek należał do mojej matki, a lalki kolekcjonuję. Niektóre mam od lat, inne kupiłam podczas podróży do różnych krajów świata - wyjaśniła, jakby chciała się przed nim wytłumaczyć. - Mam jeszcze jedną sypialnię. Możesz z niej skorzystać, jeśli chcesz. Zaprowadzę cię.

Natychmiast odwróciła się na pięcie, ale Maks złapał ją.

- Nie, Sophie, tutaj jest dobrze - powiedział łagodnie i pochylił głowę w poszukiwaniu jej ust.

Sophie zamknęła oczy i objęła go w pasie. Jego ręce pieściły każdy centymetr jej ciała. Zsunął z niej dzinsy, po czym wsunął palce pod sweter, żeby rozpiąć stanik. Ujął w dłonie jej piersi. Tymczasem Sophie zdierała z niego koszulę. Maks wziął ją na ręce i położył na białej kapie. Bardzo zręcznie i delikatnie zdjął z niej resztę garderoby.

Kiedy chłodne powietrze owiało jej ciało, otworzyła oczy. Ujrzała Maksa stojącego obok łóżka. Ile razy leżała w tym łóżku, wyobrażając sobie jego nagie ciało? A teraz jej fantazje nabrały realnych kształtów.

- Maks... - wyszeptała.
- Tak, Sophie, mów do mnie.

Posmutniała na myśl, że nie było między nimi miłości, a tylko prymitywne pożądanie. Oczywiście przeżyła wspaniałe chwile. Maks wiedział, jak sprawić kobiecie rozkosz, ale ona chciała czegoś więcej.

Następnego dnia rano Sophie oślepiły promienie słoneczne.

- Maks - mruknęła. - Zostałeś na całą noc.
- Nie miałem dokąd pójść. - Pocałował jej rozchylone wargi. - Niestety teraz już mam. Zostało nam niewiele czasu. Mój pilot startuje za osiemdziesiąt minut. - Powoli zszedł z łóżka. - Wstawaj. Samochód może przyjechać w każdej chwili.

Dwadzieścia minut później, ubrana w krótką, czerwono-czarną plisowaną spódnicę i czarny, moherowy sweter i czerwone tenisówki, Sophie wsiadła do limuzyny.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W południe wylądowali na miejscu. Lotem błyskawicy dotarli do *palazzo*. Sophie zdziwiła się na widok sześciu dorosłych osób czekających na nich w holu. Okazało się, że Diego nie prowadził domu sam. Matia, jego żona, była kucharką. Tessa, ich córka, pokojówką, a jej mąż, Luke, ogrodnikiem. -

- Nie wiedziałam, że masz ogród - powiedziała Sophie, kiedy służba odeszła.

- Więc trzeba cię oprowadzić. Zapraszam.  
- Maks zakresił ręką łuk. - Jadalnia, gabinet, mniejszy i większy salon. Piętro niżej znajduje się kuchnia, pomieszczenie gospodarcze i mieszkanie Diega, a jeszcze niżej piwnice.

No tak, masywne schody prowadzące do wejścia ukrywały fakt, że to było pierwsze piętro, a nie parter. Sophie zdała sobie z tego sprawę, kiedy Maks zaprowadził ją na tyły domu i otworzył duże podwójne drzwi. Jej oczom ukazały się w pełni wyposażona sala gier, siłownia i basen, którego jedna połowa znajdowała się pod dachem, a druga na zewnątrz. Zewnętrzna część była otoczona

szklanymi ścianami i wyposażona w odsuwany dach. Poniżej schody prowadziły do schowanego za murem ogrodu.

- Możesz korzystać z tego, kiedy tylko zechcesz. - Cofając się do holu, dodał: - Mam trochę pracy, więc zostawiam cię samej sobie. Pamiętaj, że jemy lunch o pierwszej trzydzieści.

Sophie zasalutowała.

- Tak jest, panie.

Ale on się nie roześmiał. Na powrót wcielił się w rolę tyra.

- Właśnie tym dla ciebie jestem i nie zapomnij o tym - odparł chłodno, po czym zniknął za drzwiami gabinetu.

Sophie poszła na górę do swojej sypialni. Wchodząc do garderoby, zastała w niej pokojówkę Tessę z jej małą walizką.

- Dziękuję bardzo, ale rozpakuję się sama - powiedziała Sophie z uśmiechem.

Jak tylko została sama, zaczęła wyjmować kolejno zestaw do makijażu, szkatułkę z biżuterią, perfumy. Ustawiła wszystko na toalecie, chociaż dobrze wiedziała, że będzie korzystać z garderoby wyłącznie do przechowywania ubrań. Skoro miała ją dzielić z Maksem, nie chciała spędzać w niej dużo czasu. Nagle stanął w drzwiach.

- Zapomniałem ci to dać - odezwał się, podchodząc do niej. Położył coś na toalecie. - Otworzyłem ci konto we włoskim banku. To jest twoja

karta kredytowa. - Spojrzał na nią. - Po lunchu wychodzimy. Przebierz się. Nie chcę, żebyś pokazywała się ludziom w tak krótkiej spódnicy.

I już go nie było. Sophie zmarszczyła czoło. Co on sobie wyobraża? Że będzie chodziła w worku i posypywała się popiołem? Przez lata była niezależna. Zawsze sama o sobie decydowała. A on próbował pozbawić ją niezależności. Jak na Złóść nie mogła mu się sprzeciwić, dopóki nie zapewnił bezpieczeństwa interesom ojca.

Potrzebowała strategii, która uchroni ją przed emocjonalnym wypaleniem i nie dopuści, żeby po rozstaniu z Maksem przypominała ludzki wrak. Musiała bronić się przed nim za wszelką cenę, tym bardziej że nie potrafiła oprzeć się jego urokowi w sypialni.

Otworzyła drzwi szafy i sięgnęła po parę dzinśów, ale nagle jej ręka zawisła w powietrzu. To nigdy nie będzie jej dom. Maks powiedział jej, że kochanka zawsze musi zgadzać się ze swoim mężczyzną. I wtedy przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

Pół godziny później zeszła do jadalni ubrana w szarozieloną, dwurzędową marynarkę i dopasowaną do niej wąską spódnicę sięgającą nad kolano. Zebrała dwa kosmyki włosów do tyłu i splotła. Reszta opadała swobodnie na plecy. Pomalowała się staranniej i mocniej niż zazwyczaj. A na nogi wsunęła szpilki.

Maks stał przy barku z kieliszkiem w ręku. Kiedy weszła, omiół ją wzrokiem.

- Widzę, że wzięłaś sobie do serca moją radę. Napijesz się?

- Chętnie. - Z trudem panowała nad wzbierającymi w niej emocjami. - Zawsze tutaj jadasz? - zapytała po chwili, uśmiechając się do niego znad kieliszka z winem, który jej wręczył.

- Zawsze, kiedy tutaj jestem, co nie zdarza się często.

- Czy podczas twojej nieobecności mogę jadać w jakimś bardziej przytulnym miejscu, na przykład w kuchni?

- Jeśli chcesz.

Maks odsunął dla niej krzesło, kiedy Diego pojawił się z pierwszym daniem. Potem sam zajął miejsce. Ale jedna myśl nie dawała mu spokoju. Czemu Sophie nagle zaczęła zachowywać się tak ulegle? Czemu uśmiechała się i odpowiadała grzecznie, zgadzając się z każdym jego słowem? I czemu nie odstępowało go przecucie, że działo się coś niedobrego?

- Dokąd mnie zabierasz? - zapytała po skończonym posiłku.

Najchętniej zabrałby ją do łóżka, ale zapanował nad swoimi instynktami.

- Do jubilera. Obiecałem ci diamenty zamiast kryształów. Pamiętasz? - odparł, odsuwając krzesło.

- No tak. Całkiem zapomniałam. - Sophie

wstała za jego przykładem. Nie chciała tych cholerych diamentów, ale mimo to postanowiła odgrywać swoją nową rolę zgodnie z jego scenariuszem.

- Ale przecież nie ma pośpiechu - dodała, nie mogąc się opanować.

- Jestem zajęтым człowiekiem i zwykle nie bywam tutaj w piątki. Ale skoro już jestem, chciałbym załatwić wszystko jak należy.

Sophie przygryzła górną wargę.

- No tak, oczywiście - rzuciła i czym prędzej ruszyła do drzwi, żeby nie stracić nad sobą panowania.

- Sophie? - Skóra jej cierpła na dźwięk jego głosu i dotyk jego ramienia oplatającego ją w pasie. - Nie musimy nigdzie iść...

Spojrzała na niego. Dobrze wiedziała, co miał na myśli, ale to tylko bardziej ją rozżłościło.

- Ależ musimy - powiedziała słodko, nabierając przekonania, że mówienie tak nie jest wcale takie trudne.

Niestety pół godziny później sprawy nieco się skomplikowały. Siedzieli przy stole, na którym jubiler rozłożył olśniewające diamentowe naszyjniki, kolczyki i bransoletki.

- Podoba ci się taki zestaw? - zapytał Maks.

- Tak.

- Wybierz coś wreszcie - warknął Maks, tracąc cierpliwość.

Dostrzegł nikły uśmiech na jej ponętnych ustach. Spojrzała na niego z miną niewiniątka.



- Nie, Maks, ty powinieneś to zrobić. Skoro za to płacisz, powinno ci się podobać.

I wtedy do niego dotarło. Ta mała wiedźma specjalnie przytakiwała i zgadzała się na wszystko, co mówił, doprowadzając go do szaleństwa. Właściwie nie rozumiał, czemu tak go to irytowało. W końcu każdy mężczyzna marzył o takiej kochance. Zapominając na chwilę o swoich rozterkach, wybrał jeden z kompletów, zapłacił i wyciągnął Sophie ze sklepu.

- Rozgryzłem cię - poinformował ją, przeciągając samogłoski. - Czy wskoczysz do kanału, jeśli cię o to poproszę? - Poczul, jak spina się w jego ramionach. - Albo pocałujesz mnie tutaj? - Jej mina świadczyła o tym, że ma rację. Przejrzał ją. - Na to ostatnie i tak musisz się zgodzić. Wiesz, że nie masz wyjścia - zadrwił.

Jego promienny uśmiech i roześmiane oczy zgubiły Sophie.

- Tak - odparła, śmiejąc się.

I w ten oto sposób Gina zastała ich złączonych w namiętym pocałunku.

- Maks? Co ty tutaj robisz?

Uniósł głowę, ale nie wypuścił Sophie z objęć.

- Gina. - Uśmiechnął się. - Jesteś lekarzem i nie wiesz? - Poczul, jak Sophie sztywnieje. Najwyraźniej zdenerwowała się na widok jego siostry. - Nie wiedziałem, że postanowiłaś za-trzymać się w Wenecji.

- Nawet lekarze mają prawo do wakacji. Ale mnie bardziej dziwi twoja obecność w tym mieście. Chociaż chyba rozumiem przyczynę - rzuciła z rozbawioną miną, zerkając ukradkiem na Sophie.

Sophie popatrzyła na niską, ciemnowłosą kobietę i jej towarzyszkę, nieco starszą, i natychmiast zapragnęła, żeby ziemia się pod nią rozstąpiła.

- Oczywiście znasz Sophie - powiedział Maks uprzejmie i spojrzał na nią. - Pamiętasz Ginę, *carat* Jak mogłaby zapomnieć.

- Tak - odparła powoli i posłała Ginie uprzejmy uśmiech. - Miło znów cię spotkać.

Nie mogła uwierzyć, że to powiedziała. Przecież tak naprawdę pragnęła, żeby rodzeństwo Quintano zniknęło z jej życia raz na zawsze.

- Mnie również - odwzajemniła uprzejmość Gina. - A to moja przyjaciółka Rosa. Wypuściłyśmy się na zakupy. A wy?

- Podobnie - Maks pośpieszył z odpowiedzią. - Z tym, że my już skończyliśmy.

- Mój Boże, Sophie, nie mogę w to uwierzyć. Udało ci się nakłonić największego szowinistę świata, żeby zabrał cię na zakupy! - Gina roześmiała się głośno. - Jeszcze trochę, a może zrobisz z niego człowieka.

Zdziwiona szczerym śmiechem Giny i brakiem złośliwości, Sophie przywołała na usta cierpki uśmiech.

- Szczerze wątpię.

Jej słowom zawtórował chichot. Maks spojrzął na przyrodną siostrę.

- Uważaj, Gino. Nie chcę, żebyś wystraszyła Sophie swoimi opiniami na mój temat.

- Może pójdziemy na kawę? - wtrąciła się Rosa. - Potrzebuję kofeiny.

- W porządku. Może dołączycie do nas? - zapytała Gina.

Ale wspólne wyjście na kawę nie wniosło nic nowego. Sophie nie poznała żadnych szczegółów na temat związku Maksa i Giny. Oczywiście widać było, że są sobie bardzo bliscy i że świetnie czują się w swoim towarzystwie. Jednak nie dostrzegła między nimi żadnego seksualnego napięcia. To było coś całkiem innego, choć nie wiedziała co.

Następnego dnia rano przy śniadaniu Sophie nie mogła patrzeć na Maksa. Zeszłej nocy przyszedł do jej sypialni i kazał założyć diamenty, a potem się z nią kochał, a właściwie uprawiał z nią seks.

- Wyjeżdżam do rodzinnej posiadłości - poinformował ją lodowatym głosem, wstając od stołu.  
- Od śmierci ojca muszę pomagać w sprawach związanych z prowadzeniem sieci hoteli Quintano. Wrócę w niedzielę wieczorem. Tymczasem nie życzę sobie, żebyś wychodziła gdziekolwiek sama. Diego dotrzyma ci towarzystwa.

Sześć tygodni później Sophie, która zakładała diamentowe kolczyki przed lustrem toaletki, była całkiem inną kobietą. Właśnie szykowali się do wyjścia na bal dobroczynny. Słyszała Maksa krzającego się w pokoju obok. Wrócił z Ekwadoru godzinę wcześniej i natychmiast skorzystał z okazji, dołączając do niej pod prysznicem. Przez to mogli się spóźnić.

Maks był niewiarygodnym kochankiem. Już dawno przestała mu się opierać. Cechowała go także hojność. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Szmaragdowa suknia od Versacego więcej odsłaniała, niż zasłaniała. Na stopach miała zielone satynowe buty od znanego projektanta, a na jej szyi wisiał diamentowy naszyjnik od Van Cleefa stanowiący komplet z kolczykami. Tak, wyglądała dokładnie tak, jak powinna wyglądać kochanka bogatego mężczyzny.

W łóżku nie mogła się przed nim bronić i tylko zdrowy rozsądek powstrzymywał ją przed ujawnieniem mu swoich uczuć. Jednak jak na ironię podobało jej się to, co widziała w szklanej tafli. W ten sposób łatwiej było jej udawać chłodne wyrachowanie w jego obecności.

Kiedy zostawiał ją samą, Sophie jadała w kuchni. Dzięki temu lepiej poznała Marię, Tessę i troje jej dzieci. Wiele przyjemności sprawiało jej uczenie najmłodszych angielskiego. Lubiła także długie spacerować po Wenecji, chociaż nie mogła cieszyć

się nieograniczoną wolnością. Diego nigdy nie odstępował jej na krok, chociaż okazał się prawdziwą kopalnią wiedzy i Sophie musiała przyznać, że doskonale sprawdzał się w roli przewodnika. Przy akompaniamencie jego opowieści zwiedziła Bazylikę Świętego Marka i siedziała na zewnątrz najstarszej weneckiej kawiarni Cafe Florian, popijając kawę i przyglądając się przechodniom. Nieco później obejrzała kolekcję Peggy Guggenheim, wybrała się do Gallerie deli'Accademia i zobaczyła wiele innych małych muzeów, których istnienia nigdy by się nie domyśliła, gdyby nie Diego. To właśnie on oprowadził ją po niezliczonych kościołach pełnych wspaniałych dzieł sztuki. To miasto było najpiękniejszym i najbardziej romantycznym na świecie, ale tylko wtedy, gdy miało się u boku ukochaną osobę, a Sophie doskwierała samotność.

Szybko przekonała się, że Maks naprawdę dużo pracuje. Czasem, kiedy był w Wenecji, znikał na długie godziny w swoim gabinecie, ale przeważnie podróżował po świecie. Co najmniej dwa albo trzy dni, w tym każdy piątek, spędzał w swoim biurze w Rzymie.

Sophie wybrała się z nim raz do stolicy. Wtedy też dużo pracował, ale wieczorem zabrał ją na zakupy i kolację. Co dziwne, w Rzymie nie czuła się jak jego kochanka. Jednak pewnego ranka znalazła w łazience flakonik perfum, różne kobiece przy-

bory toaletowe i długie wsuwki, które nie mogły należeć do Giny. Potem nie miała już ochoty towarzyszyć mu w podróżach do tego miejsca.

Od Marii dowiedziała się, że żadna inna kobieta nie przestąpiła progu *palazzo*. W rozumieniu romantycznej, lecz konserwatywnej Marii to oznaczało zbliżający się ślub, ale Sophie nie miała złudzeń. I choć wciąż tęskniła za nim, kiedy był daleko, powtarzała sobie, że tak naprawdę go nie-  
nawidzi i że chodzi tylko o seks.

- Skąd ta mina?

Głęboki głos wyrwał ją z zamyślenia. Odwróciła głowę i ze zdziwieniem dostrzegła szczerą troskę w oczach Maksa. Serce zatrzepotało jej wpiersi. Wyglądał tak atrakcyjnie w czarnym garniturze i białej koszuli, która podkreślała jego ciemną karnację. Zrozumiała, że go kocha. Pewnie nigdy nie przestała. Ta myśl ją przeraziła. Czym prędzej odwróciła głowę, żeby ukryć uczucia malujące się na jej twarzy.

- Zastanawiałam się, czy te kolczyki nie są lekką przesadą - odezwała się w końcu, zasłaniając się maską obojętności.

- Wyglądasz olśniewająco - zapewnił ją.

- Zapłaciłeś za to - warknęła.

Maks zmrużył oczy, zdziwiony tym nagłym wybuchem złości.

- To prawda. Podobnie jak za twoje usługi.

Wyciągnął ręce w jej stronę.

- Nie mamy czasu - broniła się, robiąc krok do tyłu.

- A tobie tylko jedno w głowie - zadrwił. - Nie żebym narzekał, ale w tej chwili bardziej zależy mi na twojej pomocy przy zapięciu spinek do mankietów. - Podał jej platynową spinę. - Nigdy nie radzę sobie z prawą ręką.

Sophie wykrzywiła usta w grymasie.

- Niemożliwe. Przecież Maks Quintano radzi sobie ze wszystkim - odcięła się, ale posłusznie zapięła spinę.

- I to tak cię irytuje, moja piękna. - Gładząc jej nagie ramiona, pocałował jej rozchylone delikatnie usta. - Może zostaniemy w domu?

- Jeśli myślisz, że ubrałam się tak tylko po to, żebyś mnie rozebrał, to chyba oszalałeś.

- Oszalałem na twoim punkcie - powiedział z cierpkim uśmiechem, który całkiem ją zaskoczył. Nigdy w życiu nie dopuściłaby do siebie myśli, że mogło mu na niej zależeć, ale teraz ogarnęły ją wątpliwości. Przesuwając rękę po jej biodrze, dodał: - No trudno. Obiecałem ci ten bal. - Ruszył do drzwi. - Ale może uda nam się pofiglować na łodzi. Co ty na to? - zapytał, unosząc czarne brwi.

Wyglądał jak zawadiacki pirat. Sophie potrząsnęła głową ze śmiechem. Po prostu nie mogła się opanować. W takich chwilach prawie wierzyła, że tworzyli normalną, szczęśliwą parę.

Weszli objęci do eleganckiej sali hotelu Cypriani. Pierwszą osobą, którą dostrzegła Sophie, była Gina. Stała w grupie kilku wytwornych postaci. Odwróciła głowę, śmiejąc się z czegoś, co właśnie zostało powiedziane. Natychmiast zauważyła Maksa i czym prędzej ruszyła w jego stronę.

- Maks, *caro*. - Chwyciła go za ramię i wspięła się na palce, żeby pocałować go w usta. Nie wypuszczając z uścisku jego ramienia, odwróciła się do Sophie. - Sophie, nie sądziłam, że przyjdiesz. Myślałam, że nie interesują cię takie rzeczy. Ale przyda nam się każde wsparcie - wyrecytowała z uśmiechem i znów odwróciła się do Maksa. - Nie widziałam cię od tygodni. Tym bardziej cieszę się z tego spotkania.

Gina jasno dała do zrozumienia, że tak naprawdę interesował ją tylko Maks i że tylko ze względu na niego tolerowała jego towarzyszkę. Sophie poczuła ukłucie zazdrości. Jednocześnie coś do niej dotarło. Pamiętała, że ich ojciec nie pochwałał związku Maksa z Gina, ale jego śmierć oszczędziła tej parze ewentualnych trudności. Mieli wolną rękę. W każdej chwili mogli się pobrać, a ona do końca trwałaby uwięziona w roli kochanki.

- Masz rację. Nie interesują mnie takie rzeczy - rzuciła ostro, mając na myśli związek Maksa i Giny. - Właściwie w każdej chwili chętnie się wycofam.

Sophie nie chciała dłużej udawać. Nie widziała



sensu. Miłosny trójkąt nigdy jej nie odpowiadał. Spróbowała wyswobodzić się z uścisku Maksa, po jego twarzy przemknął cień złości. Do niego też powróciły wspomnienia. Przypomniał sobie dzień, w którym go porzuciła. I chociaż wcześniej tłumaczył sobie, że była zbyt młoda i zbyt przerażona, żeby zgodzić się na życie z chorym mężczyzną u boku, teraz zrozumiał, że nie to było powodem jej odejścia. Jej nie zależało na niczym prócz własnej przyjemności. Spojrzał na jej piękną twarz, ale dostrzegł jedynie maskę obojętności i zimne, zielone oczy.

- To wieczór Giny. Zorganizowała ten bal charytatywny, żeby walczyć z rakiem - powiedział z naciskiem, wykręcając rękę Sophie na plecach, żeby przyciągnąć ją bliżej. - Zostaniesz i będziesz dla wszystkich miła - mruknął jej do ucha. - Będziesz zachowywała się jak zakochana kobieta. W końcu za to ci płacę - upomniał ją, po czym zwrócił się do Giny: - Nie zwracaj uwagi na Sophie. Na pewno nie chciała cię obrazić. Prawda, *cara*?

- Tylko żartowałam - wydusiła Sophie słabym głosem.

Ale tak naprawdę to los zażartował z niej. Kiedy w końcu dotarło do niej, że go kocha, okazało się, że nic się nie zmieniło. Opadła bezwładnie na krzesło, które odsunął dla niej Maks. Kipiła ze złości. Dała się nabrać na jego gierki. Jeszcze godzinę temu był czułym kochankiem, żeby na

powrót zmienić się w bezwzględny tyran. Oczywiście doskonale rozumiała groźbę kryjącą się w jego słowach.

Gina siedziała po lewej stronie Maksa, a ona po prawej. Czemu jej to nie dziwiło? Niemniej zmusiła się do promiennego uśmiechu podczas prezentacji kolejnych osób zgromadzonych przy stole. Prawie wszyscy zajmowali się medycyną. Z wdzięcznością przyjęła od kelnera kieliszek wina. Starła się ignorować Maksa, co nie było trudne, gdy Gina zabawiała go rozmową.

Po kilku kieliszkach wina Sophie trochę się ożywiła, ale nadal rzadko zabierała głos. Tymczasem Maks sprawiał wrażenie dominującego i obytego, z łatwością prowadził konwersację na każdy temat, rzucając od czasu do czasu jakiś zabawny komentarz. Rzadko się do niej zwracał, a kiedy już to robił, na jego ustach lśnił uśmiech, a w oczach połyskiwała wściekłość. Nie dbała o to.

- A może będziemy sprzedawać całusy pięknej Sophie? - zaproponował ktoś tubalnym głosem. Uniosła głowę na dźwięk swojego imienia. Siedzący naprzeciw niej mężczyzna, który wcześniej zaglądał jej w dekolt, znów pożerał ją wzrokiem.

- Pacjenci mogliby je kupować. Gdybym ja był poważnie chory, całus od boskiej kobiety na pewno poprawiłby mi nastrój.

Wszyscy się roześmiali i spojrzeli na nią.

- To by się nie udało. Sophie jest piękną

kobietą nieprzystosowaną do wizyt u chorych. Pewnie przyprowadziłyby ich o zawał. Prawda, Sophie? - zażartowała Gina i znów wszyscy się roześmiali.

Sophie na chwilę odjęło mowę. Gina nic o niej nie wiedziała, a mimo to śmiała wygłaszać komentarze na jej temat. Rozejrzała się dookoła. Tak naprawdę nikt z obecnych jej nie znał. Czy spieranie się miało jakikolwiek sens?

- Jeśli tak uważasz - burknęła pod nosem.

- I tak bym ci nie pozwolił - wtrącił się Maks i wyciągnął rękę w jej stronę.

Ale ona zignorowała jego gest, sięgając po kieliszek. Żałowała, że znalazła się w tym miejscu. I nagle czyjaś żyłasta dłoń poklepała jej rękę spoczywającą na stole.

- To tylko żart. My, ludzie medycyny, tracimy nieco z naszej wrażliwości. Nie bierz sobie tego do serca.

Słowa te wypowiedział profesor, który siedział obok niej, i najwyraźniej jako jedyny dostrzegł to, co umknęło innym. Sophie była mu wdzięczna za te słowa otuchy, bo dzięki nim mogła odwrócić się od Maksa, ukrywając wilgotne od łez oczy.

- Dziękuję - szepnęła, próbując się uśmiechnąć. - Moja matka zmarła na raka piersi, kiedy miałam jedenaście lat. Przez ostatnie dwa lata jej życia zajmowałam się nią, jak mogłam, ale byłam tylko dzieckiem.

- Proszę już o tym nie myśleć i uczynić mi

zaszczyt, zgadzając się na taniec ze mną. - Profesor wstał. - Czy mogę, panie Quintano?

Maks spojrzał na niego, a potem na Sophie. Rozpływała się w zachwycie, wpatrując w twarz tego starszego człowieka. Jak mogła go tak ignorować i jednocześnie na jego oczach uwodzić wybitnego profesora Mantę? Stary głupiec był tak rozanielony, jakby właśnie odkrył lek na raka. Co mógł powiedzieć w takiej sytuacji?

- Proszę bardzo.

Z trudem panował nad głosem, a tymczasem Gina znów ciągnęła go za rękaw. Kiedy jego siostra stała się taką gadułą? - zastanawiał się, patrząc z niechęcią w ślad za odchodzącą Sophie.

- Już lepiej? - zapytał profesor, patrząc Sophie w oczy.

- Tak. - Odprężyła się w jego ramionach. - Zwykle nie reaguję tak emocjonalnie, ale trzy dni temu obchodziłam rocznicę śmierci mamy.

- Jesteś uroczą istotą i nie musisz się tego wstydzic - zapewnił ją łagodnym głosem.

Sophie uśmiechnęła się.

- Z doświadczenia wiem, że to niestety zamknęłoby ci drzwi do świata medycyny.

- Moja kobiecość? - zachichotała, chociaż ta uwaga była dość szowinistyczna.

- Opowiedz mi coś o sobie. Jesteś na wakacjach? I co robisz, kiedy nie zwiedzasz naszego miasta?

- Chwilowo odwiedzam znajomego, ale na co dzień jestem lingwistką. Pracuję jako tłumacz i czasami uczę.

Chwilę później, ku zaskoczeniu Sophie, profesor zaproponował jej pracę. Okazało się, że zasiada w radzie prywatnej szkoły, do której uczęszczały jego wnuki. Co więcej, dotychczasowy nauczyciel języka angielskiego poszedł na zwolnienie i potrzebne było zastępstwo.

- Bardzo mi to schlebia, ale nie wiem, czy będę mogła - odparła, ale przyjęła wizytówkę od profesora i obiecała, że zadzwoni.

Maks nie mógł uwierzyć własnym oczom. Widział, jak brała wizytówkę od starego osła, i miał tego dość. Wstał, przywlekl na usta wystudiowany uśmiech i podszedł do nich.

- Na nas już czas - oświadczył, obejmując Sophie w pasie.

Sophie zamarła pod dotykiem jego władczego ramienia, ale nie spojrzała na niego. Pożegnała się z profesorem i resztą towarzystwa, ignorując przy tym Ginę. Tymczasem Maks żegnał się z siostrą znacznie dłużej, niż zdaniem Sophie, wymagały tego dobre maniery.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Czemu nic nie mówisz, *cara*? - Pochylił głowę, kiedy wychodzili z sali hotelowej. - Gniewasz się na mnie za to, że odciągnąłem cię od twojej najświeższej zdobyczy?

Każde słowo wymówił niezwykle spokojnie, ale ona i tak wyczuła w nich złość. Uniosła głowę i dostrzegła jego groźne spojrzenie.

- Profesor nie jest żadną zdobyczą tylko dżentelmenem - warknęła. - Nie dorastasz mu do pięt.

- Może i nie, ale dobrze wiem, że ty nie jesteś damą. Idziesz do tego, kto da więcej, a tak się składa, że moja oferta była ostatnio najlepsza. Dlatego oddaj mi wizytówkę, którą ci wręczył.

- Czy ty w ogóle myślisz o czymś innym poza seksem?

Wbiła w niego oskarżycielskie spojrzenie i chociaż jego twarz przypominała maskę, skrywała coś, co Sophie przez naiwną chwilę wzięła za zazdrość.

- Tak się składa, że zaproponowałem mi pracę. Nie każdy widzi we mnie tylko ciało, tak jak ty i Gina.

- Pracę? - parsknął. - Oboje wiemy, co to ozna-

cza. Muszę cię rozczarować, *cara*. Nie stać go na ciebie.

Nie zdażyła oczyścić się z tych śmiesznych zarzutów, bo ktoś z personelu właśnie śpieszył w ich stronę z płaszczami. Właściwie po co miała mu cokolwiek tłumaczyć? Przecież on i tak wiedział lepiej. Spojrzała na jego kamienną twarz, kiedy przytrzymał dla niej drogie futro z soboli, kolejny z jego prezentów, na które nie miała ochoty. Nie przekonywał jej argument, że wszystkie kobiety w Wenecji nosiły zimną futra, ale on jak zwykle narzucił jej swoją wolę.

Kiedy wyszli na zewnątrz, powitała ich nieprzyjazna noc. Nie dość, że z nieba padał rześisty deszcz, to jeszcze wszystko wokół spowijała gęsta mgła. Na szczęście łódź już na nich czekała. Sophie czym prędzej weszła na pokład, strząsając ramię Maksa, zeszła na dół do małej kabiny i usiadła.

Słyszała rozmowę Maksa z Diegiem i miała nadzieję, że zostawi ją w spokoju. Zamknęła oczy, czując nasilający się ból głowy. Cała ta umowa od samego początku zwiastowała wielką katastrofę, ale nie miała zamiaru dłużej tego tolerować. Skoczyła na równe nogi i wyszła z kabiny. Maks opierał się o dach, a Diego trzymał ster. Odwrócił głowę w jej stronę.

- Doskonałe wycucie czasu, *signorina*.

Uśmiechnął się do niej, przybijając do pomostu. Sophie odpowiedziała mu uśmiechem, ignorując

Maksa. To o jego rękę oparła się przy wysiadaniu na brzeg i nie zaczekała, tylko pobiegła do domu. Zsunęła sobole z ramion, nie dbając o to, gdzie upadną, i czym prędzej ruszyła po schodach na górę. Wpadła do swojej sypialni, zamykając za sobą drzwi. Zrzuciła buty, odpięła kolczyki, po czym podeszła do toaletki i włożyła je do szkatułki. To samo zrobiła z naszyjnikami. Zdjęła suknię i włożyła szlafrok. Dopiero pozbywszy się wszelkich oznak władzy Maksa, odetchnęła z ulgą. Chcąc się odprężyć, udała się do łazienki, żeby wziąć prysznic. W drodze powrotnej natknęła się na Maksa. Stał w drzwiach jej sypialni ze Szklaneczką whisky-w rękę.

- Uciekasz przede mną, Sophie? Czy tylko manifestujesz swoje nieposłuszeństwo?

- Nic z tych rzeczy - odparła, ignorując jego wściekłe spojrzenie. - Nie mogłam oprzeć się pokusie umycia się po spędzeniu wieczoru w towarzystwie rodzeństwa Quintano.

- Co ty wygadujesz?

Sophie przestraszyła się na dźwięk jego poirytowanego głosu. Maks dostrzegł, że drży, i zdusił w sobie gniew. Próbował przypomnieć sobie liczne uwagi Sophie na temat Giny. Czemu wciąż się jej czepiała, przecież spotkały się zaledwie kilka razy? To nie miało sensu. Osuszył szklanekę, odstawił ją na stolik nocy i podszedł do niej.

- Dzisiaj wieczorem jasno wyraziłaś swój nie-



smak na jej widok. Rozumiem, że myśl o raku cię przeraża, ale co masz przeciwko Ginie? - Sophie zbladła, a więc wpadł na właściwy trop. - Chcę usłyszeć prawdę. Mam dość twoich kręactw.

Spiorunowała go wzrokiem. Miała dość jego kłamliwych zarzutów na temat jej strachu przed chorobą. A jeśli ktoś w tym pokoju kręcił, to z pewnością on.

- Masz mnie za idiotkę? Wszyscy wiedzą, że od lat masz romans ze swoją przyrodnią siostrą. - Zaśmiała się drwiąco. - Dziś wieczorem pocałowała cię niczym stęskniona kochanka. To było obrzydliwe.

- *Basta!* - Szybko pokonał dzielącą ich odległość i wbił palce w jej nagie ramiona.

- To boli.

- W tej chwili nic mnie to nie obchodzi. Zmiażdżyłbym każdego, kto ośmieliłby się sugerować to, co przed chwilą powiedziałaś.

Sophie rzuciła mu wyzywające spojrzenie.

- Nie masz odwagi zmierzyć się z prawdą.

Maks dostrzegł determinację w jej oczach i zrozumiał, że naprawdę wierzyła w te bzdury. Na chwilę odjęło mu mowę. Z trudem złapał oddech.

- Ty naprawdę myślisz, że ja... - Nie mógł nawet wymówić tego na głos, więc tylko potrząsnął głową. - To jakiś chory pomysł.

- Chyba fakt.

- Fakty są takie, że Gina to moja przyrodnia

siostra, kropka. Pocałowała mnie, bo ucieszyła się na mój widok. Cała reszta wydarzyła się tylko w twojej głowie. - Spojrzał na jej śliczną buzię i nie mógł uwierzyć, że pod tak piękną powłoką kryły się prawdziwie szatańskie myśli. - A jeśli jesteś zazdrosna...

- Zazdrosna? - przerwała mu. - Nie pochlebiaj sobie... i nie kłam. Już nie pamiętasz...? Siedem lat temu. Byłam głupią nastolatką zakochaną w tobie bez pamięci. Marnie ostrzegała mnie przed tobą. Opowiadała o legionie kobiet, ale ja nie słuchałam. Pokazała mi nawet artykuły w gazecie na twój temat i zdjęcia. Na koniec zdradziła mi sekret o twoim związku z Gina. Ale ja nadal nie wierzyłam w ani jedno jej słowo. Byłam głupim dzieckiem, którego uwiodłeś i poprosiłeś o rękę, na wypadek gdybym była w ciąży. - Jej oczy zionęły złością. - Byłam idiotką, że ci uwierzyłam. Ale na szczęście znalazłam się wtedy w labiryncie i usłyszałam twoją rozmowę z Gina.

Sophie nie zauważyła, że krew odpłynęła mu z twarzy, targana wspomnieniami, które tak długo w sobie tłamsiła.

- A kiedy Gina zapytała, czemu się ze mną żenisz, odparłeś, że zachowałeś się nierozsądnie i mogę być w ciąży. A później roztoczyliście wizję młodej ciężarnej żony, która musi znosić regularne wypadki męża na noc do swojej kochanki i jego osłabienie po powrocie do domu. Cóż za

wiadomość! A kiedy stanęłam przed wami, zastałam was w objęciach, wyznających sobie miłość. Na potwierdzenie moich podejrzeń znalazłam w zeszłym miesiącu w Rzymie kobiece przybory toaletowe, z których niektóre należą na pewno do Giny, a inne do twoich pozostałych kobiet. - Zrobiła pauzę, potrząsając głową. - Nie mogę tylko zrozumieć, jak Gina to znosi. Ja nie mam wyboru, o czym często mi przypominasz...

Spojrzała na niego i serce zamarło jej w piersi, bo przez chwilę bała się, że ją uderzy.

- Milcz. Po prostu milcz.

Maks chciał ją chwycić i mocno nią potrząsnąć. Nie mógł uwierzyć, że Sophie, przez cały ten czas, kiedy z nim żyła, miała o nim takie zdanie. Ale po chwili się opanował. Przypomniał sobie tamtą rozmowę, okoliczności i krążące o nim plotki. To nie była jej wina. W tej sytuacji mogła dojść do niewłaściwych wniosków.

- *Dio mio!* Jak mogłaś uwierzyć w te bzdury? Usłyszałaś kilka plotek i na ich podstawie stworzyłaś sobie okropną wizję!

- Gazety nie kłamią.

- To prawda, że spałem z kilkoma kobietami, ale nie ma w tym nic dziwnego w przypadku mężczyzny, który przekroczył trzydziestkę. A całą resztę wyszano z palca.

- Słyszałam waszą rozmowę - upierała się Sophie.

- Powiedziałaś, że wszystko słyszałaś, ale to nieprawda.

- Ja...

- Zamknij się i posłuchaj! -krzyknął, ujmując w dłoń jej twarz i zmuszając, żeby na niego spojrzała. - Nie rozmawialiśmy z Giną o żadnym trójkącie. Nigdy w takim nie byłem. Tak się składa, że ona woli kobiety. Rosa jest jej partnerką. Jak bardzo trzeba być głupim, żeby uwierzyć w brednie kobiety w średnim wieku, takiej jak Marnie?

- Ale ona twierdziła, że wszyscy o tym wiedzą - broniła się Sophie, chociaż powoli zaczynała tracić pewność siebie. - Nie miała powodu, żeby kłamać..

- No jasne! A rozmowa, którą podsłuchałaś, dotyczyła mojego stanu zdrowia. Istniało wówczas podejrzenie, że mogę mieć raka jąder. Radziłem się Giny jako lekarza. Z kolei ona uważała, że powinienem wyznać ci prawdę, skoro zamierzam się z tobą ożenić, bo i tak wszystkiego byś się domyśliła, jak tylko rozpocząłbym kurację. Czy to ci wystarczy?

Uważnie przyjrzał się jej twarzy, po czym roześmiał.

- Gina zachowała się wobec ciebie powściągliwie, bo, podobnie jak ja, myślała, że odeszłaś ode mnie z powodu mojej choroby. Ona poważnie podchodzi do życia i uważa, że jesteś piękna, lecz płytka. Nie możesz jej za to winić. A jej dzisiejszy

zart być może był zbyt mocny, ale uzasadniony z perspektywy tego, co o tobie wie.

- Naprawdę byłeś chory? - zapytała z niedowierzaniem. - Wyglądałeś na zdrowego.

- Naprawdę byłem chory, ale się wyleczyłem. Już nic mi nie dolega.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Czy mogła się aż tak pomylić? Wyjaśnienia Maksu miały sens, właściwie o wiele więcej sensu niż wymyślona przez nią historyjka. W głowie miała mętlik.

- Kiedy poprosiłeś, żebym porozmawiała z Gina, chodziło ci o chorobę?

- Tak. Ale ty zrozumiałaś to po swojemu.

- Naprawdę miałeś raka jąder? - wybełkotała.

- Tak - potwierdził, przyglądając się jej dziwnie, jakby przez pryzmat jakiegoś złego wspomnienia.

- O mój Boże! - Sophie pobladła. - Przepraszam, tak bardzo cię przepraszam. Co musieliście sobie o mnie pomyśleć? - Nic dziwnego, że Gina zachowywała się tak bezceremonialnie w stosunku do niej. Zrozumiała także, czemu Maks wciąż się na nią złościł. Uważał, że jest bez serca. - Gdybym tylko wiedziała... - Jej zielone oczy wypełniły się współczuciem. - Gdybym tylko wiedziała, jak bardzo byłeś chory... - Ale Maks nie pozwolił jej skończyć.

- To bez różnicy. Raka wykryto w bardzo

wczesnym stadium, szybko rozpoczęto leczenie i od lat mam spokój. Nie potrzebuję twojej litości.  
- Przyciągnął ją bliżej. - Tylko twojego ciała. W tej kwestii nic się nie zmieniło. Oboje popełniliśmy błędy. Trudno. To już nie ma znaczenia. Odpowiada mi to, co mamy teraz.

Wpatrywała się w niego pełnymi boleści oczami. Dobrze wiedziała, co miał na myśli. Nigdy nie chciał nastoletniej żony ani jakiegokolwiek innej. Wolał mieć kochankę. Nic się nie zmieniło, tylko że jej przestał wystarczać dawny układ.

Jakby czytał jej w myślach, Maks posłał jej arogancki uśmiech i pochylił głowę.

- Nie - mruknęła. - Nie - powtórzyła z naciskiem.

Odepchnęła się od niego i odwróciła, ale chwycił ją za rękę i uwięził w ramionach.

- Tak!

Energicznie kręciła głową, ale on i tak zaciągnął ją do łóżka. Oboje upadli na miękkie poduszki. Ujął jej twarz w dłonie i pocałował namiętnie.

- Zapomnij o przeszłości - wyszeptał. - Interesuje mnie tylko teraźniejszość.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Sophie późno zwlekła się z łóżka po bezsennej nocy. Czuła się chora. Był piątek, więc Maks prawdopodobnie poleciał do Rzymu. Nie musiała się śpieszyć. Miała cały dom dla siebie. Ubrała się, zeszła do kuchni i nalała sobie kawę z dzbanka stojącego na kuchence. Jej myśli nieustannie krążyły wokół Makska i Giny. Nie mogła sobie wybaczyć, że tak pochopnie ich oceniła.

- Powinna była pani po mnie zadzwonić - zganiła ją Maria, wrywając z zamyślenia. - Na co ma pani ochotę?

Sophie odsunęła krzesło i usiadła. Nawet kawa smakowała jej dzisiaj wyjątkowo gorzko, ale wypija ją do dna. Musiała zrobić coś ze swoim sybaryckim życiem, które zaplanował dla niej Maks. Inaczej groziło jej pogrążenie się w morzu goryczy. Chwycała banana z miski z owocami i wstała.

- Nie rób sobie kłopotu. To mi wystarczy - powiedziała, wychodząc z kuchni.

Pobiegła na górę i zaczęła szukać wizytówki od profesora Manta. Zadzwoniła i umówiła się z nim przed szkołą. Mogła być kochanką Makska tak

długo, jak sobie tego życzył, ale nie zamierzała siedzieć beczynnie przez resztę czasu.

Nie zważając na protesty Diega, uparła się, że skorzysta z *vaporetto*, miejscowego środka transportu publicznego. Zanim zdążył ją powstrzymać, już jej nie było. Upajała się odzyskaną wolnością.

Wkrótce spotkała się z profesorem Mantą i po krótkiej rozmowie z dyrektorem szkoły przyjęła posadę nauczycielki języków obcych. Później profesor Manta zaprosił ją na kawę do Café Florian. I właśnie tam spotkał ich Maks.

Zeszłej nocy Maks był wściekły na wieść o oskarżeniach Sophie. Jednak zamiast porozmawiać z nią o targających nim uczuciach, zaciągnął ją do łóżka. Wierzył, że tylko w ten sposób potrafi się z nią porozumieć.

Nigdy nie wiązał się z dwoma kobietami jednocześnie, a sam żądał wierności od swoich partnerek. Nauczył go tego romans w czasach studenckich ze słodką Berenice, która, jak się potem okazało, sypiała również z połową jego znajomych.

Ale dziś rano w świetle poranka jego złość osłabła, dopuszczając do głosu rozsądek. Wrócił do sypialni Sophie, zdecydowany na poważną rozmowę, ale zastał ją pogrążoną w głębokim śnie. Jej widok chwycił go za serce. Leżała z podkulonymi nogami niczym dziecko, z warkoczem opadającym na piersi.



Przyglądał się jej przez dłuższy czas i zrozumiał, że nie ma prawa się na nią złościć. Była wtedy taka młoda i niewinna, a jego styl życia i bogactwo zawsze stanowiły źródło plotek. Nigdy się nimi nie przejmował, ale na łatwowierną dziewczynę mogły wywrzeć wpływ. On był od niej starszy i mądrzejszy. Powinien był zachować się rozsądniej, wyznać jej prawdę, wysłuchać, a zamiast tego powiedział, że nie chce jej nigdy więcej widzieć.

Przez ostatnie tygodnie traktował ją tak, jakby była pozbawioną uczuć i skrupułów lalką. Nie był z siebie dumny. Dlatego postanowił wynagrodzić jej wszelkie niedogodności. Z tą myślą załatwił wszystkie sprawy przez telefon, żeby nie musiał lecieć do Rzymu, po czym umówił się z prawnikiem na lunch, żeby anulować umowę upokarzającą Sophie. Może wtedy będą mogli zacząć jeszcze raz. Wybrał się do jubilera. Chciał ją czymś zaskoczyć.

Ale to ona zaskoczyła jego. Przez chwilę Maks stał w cieniu budynków i tylko patrzył. Siedziała przed kawiarnią, popijając kawę i uśmiechając się do profesora Manty. Wyglądała elegancko w kostiumie w kolorze morwy, z włosami związanymi z tyłu aksamitną wstążką i delikatnym makijażem. Sprawiała wrażenie zrelaksowanej i szczęśliwej.

Maks obracał w rękę małe aksamitne pudełecz-

ko. Zaskoczy ją, a jakże. Ale nie prezentem, a swoją obecnością. Musiał być idiotą, żeby zmienić o niej zdanie na lepsze. Zawsze była i będzie tylko jego bardzo seksowną kochanką. Przywlekając na twarz maskę obojętności, ruszył przed siebie.

- Sophie. Nie spodziewałem się ciebie tutaj.

Dostrzegł jej pełne rezerwy spojrzenie.

- Maks, co za niespodzianka. Myślałam, że poleciałeś do Rzymu tak jak w każdy piątek.

Z trudem nad sobą panował, tym bardziej że tak bardzo zdenerwowała się na jego widok. Zaciskała ręce i wierciła się na krześle.

- W to nie wątpię - mruknął. - Umówiłem się na lunch z prawnikiem - wyjaśnił, po czym odwracając się do profesora Manty, dodał: - *Buon-giorno, professore. Permesso?* - zapytał, wskazując na krzesło.

- *Pręgo* - odparł profesor i wstał. - Jak działa hospicjum? Wciąż się rozrasta?

- Tak.

- Świetna robota. - Poklepując Maksa po plecach, dodał: - Muszę już iść. A pan będzie tym szczęśliwcem, który odprowadzi Sophie do domu. Ma pan ogromne szczęście. Nawet pan sobie nie wyobraża, jak wdzięczne jest San Bartolomeo za jej usługi. *Arrivederci*.

Maks przyglądał się Sophie przez dłuższą chwilę.

- Wyłumacz mi to.

Sophie zadrżała. W ciemnoszarym garniturze,

jasnoszarej koszuli i krawacie sprawiał wrażenie wyższego, mroczniejszego i groźniejszego niż zazwyczaj. Spoglądał na nią tymi czarnymi, zimnymi oczami.

- Już ci mówiłam. Profesor Manta zaproponował mi pracę. - Posłała mu słodki, cyniczny uśmiech. - Mam uczyć języków obcych w szkole, do której uczęszczają jego wnukowie, San Bartolomeo. Potrzebują kogoś na zastępstwo aż do świąt Bożego Narodzenia. - Podniosła filiżankę do ust i napiła się kawy. - Zadzwoiłam do niego dziś rano i powiedziałam, że jestem zainteresowana, więc umówił mnie z dyrektorem. Zaczynam w przyszłym tygodniu. Będę pracować we wtorki i czwartki. Czy to ci odpowiada, panie i władco? - zadrwiła.

Zachowywała się bardzo agresywnie, chociaż nie mógł jej za to winić po tym, jak oskarżył ją o przyjmowanie niemoralnych propozycji od profesora. Ciekawe, o co jeszcze niesłusznie ją oskarżył.

- Gdzie podziewa się Diego? Kazałem mu dotrzymywać ci towarzystwa poza domem. A ty zignorowałaś moje polecenia.

Odsunęła krzesło i wstała.

- Kiedy wychodziłam, był w domu. A o twoich poleceniach całkiem zapomniałam - odparła lekko. - A teraz zamierzam złapać *vaporetto* i wrócić. Mogę?

Wyglądał ponuro, kiedy wstał i chwycił ją za ramię.

- Co za niebywała potulność. Wolę odprowadzić cię do domu, a temat pracy omówimy potem.

- Nie ma co omawiać. Już się zgodziłam.

- Ale ty już masz pracę. Zajmujesz się mną. Pamiętasz? Poza tym masz też karty kredytowe i hojne kieszonkowe.

- Chodzi ci o wynagrodzenie?

- Nazywaj to, jak chcesz, ale wydawaj te cholerne pieniądze. Rób zakupy, jadaj w restauracjach, rób to co inne kobiety. Nie musisz uczyć stada dzieciaków.

- Ale ja kocham dzieci i nienawidzę zakupów. Maks zacieśnił uścisk na jej ramieniu.

- Z mojego doświadczenia wynika, że każda kobieta lubi zakupy bez ograniczeń. Spróbuj i sama się przekonaj - zaproponował.

- Każda inna kobieta, z którą miałeś do czynienia, ale nie ja. - Uniosła głowę, a jej głos był dziwnie spokojny, kiedy znów się odezwała: - Naprawdę mnie nie znasz, Maks. - Do brzegu przybiło *vaporetto*, z którego zaczęli wysiadać ludzie. - W przeciwieństwie do tego, co ty i Gina sądzicie na mój temat, zależy mi na ludziach. Tamtego wieczoru podczas balu charytatywnego zostałam pomimo kąśliwego dowcipu Giny nie z powodu twojej groźby, ale dlatego że moja mama zmarła na

raka piersi. Razem z Meg zajmowałam się nią przez ostatnie dwa lata jej życia. A jestem tutaj tylko dlatego, że zależy mi na Timothy. Gdyby interesowało cię coś poza seksem, wiedziałbyś o tym.

Uwolnił ją z uścisku. Mięśnie jego twarzy napięły się do granic możliwości. Najwyraźniej to mu się nie podobało, ale Sophie przestała się tym martwić.

- Ostatniej nocy zrozumiałam, co o mnie myślisz. Widzisz we mnie doświadczoną kobietę ugańającą się za mężczyznami w poszukiwaniu łupów i niedbającą o nic poza własną wygodą. A wiesz co najbardziej przyprawia mnie o mdłości? Że chociaż w to wierzyłeś, nie miałeś skrępowań, żeby czerpać przyjemność z mojego ciała. Jakim ty jesteś człowiekiem?

Nie czekając na odpowiedź, wsiadła na pokład *vaporetto*, schowała się do kabiny i usiadła. Po chwili Maks usiadł obok niej. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

- Myślałam, że byłeś umówiony na lunch - rzuciła, odsuwając się od niego.

- *Non importante* - odparł. - Musimy porozmawiać.

- Wiem, jak wygląda rozmowa w twoim wykonaniu. Kilka krótkich komend, które zwykle wymagają, żebym znalazła się w pozycji horyzontalnej. Ale dzisiaj nic z tego nie będzie. W każdy

piątek po południu Tessa przyprawia do mnie dzieci, a ja uczę je angielskiego. Potem jemy razem kolację. Moje życie nie staje w miejscu, kiedy ciebie nie ma w pobliżu.

Spojrzała na niego. Jego niezwykle przystojna twarz pozostawała ponura i napięta.

- Jeśli chcesz mi powiedzieć, że mam zrezygnować z pracy w San Bartolomeo, zapomnij o tym. W tej chwili tylko myśl o niej trzyma mnie przy zdrowych zmysłach. Jestem o krok od wysłania do diabła ciebie i mojego ojca, więc nie przeginaj.

- Nie przeszkadza mi twoja praca w San Bartolomeo - zapewnił ją Maks.

Na samą myśl, że mogłaby odejść, oblewał go zimny pot. Nie zniósłby tego.

- To świetnie - mruknęła.

Przyszło jej do głowy, że być może Maks już się nią znudził. Odwróciła głowę w stronę okna, bo z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu do oczu napływały jej łzy.

- To nasz przystanek.

Chwycił ją za rękę i wyprowadził na brzeg.

- Jesteś pewien? - Rozejrzała się dookoła.  
- Wsiadałam na innym przystanku.

- Tak będzie szybciej.

Kiedy weszli do domu, przez chwilę wpatrywał się w nią w napięciu. Nagle z kuchni wyłonił się Diego.

- *Signor*, już pan wrócił.

- Tak, i chciałbym zamienić z tobą słowo.

Korzystając z chwili nieuwagi Maksa, Sophie uciekła na górę do swojej sypialni. Czym prędzej przebrała się w ulubiony różowy dres, w którym zawsze krzątała się po kuchni z Tessą i jej dziećmi. Zaburczało jej w brzuchu. Nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo była głodna. Właśnie chwyciła za kłamekę, kiedy drzwi otworzyły się na oścież. Od-ruchowo zasłoniła twarz wolną ręką i zatoczyła się na ścianę.

- Sophie!

Spojrzała na Maksa przez łzy.

- Mogłeś złamać mi nos. - Mrugając, zatrza-snęła drzwi. - Nie mówiąc już o tym, że przez kilka tygodni będę miała sine nadgarstki. Całkiem oszalałeś?! - wykrzyzczała, pocierając o siebie nad-garstki.

-*Dio!* Nigdy sobie nie wybaczę, że cię skrzyw-dziłem.

Sophie spojrzała na niego zdziwiona i dostrzeg-ła w jego oczach taki ból, że żal ścisnęła ją za gardło. Nie mogła uwierzyć własnym oczom.

- Wezwę lekarza - oświadczył, podbiegając do niej. - Moja kochana, nie mogę cię stracić. Nie zniósłbym tego.

- Co powiedziałaś? - zapytała w osłupieniu.

Bezдушna maska, która zwykle zakrywała twarz Maksa, opadła, a jego przerażenie nie było udawane.

- Tak, lekarz. Wezwę lekarza.
- Nie to. Co powiedziałaś potem? Powtórz to.
- Nie mogę cię stracić. Już raz na to pozwoliłem, ale drugi raz nie popełnię tego błędu.

- A to dlaczego?

Musiała to usłyszeć.

- Bo cię kocham.

Modliła się o taką odpowiedź. Uniosła drżące ręce, żeby go dotknąć. Przeczesła palcami jego włosy i ujęła jego głowę w dłonie.

- Kochasz mnie? - Zamilkła, szukając potwierdzenia w jego oczach. Po chwili dodała: - Ja też cię kocham, Maks.

- Naprawdę mnie kochasz? Po tym wszystkim, co ci zrobiłem? - zapytał, targany wątpliwościami.

- Zakochałam się w tobie od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałam. Nadal cię kocham i zawsze będę.

Maks wiedział, że mówiła prawdę.

- Och, Sophie, nie zasługuję na ciebie - jęknął i pocałował ją żarliwie.

Przyłgnęła do niego i odwzajemniła pocałunek z całą miłością, którą miała w sercu. Delikatnie wziął ją na ręce i położył na środku łóżka. Szybko pozbył się ubrania, a Sophie dotrzymała mu tempa. Maks jęknął, kładąc się obok niej i chwytając w ramiona. Całowali się i pieścili bez końca, głodni swoich ciał. Miłość zaspokajała ich żądze.



- Sophie... -jęknął i wsunął ręce pod jej plecy. Spleceni w namiętym tańcu miłości oddawali się rozkoszy. Jeszcze długo potem leżeli przytuleni, z trudem łapiąc oddech. W końcu Maks uniósł głowę.

- Sophie, moja kochana... - Pocałował ją z taką czułością, że omal nie rozpłakała się ze szczęścia. - Myślałem, że nasz pierwszy wspólny raz był najwspanialszym erotycznym przeżyciem w moim życiu. Ale to... - Zabrakło mu słów. - *Dio*, tak bardzo cię kocham. Wiem, że bardzo cię skrzywdziłem i że moje przeprosiny nie wystarczą, żeby to naprawić.

- Ciii... to już nie ma znaczenia - szepnęła Sophie, kładąc palec na jego ustach. - Ważne, że mnie kochasz. Tylko to się liczy.

- Nie każ mi milczeć, Sophie. Ja muszę ci to wszystko wytłumaczyć. Od pierwszej chwili, kiedy zobaczyłem cię na Sycylii, chciałem cię mieć, ale Aleks mi zabronił. Twierdził, że jesteś za młoda i że za ciebie odpowiada. Obiecałem mu, że cię nie dotknę. Jednak bardzo szybko zrozumiałem, że nie mogę ci się oprzeć. Uznałem, że będzie lepiej, jeśli wyjadę. I w ten sposób znalazłem się w Rosji.

- Chyba mi się to nie podoba - mruknęła.

- Ale nic się nie wydarzyło. Przysięgam. Wróciłem do Rzymu i w piątek rano otrzymałem złe wiadomości od lekarza. Gina powiedziała mi, że

mam bardzo duże szanse na wyleczenie, ale istnieje ryzyko bezpłodności.

- Mój Boże! Musiałeś fatalnie się czuć! - wykrzyknęła, ściskając go za rękę.

- Tak naprawdę byłem wściekły i przerażony. Nie mogłem uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Właśnie wtedy pomyślałem sobie, że zanim umrę, zdobędę cię. Teraz wiem, że zachowałem się egoistycznie, ale wtedy nie mogłem jasno myśleć.

Sophie zachichotała na myśl o jego impulsywnym, aroganckim, lecz uroczym przedsięwzięciu.

- To wcale nie było śmieszne - zrugął ją Maks.  
- Ale potem wróciłem i kiedy ujrzałem cię przy basenie, wiedziałem, że muszę cię uwieść. Chyba już wtedy czułem, że cię kocham. A kiedy później spałaś w moich ramionach, pomyślałem, że nie miałbym nic przeciwko, gdybyś była w ciąży. Dlatego poprosiłem cię o rękę. Ale sama wiesz, jak to się skończyło.

- To była moja wina. Powinnaś być cię wysłuchać.

- Nie. To ja powinienem był ci wszystko wytłumaczyć, a zamiast tego kazałem ci zniknąć. Chciałem o tobie zapomnieć. Na próżno.

- Cieszę się, że ci się nie udało.

Pogłaskała go po ramionach, przysunęła się bliżej i rozprostowała jedną długą nogę na jego udach.

- Sophie! Jak już zdecydowałem się na szczere

wyznanie, ty próbujesz mnie uwieść. Ale nic z tego. Jeszcze nie teraz.

- W porządku, mów dalej.

- A potem ujrzałem cię taką piękną u boku Abe Asamova i wpadłem w furję.

- Nigdy nie byłem kochanką Abe. Spędziłam letnie wakacje w Rosji z jego żoną i dziećmi. Uczyłam ich angielskiego. To po prostu dobry przyjaciel.

- A Sam?

Sophie zmarszczyła czoło.

- Sam to kobieta. W lutym będę druhną na jej ślubie - wyjaśniła.

- Powiedz mi coś, Sophie. Ilu tak naprawdę miałaś kochanków?

- Zastanówmy się... - Udawała, że liczy w myślach, żeby rozbudzić w nim zazdrość. - Razem z tobą jednego.

Pocałował ją mocno.

- Mam dla ciebie niespodziankę. Właściwie to prawie o niej zapomniałem. - Otworzył aksamitne pudełeczko i jej oczom ukazał się wspaniały pierścionek ze szmaragdami i diamentami. - Wyjdiesz za mnie? Przysięgam, że będę cię kochał i wielbił do końca moich dni.

Jego przystojna twarz zamarła w napięciu, a do jej oczu napływały łzy.

- To miała być niespodzianka?

Nie mogła uwierzyć we własne szczęście.

- Tak - potwierdził, chwytając ją za rękę. Wsunął pierścionek na jej palce, po czym wstał, pociągając ją za sobą. - Wystarczy, że powiesz „tak”.

- Tak!

Ich usta zwały się w pocałunku pełnym miłości.

- Jesteś tego pewien?

Sophie dotknęła lśniących na jej szyi pereł, które dostała od Maksa w prezencie ślubnym. Spojrzała na niego oczami pełnymi miłości. Właśnie się pobrali. Ich rodziny i przyjaciele zebrali się w jednym z przepięknych weneckich kościołów. Sam i Gina były jej druhnami, a Timothy pazikiem.

Później udali się na wystawne śniadanie do eleganckiej restauracji, a teraz mieli wrócić do domu gondolą, skąd zamierzali udać się prosto na lotnisko i polecieć do Paryża w krótką podróż poślubną.

- Zaufaj mi - odparł Maks.

Sophie nigdy w życiu nie wyglądała tak pięknie jak dziś w długiej, białej sukni z aksamitu, z rozpuszczonymi włosami przyozdobionymi wiankiem z róż i aksamitną mufką udekorowaną tymi samymi kwiatami. Przypominała średniowieczną księżniczkę. Zapierało mu dech na jej widok. Wziął ją za rękę i pomógł wsiąść do gondoli. Siadając, przysunął ją bliżej siebie.

- Zgodnie z tradycją weneccjanie podróżują gondolą w dniu ślubu.

- Ale ty nie jesteś weneccjaninem - zakpiła z niego.

Zawtórował jej tłum wiwatujący na brzegu.

- Ale Diego i Maria nigdy nie daliby nam spokoju, gdybyśmy tego nie zrobili, *signora* Quintano - wyjaśnił Maks, spoglądając na piękną pannę młodą.

Gondola odbiła od brzegu, tłum znów zawiwatował, ale oni nie słyszeli nic poza biciem własnych serc.

scandalous

**Tytuł oryginału: A Venetian Passion**

**Pierwsze wydanie: Harlequin Mills & Boon Limited, 2005  
Harlequin Presents, 2005**

**Redaktor serii: Małgorzata Pogoda**

**Opracowanie redakcyjne: Helena Burska**

**Korekta: Zofia Firek**

**© 2005 by Catherine George  
© for the Polish edition by Arlekin - Wydawnictwo Harlequin  
Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2007**

**Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji  
części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.**

**Wydanie niniejsze zostało opublikowane  
w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.**

**Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.  
Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych  
- żywych lub umarłych - jest całkowicie przypadkowe.**

**Znak firmowy Wydawnictwa Harlequin  
i znak serii Harlequin Światowe Życie są zastrzeżone.**

**Arlekin - Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o.  
00-975 Warszawa, ul. Rakowiecka 4**

**Skład i łamanie: COMPTTEXT®, Warszawa  
Printed in Spain by Litografia Roses, Barcelona**

**ISBN 978-83-238-5026-7  
Indeks 389994  
ŚWIATOWE ŻYCIE - 73**

## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

Samolot z Londynu przyleciał punktualnie. Domenico Chiesa odnotował ten fakt jako jedyny plus tego ranka. Gdyby ktokolwiek inny poprosił go o wyjście po gościa na lotnisko, na pewno by odmówił. Teraz, w hali przylotów lotniska Marco Polo, obserwował w skupieniu strumień wysiadających, wypatrując młodej, samotnie podróżującej blondynki. W końcu udało mu się dostrzec drobną kobiecą postać, w olbrzymim płóciennym kapeluszu i okularach przeciwsłonecznych, które zasłaniały jej pół twarzy. Ciągnęła za sobą małą walizkę na kółkach. To mogła być ona.

- Czy panna Green? - zagadnął, zastępując jej drogę.

- Tak.

Podniosła na niego wzrok.

- Witam w Wenecji - powiedział z lekkim ukłonem. - Jestem Domenico Chiesa z Grupy Forli. Lorenzo Forli, dyrektor, prosił mnie, żebym po panią wyszedł.

- Naprawdę? Jak to miło z jego strony. - Dziewczyna uśmiechnęła się, zaskoczona.

Z mojej tym bardziej, pomyślał ze złością.

- Chodźmy - burknął i pociągnął ją za sobą

w stronę kasy przy wyjściu. - Musi pani mieć bilet na vaporetto. Autobus wodny Aligaluna linii 1 odpływa za moment.

Kupił bilet i wcisnął jej w rękę razem z planem wskazującym, jak dotrzeć z placu Świętego Marka do hotelu.

- Locandę Verona powinna pani znaleźć bez trudu - rzekł na zakończenie, jakby jak najszybciej chciał się od niej uwolnić.

- Dziękuję. Do widzenia - odpowiedziała, uśmiechając się grzecznie.

- Przykro mi... - zaczął, ale dziewczyna już nie słuchała.

Ciągnąc swój bagaż, śpieszyła do przystani. Wyglądało na to, że nie zależy jej na towarzystwie nowego znajomego.

Dotknęło go to do żywego. Wyszedł z pracy, kiedy był tam szczególnie potrzebny; poświęcił jej swój cenny czas, a ta młoda dama najwyraźniej tego nie doceniła.

Tłumiąc gniew, wezwał wodną taksówkę, żeby jak najszybciej wrócić do pracy.

Laura tymczasem, zupełnie nieświadoma emocji, jakie wzbudziła, z podziwem śledziła trasę łodzi. Była szczerze wdzięczna Forlemu za zorganizowanie jej pobytu w Wenecji. Z przewodnika wiedziała, że ta właśnie łódź płynie Canale Grande powoli, aby dać turystom czas na podziwianie mijanej architektury. Usiadła więc wygodnie, chłonąc wspaniałe widoki i starając się nie stracić ani sekundy ze swego krótkiego pobytu w Wenecji. Wzdłuż kanału przesuwały

się tymczasem kolejne *palazzo*, o delikatnej, niemal koronkowej architekturze.

Laura nigdy przedtem nie była w Wenecji, a nieodparcie towarzyszyło jej wrażenie, że wszystko to już kiedyś widziała. To uczucie *déjà vu* było oczywiście skutkiem wszechobecnych mediów. Żadne miasto na świecie nie było bowiem tak często filmowane i fotografowane jak Wenecja.

Jej podniecenie wzrosło na widok słynnej wieży z zegarem wznoszącej się nad placem Świętego Marka. I kiedy tylko łódź przybiła do brzegu, Laura jako jedna z pierwszych wysiadła i podziwiała kolumnę z lwem. Zachwycił ją orientalny przepych Bazyliki Świętego Marka i najchętniej natychmiast wmieszałyby się w różnobarwny i wielojęzyczny tłum turystów i zaczęła zwiedzanie, lecz przedtem musiała jednak znaleźć Locanda Verona. Znajomość włoskiego wyniosła ze szkoły i nigdy jeszcze nie miała okazji wykorzystać jej w praktyce. Nie miała jednak wątpliwości, że jeśli nawet zapyta o drogę, to i tak nie będzie w stanie zrozumieć odpowiedzi. Musiała poradzić sobie sama, z pomocą planu i zdawkowych informacji pana Chiesy.

Poprawiła na ramieniu płócienną torbę i, ciągnąc walizkę na kółkach, przeciskała się wśród turystów i gołębi na drugą stronę wielkiego, zdobnego krużgankami placu. Miała przejść przez słynną Mecerie, gdzie sklepy kusiły turystów aż do Rialto. Wiedziała z grubsza, że jej hotel znajduje się gdzieś poza płataniną wąziutkich uliczek zwanych *calles*, tam gdzie kanały poprzecinane są słynnymi weneckimi

mostami. I rzeczywiście, po dwóch nieudanych podejściach, znalazła most, który doprowadził ją wprost pod drzwi hotelu.

Locanda Verona okazała się małym pensjonatem o ścianach w kolorze ochry, charakterystycznych weneckich oknach i, co Laurę szczególnie ucieszyło, zaskakująco przystępnych cenach jak na okolice placu Świętego Marka.

Po upale panującym na zewnątrz szczególnie miło było wejść do chłodnego, wysoko sklepionego holu. Za biurkiem recepcji siedziała tam sympatyczna kobieta, która przedstawiła się jako Maddalena Rossi, żona właściciela. Po załatwieniu rutynowych formalności zaprowadziła Laurę do pokoju na najwyższym piętrze.

- Pokój jest mały, ale ma pani własną łazienkę, panno Green - oświadczyła signora Rossi, wpuszczając ją do środka. - Mam nadzieję, że będzie tu pani wygodnie.

- Na pewno! - wykrzyknęła Laura z entuzjazmem, na widok belkowanego sufitu, reprodukcji Botticello na ścianie i nieskazitelnie czystego łóżka.

Signora Rossi z dumą otworzyła dwuskrzydłowe oszklone drzwi, wychodzące na ukwiecony dach. W dole rozpościerał się wspaniały widok: domki jak z obrazka i mieniący się granatowo kanał.

Laura westchnęła z podziwu, a signora przypomniała jej tylko, że pensjonat nie oferuje posiłków, natomiast jest wiele miejsc, gdzie można coś zjeść, a wszelkie informacje otrzymać można w recepcji.

Laura najpierw zadzwoniła do matki z informacją,

że dojechała szczęśliwie, a potem w błyskawicznym tempie doprowadziła się do porządku. Wzięła prysznic, wymodelowała włosy lokówką i wprawnie zrobiła makijaż. Ubrana w prostą czarną sukienkę, którą specjalnie zabrała na okazję samotnych wyjść w Wenecji, zeszła na dół. Powiedziała, dokąd idzie i, zostawiwszy klucz w recepcji, wyruszyła do miasta. Natychmiast ogarnął ją gwar i ciepło letniego wieczoru. Przeszła przez most nad kanałem i płataniną malowniczych uliczek wędrowała w stronę słynnej „Cafe Florian”, gdzie, jak wiedziała, można było posiedzieć i za cenę kawy czy kieliszka wina posłuchać koncertu w wykonaniu miejscowej orkiestry. Tym razem jednak, dla uczczenia swego pobytu w Wenecji, Laura miała zamiar coś zjeść, bez względu na cenę.

Kelner zaprowadził ją do stolika w kawiarnianym ogródku, a ona, posługując się swym szkolnym włoskim, który ćwiczyła przez całą drogę z hotelu, zamówiła wodę mineralną i kanapkę z serem i szynką. Pomyślała, że później może zaszaleje i zamówi jeszcze kawę, ale na razie wystarczyło jej, że tu jest i chłonie piękno tego wyjątkowego miejsca.

Siedziała przy stoliku i jedząc, obserwowała przesuwany się koło niej barwny, wielojęzyczny tłum. Była tak tym pochłonięta, że w pierwszej chwili nie usłyszała, jak tuż obok ktoś wymówił jej nazwisko.

- Panna Green? - powtórzył niski męski głos.  
- *Buona sera.*



Laura odwróciła się gwałtownie i ujrzała Domenica Chiese, który jej się przyglądał.

- Dobry wieczór - odpowiedziała zaskoczona.

- Mężczyzna uśmiechał się ciepło, co stanowiło spory kontrast z niecierpliwością i opryskliwością, jakie zademonstrował na lotnisku.

- Najpierw zająłem do hotelu - wyjaśnił. - Signora Rossi powiedziała mi, że tu mogę panią znaleźć. Mam nadzieję, że jest pani zadowolona z pokojku?

Zapewniła go, że tak. Dopiero teraz zwróciła uwagę, jak przystojnym mężczyzną jest jej rozmówca. Domenico Chiesa był szeroki w ramionach i szczupły w biodrach, znakomicie ostrzyżony i doskonale ubrany. A ponieważ nie miał teraz na nosie ciemnych okularów, zauważyła głęboki błękit jego oczu i wyraz niekłamanego zadowolenia z siebie.

- Byłam tak pochłonięta obserwowaniem placu, że pana nie zauważyłam - powiedziała.

- A ja panią przestraszyłem. Więc, w drodze rekompensaty, czy mogę pani zaproponować kawę albo kieliszek wina?

Laura zawahała się przez moment, a potem pomyślała: czemu nie?

- Dziękuję - rzekła. - Miałabym ochotę na *caffè macchiato*, jeśli można.

- Pani akcent jest czarujący - powiedział, przysiadając się do niej. Przedtem jednak zapytał: - *Permesso!*

Nie miała innego wyjścia, musiała się zgodzić.

Ale czy jakakolwiek kobieta przy zdrowych zmysłach odrzuciłaby towarzystwo tak czarującego mężczyzny? Szczególnie w piękny, księżycowy wieczór, kiedy jest sama, a obok gra muzyka?

- A więc jakie są pani pierwsze wrażenia z Wenecji? - zapytał, kiedy kelner przyniósł im kawę,

Laura rozejrzała się po rozjarzonym światłami, pełnym życia Piazza San Marco.

- Widziałam to już niezliczoną ilość razy w kinie i w telewizji, a mimo to Wenecja na żywo zapiera dech.

- Cieszę się, że moje miasto się pani podoba.

- Trudno, żeby było inaczej - westchnęła, popijając kawę. - Przyjaciółka radziła mi, żeby najpierw przyjść tutaj.

- Dobry pomysł - przyznał. - Ale proszę mówić do mnie Domenico.

- Dobrze. Ja mam na imię Laura - uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- A jakie masz plany na jutro, Lauro?

- Chciałabym sobie pochodzić po twoim niezwykłym mieście i zwiedzać.

- Jeszcze kawy?

- Była znakomita, ale już dziękuję.

- Ale nie odmówisz mi kieliszka *prosecco*!

Znów musiała się zgodzić. Uspokoiła się jednak w duchu, że Domenico działa zapewne w myśl polecenia swego zwierzchnika. Fen wspominała, że Lorenzo wyznaczy kogoś, kto pomoże jej jak najlepiej zorganizować te krótkie wakacje. Chociaż trudno

było sobie wyobrazić, że Domenico Chiesa jest czymkolwiek podwładnym, tyle miał w sobie dumy i pewności siebie.

- *Salute!* - powiedział, wznosząc kieliszek. - Czy dobrze znasz signora Forli?

- Widziałam go dwa razy u mojej przyjaciółki. Jest mężem jej siostry. A ty mieszkasz w Wenecji?

- Od urodzenia. A gdzie ty mieszkasz?

- Mój dom rodzinny jest w Gloucester, ale pracę i mieszkam w Londynie.

- A co robisz? - zapytał i z ujmującym zainteresowaniem słuchał, jak opowiadała o pracy analityka Banku Inwestycyjnego Docklands.

- Jestem pod wrażeniem - rzekł, dopijając wino; potem z westchnieniem podniósł się z miejsca. Musiał wracać do swych obowiązków.

Laura została, żeby posłuchać orkiestry.

- Dzięki za kawę i wino - rzekła na pożegnanie.

- *Buona sera*, Laura - ukłonił się i odszedł.

- Dobranoc - odpowiedziała i z lekkim rozbawieniem patrzyła, jak odchodził.

Domenico Chiesa miał w sobie jakąś typową dla włoskich mężczyzn butną arogancję; zdążyła to już zaobserwować. Jednak nie odbierało mu to wrodzonego czaru i wdzięku.

Wezwała kelnera, bo zgubiła gdzieś swój rachunek.

- *// conto, per favore?* - zapytała.

- *Scusa?* - Kelner był zdziwiony.

Myślała, że nie zrozumiał, przeszła więc na angielski, lecz okazało się, że rachunek został już w całości zapłacony.

Zaskoczona, dała kelnerowi napiwek i powoli pomaszerowała w kierunku swego hotelu.

Następnego dnia obudziła się wcześniej i wpatrując się w plamy słońca na ciemnych belkach sufitu, nie bardzo mogła sobie przypomnieć, gdzie się znajduje. Naraz się uśmiechnęła. W Wenecji! Wskoczyła z łóżka i przeciągnęła się błogo, patrząc na wspaniały widok za oknem.

Przede wszystkim musiała pomyśleć o śniadaniu. To, co zjadła poprzedniego wieczoru, z trudem mogłoby udawać kolację, a głód dawał już o sobie znać.

Miała wyrzuty sumienia, że Domenico za nią zapłacił, z drugiej strony jednak, jego wygląd wskazywał, że dobrze zarabia, więc z pewnością było go na to stać. Może zresztą działał w imieniu Lorenza Forli i miał na to fundusze?

Zeszła na dół w dżinsach i białej koszulce; zapytała signorę Rossi, gdzie najlepiej iść na śniadanie i zaraz znalazła mały, przytulny bar. Zamówiła kawę i croissanta z migdałami. Jedząc, pilnie studiowała swój przewodnik. Postanowiła, że pochodzi po sklepach i rozejrzy się po stoiskach z pamiątkami, bo musiała przecież kupić jakieś prezenty. Podchodziła do tego metodycznie, jej zasoby finansowe były dość ograniczone.

Przedpołudnie okazało się wyczerpujące. Wracając, zjadła coś na stojąco w jakimś barze, bo przeczytała w przewodniku, że wtedy mniej się płaci, niż siedząc przy stoliku. Po powrocie do hotelu nie miała już siły na nic, wzięła więc prysznic i położyła się z książką.

Czytanie wkrótce zamieniło się w sjęstę i kiedy Laura wreszcie się ocknęła, zbliżał się wieczór.

Była zła na siebie, że zmarnowała tyle czasu i zastanawiała się właśnie, co robić dalej, kiedy jej wzrok padł na coś białego, leżącego na podłodze. Wstała z łóżka i schyliła się, żeby podnieść kopertę, którą ktoś, kiedy spała, wsunął pod drzwiami do pokoju.

Czytając liścik, uniosła brwi ze zdumienia. Domenico Chiesa zapraszał ją na kolację i zapowiadał, że o ósmej wstąpi po nią do hotelu. Musiał być przekonany, że Laura przyjmie z zachwytem jego zaproszenie, bo nie zostawił adresu ani telefonu kontaktowego, żeby mogła dać mu odpowiedź.

Niezbyt elegancko gwizdnęła przez zęby. Od ich spotkania na lotnisku najwyraźniej sporo się zmieniło. Domenico Chiesa, najpierw oschły, teraz zaczął się o nią troszczyć. Co za różnica, jeśli nawet działał w myśl wskazówek swego szefa; wzruszyła ramionami.

Jej fundusze były tak ograniczone, że miałyby chyba źle w głowie, gdyby teraz odrzuciła zaproszenie na kolację i to w towarzystwie tak przystojnego mężczyzny. Nie chciała jednak czekać w hotelu, aż raczy po nią przyjść.

Tym razem poświęciła swemu makijażowi znacznie więcej uwagi. Przypomniała sobie radę Fen, że jeśli będzie gdzieś wychodzić, to ma się ubrać wystrzałow. Włożyła więc drugą ze swoich trzech sukienek, jedwabną, w kolorze dojrzałych malin.

Włosy upięła w wymyślny kok, co wymagało sporo wysiłku, a na zakończenie wpięła w uszy misterne złote kolczyki.

Dokończywszy toalety, zeszła na dół i w recepcji zostawiła wiadomość dla Domenica.

Z uśmiechem na ustach wyszła na ulicę, zanurzając się w ciepłe powietrze wieczoru. Wyobrażała sobie reakcję Domenica, kiedy odkryje, że jego ptaszek wyfrunął z klatki. Zresztą nie miała zamiaru odtruwać daleko, tylko znów do „Floriana”; posiedzieć i poprzyglądać się ludziom, dopóki po nią nie przyjdzie.

Jeżeli przyjdzie w ogóle. Mogło się zdarzyć, że zraniona duma weneccjanina nie wytrzyma takiej próby. Skoro ją zaprosił, to miała czekać na niego w hotelu.

Co prawda, samo zaproszenie wydawało się Laurze dość zagadkowe. Trudno przypuszczać, aby instrukcje Lorenza sięgały tak daleko.

Domenico Chiesa mógłby jej to wytłumaczyć. Na lotnisku panna Laura Green tak się śpieszyła do vaporetto, że zupełnie nie zwracała na niego uwagi. Nie był przyzwyczajony, żeby kobiety tak go traktowały, był zirytowany jej obojętnością. Dopiero później, pod wpływem impulsu, wstąpił do Locanda Verona, by sprawdzić, jak sobie radzi. Kiedy w końcu znalazł ją u „Floriana”, musiał dołożyć wysiłku, żeby ukryć zaskoczenie.

Dopiero tutaj odkrył urodę tej dziewczyny. Laura miała piękny uśmiech, oczy koloru ciemnego bursztynu i lśniące jasne włosy. Jej twarz miała w sobie

coś nieokreślonego, co przyciągało jak magnes i sprawiało, że natychmiast chciał tę kobietę oczarować.

Tak, chłodna, pełna dystansu panna Laura Green z pewnością stanowiła dla niego wyzwanie. Z niecierpliwością czekał, co będzie dalej. Postanowił, że pierwszym etapem będzie kolacja „U Harry'ego”, w restauracji stanowiącej Mekkę wszystkich zagranicznych turystów. To miejsce musiało zrobić na niej wrażenie. A potem, po dobrym jedzeniu i winie, akcentem dopełniającym wieczór miała być przejażdżka gondolą w świetle księżyca.

Domenico wkroczył do hotelu krokiem niemal tak dumnym jak Cezar. I nie mógł uwierzyć, że młoda dama wyszła.

- *Cosa?*

Signora Rossi z przepaszającym uśmiechem wręczyła mu liścik.

Szybko przebiegł wzrokiem krótką wiadomość i pożegnawszy signorę, wyszedł z powrotem na ulicę, a jego oczy ciskały pioruny na mijanych przechodniów. Miał poważną pokusę, żeby zrezygnować ze swych planów i zostawić Laurę w „Cafe Florian” na cały wieczór. Jego gniew jednak prysnął natychmiast, kiedy tylko ją ujrzał.

W eleganckiej malinowej sukni i w nowej fryzurze wyglądała bardzo pociągająco i jeszcze piękniej niż poprzednio. Domenico uświadomił sobie nagle ze zdumieniem, że drażni go zainteresowanie, jakie Laura zupełnie nieświadomie wzbudza wśród mężczyzn.

Siedziała przy stoliku i piła napój z wysokiej szklanki.

Tym razem on nie wiedział, że dostrzegła go już w momencie, gdy pojawił się na *piazza*. Dyskretnie obserwowała kątem oka, jak się zbliżał i podziwiała jego elegancki, płócienny garnitur i buty. Podszedł do jej stolika i dopiero wtedy podniosła na niego wzrok.

- Dobry wieczór - powitała go z chłodnym uśmiechem.

- *Buona sera* - odpowiedział z wyrzutem. - Nie poczekałaś na mnie.

- Zostawiłam wiadomość. - Laura wzruszyła ramionami. - Mój pobyt tu jest zbyt krótki, żeby go marnować na siedzenie w pokoju.

- Pijesz *prosecco*, prawda? - zapytał i nie czekając na odpowiedź, zamówił drinki.

Laura uśmiechnęła się z rozbawieniem. Ten mężczyzna był zdecydowanie zbyt pewny siebie.

Opowiedziała mu o swojej wyczerpującej wędrówce po sklepach w poszukiwaniu pamiątek i prezentów.

- Kupiłaś coś? - zapytał.

- Dziś jeszcze nie. Miałam taki plan, że najpierw się rozejrzę, a potem będę kupować, ale obawiam się, że nie trafiłabym już teraz tam, gdzie coś wypatryłam; wszystko mi się pomieszało - wyjaśniła.

Tymczasem kelner przyniósł im wino, a Domenico rozsiadł się wygodnie i przez chwilę obserwował ją w milczeniu.

- Powiedz mi, Lauro - odezwał się w końcu - czy masz w Londynie kogoś, kto niecierpliwie na ciebie czeka?

- Chodzi ci o mężczyznę?

- *Naturalmente.*

Zerknął na jej drobną lewą dłoń i stwierdził rzeczowo:

- Nie masz obrączki, ale z pewnością masz kochankę. Jak mogłoby być inaczej?

- Czy zawsze jesteś tak bezpośredni wobec osób, które dopiero poznałeś? - odpowiedziała.

- Nie - odparł z rozbrajającym uśmiechem. - Ale ty mnie interesujesz. Jak nie chcesz, możesz nie odpowiadać.

Zawahała się. Pomyślała jednak, że nie powinna go znowu rozdrażniać.

- Teraz akurat nikogo nie mam - rzekła w końcu.

- Do niedawna był w moim życiu mężczyzna, lekarz stażysta, pracujący w szpitalu, ale nie był moim kochankiem, tak jak ty to rozumiesz.

- Ach! Więc nie była to namiętność.

Tak obcesowe wkraczanie w sprawy intymne zupełnie ją zaszokowało, lecz stwierdzenie było na tyle trafne, że musiała przytaknąć.

- Romanse nie są moim żywiołem - rzekła niechętnie. - Jestem osobą praktyczną.

- Pewnego dnia spotkasz kogoś, kto to zmienia - zapewnił, podnosząc się od stolika. - A teraz chodźmy; czas coś zjeść.

Okazało się, że kolację mają zjeść w restauracji

„U Harry'ego”, miejscu szczególnie ekskluzywnym, znanym jej z przewodników i z literatury.

Domenico z niepokojem obrzucił spojrzeniem jej buty na wysokich obcasach.

- Dojdiesz tam w tych zachwycających butach? - zapytał, lecz uspokoiła go, że bez problemu.

Obawiała się natomiast, że jej skromny wakacyjny budżet nie wytrzyma, jeśli regularnie zaczną jadać w najdroższych lokalach, a do takich niewątpliwie należał „U Harry'ego”. Miała wyrzuty sumienia na myśl, że Domenico znów miałby za nią płacić.

Jego najwyraźniej żadne takie myśli nie trapiły. Kiedy weszli, główny kelner powitał ich z uszanowaniem i zaprowadził do stolika zarezerwowanego dla signora Chiesy.

- Ta restauracja jest może dość surowa w wystroju i nie ma ogródka, ale nigdy nie brakowało jej sympatyków - poinformował Domenico.

- Widzę. - Laura rozejrzała się po zatłoczonej sali. - Wiem, że bywali tu Hemingway i Churchill, ale czy teraz też tu są jakieś znakomitości?

- Nikt, kogo bym znał - odparł niedbale.

- Czy to znaczy, że jeśli Domenico Chiesa kogoś nie zna, to już nie jest to znakomitość? - W oczach Laury zapaliły się wesołe iskierki.

- Kpisz sobie ze mnie - zaśmiał się. - Ale teraz spróbuj koktajlu, który po raz pierwszy przyrządzono właśnie tutaj.

- To Bellini? - Laura z szacunkiem spojrzała na stojące przed nimi kieliszki.

- Spróbuj.

Słynna mieszanina świeżego soku z brzoskwini i orzeźwiającego *prosecco* smakowała rzeczywiście wspaniale.

- *Bene!* - orzekł Domenico z zadowoleniem.  
- Teraz powiedz mi, co miałabyś ochotę zjeść.

Wybór dań okazał się sprawą nadzwyczaj poważną. Kiedy Laura stanowczo odmówiła przekąsek, próbował namówić ją na *carpaccio*, surową, marynowaną wołowinę, którą osobiście polecał. Ostatecznie, po dłuższej dyskusji, zdecydowała się na makaron zapiekany z *prosciutto*, co okazało się znakomitym wyborem. Potem jednak nie była już w stanie zjeść niczego więcej, chociaż Domenico proponował jeszcze pyszny tort na deser.

Przy kawie omawiali jej plany na następny dzień.

- Chciałam kupić trochę prezentów, a potem zwiedzać. Muszę przywieźć coś ładnego dla mamy, dla siostry i dla mojej przyjaciółki - wyliczała. - I jakieś drobne, niedrogie upominki, jeśli w Wenecji w ogóle takie są, dla koleżanek z pracy. Każda rada w tej dziedzinie będzie mile widziana.

Domenico zamyślił się przez moment, po czym oświadczył, że z przyjemnością będzie jej w tych zakupach towarzyszył.

Laura patrzyła na niego w milczeniu tak długo, że zdążył się zaniepokoić.

- Domenico - rzekła w końcu - dlaczego ty to wszystko robisz?

- Co? - zapytał z miną niewiniątka.

- Nie mogę uwierzyć, żeby Lorenzo Forli wyma-

gał od ciebie aż tak daleko idącej opieki nad turystką z Anglii. O co tu chodzi?

- Rzeczywiście - przyznał. - Lorenzo prosił mnie tylko, żebym załatwił ci hotel, wyszedł po ciebie na lotnisko i odprowadził do *vaporetto*. Dalej już miałaś radzić sobie sama. - Popatrzył jej prosto w oczy. - Zrobiłem to, o co prosił, a teraz robię to, co ja chcę.

- W takim razie muszę zadać ci to samo pytanie, które ty przedtem zadałeś mnie.

- To znaczy?

- Czy jest ktoś w twoim życiu?

- Nie. - Domenico z całym przekonaniem wzruszył ramionami. - Miałem kogoś, a teraz jestem sam.

- Czyli jedziemy na jednym wózku - mruknęła, lecz Domenico nie rozumiał; jego angielszczyzna nie była tak bogata.

- Co to znaczy? - chciał wiedzieć.

- To znaczy, że jesteśmy w tej samej sytuacji - wyjaśniła.

- To cię martwi?

Pokręciła głową.

- Nie, raczej czuję ulgę. Znałam Edwarda od lat, ale okazało się, że nie dość dobrze. Nie przypuszczałam, że stać go na takie kłopotliwe, romantyczne gesty.

- Bardzo jestem ciekaw - rzekł Domenico - co ten romantyczny człowiek wymyślił.

- Któregoś wieczoru zaprosił mnie na kolację. Tylko że kiedy kelner odkrył półmisek, to zamiast zamówionego łososia, znalazłam tam pierścienek

z brylantem. - Laura zadrżała. - I tam, na oczach wszystkich gości, Edward przyklęknął i poprosił mnie o rękę.

- *Dio!* A ty? Co wtedy zrobiłaś?

- Nie mogłam przecież upokorzyć go publicznie, więc pozwoliłam, żeby założył mi pierścionek, potem się pocałowaliśmy i wszyscy bili nam brawa. Ale kiedy wracaliśmy taksówką, oddałam mu ten pierścionek. Zaproponowałam mu przyjaźń, ale Edward gwałtownie zaprotestował i od tego czasu przestaliśmy się widywać.

- Wcale mnie to nie dziwi. Kiedy mężczyzna kocha kobietę, to propozycja przyjaźni z jej strony jest czymś w rodzaju policzka. *Mi scusi*, Laura. - Domenico gwałtownie wstał od stolika, znalazł kelnera i przez chwilę konferował z nim przyciszonym głosem.

Laura spodziewała się, że wróci do hotelu tą samą drogą, przez jasno oświetlony Piazza San Marco, lecz Domenico zaproponował inną trasę. Poprowadził ją pustymi, słabo oświetlonymi alejami, tu i tam przechodzącymi w mosty. Wskazywał jej co ciekawsze miejsca, wymieniał włoskie nazwy, zaznajamiał ją z miastem.

Zatrzymali się na jednym z mostów. Oparci o barierkę patrzyli, jak księżyc odbija się w spokojnej wodzie kanału.

Laura się uśmiechnęła.

- Myślałam właśnie - rzekła - że dla kogoś tak praktycznego jak ja, twoje miasto jest romantyczne nie do opisanania.

- Ale Wenecja wcale nie zawsze jest tak łaskawa - zauważył Domenico. - W zimie miewamy mgłę, deszcze i powodzie.

- Jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić.

- W takim razie powinnaś tu przyjechać za jakiś czas, to sama się przekonasz. - To mówiąc, przyciągnął ją do siebie.

- Muszę już wracać do hotelu - zaprotestowała pośpiesznie.

- Pożegnajmy się więc tutaj.

Łagodnie ujął ją za ramiona i pocałował w oba policzki, a potem popatrzył jej w oczy i łagodnym, czułym pocałunkiem musnął jej usta.

- Mówiono mi, że nie powinnam mieć problemów z przeciętnymi Włochami - powiedziała, z trudem łapiąc oddech. - Tylko że Domenico Chiesa nie jest przeciętnym Włochem.

Uśmiechnął się w odpowiedzi i poszli dalej.

- Czy jeden pocałunek to już problem? - zapytał.

- Pewnie nie.

- Mam nadzieję, że z tego powodu nie zrezygnujesz jutro z mojego towarzystwa?

- Nie, zapomnę o pocałunku, jak mi pomożesz.

- A ja nie zapomnę - zapewnił ją z tak teatralnym gestem, że wybuchnęła śmiechem.

- Myślisz, że w to uwierzę?

- To prawda. Przez całą noc nie zmruję oka, wspominając dotyk twoich ust.

- A gdzie spędzisz tę bezsenność? - zachichotała. - W tym hotelu, gdzie pracujesz?

- Nie. Mam mieszkanie przy placu Świętego

Marka. Dziś w nocy będę spał, albo nie będę spał, bardzo niedaleko od ciebie, panno Green. To był bardzo udany wieczór - rzekł na pożegnanie. - Wpadnę po ciebie jutro o dziewiątej rano i zjemy razem śniadanie. Dobranoc.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Tej nocy Laura nie bardzo mogła spać.

Obudziła się dość późno, błyskawicznie wzięła prysznic, nałożyła makijaż i splotła włosy w luźny warkocz. Niemal w biegu wciągnęła na siebie jasnozielony T-shirt i białe bawełniane spodnie i popędziła na dół, gdzie czekał już na nią Domenico, ubrany w dżinsy i błękitną koszulę. Gawędził sobie z signorą Rossi.

- *Buon giorno* - powitał Laurę z uśmiechem, po czym ucałował ją w oba policzki. - Czy dobrze spałaś?

- Jak niemowlę - skłamała.

- W takim razie chodźmy!

Przy śniadaniu, które było atrakcją samą w sobie, podjęli plan działania. Na podstawie przewodnika Laura zdążyła już zrobić listę zakupów. Przede wszystkim zależało jej, żeby kupić dla matki parę aksamitnych pantofli, jakie w Wenecji noszono w czasie karnawału.

- A dla ojca?

- Mój ojciec nie żyje - rzekła, spuszczać oczy.

- *Mi dispiace!* - wykrzyknął Domenico i współczującym gestem dotknął jej dłoni.

- Przecież nie wiedziałaś, nie mówmy o tym - odparła szybko. - To od czego zaczynamy?



Zakupy okazały się prawdziwą przyjemnością. Zaprowadził ją w miejsca, których sama nigdy by nie znalazła, i wyglądało na to, że on także ma z tego frajdę. Wyszukał dla niej autentyczną złotą maskę karnawałową, pomógł jej wybrać ładne i niedrogie weneckie kolczyki ze szkła i podkoszulki w żywych kolorach, z nadrukiem logo Wenecji. Na koniec zaprowadził ją do stoisk przy Ponte delle Guglie na Strada Nuova, gdzie kupiła purpurowe aksamitne pantofle dla matki.

I kiedy Laura poczuła, że nie jest już w stanie chodzić dłużej po sklepach, Domenico oświadczył stanowczo, że przyszedł czas na lunch.

Zaklinała się, że tym razem ona zapłaci, lecz jej towarzysz tylko pokręcił głową przecząco.

Widząc, że Laura jest zmęczona, przywołał wodną taksówkę. Taki kurs był czymś całkiem innym niż *vaporetto* i Laura żałowała, że tak szybko dopłynęli na miejsce i trzeba było wysiadać.

Okazało się, że lunch mieli zjeść u Domenica. Jak się wyraził: w jego „gniazdku”.

„Gniazdko” okazało się luksusowym mieszkaniem w odpowiednio przystosowanym *palazzo*, z widokiem na Canale Grande i kościół Santa Maria della Salute. Laura poczuła ukłucie zazdrości, kiedy wprowadził ją do saloniku o wysokich oknach, morelowych ścianach i lśniącej drewnianej posadzce. Stały tu sofy o białych obiciach, liczne półki z książkami; gdzie nie spojrzeć, wisiały lustra.

- Pięknie tu - powiedziała.
- Cieszę się, że ci się podoba. Pomyślałem, że po

zakupach może będziesz wolała zjeść i odpocząć tutaj trochę w spokoju.

Domenico ułożył na sofach jej torby z zakupami.

Jadalnia była mała, lecz jej okna balkonowe wychodziły wprost na Canale Grande.

Gospodarz w godnym podziwu tempie nakrył do stołu, a lunch przygotował specjalnie dla niej. Najpierw były więc ser Fontina i szynka San Daniele, podane z pomidorami i zieloną sałata.

- Wspaniale. Właśnie tego mi było trzeba. - Laura uśmiechnęła się z wdzięcznością.

Dzięki troskliwości i pomocy Domenica zdołała dość szybko zrobić zakupy i mniej na nie wydać, bo wskazał jej miejsca, których nie znalazłby zwykły turysta.

- Dla mnie to przyjemność - zapewnił, gdy mu jeszcze raz dziękowała. - Może wina?

- Poproszę wodę. Wino przyprawia mnie o senność, a na to w Wenecji nie mogę sobie pozwolić.

- Jeśli chcesz, możesz się przespać - rzekł, lecz urwał pod wpływem groźnego spojrzenia.

- Laura, *per favore!* Czy ten jeden, niewinny pocałunek może być powodem tak mrocznych podejrzeń? Naprawdę nie mam zamiaru cię skrzywdzić, przysięgam.

- Wiem o tym. Gdybyś zrobił mi krzywdę, twój szef na pewno by cię nie pochwalił. - Żartobliwie pogroziła mu palcem.

- Mój szef?
- Lorenzo Forli!
- A, tak.

Domenico zaczął zbierać talerze po posiłku i zaproponował kawę.

Chciała pozmywać, lecz okazało się, że jej gospodarz ma zmywarkę.

Kiedy przygotowywał kawę, ona stanęła w oknie balkonu i podziwiała widok. Tak, widok z okien był niewątpliwym atutem tego miejsca i Laura była przekonana, że Domenico mógłby zarobić masę pieniędzy, wynajmując od czasu do czasu swoje mieszkanie.

- Nie podoba ci się ten pomysł? - zapytała.

Potrząsnął głową przecząco, nalewając kawę do filiżanek.

- W hotelu przebywam ciągle wśród ludzi i czasem jestem już tym zmęczony. Muszę wtedy mieć możliwość odosobnienia, o ile czas pozwoli. To jednak wcale nie zdarza się często.

- Domenico? - zagadnęła, biorąc od niego filiżankę.

- *Si?*

- Możesz mi oczywiście powiedzieć, żebym pilnowała własnego nosa, ale dość mnie to ciekawi. Kiedy rozmawialiśmy o moim życiu prywatnym, lub o jego braku, ty o swoim nie pisałeś ani słówka, dlaczego?

- Bo to dla mnie sprawa dość wstydliva, chociaż oczywiście nie jest to tajemnica.

Wzruszył ramionami i usiadł obok niej.

- Zaręczyłem się dość młodo, ale moja *fidanzata* zmieniła zdanie.

- Jak się wtedy czułeś?

- Byłem wściekły.

- Tylko wściekły?

Twarz mu stwardniała.

- Na tydzień przed ślubem Alessa uciekła razem z moim najlepszym przyjacielem.

- Co za pech! - wykrzyknęła ze współczuciem, lecz ku jej zdziwieniu odpowiedział jej głośny wybuch śmiechu.

- To takie angielskie! - stwierdził. - Moja *fidanzata* porzuca mnie dla innego, a ty uważasz, że to tylko pech?

- A co chciałbyś usłyszeć?

- Chciałbym, żebyś powiedziała: „Domenico, współczuję ci z całego serca” - odpowiedział bez wahania. - A potem, na pocieszenie, powinnaś obśypać mnie pocałunkami.

- No dobrze, to później. A kiedy to się wydarzyło?

- Dziesięć lat temu.

- W takim razie serce już ci nie krwawi. Widziałeś ją jeszcze potem?

- Wiele razy. Od ślubu Alessie przybyło troje dzieci i kilka kilogramów wagi. A ja przez te lata miałem kilka pocieszycielek.

- Nie wątpię.

Domenico nagle spowaźniał.

- Mario był moim przyjacielem - rzekł. - Powinien był powiedzieć mi prawdę, zamiast uciekać z Alessą jak przestępca.

- Może oboje czuli się jak przestępcy, ponieważ cię zranili.

- Najbardziej zranili rodziców Alessy. Dla nich był to prawdziwy wstrząs, bo bardzo zależało im na tym małżeństwie.

- Byłeś taką dobrą partią dla ich córki?

- Znali moją rodzinę. Alessa pochodzi ze starej, lecz zubożałej arystokracji, majeszczce dwie młodsze siostry. Kiedy tylko skończyła szkołę, zaaranżowano dla niej małżeństwo, które zapewniłoby jej odpowiednio dostatnie życie.

- Wiedziałeś, że ją do tego zmusili?

- Ależ skąd! W swojej zarozumiałości byłem przekonany, że jest we mnie szaleńczo zakochana. Była urocza. Wkrótce po pierwszym spotkaniu zaręczyliśmy się, a jej rodzice ustalili datę ślubu i rozpoczęli przygotowania.

- Ślub nie mógł się odbyć z innym panem młodym? - zapytała Laura.

Domenico sprawiał wrażenie rozbawionego.

- Pomysł słuszny, ale nie do zrealizowania. Kiedy Alessa i Mario wrócili do Wenecji, byli już małżeństwem, a ich pierwszy syn urodził się siedem miesięcy później.

- W takim razie musiałeś się zastanawiać, czy to dziecko... - Laura przerwała gwałtownie i przygryzła usta. - Przepraszam. Zapomnij, że to powiedziałam.

Domenico przymknął oczy.

- To dziecko nie mogło być moje. Alessa uparła się, że będziemy razem spać dopiero po ślubie.

- A ty się na to zgodziłeś? - Laura szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

- Była tak młodziutka i, jak sądziłem, niedoświadczona, że musiałem uszanować jej wolę.

Wzruszył ramionami.

- A ona tymczasem sypiała z twoim przyjacielem. Nic dziwnego, że byłeś wściekły - podsumowała i popatrzyła na niego z ciekawością. - Ale to było dawno temu. Od tego czasu musiały być inne kobiety w twoim życiu.

- Oczywiście. Obawiam się małżeństwa, a nie kobiet. Mam to mieszkanie, mam pracę, którą lubię; podróżuję, a zimą wielką przyjemność sprawia mi jeżdżenie na nartach. Moje życie zupełnie mi odpowiada.

- Mnie moje też - odpowiedziała. - Od zerwania z Edwardem staram się trzymać mężczyzn na dystans. W pracy mam z nimi sporo do czynienia. Do moich obowiązków należy między innymi przekazywanie bieżących raportów urzędnikom pracującym w sali operacyjnej banku, wśród nich takiemu, który uchodzi za pozeracza serc.

- Ale na ciebie nie działa?

- Ani trochę.

- Żadnego z nich nie lubisz?

- Prawdę mówiąc, niektórych z nich nawet tak. Wystarczy jednak, że zgodziłabym się pójść z którymś z nich na pizzę, a wpakowałabym się w kłopoty.

- Oczekiwaliby, że od razu pójdziesz z nimi do łóżka?

- Sądząc z tego, co mówią, chyba tak. Więc nie dopuszczam ich do żadnej komitywy. Za plecami nazywają mnie Panną Lodowatą - dodała z goryczą.

- A oni wszyscy aż płoną z pragnienia, żeby ten lód stopić - orzekł Domenico. - A te oświadczyły w restauracji... To było niedawno? - zapytał.

- Bardzo niedawno. Właśnie w tym tygodniu byłabym z Edwardem w Toskanii. Mieliśmy tam willę wynajętą wspólnie z jego kolegami ze studiów i ich dziewczynami. W dzień po naszej kłótni odesłał mi pieniądze, które wpłaciłam na ten wyjazd, a ponieważ dostałam już urlop, to mama poprosiła Fen, żeby na ten czas pomogła mi zorganizować pobyt w Wenecji. Jeśli pracujesz u Forlich, to możesz ją znać. Lorenzo Forli jest mężem jej siostry, Jess.

- Tak, poznałem Fenellę - przyznał Domenico.

- A o której spotkamy się dziś wieczór, Lauro?

- A mamy jakieś wspólne plany?

- Tak - stwierdził stanowczo. - Zabiorę cię do mojej ulubionej restauracji.

W duchu ucieszyła się z tej propozycji, lecz na wszelki wypadek przybrała postawę wojowniczą.

- Bardzo chętnie, ale pod jednym warunkiem - oświadczyła.

- Ze cię nie pocałuję?

- Że tym razem ja zapłacę!

Domenico podniósł ręce do góry, jakby się poddawał.

Mimo jej protestów, odprowadził ją do hotelu i poradził, żeby się trochę przespała.

- Tylko proszę, nie wychodź przedtem i poczekaj na mnie - przypomniał.

Zauważyła, że z tego wszystkiego zostawiła u niego

swoje zakupy, lecz Domenico uznał, że to nie problem i obiecał przynieść je wieczorem.

Wróciła do hotelu w znakomitym nastroju. Perspektywa kolejnego wieczoru z Domenikiem wprawiała ją w stan lekkiego podniecenia. Może zresztą jego towarzystwo robiło na niej wrażenie niewspółmierne do sytuacji? Wakacyjne romanse rzadko przecież znajdują kontynuację w normalnym życiu. Tym bardziej, że to, co między nimi istniało, to nie był romans ani też ten mężczyzna nie miał stać się częścią jej życia. Kiedy wyjedzie z Wenecji, nigdy więcej go nie zobaczy.

Mając tego świadomość, i tak szykowała się do wyjścia wyjątkowo starannie. Właśnie przeglądała swoją dość ograniczoną garderobę, kiedy za oknem błysnęło, a po chwili rozległ się grzmot. Zaraz też zaczął padać deszcz. No to już wybrałam, pomyślała ze złością. Przy takiej pogodzie musiała to być ta sama czarna sukienka, ale za to mogła do niej włożyć długi, biały, bawełniany trenecz - bardzo w stylu Audrey Hepburn, jak twierdziła Fen.

Już od kilku minut była gotowa, kiedy Domenico zadzwonił z dołu, że na nią czeka.

Jak poprzednio, powitał ją pocałunkiem w oba policzki i pokazał, że ma wielki, czarny parasol.

- Widzisz, w Wenecji też nie wszystkie noce są księżycowe - powiedział wesoło.

Restauracja była na tyle blisko, że poszli piechotą, przytuleni pod jednym parasolem. Żadnemu z nich nie sprawiało to zresztą przykrości.

Wąziutka alejka prowadziła do przestronnego

wnętrza, które podzielone było na dwie części: pierwszą, bardzo elegancką, o wystroju uniwersalnym i drugą, utrzymaną w stylu rustykalnym, z kamiennym kornikiem i oknami wychodzącymi na dziedzińiec.

- Sądziłem, że będziesz wolała tę salę, z prawdziwie włoską atmosferą - stwierdził Domenico i Laura zapewniła go, że się nie mylił.

Zadrzała tylko na myśl, ile tu zapłaca. Żeby tylko honorowali tu jej kartę kredytową.

- Wspaniale wyglądasz, Lauro - zauważył, kiedy usiedli.

- Ty też nie najgorzej - odpowiedziała z uśmiechem.

Okazało, że tutaj wybór dań jest prosty.

- O ile lubisz ryby, oczywiście - zastrzegł Domenico.

Z tym na szczęście nie było problemu.

- No to świetnie! Ta restauracja jest słynna ze swojej *frittura mista dipisce* - powiedział. - To oznacza półmisek z różnymi rybnymi daniami. Zobacysz, że ci będzie smakować.

I rzeczywiście, posiłek był znakomity. Lecz niewątpliwie największą przyjemność sprawiało jej towarzystwo tego mężczyzny.

- To nie do wiary - powiedział przy kawie - że znamy się tak krótko. Chciałbym, żebyś została tu na dłużej, Lauro.

- Ja też - odpowiedziała z żalem. - Ale za trzy dni odlatuję do Londynu, a nawet nie zwiedziłam jeszcze Bazyliki ani Muzeum Guggenheima, nie byłam na

Murano i nie widziałam tylu innych rzeczy, które podobno koniecznie trzeba zobaczyć, będąc w Wenecji.

- Nadrobimy to jutro.

- A co z twoją pracą?

- Załatwiłem sobie urlop. Dopóki tu jesteś, mój czas należy do ciebie. Natomiast co do rachunku...

- W jego oczach pojawiły się ostre błyski. - Mnie tutaj znają, Lauro, i nie mogę pozwolić, żeby kobieta za mnie płaciła. Dlatego nie protestuj, że ureguluję rachunek, *per favore*. Jeśli będziesz koniecznie chciała, możesz później oddać mi pieniądze.

Laura z rezygnacją kiwnęła głową.

Kiedy wychodzili z restauracji, nadal padało. Było jeszcze wcześniej i Domenico zastanawiał się, co robić dalej.

- Zaprosiłbym cię do siebie, szczególnie że są tam jeszcze twoje zakupy, ale nie chciałbym, żebyś posądziła mnie o nieczne zamiary - powiedział.

- Domenico, mam do ciebie zaufanie - odpowiedziała. - Bardzo chętnie do ciebie wstąpię.

Po wędrówce w deszczu przez ciemne ulice, *salotto* Domenico robiło wrażenie jeszcze bardziej przytulnego niż za dnia. Boczne lampy rzucały przyćmione światło, które z kolei odbijało się w licznych lustrach. W kątach i zakamarkach skupiały się tajemnicze cienie.

- Zauważyłam, że u ciebie zamiast obrazów wiszą lustra - stwierdziła Laura, kiedy odbierał od niej płaszcz.

- Nie jestem aż tak próżny - uśmiechnął się gospodarz. - Moja kolekcja to wyłącznie oryginalne, stare szkło, a to oznacza, że jest zbyt zmatowiałe, by dawać dobre odbicie.

- Są piękne.

Zaproponował jej coś do picia.

- Herbaty pewnie nie masz? - powiedziała bez większej nadziei.

Domenico jednak uśmiechnął się z triumfem.

- Kupiłem dzisiaj dla ciebie, ale ja herbaty raczej nie piję, więc lepiej będzie, jeśli zaparzysz ją sama.

- Cudownie!

Okazało się, że kupił nawet mleko, bo wiedział, że dla jego czarującego angielskiego gościa herbata bez mleka to nie herbata.

- Strasznie ci dziękuję, że jesteś taki troskliwy.

- Laura uśmiechnęła się promiennie.

- Za taki uśmiech gotów jestem zrobić wszystko - odpowiedział z dwornym ukłonem.

- O tej porze niczego więcej nie pragnę - rzekła Laura, zalewając esencję wrzątkiem. - A ty co będziesz pił?

- Mnie wystarczy kieliszek wina.

Przeszli do salonu i Domenico obserwował, z jaką niekłamana lubością jego gość popija aromatyczną, parującą herbatę.

- Czułam się już, jakbym była na odwyku. - Roześmiała się, widząc jego minę i wyjaśniła, że trzy dni bez herbaty to chyba maksimum tego, co ona osobiście może wytrzymać.

- No to dlaczego nic nie powiedziałaś? Przecież w Wenecji w każdej kawiarni można otrzymać herbatę na specjalne życzenie.

- Tutejsza kawa jest tak znakomita, że nie mogłam jej sobie odmówić.

- Zdaje się, że zaparzyłaś świetną herbatę - zauważył. - A umiesz gotować?

- To zależy - odpowiedziała ostrożnie.

- Od czego?

- Od tego, co uważasz za dobre jedzenie. A ty umiesz?

- Oczywiście - stwierdził rzeczowo.

- Myślałam, że wszyscy Włosi są rozpieszczeni przez swoje *mammas*.

- Często to prawda - przyznał. - Ale kiedy jestem tutaj sam, zdarza mi się coś ugotować dla odmiany.

- A w hotelu?

- W hotelu jem posiłki hotelowe - odparł, wrzuszając ramionami.

- A co właściwie robisz w tym swoim hotelu?

- Ciężko pracuję. *Allora*, napijesz się jeszcze herbaty, czy może masz teraz ochotę na wino?

Laura jednak chciała nacieszyć się swoimi zakupami.

- Dzięki tobie wydałam o wiele mniej i kupiłam więcej, niż mogłam się spodziewać - powiedziała z zadowoleniem. - Ale będę też musiała kupić porządny prezent ślubny dla Fen Dysart. Chciałabym, żebyś mi pomógł wybrać jakieś weneckie szkło, coś wyjątkowego.

- W takim razie jutro pojedziemy na Murano. Kopia jakiegoś antyku byłaby dobra?

- Z pewnością. - Laura zawahała się przez moment. - O ile będzie można zapłacić kartą kredytową.

- Oczywiście. I wszystko, co sobie życzysz, sami wyślą ci do Anglii.

- No to cudownie.

Laura popatrzyła mu prosto w oczy i powiedziała:

- *A Hora*, jak to wy mówicie, teraz poproszę o rachunek za naszą dzisiejszą kolację.

- Miałem nadzieję, że zapomniałaś. - Domenico westchnął ciężko. - Nie podoba mi się to.

- To trudno, nie ustąpię.

- Twarda z ciebie sztuka.

- I pamiętaj o tym - powiedziała z uśmiechem, żeby nie brzmiało to zbyt surowo. Z trudem jednak powstrzymała okrzyk na widok wysokości rachunku, który jej w końcu przedstawił.

- Tylko ten jeden, jedyny raz, skoro tak bardzo ci na tym zależy - oświadczył.

Ona tymczasem starannie odliczyła stosik euro, stwierdzając z ulgą, że ma tyle, ile trzeba.

- Nie mówmy na razie więcej o pieniądzach - poprosił, siadając przy niej. - Zamiast tego muszę ci coś wyznać. Myślę, że cię to rozśmieszy. Zacznę od początku. Wczoraj wieczorem byłem niezadowolony, kiedy okazało się, że nie czekałaś na mnie i wyszłaś z hotelu.

- Obawiałam się tego - przyznała. - Ale nie podałaś mi swojego numeru telefonu, a ja nie chcia-

łajn tracić czasu w Wenecji, siedząc w pokoju. Chyba rozumiesz?

- No tak. Teraz rozumiem, ale kiedy signora Rossi dała mi twój liścik...

- Byłeś wkurzony.

- *E vero*, tak - przyznał. - Bardzo starannie zaplanowałem ten wieczór, a już na samym wstępie dostałem po nosie. Nie przyszło mi do głowy, że mógłbym cię nie zastać. Jednak gdy zobaczyłem cię siedzącą u „Floriana”, cały gniew natychmiast mnie opuścił. Wyglądałaś tak pięknie! I nie byłem jedynym mężczyzną, który to zauważył.

- No to opowiedz mi, co zaplanowałeś - zapytała, ignorując komplement.

- W takim razie jeszcze trochę cofnę się w czasie, do naszego pierwszego spotkania na lotnisku, kiedy właściwie mnie nie dostrzegłaś...

- Dostrzegłam, tylko tak szybko chciałeś się mnie pozbyć... Poza tym byłeś taki wyniosły i do tego przysłał cię Lorenzo Forli...

- Ja byłem wyniosły? *Dio!*

Domenico potrząsnął głową w udawanej rozpacz.

- Kobiety zwykle mają o mnie pochlebniejsze zdanie.

- Nie wątpię!

- Potem, pod wpływem impulsu, postanowiłem sprawdzić, jak ci się wiedzie. Signora Rossi powiedziała mi, że jesteś w „Cafe Florian”, lecz kiedy tam poszedłem, w pierwszej chwili wcale cię nie poznałem. A potem mnie oczarowałaś; chciałem zobaczyć cię znowu. Bałem się, że mi odmówisz

i dlatego następnego dnia zostawiłem ci w hotelu karteczkę.

- Bardzo sprytnie - zaśmiała się.

- *Allora* - ciągnął. - Następnym punktem mojego planu było zabranie cię do „Harry'ego”; chciałem zrobić na tobie wrażenie.

- Doskonałe posunięcie.

- Ale przy kolacji dowiedziałem się, że nie lubisz romantycznych gestów-powiedział z głębokim westchnieniem. - Zrezygnowałem więc z kolejnego punktu planu i poprosiłem kelnera, żeby odwołał zamówioną gondolę. Zamiast romantycznej przejażdżki gondolą w świetle księżycy, odprowadziłem cię piechotą do hotelu.

- No cóż, Domenico, twój plan świetnie zadziałał nawet bez przejażdżki gondolą. Jakbyś rzucił na mnie czar.

- Za to dzisiaj nie miałem już żadnego planu.

- Położył dłoń na jej dłoni.

- Ale każda minuta z tobą była dla mnie wielką przyjemnością - szepnęła Laura.

- Nawet ten spacer w deszczu?

- Szczególnie. - Uśmiechnęła się i zwróciła ku niemu twarzą. - Teraz też pada, więc może lepiej od razu pocałuj mnie na dobranoc - zaproponowała żartobliwie, lecz ku jej zaskoczeniu cofnęła się energicznie i potrząsnęła głową.

- Nie chcesz? - patrzyła na niego, nie rozumiejąc.

- Nie po to cię tu przyprowadziłem.

Miała wrażenie, jakby nagle spadł na nią zimny prysznic.

- Miałam na myśli tylko przyjacielski pocałunek!  
- Wiem - odparł szorstko. - Chodźmy, odprowadzę cię do domu.

W milczeniu włożył skórzaną kurtkę, podczas gdy ona bezradnie próbowała zebrać wszystkie swoje pakunki. Cała jej poprzednia radość się ulotniła.

- Jest za mokro, żeby zabierać teraz te torby - rzekł. - Przyniosę je rano, kiedy po ciebie przyjdę.

- Nadal masz zamiar po mnie przyjść? - zapytała.

- Oczywiście, chyba że nie będziesz chciała.

- A ty chcesz?

- Wiesz doskonale, że tak.

Błękitne oczy pociemniały, kiedy zatopił w niej wzrok.

- Spróbuj mnie zrozumieć. Miałem polecenie, żeby o ciebie dbać, dlatego teraz odprowadzę cię do hotelu.

- Zrozumiałam.

Dotknęta do żywego, Laura wymaszerowała z mieszkania i zeszła po kamiennych, wytartych schodach, a przy drzwiach frontowych w milczeniu poczekała, aż Domenico rołoży parasol.

- Musimy iść pod jednym parasolem - rzekł, obserwując jej zacięty wyraz twarzy. Zdecydowanym ruchem wziął Laurę pod rękę, a jej nie pozostało nic innego, jak poddać się jego przewodnictwu.

Domenico pierwszy przerwał milczenie.

- Jesteś na mnie bardzo zła? - zapytał.

- Nie tylko zła, ale i dotknięta - poinformowała lakonicznie. - Ten jeden, jedyny raz, kiedy zaproponowałam mężczyźnie pocałunek, on mnie odrzucił.



- Tak bardzo pragnąłem tego pocałunku, że nie mogłem się odważyć - odpowiedział szybko. - Ja nie jestem z kamienia, Lauro.

Zatrzymał się w pustej uliczce, o parę kroków od hotelu.

- Tutaj to co innego - wyszeptał, a jego ciepły oddech musnął jej policzek.

Tym razem ich usta spotkały się bez trudu i połączył ich płomienny pocałunek, który zdawał się trwać bez końca. Stali spleceni w ciasnym uścisku, pod parasolem, który nagle stał się ich małym, wspólnym światem, a jego granice wytyczały strugi deszczu.

Wreszcie Domenico uniósł głowę.

- Teraz już wiesz? - zapytał głosem nabrzmiałym od emocji.

- Tak - szepnęła.

Przed samymi drzwiami hotelu pocałował ją raz jeszcze, po czym powiedział na pożegnanie:

- *Buona notte*, Laura. Do jutra.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Obudziwszy się, Laura wciąż czuła jeszcze na ustach pocałunki Domenica. Przygotowywała się do porannego spotkania na tyle starannie, że kiedy w końcu zbiegła po schodach, on już czekał. Jak zwykle ucałował ją w oba policzki i zamieniwszy parę słów z signorą Rossi, wyprowadził Laurę na zalaną porannym słońcem wenecką uliczkę.

- Jak się dziś czujesz, *caral* - zapytał, gdy wędrowali w poszukiwaniu dobrego miejsca na śniadanie. - Dobrze spałaś?

- Nie - przyznała uczciwie. - A ty?

- Ja też nie - westchnął. - Leżałem, słuchając deszczu i rozmyślałem o twoich pocałunkach.

- Bingo!

Roześmiał się i wziął ją za rękę.

Po śniadaniu popłynęli na Murano. Laura patrzyła z ciekawością, jak wyspa zdaje się do nich zbliżać i wdychała przesycone solą powietrze laguny. Domenico tymczasem pokazywał jej co ciekawsze zabytkowe mosty na kanałach.

- Niektóre z nich pochodzą jeszcze ze średniowiecza, kiedy Murano było najśłynniejszym ośrodkiem szklarskim w Europie, a jego mieszkańcy jako jedyni rzemieślnicy na świecie potrafili wytworzyć lustro.

- Dość ważny wynalazek z kobiecego punktu widzenia!

Byli już na miejscu.

- *Allora* - zaczął Domenico - zanim więc na coś się zdecydujesz, czy chcesz zobaczyć naszych słynnych rzemieślników przy wydmuchiowaniu szkła?

- Oczywiście - zapewniła.

- Ale potem, jeśli coś ci się spodoba, pertraktacje w sprawie ceny pozostaw mnie.

W pracowni szklarskiej byli więc świadkami pokazu tradycyjnego rzemiosła, które przyniosło tak wielką sławę Murano. Laura obserwowała z zapartym tchem, jak z kawałka bezkształtnej szklanej masy w procesie wydmuchiwania i formowania powstaje przepiękny, doskonały w kształcie, puchar do wina.

- Zdumiewające - oświadczyła, kiedy z pracowni przeszli do sal wystawowych. - To przypominało czary.

- Z tobą u boku mnie też wszystko w Wenecji wydaje się nowe - odpowiedział. - Czy masz już pomysł, co chciałabyś na prezent dla przyjaciółki? Do jakiego rodzaju domu miałyby to pasować?

- Jej narzeczony kupił całą posiadłość i ma wspinały dom.

Wskazała na kilka ekstrawagancko nowoczesnych przedmiotów.

- Te są doskonałe technicznie, ale do ich domu pasowałyby coś bardziej tradycyjnego.

- Podobałoby jej się coś z tego? - Domenico

wskazał kolekcję świeczników i kandelabrow. - *Mil-lefiori* nie każdemu się podoba, ale *aventurine*, z dodatkiem złota, może mogłyby być?

- Tak, to coś akurat dla Fen - zawołała entuzjastycznie.

Po dłuższych rozważaniach na temat stylu i ceny wybrała w końcu dwa wysokie świeczniki z cienkimi jak włos pasmami złota, wplecionymi w ich kręty, serpentynowy kształt. Domenico włożył cały swój kunszt w proces negocjowania ceny, co w istocie znacznie ją obniżyło. Jednak co do transportu, to Laura wolała zabrać swój zakup ze sobą.

- Bardzo ci dziękuję - powiedziała serdecznie, kiedy transakcja została sfinalizowana.

- Ha, więc na coś się przydałem - uśmiechnął się.

- Bez żadnej wątpliwości - przyznała żartobliwie.

Znów wsiedli do *vaporetto*, którym dopłynęli z powrotem do placu Świętego Marka.

- Lunch możemy zjeść u mnie - zaproponował.

- Albo gdzieś pójdziemy, jeśli wolisz.

- Wolę u ciebie, Domenico - odpowiedziała.

- Bardzo lubię twoje mieszkanie.

- A czy mnie też bardzo lubisz? - zapytał tak nieoczekiwanie poważnie, że popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Tak, oczywiście.

- *Bene* - odparł z zadowoleniem.

Na lunch Laura zrobiła omlety, które były jej specjalnością.

- *Perfetto* - oświadczył Domenico.
- W nagrodę możesz zrobić mi herbatę - odparła, szczęśliwa, że jej wysiłek został doceniony.
- Oczywiście, a potem mała sješta. Co mamy w planie na to popołudnie? Guggenheima czy Bazylikę? Obu naraz bym nie polecał.
- Bazylikę. Zwiedzanie zabytków niech będzie dzisiaj, a jutro poświęcimy się sztuce nowoczesnej. Oczywiście, jeśli jutro jeszcze będziesz miał czas?
- Mój czas należy do ciebie, dopóki nie wyjedziesz - przypomniał jej. - To już i tak niedługo. Musisz przyjechać znowu.
- Obawiam się, że to na razie niemożliwe - powiedziała z zalem. - Przez jakiś czas nie będzie mnie stać na następną podróż do Wenecji.
- Jeśli problemem są pieniądze, to mógłbym...
- Nie mógłbyś, Domenico - przerwała mu łagodnie.
- O dziwo, nie nalegał.
- Dobra herbata? - zapytał, podając jej filiżankę.
- Herbata była za słaba i ze zbyt dużą ilością mleka, lecz Laura zapewniła, że jest przepyszna i wypija wszystko, co do kropki.
- Podeszła do okna i patrzyła na kanał w dole i na ruch posuwających się po nim łodzi. W niczym nie przypominało to londyńskiej ulicy i mogłaby tak patrzeć godzinami.
- Uśmiechasz się jak Mona Lisa - powiedział cicho, podchodząc do niej.
- Patrzyłam na tych wszystkich ludzi podróżujących po wodzie w blasku słońca - wyjaśniła. - W ni-

- czym nie przypomina to mojej codziennej drogi do pracy kolejką.
- Masz dobry dojazd?
- Tak, mieszkam w dzielnicy Londynu, która nazywa się Bow, kolejka jedzie spod mojego domu prawie wprost do banku.
- Opowiedz mi, jakie jest twoje mieszkanie, Laura - zagadnął, pociągnawszy ją przedtem, żeby koło niego usiadła.
- Jest malutkie, z jedną sypialnią, zupełnie inne niż twoje. Ale ma ten plus, że w tym samym budynku mieści się basen i siłownia. Szczególnie mnie to cieszy od czasu, gdy moje życie towarzyskie doznało załamania. - Ziewnęła. - Przepraszam, to chyba to weneckie powietrze tak na mnie działa.
- Nie szkodzi, jeszcze jest wcześniej. Połóż się wygodnie i odpocznij. Później będziemy zwiedzać Bazylikę.
- Laura spełniła polecenie bez oporu. Była zmęczona, a w towarzystwie Domenica czuła się na tyle rozluźniona i bezpieczna, że usnęła bez kłopotu.
- On siedział obok, walcząc z pokusą, by pogłaskać jej piękne, błyszczące włosy. Patrzył na zarumienioną od snu twarz i choć nie mógł zignorować narastającego w nim pożądania, to jednocześnie odkrył w sobie uczucia opiekuńcze, a to było dla niego coś, czego nigdy dotąd nie doświadczał w kontaktach z kobietami. Odejście Alessy zraniło go głębiej i bolało mocniej, niż byłby skłonny to przyznać, nawet

przed samym sobą. Od tego czasu jego związki z kobietami były przelotne i niewiele znaczące. Nie angażowały jego serca, a czasem i umysłu, co stwierdzał z goryczą. Z Laurą było inaczej. Pożądał jej jako kochanki, lecz jednocześnie szanował ją i cenił jako człowieka.

Laura powoli otworzyła oczy i napotkała utkwiony w nią wzrok Domenica.

- Hej - zamruczała śpiąco. - Czy bardzo chrapałam?

Domenico potrząsnął głową z uśmiechem.

Zamierzała teraz wstąpić do hotelu, wziąć prysznic i się przebrać. Nie chciała jednak, żeby ją odprowadzał. Po drodze miała załatwić jakieś drobne zakupy natury osobistej, zdecydowali więc, że spotkają się za godzinę przy głównym wejściu do Bazyliki.

Sprowadził ją tylko na dół i pocałował w policzek.

- No to za godzinę. Będę czekał - rzekł, wskazując na zegarek.

Laura tymczasem poszła prosto do sklepu, który wypatrzyła już poprzedniego dnia. Wybrała jedwabny krawat w ciemnoczerwone kropeczki na granatowym tle, zapłaciła kartą kredytową i teraz już poszła prosto do Locanda Verona.

Błyskawicznie wzięła prysznic, po czym zrobiła szybki przegląd swej garderoby. Niestety, jedyna sukienka, której jeszcze nie nosiła, powiewna, szyfonowa, drukowana w motylki, zupełnie nie nadawała się do kościoła, a mieli przecież zwiedzać Bazylikę. Z żalem więc musiała z niej zrezygnować. Włożyła natomiast kremową płócienną spódnicę i czarny roz-

pinany sweter z ażurowymi wykończeniami. Właśnie go dopinała, kiedy zadzwonił telefon.

- Jestem na dole - oświadczył Domenico. - I wreszcie przyniosłem wszystkie twoje paczki. Jesteś gotowa?

- Tak, tak.

Zbiegła po schodach jak na skrzydłach i serce się w niej rozśpiewało na jego widok. Ubrany w jasne, lniane spodnie i jedną ze swych błękitnych koszul wyglądał olśniewająco.

- Myślałam, że mieliśmy się spotkać przed Bazyliką - zauważyła.

- Tak, ale przypomniałem sobie o twoich prezentach - rzekł, podając jej najpierw torby, a potem paczkę ze świecznikami z Murano.

- Poza tym - dodał, obrzucając ją uważnym spojrzeniem - pomyślałem, że nie byłoby rozsądne, narażać cię na czekanie samotnie na *piazza* i miałem rację. Za każdym razem, kiedy cię widzę, jesteś piękniejsza.

Laura doskonale wiedziała, że do piękności jej daleko, niemniej jego podziw sprawiał jej niekłamaną przyjemność.

Ostrożnie, żeby nie stłuc świeczników, zaniósła zakupy na górę i szybko wróciła.

- Jak ty to robisz, że dobierasz sobie koszule dokładnie w kolorze swoich oczu? - zapytała, kiedy już wyszli na ulicę.

- No wiesz, Lauro, nigdy się nie zastanawiałem.

- Nie wierzę ci! Wiesz znakomicie, jakie wrażenie twoje oczy robią na kobietach!

- A na tobie? - podchwycił.
- Na mnie też, ale jakoś sobie z tym radzę - odpowiedziała, parszkając śmiechem.

Te miłe przekomarzania przerwali, wchodząc do Bazyliki.

Laura zdążyła przygotować się do zwiedzania poprzez lekturę odpowiedniego fragmentu przewodnika, lecz to, co zobaczyła, wielokrotnie przerosło jej wyobrażenia.

Gdy przez rzeźbione odrzwia wkroczyli do środka świątyni, nagle otoczyły ich połyskujące zewsząd złote mozaiki, pokrywające całe potężne wnętrze, od przedsionka aż po nawę, włącznie z kopułą i posadzką. Była nawet zadowolona, że świątynię wypełniają tłumy turystów, bo pomagało jej to przezwyciężyć poczucie własnej małości i znikomości wobec przytłaczającego ogromu i przepychu tego wnętrza.

- Nie miałam pojęcia, że to jest tak - szepnęła do Domenica, spoglądając na mozaikę posadzki, która rozpościerała się u jej stóp jak dywan.

- Ja też zapomniałem - odpowiedział. - Nie byłem tu już od lat.

Pociągnął ją za rękę.

- Popatrz w górę - powiedział.

Posłusznie podniosła wzrok i z zapiętym tchem podziwiała postacie apostołów na kopule Zesłania Ducha Świętego, a pod największą kopułą Wniebowstąpienia wręcz zaniemówiła na widok błyszczącej mozaiki przedstawiającej Chrystusa.

Ale Domenico już ciągnął ją dalej, do grobu świętego Marka i do Pala d'Oro, wspaniałego, ozdo-

bionego klejnotami złotego ołtarza, znajdującego się za ołtarzem głównym.

W pewnej chwili poczuła, że zaczyna ją boleć głowa. Domenico spojrział na nią z zaniepokojeniem, gdy nagle założyła ciemne okulary, by skryć się przed całym tym blaskiem i przepychem.

- Chodźmy, *tesoro*. Na dzisiaj wystarczy, prawda? - domyślił się.

Laura kiwnęła głową w milczeniu.

- To wspaniała budowla - powiedziała, kiedy znaleźli się z powrotem na zalanym słońcem placu. - Ale trzeba ją zwiedzać powoli, nie da się tego wszystkiego wchłonąć za jednym razem.

Domenico obiecał, że następnym razem pójdą tam wczesnym rankiem, zanim jeszcze Bazylikę zaleją tłumy turystów.

Zaproponował Pałac Dożów, lecz Laura czuła się już zmęczona. Mieli też pójść na kawę do „Floriana”, ale ona wolała zacisze jego mieszkania, gdzie w spokoju mogłaby napić się herbaty. Ból głowy się wzmacniał i dalsze przebywanie wśród gwaru tłumu wydawało jej się coraz trudniejsze do zniesienia.

- Oczywiście. - Domenico natychmiast zgodził się na zmianę planów. - Tylko może po drodze wstąpilibyśmy do apteki po jakieś lekarstwo?

- Mam przy sobie środki przeciwbólowe - odpowiedziała, wzruszoną jego troskliwością. - Potrzeba mi teraz dużo wody i herbaty do picia i ani jednej złotej mozaiki w polu widzenia.

- W takim razie moje mieszkanie jest naprawdę idealnym miejscem!

Podczas gdy ona odpoczywała, zapadłszy głęboko w sofę jego *salotto*, Domenico zaparzył herbatę, dużo lepszą i mocniejszą niż poprzednio.

Okazało się to najlepszym środkiem na jej ból głowy, bo już po chwili minął.

- To dlatego, że jesteś tu ze mną - orzekł Domenico z taką pewnością siebie, że wybuchnęła śmiechem.

Pozostawało im zdecydować, co robić z dalszym ciągiem wieczoru. Laura zaproponowała, by kolację zjeść u niego w hotelu, lecz ta propozycja wzbudziła gwałtowny protest.

Tłumaczył, że on teraz ma krótkie wakacje i nie chce pokazywać się w miejscu pracy, gdzie musiałby przedstawić ją wielu ludziom i tracić cenny czas, który mogą przecież spędzić sam na sam. Obiecał jednak, że zabierze ją tam następnym razem, kiedy Laura znów przyjedzie do Wenecji.

- Minie sporo czasu, zanim znów będę mogła tu przyjechać - powiedziała z westchnieniem.

Domenico spojrzał na nią badawczo.

- Wspominałaś już przedtem o kosztach - rzekł - ale jeśli to tylko kwestia pieniędzy...

- Oczywiście, że tak - odpowiedziała. - Zarabiam całkiem nieźle, ale dużą część pensji wydaję na mieszkanie. - Spuściła wzrok. - Trochę też pomagam mamie w opłaceniu studiów mojej siostry Abby.

- Dlatego, że ojciec nie żyje? - podpowiedział ze współczuciem.

- Tak. Moja matka uczy w szkole, a Abby w weekendy pracuje w kawiarni, żeby dołożyć się do

czesnego. Chciałabym też, żeby miała jakiś skromny fundusz na czas, kiedy skończy studia, dlatego regularnie wpłacam trochę pieniędzy na jej konto. Ten wypad do Wenecji był absolutną ekstrawagancją z mojej strony. Na pewno nie mogłabym sobie na to pozwolić, gdybyś nie znalazł mi takiego taniego pokoju w hotelu. Czy ty to załatwiłeś?

- Tak, a ponieważ prośba signora Forlego sprawiła, że cię poznałem, będę mu za to wdzięczny do końca życia.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

- To dość niezwykłe wyznanie - stwierdziła Laura po chwili milczenia.

- Ale to prawda. Gdyby prosił mnie kto inny, nie Lorenzo, nie wyszedłbym po ciebie na lotnisko. - Domenico uśmiechnął się drwiąco. - To zwykle nie należy do mnie.

- To dlatego byłeś taki zły, wtedy na lotnisku?

- Zły? - Wzruszył ramionami. - Tamtego dnia w hotelu wynikły różne problemy, które musiałem zostawić nierozwiązane, żeby wyjechać po ciebie. Przepraszam, jeśli byłem niegrzeczny.

- Nie zwracałam na to uwagi.

- Wiem. Byłaś tak oczarowana Wenecją, że w ogóle ledwie mnie dostrzegłaś - rzekł ponuro, ściskając jej dłoń. - Moje poczucie własnej wartości mocno na tym ucierpiało.

- To dobrze.

- Dobrze?

- Inaczej nie szukałbyś mnie potem, żebym cię jednak dostrzegła - wyjaśniła rzeczowo. - I nie bylibyśmy tutaj teraz razem.

- *E vero*. Chociaż raz w życiu cieszę się, że kobieta nie zwróciła na mnie uwagi.

- Takie to dla ciebie ważne?

Domenico kiwnął głową.

- Tak jest od czasu, kiedy Alessa cię opuściła? Rozjaśnił się, widząc, że Laura go rozumie.

- Czy ty też przeżyłaś kiedyś podobną stratę?

- zapytał.

- Nie tak jak ty - odpowiedziała - ale wiem, co to znaczy, kiedy nagle świat się człowiekowi zawali, jedynym mężczyzną, którego naprawdę uwielbiałam, był mój ojciec. Umarł nagle na atak serca, kiedy miałam dziesięć lat.

- To musiało być dla ciebie straszne.

Przytaknęła ze smutkiem.

- Naprawdę trudne było dla mojej matki - dodała.

- Dopiero teraz naprawdę to rozumiem i podziwiam, jak doskonale sobie wtedy ze wszystkim poradziła. Musiała ukryć swój ból, żeby pocieszyć mnie i Abby. Wzięła się w garść, zamieniła dom na niniejszy i poszła z powrotem do pracy, żeby nas utrzymać.

- Twoja matka musi być niezwykłą kobietą - zauważył ze współczuciem. - Wasze życie na pewno radykalnie się wtedy zmieniło.

Laura wzruszyła ramionami.

- Dzieci mają zdolność adaptacji. Najpierw byłam niepocieszona, ale z czasem zrozumiałam, że jak długo mam mamę i Abby, wszystko mogę przetrwać. Moim trwałym oparciem była też Fen. Zawsze czułam się, jakbym należała do jej rodziny. Będę pierwszą druzną na jej ślubie.

- A dużo będzie tych druhn?

- Oprócz mnie jeszcze trzy: siostrzenice Fen; jedną z nich pewnie znasz, to Francesca Forli.

- Tak, znam, ale teraz interesujesz mnie tylko ty - stwierdził stanowczo. - Opowiedz mi, jak będziesz ubrana, Lauro, żebym mógł sobie to wszystko wyobrazić.

- Jeśli chcesz, przyślę ci zdjęcie.
- Bardzo chcę.

Popatrzył na nią uważnie. Wyglądało na to, że Laura rzeczywiście czuje się lepiej, a wciąż pozostawało pytanie, gdzie mają spędzić ten wieczór.

Laura zawahała się, kiedy zapytał, na co miałyby ochotę. W końcu jednak wyznała, że najchętniej nigdzie by nie wychodziła.

- Czy w Wenecji można zamówić jedzenie do domu? - zapytała.

Okazało się, że nie ma z tym najmniejszego problemu, a Domenico wpadł na pomysł, że zamówi zimną kolację, którą dostarczą mu z jego hotelu.

- Cudownie! - powitała to z entuzjazmem.
- Czy jadasz skorupiaki?
- Wszelkiego rodzaju. .

- To znakomicie, Sandro na pewno przyśle nam coś pysznego.

Wyszedł do drugiego pokoju, żeby telefonicznie zamówić wszystko, co trzeba. Laura tymczasem została sama. Podeszła do okna i napawała się widokiem laguny. Z westchnieniem pomyślała, że kiedy wróci do Londynu, brak jej będzie Wenecji. Wiedziała, że jeszcze bardziej zatęskni za Domenikiem, lecz o tym wolała na razie nie myśleć.

Po chwili wrócił i wyszli razem na balkon.

Miejsca było tam niewiele, akurat na stół i cztery krzesła, lecz widok był imponujący.

Laura oparła się o balustradę i wchłaniała ciepłe powietrze weneckiego wieczoru, obserwując jednocześnie ruch łodzi na Canale Grande. Żałowała, że nie umie malować, żeby uwiecznić obraz gondolistów sunących po lśniących falach kanału.

- Pasażerami są oczywiście turyści - poinformował Domenico. - Wenecjanie płyną gondolą tylko raz w życiu: w dniu swojego ślubu.

- W takim razie ty chciałeś zrobić dla mnie wyjątek!

Spojrzał na nią spod oka, a wokół ust błąkał mu się niewyraźny uśmiech.

- Chciałem zrobić na tobie wrażenie - wyjaśnił.
- I udałoby ci się!

Laura śledziła szlak gondolistów, która w końcu znikła z pola widzenia.

- Jestem trochę zawiedziona - powiedziała. - Myślałam, że gondolier będzie śpiewał serenady swoim pasażerom.

- Nic z tych rzeczy. - Domenico się roześmiał. - Jedyneką śpiewką gondolierów są okrzyki ostrzegawcze, które od stuleci słychać tu na kanałach. No to kolejne stracone złudzenie!

Domenico wyszedł na chwilę po napoje, a Laura z powrotem skupiła się na obserwacji otoczenia. Chciała zapamiętać każdy szczegół, żeby miała co wspominać i czym karmić swą tęsknotę po powrocie do Londynu.

Wrócił z pełną tacą i przygotował jej drinka z soku



z pomarańczy i brzoskwiń z wodą mineralną z lodem i plasterkiem cytryny.

Napój okazał się rzeczywiście znakomity i orzeźwiający. Laura popatrzyła na niego z podziwem, zachwycona jego talentem jako gospodarza, ale również doskonałością jego angielszczyzny. Nie omieszkała mu tego powiedzieć.

- *Grazie* - odparł. - Oczywiście uczyłem się w szkole, a potem zrobiłem jeszcze intensywny kurs językowy, bo było mi to potrzebne do pracy.

- *Salute.*

Wzniesli kieliszki i spełnili toast.

- Twoje zdrowie, Domenico, i dzięki za to, że sprawiłeś mi tak niezwykle i wyjątkowe wakacje.

- To naprawdę nic trudnego - zapewnił skromnie.

- I pomyśleć, że tydzień temu o tej porze nie wiedzieliśmy nawzajem o swoim istnieniu.

- Trudno w to uwierzyć - przyznał trzeźwo.

- Jest tyle rzeczy, których chciałbym się o tobie dowiedzieć, *cara*. Opowiedz mi coś więcej o swojej rodzinie.

- No więc, moja matka jest drobną blondynką, tak jak ja. Jest bardzo ładna... Abby za to jest wysoka i ciemnowłosa, podobna do ojca. Jest najinteligentniejsza i najzdolniejsza z nas trzech, ale Pan Bóg nie poskąpił jej także urody. Od jesieni będzie studiować w Cambridge, ma już miejsce w Trinity College.

Domenico nie krył, że robi to na nim wrażenie.

- To będzie też dużo kosztować - dodał - dlatego ty jej pomagasz i nie będziesz mogła tu znowu przyjechać. Ale mam na to sposób.

- Jaki? - Laura spojrzała podejrzliwie.

- Już wiem, że nie zgodziłaś się, żebym zapłacił za twój bilet, ale za to, zamiast w hotelu, mogłabyś mieszkać tutaj jako mój gość i to oszczędziłoby ci dalszych wydatków. Nie będę ci narzucał swojego towarzystwa; będziesz tu mile widziana zarówno sama, jak z matką czy siostrą, kiedykolwiek tylko będziesz chciała.

Uśmiechnęła się, wzruszona zaproszeniem. Powiedziała jednak, że to dobra myśl, ale nie chciałyby nadużywać jego uprzejmości.

- Dlaczego nie? - zapytał urażony. - Nie myśl mnie z tymi *ragazzi* z twojego banku. Nie chciałbym przecież nic w zamian.

- Wiem o tym. I skończ z tą swoją wenecką arogancją w stosunku do mnie! Pomysł jest piękny, ale po prostu na razie nie będę mogła przyjechać - powiedziała z głębokim westchnieniem.

- Jak chcesz. - Domenico nadal był urażony.

Na szczęście odezwał się dzwonek do drzwi, zapowiadający ich kolację.

Laura w milczeniu dokończyła drinka i przeszła do jadalni. Widok uroczyście nakrytego stołu, z lniwym obrusem, serwetkami, kryształami i srebrami, mimo woli wydarł jej z piersi okrzyk zdumienia i zachwytu. Całości dopełniały ustawione w świecznikach świece.

Domenico odebrał dostarczone dania i dołączył do Laury. Oboje uznali, że nie ma co drażnić dalej kłopotliwego tematu jej ponownej wizyty i lepiej zająć się kolacją.

- To co będziemy jedli? - zapytała.
- Specjalne danie dla specjalnego gościa. Mam nadzieję, że będzie ci smakowało.
- Na pewno. Na razie smakowało mi wszystko, co tu jadłam.
- Mnie też smakuje wszystko, co jem w twoim towarzystwie. Śniadania zazwyczaj jadam sam.
- Ja w Londynie wcale nie jem śniadań.
- To niedobrze, *cara* - rzekł, marszcząc brwi.
- Teraz jednak nic nie stało na przeszkodzie, żeby sięść do posiłku i oboje uczynili to z radością.
- Główne danie stanowiły owoce morza na ogromnym półmisku, do tego zaś chleb i sałata.
- Niech spojrzę, co to jest: homar, krab, krewetki, małże...a co to są te inne rzeczy, Domenico?
- Małe kalmary i inne drobne skorupiaki wyłowione tutaj w lagunie. Siadaj, signorina - zaprosił dwornie, podając jej serwetkę i przytrzymując krzesło.
- Potem napełnił kieliszki winem i na koniec zapalił świece.
- Laura uśmiechnęła się z żalem, kiedy w końcu zajął miejsce przy stole naprzeciw niej.
- Będę za tym wszystkim tęsknić, smażąc jajecznicę po powrocie do Londynu. Pomyśl sobie czasem o mnie w porze kolacji, Domenico.
- Będę myśleć o tobie znacznie częściej! - Spojrzał jej- w oczy. - Mam nadzieję, że ty o mnie też.
- Na to możesz liczyć.
- *Bene*. Nie myślmy teraz już o samotnych posiłkach, tylko cieszmy się tym, któryjemy wspólnie.

- Kolacja rzeczywiście okazała się wyśmienita, a spokój i przytulność tego mieszkania dodawały jej jeszcze uroku.
- Tu jest o wiele przyjemniej niż w restauracji - oświadczyła Laura z zadowoleniem. - Proszę, pogratuluj ode mnie twojemu znajomemu kucharzowi.
- Dobrze, chociaż dla mnie to niejedzenie sprawia, że ten wieczór jest czymś wyjątkowym, Lauro.
- Już dawno skończyli jeść i Domenico wstał od stołu.
- Chodź, przejdziemy do *salotto* - rzekł, podając jej rękę.
- Usiedli w salonie, spokojni i syci.
- Jestem teraz naprawdę szczęśliwa - uśmiechnęła się Laura leniwie.
- Ja też - odpowiedział. - To był bardzo udany dzień.
- A nie było to dla ciebie męczące? Tyle zwiedzania na raz?
- Sprawilo mi to wielką przyjemność, Lauro.
- Mówisz mi same miłe rzeczy!
- Milczał przez chwilę, wpatrując się w czubki swoich eleganckich butów, a w końcu wziął głęboki oddech.
- Chciałbym jeszcze coś powiedzieć, ale tego może nie uznasz za takie miłe.
- Co takiego?
- Kocham cię.
- Siedziała nieruchomo, a serce waliło jej tak mocno, że Domenico z pewnością to słyszał.

- Powiedz coś, *tesoro* - poprosił.
- Dopiero się poznaliśmy - powiedziała w końcu.
- To ma jakieś znaczenie?
- Przecież nie powiesz, że to była miłość od pierwszego wejrzenia!
- *E vero!* Nie zrobiłem na tobie większego wrażenia.
- Zrobiłeś - wyznała. - Ten przystojny Włoch, który powitał mnie na lotnisku, w pierwszej chwili bardzo mi się spodobał... dopóki nie zauważyłam, że chce jak najszybciej się mnie pozbyć.
- Ale później cię szukałem - przypomniał.
- Tylko po to, żeby ołsnąć mnie swym męskim czarem i wdziękiem!
- I udało mi się to?

Laura spuściła oczy i odpowiedziała wymijająco, a Domenico wybuchnął śmiechem. Musiał przyznać, że może rzeczywiście nie zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia, ale za to doskonale pamięta, w którym momencie się to stało. Palcem pogłaskała ją po policzku.

- To było tego ranka, kiedy przyszedłem po ciebie do hotelu. Zbiegłaś wtedy do mnie po schodach, tak zarumieniona i uśmiechnięta, że serce we mnie drgnęło.

- To dlaczego nie chciałeś mnie pocałować?

Domenico zacisnął jej dłoń w swojej.

- Myślę, że doskonale wiesz dlaczego.

Przez moment patrzyli sobie w oczy, a potem padli sobie w ramiona i połączyli się w długim, gorącym, tak upragnionym pocałunku.

W pewnej chwili Domenico wstał i podszedł do okna.

- Nie zrobię tego, Lauro - rzekł. - Pragnę cię... Ale gdybym teraz się z tobą kochał, pomyślałabyś pewnie, że tylko dlatego mówiłem o swych uczuciach, żeby cię uwieść.

- Chcesz powiedzieć, że boisz się, że Lorenzo Forli wyrzuciłby cię z pracy, gdyby się dowiedział? Przepraszam - wyjąkała, czując, że przeholowała. - Nie to chciałam powiedzieć.

Jego uśmiech przejął ją chłodem do szpiku kości.

- Wyraziłaś się całkiem jasno. Niestety mylisz się. Nie mam żadnych obaw, że stracę pracę. Po prostu uważam, że byłoby czymś niewłaściwym nawiązywanie romansu z kobietą, która nie tylko jest w Wenecji sama, ale została powierzona mojej opiece. Pochodzisz z innego kraju, więc może trudno ci to zrozumieć. Chodźmy. Odprowadzę cię do hotelu.

- Domenico... - próbowała protestować, ale uciszył ją jednym gestem.

Wytrzymałszy chwilę napięcia, Laura odwróciła się, wzięła torebkę, poprawiła włosy, z trudem zebrała się w sobie i właściwie była gotowa do wyjścia.

- Dziękuję bardzo za kolację - powiedziała z lodowatą uprzejmością - i za pomoc, którą okazałeś mi podczas mojego pobytu w Wenecji. Ale proszę, nie trudź się już i mnie nie odprowadzaj. Wolę wrócić sama.

Domenico zignorował ostatnią kwestię. Co do odprowadzenia Laury był nieugięty; poznała to z razu jego twarzy.

Drogę do Locanda Verona przebyli jednak w zupełnym milczeniu, bez słowa też się pożegnali. Laura królewskim gestem skinęła mu głową, na co Domenico skłonił się uprzejmie.

Spokojnie weszła do hotelu, odebrała klucz i dopiero na górze, w zaciszu swego pokoju, bezsilna i zrozpaczona rzuciła się na łóżko.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Noc ciągnęła się w nieskończoność. Laura godzinami przewracała się na łóżku, rozgorączkowana i nieszczęśliwa. Jeśli takie były uboczne efekty zakochania, to dobrze, że zdarzyło jej się to dopiero teraz.

Obraziła Domenica i prawdopodobnie nie będzie już miała okazji, żeby to naprawić. W zasadzie nie miało to znaczenia. Ich związek na dłuższą metę miałby małe szanse ze względów geograficznych i każdych innych. Może i lepiej było zakończyć go teraz. Westchnęła w ciemności. Powspominała trochę swe dotychczasowe, mało znaczące związki z mężczyznami. Nawet historia nieudanych oświadczeń Edwarda nie spędzała jej nigdy snu z powiek. Żałowała, że straciła jego przyjaźń, ale nic poza tym. Tymczasem myśl, że miałaby już nigdy nie zobaczyć Domenica, była nie do zniesienia.

Stłumiła w sobie rozpaczliwe łkanie i zrozumiawszy, że już nie uśnie, zapaliła lampkę i sięgnęła po przewodnik. Wizytę w Muzeum Guggenheima miała już odbyć sama, więc chciała się do niej przygotować.

Potem próbowała czytać powieść, którą wzięła, ale zupełnie nie mogła skupić się na lekturze.

Nagle przypomniała sobie o krawacie, który miał

być prezentem pożegnalnym dla Domenica. Musiała znaleźć jakiś sposób, żeby mu go dostarczyć. Uznała, że najlepiej będzie zanieść go do niego do hotelu. Musiała tylko dowiedzieć się adresu, bo sam Domenico był dziwnie mało mówny, gdy pytała o pracę.

Wstała wcześniej rano, nieprzytomna z senności i nadmiaru emocji. Wzięła prysznic, żeby trochę się orzeźwić, a potem sporo czasu i uwagi poświęciła uczesaniu. Włosy zaczesła gładko i związała tak, że ani jeden nieposłuszny kosmyk nie miał prawa opaść jej na czoło. Włożyła ostatni biały T-shirt i džinsy; do torby wcisnęła przewodnik i zapas widokówek i zeszała na dół. Miała w planie dostarczyć paczuszkę z krawatem, a potem zwiedzać Muzeum Guggenheima i podziwiać sztukę współczesną.

O adres hotelu, w którym pracował Domenico, bez trudu dowiedziała się od signory Rossi.

Wstąpiła do baru na kawę i przy stoliku szybko, na jednej z pocztówek, napisała kilka słów:

*Dla Domenica z podziękowaniem za wszystko - Laura.*

Dołączyła kartkę do paczuski, dopiła kawę i wyruszyła w drogę.

Zgodnie ze wskazówkami signory Rossi przeszła przez Ponte della Paglia, skąd rozciągał się piękny widok na Most Westchnień, po czym wmieszała się w tłum turystów na promenadzie Riva degli Schiavoni. Ludzie tłoczyli się przy sklepikach i stoiskach z pamiątkami, lecz jej uwagę pochłaniały głównie gondole, barki, wodne autobusy i taksówki na wodach laguny; w oddali widać było nawet statek.

W końcu tłum się przerzedził i Laura znalazła się w dzielnicy pałaców, które dawno temu zostały zamienione na luksusowe hotele.

Trochę upadła na duchu, kiedy znalazła Pałac Forli. W niczym nie przypominał jej Locanda Verona. Foyer wypełniały kolumny, lustra i freski; wszędzie porozstawiane były wazy z kwiatami, z sufitu zwieszały się żyrandole z weneckiego szkła. Dodatkowo onieśmiała Laurę wspaniała marmurowa posadzka, po której musiała przedefilować, żeby załatwić sprawę w recepcji.

Z wielką ulgą stwierdziła, że gości obsługuje nie Domenico, lecz dwóch uprzejmie uśmiechniętych młodych ludzi.

Laura powiedziała im po angielsku „dzień dobry” i podała paczuszkę.

- To dla signora Domenica Chiesy - powiedziała krótko.

- Czy chce się pani z nim zobaczyć, signorina? - zapytał jeden z recepcjonistów, lecz ona pokręciła głową. Na jego prośbę podała tylko swoje imię i nazwisko, podziękowała i wyszła.

Teraz już mogła spokojnie powędrować na Dorsoduro, gdzie mieściło się Muzeum Guggenheima. W towarzystwie Domenica z pewnością dotarłaby tam wodną taksówką, lecz teraz, pod sam koniec pobytu w Wenecji, jej finanse były już tak ograniczone, że musiała wszędzie chodzić pieszo.

Ranek był gorący, a nieprzespana noc w połączeniu z napięciem, jakie wywołała w niej wizyta w Pałacu Forli, niemal całkowicie pozbawiły ją energii.

W efekcie, kiedy przeszła przez Most Akademii i znalazła w końcu muzeum, jej entuzjazm dla sztuki nowoczesnej był już raczej w zaniku.

Rozjaśniła się trochę, kiedy odkryła, że przewodnik jest rodowitym Anglikiem pochodzącym z Londynu i dlatego starała się chociaż udawać zainteresowanie.

Obejrzała prace znanych artystów, takich jak Picasso, Mondrian i Ernst, a także takich, o których nigdy nie słyszała; przeszła przez salę z pracami Jacksona Pollocka, po czym przewodnik zaprowadził ją do ogrodu, gdzie mieściła się galeria rzeźb. Tu jednak Laura poczuła, że nie jest w stanie podziwiać ani jednego dzieła sztuki więcej, podziękowała i wyszła w poszukiwaniu miejsca, gdzie mogłaby napić się kawy. W obecnym stanie ciała i ducha spora dawka kofeiny była jej niezbędnie potrzebna.

Po lunchu w małej kafejce wróciła do hotelu i zupełnie wyczerpana padła na łóżko, lecz sen i tym razem nie przyszedł.

Próbowała czytać, w końcu jednak dała za wygraną, ubrała się znowu i wyszła, żeby podziwiać przykłady słynnego weneckiego renesansu.

Najpierw weszła do kościoła San Salvatore. Samo wnętrze było imponujące, lecz bez Domenica poczuła się trochę przytłoczona, zobaczyła więc tylko dwa płótna Tycjana, o których wspominał jej książkowy przewodnik, i wyszła z powrotem na ulicę. Włączyła się przez chwilę bez celu, oglądała wystawy sklepowe, ale kiedy doszła do Campo Santo Stefano, wiedziona poczuciem obowiązku weszła

do kościoła, żeby podziwiać wspinające sklepienie i marmurowe kolumny, o których także informował jej przewodnik.

Potem wróciła na plac i usiadła w jednym z kawiarnianych ogródków, żeby odpocząć. Jedząc lody, zastanawiała się, co robić z dalszą częścią dnia.

A przecież zanosilo się, że cały pobyt w Wenecji spędzi sama; powinna więc umieć poradzić sobie z tym jednym, ostatnim wieczorem. Może przecież pobyć trochę w hotelu i poczytać, a później przyjść tu na plac, by coś zjeść.

Wizyta w „Cafe Florian” byłaby jednak dla niej zbyt bolesna.

Westchnęła i zabrała się do pisania kartek z pozdrowieniami. Zdażyła napisać połowę, kiedy zadzwonił jej telefon.

- Halo.

- Laura? - To był głos, którego nie spodziewała się już usłyszeć.

- Tak?

- Tu Domenico. Właśnie otrzymałem twój prezent. Bardzo, bardzo dziękuję. To była duża niespodzianka.

- Kupiłam to wczoraj, zanim poszliśmy do Bazyliki.

- Gdzie teraz jesteś?

- Na tym placu, gdzie kupiliśmy złotą maskę.

- Ach, Campo Santo Stefano.

- Tak też twierdzi mój przewodnik.

- Laura, *ascolta*, posłuchaj. Wiem, że jutro już odlatujesz...

- Tak, zaraz po śniadaniu.
- Byłoby bardzo źle, gdybyśmy rozstali się w ten sposób. Wczoraj wieczorem byłem rozgniewany...
- Miałaś do tego pełne prawo. Pożałowałam swoich słów w momencie, kiedy je wypowiedziałam.

Przepraszam.

-Ja wypowiedziałem

pewne słowa, których nie  
 żałuję - odpowiedział o ton ciszej.

- Cieszę się, że zadzwoniłaś.
- *Bene*. Ja też się cieszę. Zjedźmy dziś razem pożegnalną kolację, dobrze?
- O tak! Dziękuję - powiedziała uprzejmie, chcąc zamaskować rozsadzającą ją radość.

- W takim razie wpadnę po ciebie o siódmej.

Laura wyłączyła telefon i przez dłuższą chwilę siedziała nieruchomo, rozkoszując się błogosławionym uczuciem ulgi, która rozlała się i wypełniła ją bez reszty. Campo Santo Stefano nagle stało się najcudowniejszym miejscem na świecie. Już nie czuła się zmęczona, a jutro mogła odlecieć z powrotem w znacznie lepszym stanie ducha, pożegnawszy się z Domenikiem przynajmniej po przyjacielsku. Zadzwoniła do matki, potwierdzając, że przyjedzie prosto do Stavely na weekend, żeby wziąć udział w pannieńskim wieczorze Fen. Potem wróciła do hotelu.

Kiedy punktualnie o siódmej wieczorem zadzwonił telefon, czekała już, ubrana w powiewną, szynonową sukienkę. Spryskała się perfumami i zeszała na dół, starając się kroczyć powoli i z godnością.

Na moment zaparło jej dech, kiedy ujrzała Domenica. Miał na sobie czarny, wieczorowy garnitur,

ośniewiająco białą koszulę i krawat, który od niej dostał.

Z najwyższym trudem powstrzymała się, by nie podbiec i paść mu w ramiona.

- *Buona sera*, Laura - powiedział z uśmiechem, podchodząc do niej. - Wyglądasz piękniej za każdym razem, kiedy cię widzę.

Ty też, pomyślała, a na głos powiedziała tylko:

- Dziękuję.

Kiedy wyszli, Domenico chciał wiedzieć, jak spędziła dzień, lecz od razu zauważył, że mówi o tym bez szczególnego entuzjazmu. W końcu sama przyznała:

- Nie sprawiło mi to radości, Domenico. Po naszej kłótni wczoraj wieczorem, cały dzień miałam dziś nieudany. Coś tam robiłam, żeby zabić czas, co w takim miejscu jak Wenecja jest zupełnym barbarzyństwem.

- Ja też czułem się nieszczęśliwy - wyznał, biorąc ją za rękę. - Aż do popołudnia, kiedy to dostałem twój prezent. Zadzwoniłem do ciebie zaraz potem.

Domenico przyspieszył kroku.

- Chodź - rzekł. - Złapiemy wodną taksówkę.

- Dokąd jedziemy?

- Pomyślałem, że przed kolacją miło byłoby spacerować w Giardini Pubblici. To takie ogrody położone w spokojnej części Castello. Czy jesteś zmęczona po swoich dzisiejszych wędrówkach?

- Nie, ani trochę - zapewniła go, uśmiechając się promiennie, a Domenico w odpowiedzi uściśnął mocno jej rękę.

Spacerując z nim pośród cichych, zielonych ogrodów, jakich nigdy nie spodziewałaby się w Wenecji Laura miała wrażenie, że tańczy.

- W tych pawilonach odbywa się Biennale Sztuki Nowoczesnej - poinformował z uśmiechem. - Ale nie martw się, już dziś nie będziemy nic zwiedzać; biennale przypada tylko na lata nieparzyste.

- W twoim towarzystwie na pewno sprawiłoby mi to przyjemność. Pewnie zwiedzenie Muzeum Guggenheima i kościołów też - przyznała uczciwie.

- Ale dzisiaj nic mnie nie cieszyło, bo byłam sama i nieszczęśliwa.

Domenico schylił się i pocałował ją.

Nawet jeżeli cię to krępuje w miejscu publicznym, mnie to było potrzebne - powiedziała.

Oczy Laury rozbłysły.

- A czy moje pojawienie się rano w twoim hotelu nie okazało się krępujące dla ciebie? - zapytała.

Potrząsnął głową.

- To była wielka niespodzianka, która mnie uszczęśliwiła, a nie wprawiła w zakłopotanie - rzekł z uśmiechem.

Kusiło ją, żeby dowiedzieć się, na czym właściwie polega jego praca. Chciała go zapewnić, że bez względu na to, jej uczucia pozostaną bez zmiany. Jednak wolała przemilczeć ten temat w obawie, by nie zepsuć nastroju ich ostatniego wspólnego wieczoru. A już po chwili zasiedli przy stoliku w restauracji nad kanałem i okazja do takiej rozmowy minęła.

- Mam nadzieję, że ryby jeszcze ci się nie znudziły? - zagadnął.

- Skądże! - zapewniła go. - Powiedz mi, co wybrać.

- Podają tu bardzo dobre rybne spaghetti, z krewkami, pomidorami i chili - *alla busana*.

- Brzmi wspaniale.

Tego wieczoru wszystko było wspaniałe i jedynym cieniem było poważne spojrzenie Domenica, kiedy skończyli kolację i zbierali się do wyjścia.

- Tak mi szkoda, że już jutro wyjeżdżasz, Lauro.

- Mnie też, ale przynajmniej kiedy wrócę do Londynu, będę mogła wspominać ten wieczór - odpowiedziała z mocnym postanowieniem, że zachowa pogodę ducha.

- Nasz wieczór jeszcze się nie skończył, *cara*.

- No tak, jeszcze mamy przed sobą spacer z powrotem.

- Popłyniemy łodzią - powiedziała zdecydowanie i Laura pomyślała, że może rzeczywiście nie chce przechodzić z nią koło swego hotelu.

Słodko i smutno było stać razem z nim przy barierce łodzi i po raz ostatni podziwiać lagunę w świetle księżycy.

- Jutro o tej porze już będę w domu, w Stavely - powiedziała z westchnieniem, wysiadając z *vaporetto*.

Poprosił, żeby zadzwoniła, kiedy tylko przyjedzie.

- Jest jeszcze o wiele za wcześnie, żebyś wracała do hotelu - zauważył. - Może napiłabyś się ze mną herbaty? Pójdziemy do mnie?

Laura nie miała nic przeciwko temu. Przeciwnie, serce zabiło jej szybciej z radości.



- Wczoraj w nocy wcale nie mogłem spać - wyznał cicho Domenico.

- Dlatego, że byłem dla ciebie taka okropna?
- Tak. Ale też dlatego, że tak bardzo cię pragnąłem.

Laura zarumieniła się mocno i była zadowolona, że opuścili już *piazza* i w bocznej uliczce światła były przyćmione.

- Też miałam podobny problem - mruknęła niewyraźnie.

Domenico się zatrzymał.

- Czy chcesz powiedzieć, że pragnęłaś mnie tak samo, jak ja ciebie? - zapytał.

Kiwnęła głową.

- W takim razie z żadnym mężczyzną nie łączyła cię prawdziwa namiętność - orzekł z satysfakcją w głosie.

- Nie było ich aż tak wielu.
- *Bene*.

Byli już blisko jego mieszkania, a kiedy weszli do środka, Laura zarzuciła mu ręce na szyję, a Domenico zamknął ją w mocnym, gorącym uścisku.

Wyznała, że chciała tu przyjść, by móc pobyt jeszcze blisko niego.

- Zadzwoń bym do ciebie dzisiaj, Lauro - powiedział, gdy usiedli koło siebie na kanapie - nawet gdybym nie dostał twojego prezentu.

- Naprawdę?
- Nie potrafiłbym rozstać się z tobą w ten sposób.
- Mnie też byłoby smutno wracać - przyznała.

Przez chwilę panowała cisza, którą przerwał Domenico.

- To bezsensowne, kiedy się pomyśli, że mielibyśmy nie widywać się z powodu pieniędzy.

- Dla mnie to ważna sprawa. W zeszłym roku nie miałam wakacji, więc matka dała mi na urodziny trochę pieniędzy z zastrzeżeniem, że wydam je na wakacje w Toskanii, które planował Edward z przyjaciółmi. Jak ci już mówiłam, mam całkiem niezłą pensję, ale gospodaruję bardzo ostrożnie, żeby oszczędzić coś dla Abby. Muszę też dobrze się ubierać, bo tego wymaga moja praca. Chętnie obciąłabym włosy i chodziła do dobrego fryzjera, ale na to już mnie nie stać, długie włosy są tańsze w utrzymaniu.

- Nie obcinaj włosów, są takie piękne - zareagował żywo Lauro.

- Nie, wysłuchaj mnie. Próbuję ci wyjaśnić, dlaczego nie mogę przyjechać znów do Wenecji wcześniej niż w przyszłym roku, chociaż tak bardzo bym chciała.

- W przyszłym roku! - Nie mieściło mu się to w głowie.

Laura pokiwała głową z żalem.

- Ale może ty mógłbyś przyjechać do Londynu? Czy praca ci na to nie pozwala?

- Jeśli będzie to jedyny sposób, żeby cię zobaczyć, to znajdę na to czas - zapewnił z uczuciem. - A czy znajdzie się dla mnie miejsce w twoim mieszkaniu?

- Tak. - Laura spojrzała mu prosto w oczy.

Nagle posadził ją sobie na kolanach i całował z nieukrywanym pożądaniem.

- *Amore* - wyszeptał. - Tak bardzo cię pragnę...

Laura pogłaskała go po policzku.

- Nie tylko cię pragnę. Zeszłej nocy nie mogłam spać, bo bałam się, że już nigdy nie będę miała okazji żeby ci powiedzieć, że ja też cię kocham, Domenico

Pocałował ją namiętnie, a potem wziął na ręce i zaniósł do sypialni. Tam położył Laurę na łóżku. Rozplótł jej włosy i długo bawił się nimi, jednocześnie pokrywając jej twarz pocałunkami.

Laura nawet w tej chwili dała wyraz swej praktyczności.

- Muszę wrócić do hotelu, wyglądając przyzwyczajenie - oświadczyła i poprosiła, żeby jej pomógł zdjąć sukienkę.

- Bardzo mi się podobają twoje „względy praktyczne” - oświadczył, rozpinając jej suwak.

Czule i powoli wprowadzał ją w tajniki miłości, delikatnie pokonując opór spowodowany jej nieśmiałością i niewinnością.

- To będzie pierwszy raz, kiedy się kochamy, i jednocześnie ostatni na długo - powiedział. - Dlatego chcę, żeby był dla ciebie wspamiętany, *carissima*.

I tak też się stało.

Kiedy oboje ochłonęli z rozkoszy, a Domenico nadal przeczesywał palcami włosy Laury, ona nagle westchnęła głęboko.

- Co się dzieje, kochanie? - zapytał.

- Po prostu mi żal, że nie mogę zostać tu z tobą aż do rana - rzekła szczerze i przeciągnęła się sennie.

- Mnie też żal - Domenico pocałował ją delikatnie. - Ale signora Rossi oczekuje, że odprowadzę cię

przed północą, najdroższa. Przyjdę po ciebie wcześniej rano i zjemy razem ostatnie śniadanie, a potem odwiozę cię na lotnisko.

- A nie musisz być w pracy?

- Dopiero kiedy cię odwiozę.

- Masz bardzo wygodną pracę, Domenico.

- Opowiem ci o tym rano - obiecał z uśmiechem.

- Jutro porozmawiamy; ten wieczór mamy po to, żeby się kochać.

Było już mocno po północy, kiedy dotarli do Locanda Verona, lecz signora Rossi przyjęła przeprosiny Domenica, uśmiechając się pobłażliwie. Życzył jej dobrej nocy, a Laurze przesłał dłonią pocałunek, obiecując jeszcze raz, że rano się zjawi.

- *Grazie, e stata una magnifica serata* - odpowiedziała ze smutnym uśmiechem.

- Dobranoc, Lauro.

- Dobranoc, Domenico.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, poczuła naraz, że siły ją opuszczają i usypia na stojąco. Poprosiła, żeby jej rachunek był gotowy na rano, pożegnała signore i nareszcie, upojona szczęściem, mogła pójść do siebie.

Padła na łóżko i spała jak zabita, aż do rana, kiedy obudził ją dźwięk telefonu.

- Halo - powiedziała półprzytomnie, lecz zerwała się, słysząc głos Domenica.

- Czy coś się stało? - zapytała niespokojnie.

- Niestety, tak, *carissima*. W hotelu wynikł pewien problem i proszono mnie o pomoc, więc...

- Nie możesz mnie odwieźć na lotnisko. Nie

martw się. Przykro mi, że nie przyjdiesz, ale da sobie radę.

- Mnie jest nie tylko przykro - powiedział po spiesznie. - Tyle jeszcze chciałbym ci powiedzieć. Proszę, zadzwoń do mnie wieczorem.

- Dobrze, zadzwonię - obiecała, starając się, żeby głos jej nie drżał. - Do widzenia, Domenico.

- *Arivederci, tesoro*. Uważaj na siebie, dobrze?

- Ty też!

Po tej rozmowie Laura czuła się tak zwiedziona, że chciało jej się wyć. Tak bardzo chciała spędzić z nim ostatnie godziny w Wenecji. Westchnęła ciężko i z trudem wzięła się w garść. Musiała przecież przygotować się do wyjazdu. Kiedy była spakowana, zeszła na dół, żeby opłacić rachunek, który okazał się zaskakująco niski. Signora Rossi wyjaśniła, że ze względu na to, że pokój jest na poddaszu, dużo mniejszy niż inne i bez windy, otrzymała zniżkę w stosunku do normalnej opłaty.

Laura podziękowała jej serdecznie i pożegnawszy gościnną właścicielkę hotelu, wyruszyła na lotnisko. Musiała złapać łódź linii Aligaluna nr 1 i wzdłuż Canale Grandę odbyć powrotną podróż na lotnisko Marco Polo, a stamtąd do szarej i zasnutej mgłami Anglii.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nad Francją pogoda się popsowała, a gdy schodzili do lądowania na Heathrow, samolotem mocno rzucało.

Po wylądowaniu Laura musiała wsiąść w pociąg do Reading, skąd miała przesiadkę na intercitty do południowej Walii. Przed odjazdem zadzwoniła jeszcze do matki, która zaofiarowała się wyjechać po nią do Bristolu.

I rzeczywiście, kiedy tylko wydostała się z załoczonego wagonu na stacji Bristol Parkway, w strumieniach deszczu powitała ją matka, ledwo widoczna spod wielkiej peleryny.

- Witaj, kochanie - zawołała. - Jak było w Wenecji?

- Cudownie. I o wiele cieplej niż tutaj. Co za wstrętna pogoda!

Laura ucałowała matkę serdecznie.

Pobiegły na parking, gdzie jak najszybciej upakowała swoje rzeczy w bagażniku i z westchnieniem ulgi usiadła na przednim siedzeniu obok matki.

- Jak tam Abby? - zapytała.

Isabel Green uśmiechnęła się do córki z satysfakcją.

- Teraz pracuje, ale tylko do końca tygodnia

-powiedziała. - Potem wyjeżdża do Francji z Rachel Kent i jej rodziną. A potem, dopóki nie pójdzie do Cambridge, będzie mogła się bawić jak inne dziewczyny w jej wieku.

- Jakim cudem? - Laura nie wierzyła własnym uszom. - Wygrałaś na loterii, czy co?

- Prawie trafiłaś. Moje obligacje wreszcie poszły w górę. Wygrałam pięćdziesiąt tysięcy funtów!

- Naprawdę? Jak to wspaniale!

Kiedy dostałam czek, obie odtańczyłyśmy taniec wojenny dookoła pokoju!

- Wcale się nie dziwię. Moje gratulacje, ty szczęściaro - powiedziała Laura ze śmiechem.

Po drodze matka uprzedziła ją, że może niebawem spodziewać się wizyty Fen, która ma przynieść jej sukienkę i na pewno będzie chciała dowiedzieć się wszystkiego o pobycie w Wenecji.

Laura zarumieniła się lekko i zadowolona była, że matka tego nie widzi, skoncentrowana na prowadzeniu samochodu.

- Szwagier Fen wysłał kogoś po mnie na lotnisko - powiedziała. - Ma na imię Domenico i trochę mnie oprowadzał po Wenecji.

Isabel rzuciła jej rozbawione spojrzenie.

- Wakacyjny romans?

- Po prostu opiekował się mną, bo prosił go o to Lorenzo Forli.

- No to przynajmniej ci się udało. A hotel był w porządku?

- To raczej pensjonat niż hotel, ale za to nieskazitelnie czysty. Miałam malutki pokój, z własną

łazienką i bajecznym widokiem. - Laura zachichotała. - Teraz, kiedy jesteś kobietą zamożną, też mogłabyś się tam wybrać.

- Wcale niewykluczone.

- Na wszelki wypadek wzięłam broszurkę reklamową z Locanda Verona, to będziesz mogła sobie poczytać.

Kiedy minęły most na Severn, co wymagało od kierowcy szczególnie skupionej uwagi, Isabel zasympała córkę dalszymi pytaniami.

Laura starała się omijać temat Domenica, natomiast złożyła matce szczegółowe sprawozdanie ze wszystkiego, co przez te kilka dni zdołała zobaczyć i zwiedzić.

- A jak przygotowania do ślubu Fen? - zapytała w końcu.

Isabel się uśmiechnęła.

- Fenny jest całkiem spokojna. Kiedy już wie, że niebawem wyjdzie za Joego Tregennę, nic jej snu nie odbiera. Ale z mojego punktu widzenia życzyłabym sobie, żeby pogoda do tego czasu się poprawiła. Mój nowy kapelusz ma naszywkę: „Nie nosić podczas deszczu”!

Kiedy z głównej szosy skręciły w Springfield Lane, musiały się zatrzymać, bo przez drogę przechodziło stado krów. Ich mały domek położony był na wsi i początkowo, dwanaście lat temu, Laurze trudno było się do niego przyzwyczaić. Isabel dołożyła jednak wszelkich starań, żeby Briar Cottage stał się miłą i przytulną i rzeczywiście już wkrótce wszystkie trzy poczuły, że teraz to jest ich miejsce na świecie.

- Dzięki Bogu, już w domu! - westchnęła Laura, kiedy weszły do kuchni.

Chciała się jak najszybciej rozpakować, matka zaś zapowiedziała, że zaraz zaparzy herbatę.

Abby była jeszcze w pracy, lecz zaraz potem miała iść na przyjęcie do Rachel Kent i tam nocować.

- Chyba nie będziesz jej miała tego za złe? - zapytała Isabel starszą córkę.

- Ależ skąd! Należy jej się trochę rozrywki. Zresztą, niedługo przyjdzie Fen.

Wieczór mijał, a one rozmawiały głównie na temat sukcesu finansowego Isabel i związanych z tym planów. Kiedy jednak rozmowa znów zeszała na temat Wenecji, Laura przypomniała sobie o pamiątkach i upominkach.

Isabel była zachwycona prezentami, aksamitne pantofle od razu włożyła.

- Dziękuję, kochanie - powiedziała serdecznie.  
- Te pantofle są zbyt piękne, żeby je nosić po domu, ale nie mogę się powstrzymać. Ajutro musimy znaleźć dobre miejsce, żeby powiesić tę maskę. Jak przyjdzie Fen, zabierz ją do siebie na górę, dobrze? Ja będę chciała obejrzeć mój ulubiony serial.

- No jasne, nie możesz go opuścić.

Laura uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

Znajomy pisk opon przed domem obwieścił przyjazd Fenelli Dysart.

Biegiem wpadła do środka, położyła śpiwór na kuchennym stole i uściskała je obie.

- Niech pani się nie martwi - zawołała wesoło.

\_ Nie przyjechałam tu nocować. W śpiworze mam suknię Laury, żeby się nie zamoczyła. Nie będzie pani przeszkadzać, jeśli od razu pójdziemy na górę, żeby ją przymierzyła?

- Nawet miałam nadzieję, że pójdziecie - uśmiechnęła się Isabel. - Spokojnie obejrzę sobie serial.

Kiedy były już na górze, w jej sypialni, Laura obejrzała dokładnie sukienkę, którą miała nosić jako pierwsza drużna na ślubie Fen.

Suknia była piękna. Z krepy koloru bursztynu, wąska do kolan, a poniżej rozszerzająca się w trzy satynowe falbany sięgające kostki.

Natychmiast ją przymierzyła i z przyjemnością przyglądała się sobie w lustrze.

- Ładnie - orzekła z satysfakcją.

- Nie tylko ładnie, ale doskonale - poprawiła ją przyjaciółka. - Jest prawie dokładnie w kolorze twoich oczu. Bezbłędnie wybrałam, prawda?

- Wiesz, trochę się obawiałam - przyznała Laura - ale naprawdę jest dobrze.

- No widzisz! To zejdź i pokaż się mamie, a potem musisz mi opowiedzieć wszystko o Wenecji.

Kiedy suknia wisiała już bezpiecznie w szafie, obie przycupnęły z kubkami kawy na parapecie, który był zawsze ich ulubionym miejscem pogaduszek.

Lecąc samolotem, Laura cały czas marzyła, żeby opowiedzieć przyjaciółce o mężczyźnie, którego poznała, lecz teraz, kiedy zaczęła mówić, Fen powstrzymała ją ruchem ręki.

- Więc Giando po ciebie nie wyszedł? - zapytała. - Pewnie zrzucił to na kogoś innego, bo wiem od Jess, że Lorenzo kazał mu odebrać cię z lotniska.

- Wyszedł po mnie niejaki Domenico Chiesa - powiedziała Laura powoli.

- A, to on. Zapomniałam, że on teraz występuje jako Domenico, ale w rodzinie wciąż nazywają go Giando.

- Czy to ten sam Giando, o którym myślę? - zapytała Laura podejrzliwie.

- Na pewno - potwierdziła Fen. - Kiedy my byliśmy w szkole, on chodził przez jakiś czas do tego college'u językowego w Cheltenham, ale ty go chyba nie poznałaś. To kuzyn Lorenza. Jego matka jest z domu Forli. Ojciec miał sieć hoteli w Wenecji, ale przeszedł na emeryturę, więc Giando... przepraszam, Domenico przejął jego obowiązki. Musi być bardzo zajęty, więc cieszę się, że znalazł czas, żeby wyjść po ciebie na lotnisko.

- Bardzo się śpieszył.

- Naprawdę? To dziwne, on jest zwykle czarujący wobec kobiet. No, a jak tam hotel? W porządku? Lorenzo podkreślał, że masz ograniczone środki, ale jesteś bardzo honorowa.

- Po prostu chcę być niezależna. - Laura zadarła dumnie brodę. - W każdym razie hotelik był bardzo miły, parę kroków od Piazza San Marco. Bezjedenia, musiałam jeść na mieście.

Wymieniła nazwy miejsc, w których jadała, po czym wyjęła z szafy dwie paczki - prezenty dla Fen.

- Proszę, to małe to jest taki drobiazg - rzekła, podając paczuszkę przyjaciółce. - A to drugie, to twój prezent ślubny, kupiłam go na Murano. Mam nadzieję, że ci się spodoba.

Fen natychmiast rozpakowała prezenty. Ucieszyła się z jaskrawożółtego T-shirtu opatrzonego logo Wenecji. Na widok świecznika z Murano oczy jej roz błysły.

- O Boże! - wykrzyknęła. - Jaki piękny! Będzie wspaniale wyglądał na naszym nowym stole... właściwie na starym, bo to antyk. Już nie mogę się doczekać, kiedy go pokażę Joemu. - Rzuciła się, żeby Laurę uściskać.

- No właśnie, a gdzie jest teraz twój pan młody?

- Ten weekend spędza na łonie rodziny w Kornwalii. Rozstaliśmy się wczoraj, a ja już za nim tęsknię - powiedziała z westchnieniem. - Ty tego pewnie nie rozumiesz - dodała. - Ale kiedyś też spotkasz kogoś, bez kogo nie będziesz umiała żyć.

Laura pomyślała, że nawet już się to stało, lecz nie dała nic po sobie poznać. W milczeniu zebrała kubki po kawie, bo Fen już zaczęła się żegnać.

Kiedy wyszła, Laura zaczęła się zastanawiać, dlaczego Domenico ukrył przed nią swój związek z rodziną Forlich. Czy obawiał się, że ona będzie chciała to wykorzystać? Czy dlatego nie chciał zabrać jej do Pałacu Forli, że się jej wstydził? Dzięki Bogu, że dowiedziała się, kim on jest, zanim zaczęła przechwalać się przed Fen, gdzie z nim była.

Kiedy po jakimś czasie zeszła na dół do saloniku,

jej matka podniosła wzrok znad broszurki z Locanda Verona.

- Ładny hotelik - stwierdziła.

- Ładny i tani. Dostałam zniżkę ze względu na to, że pokój był mały i musiałam wchodzić na górę po schodach.

Isabel uniosła brwi.

- Tutaj piszą, że za pojedyncze pokoje jest dopłata, o zniżkach nie ma ani słowa.

Laura przez chwilę uważnie studiowała cennik, potem zerwała się na równe nogi.

Najpierw zadzwoniła do Fenelli, żeby wyjaśnić sprawę, tajednak nic nie wiedziała, a na wiadomość, że Laura ma pretensje o zbyt niski rachunek, pewnie zrobiła sobie kółko palcem na czole. Tego jednak przez telefon nie było widać.

- Tak czy owak, ja nie mam z tym nic wspólnego - zakończyła. - Poprosiłam tylko Lorenza, żeby załatwił ci jakiś pokój, na który cię będzie stać. Chcesz zadzwonić do niego i zrobić awanturę?

- Nie, oczywiście, że nie!

- W takim razie uznaj tę zniżkę za dar losu...

- Raczej za jałmużnę!

- Oszalałaś?! To do jutra.

Laura jednak nie zamierzała na tym zakończyć sprawy, mimo że jej matka starała się rzecz zbagatelizować. Postanowiła wyjaśnić to u źródła, telefonując do signory Rossi.

Po wymianie wstępnych uprzejmości przeszła do rzeczy, a signora Rossi przyznała z westchnieniem,

że różnica w rachunku między rzeczywistym kosztem pokoju a tym, co zapłaciła Laura, została wyrównana.

Słyszac to, Laura zeszywniała.

- W takim razie bardzo bym chciała wiedzieć - wydusiła przez ściśnięte gardło - kto jest moim dobroczyńcą. Muszę mu przecież podziękować za tę uprzejmość. Czy to może przypadkiem signor Lorenzo Forli?

- Nie, panno Green, to signor Chiesa - odparła kobieta niechętnie.

- Ach tak. Dziękuję, że mi pani powiedziała.

*Arrivederci.*

Zakończywszy tę rozmowę, trzęsła się ze złości.

Ponieważ miała rezerwację hotelową zrobioną za pośrednictwem szwagra Fen, nie przyszło jej nawet do głowy, żeby coś tu sprawdzać, nawet kiedy dostała ten nierealistyczny rachunek. Zresztą Domenico-Giando pewnie nie traktował tego wcale jako aktu dobroczynności, lecz raczej chciał się w ten sposób zrewanżować za ich ostatni wieczór w łóżku.

Matce powiedziała, że sprawa się wyjaśniła i nikomu nic nie jest winna, a to Lorenzo Forli załatwił jej tani pobyt w Wenecji i podziękuje mu za to na ślubie Fen.

Poszła do siebie na górę i od dłuższego czasu siedziała na parapecie, wpatrując się w strugi deszczu za oknem, kiedy zadzwonił telefon.

Tak jak się spodziewała, był to Domenico. Pytał, jak dojechała i dlaczego do niego nie dzwoni.

- Dobry wieczór, Giando - powitała go.

Zrozumiał, że rozmawiała już z Fen.

Laura natychmiast zreferowała mu sprawę rachunku, a on nie widział nic złego w fakcie, że pokryli część opłaty hotelowej.

- Czy to takie przestępstwo? - zapytał.

- Nie, to coś, co jeszcze mniej lubię: filantropia.

- CO?

- Dobroczynność - warknęła, a potem na chwilę zapanowało milczenie.

- A może po prostu uważałeś to za rekompensatę - dodała. - W końcu, chyba pamiętasz, że się kochaliśmy...

- Jak mógłbym o tym zapomnieć? Ale o co ci chodzi z tą rekompensatą? *Dio*, tak trudno o tym mówić przez telefon... - przerwał i chyba dopiero teraz zrozumiał słowa Laury, bo wybuchnął: - Chcesz powiedzieć, że dopłaciłem ci do rachunku w zamian za tamto? *Azìe!*

- To ja powinnam być wściekła, Domenico - Laura musiała wyrzucić z siebie wszystko do końca. - Tak gorliwie robiłeś różne wyznania, to dlaczego przede wszystkim nie powiedziałaś mi, kim naprawdę jesteś? Bałeś się, że mogę wykorzystać fakt, że nie pracujesz w hotelu, tylko jesteś jego właścicielem?

- Pracuję tam - odparł sucho. - A może dlatego trzymałem w tajemnicy moją tożsamość, że jestem romantykiem, a tego praktyczna panna Green pewnie nie jest w stanie zrozumieć. Chciałem zdobyć twoje uczucia tylko dlatego, że jestem sobą, a nie dlatego, że jestem kuzynem Lorenzo Forli, czy dlate-

, że podlega mi cała sieć hoteli Forli. Miałem ci to wszystko powiedzieć przy śniadaniu, przed twoim odlotem, ale tak się złożyło, że w hotelu ktoś nagle zachorował i musiałem tego dopilnować. Takich spraw staram się nie zlecać innym.

- To mogę zrozumieć...

- A więc spróbuj zrozumieć także i tamto, Lauro, przyszło mi do głowy, że zapłacę część twojego rachunku, bo byłaś dla mnie ważna i chciałem ci trochę ulżyć finansowo. - Tu głos mu stwardniał. - Ale jeżeli uważasz to za zobowiązanie nie do przyjęcia, to jest na to prosty sposób: możesz mi po prostu te pieniądze odesłać. *Arivederci*

- Domenico... - Laura próbowała coś jeszcze powiedzieć, coś ratować, ale on już się rozłączył. Zadzwoiła do niego, lecz wyłączył telefon.

Ze smutkiem stwierdziła, że o swoim uczuciu do niej mówił w czasie przeszłym.

Kiedy opanowała się na tyle, żeby nie płakać, zeszła na dół i opowiedziała całą historię matce.

Isabel wysłuchiwała jej w milczeniu.

- Musisz nauczyć się przyjmować pewne rzeczy w takim duchu, w jakim zostały ofiarowane, kochanie - zauważyła łagodnie.

- Ale nie pieniądze, mamó!

- Po co ten dramat? Przecież widać, że on nie miał złych intencji.

Laura podniosła na matkę oczy mokre od łez.

- Bo ja go kocham, a przynajmniej kocham kogoś, za kogo go dotąd uważałam.

- Czyli dokładnie kogo?



- Myślałam, że on tylko pracuje w hotelu, a nie jest właścicielem całego cholernego przedsiębiorstwa! Widać było, że jest zamożny, ale sądziłam, że jest jednym z menedżerów czy kimś w tym rodzaju, Gdybym znała prawdę, trzymałabym buzię na kłódkę,

- Na jaki temat?

- Opowiadałam mu o naszej trudnej sytuacji finansowej, o moim napiętym budżecie i o tym, że odkładam trochę pieniędzy dla Abby. Kiedy dowiedziałam się, że zapłacił część mojego rachunku, poczułam się, jakbym skamlała o jałmużnę.

- Czy on cię kocha? - dowiadywała się matka.

- Tak mówił. Ale teraz pewnie mu przeszło. To typowy weneccjanin, dumny i łatwo się obraża.

- No to macie sporo wspólnego. - Isabel uśmiechnęła się lekko, a Laura początkowo nie zrozumiała.

- Więc jestem aż taka okropna? - zapytała z niedowierzaniem.

- Nie okropna, niezależna. Odkąd zostaliśmy same, zawsze czułaś się odpowiedzialna za rodzinę. Teraz możesz już to z siebie zrzucić. Sytuacja się zmieniła, nie musisz już pomagać mnie i Abby. Powinnaś zająć się sobą. Jeśli naprawdę zależy ci na tym mężczyźnie, postaraj się to jakoś naprawić..

Laura znów była bliska płaczu.

- Gdyby to był zwykły pracownik hotelu, to mogłabym spróbować, ale teraz, kiedy wiem, kim jest, nie mam ruchu. Domenico Chiesa to nie moja sfera. Nie przejmuj się, mamó. Odłóż tę historię do wspomnień jako wakacyjny romans i niedługo o tym zapomnę.

- Będziesz umiała?

- Będę musiała. A póki co, jutro jest panieński wieczór Fen. To powinno rozpedzić moje smutki!

Następnego dnia obudziła ją Abby, wnosząc do pokoju tacę ze śniadaniem. Wpadła do domu tylko na chwilę, po przyjęciu i nocy u przyjaciółki. Zaraz pędziła do pracy, ale musiała przecież zobaczyć się z siostrą.

Laura uśmiechnęła się do swej młodszej siostry, która mimo zarwanej nocy wyglądała promiennie jak poranek.

Szybko wymienili najważniejsze nowiny. Okazało się, że Abby złożyła wymówienie w kawiarni, gdzie pracowała. Dzięki nieoczekiwanej poprawie finansów matki nie musiała już pracować i wkrótce miała wyjechać na wakacje do Francji. Była tym bardzo podekscytowana.

- No, a jak było w Wenecji? - zapytała. - Tak wspaniale, jak się spodziewałaś?

- Jeszcze bardziej - odpowiedziała Laura. - Mam coś dla ciebie, tam, na toalecie.

Abby z entuzjazmem rzuciła się do rozpakowywania prezentów. Była jeszcze prawie dzieckiem, mimo że wkrótce miała zacząć studia.

Natychmiast włożyła jaskrawopurpurową koszulkę z napisem: „Wenecja” i przymierzyła kolczyki z kolorowego szkła.

- No i jak wyglądam? - zapytała, okręcając się zalotnie dookoła.

- Doskonale. Świetnie ci w tym kolorze - oceniła siostra.

Okazało się, że Abby ma tego wieczoru spotkanie z Marcusem, bratem Rachel, który zaprosił ją koncert na otwartym powietrzu, więc tym bardziej jej zależało, żeby ładnie wyglądać.

Laura powstrzymała się od komentarza na temat randki z Marcusem, młodym adwokatem. Jej zdaniem nie było to towarzystwo dla Abby, ale wiedziała, że lepiej się nie wtrącać.

- Ale ty wyglądasz jakoś nieszczególnie. - Siostra popatrzyła na nią badawczo. - Boli cię głowa?

- Trochę - przyznała Laura, uśmiechając się ze smutkiem. - Ale to przejdzie.

W niedzielę wieczorem wróciła do swojego londyńskiego mieszkania. Przez całą drogę jej telefon milczał jak zakłęty. Nie spodziewała się, że Domenico zadzwoni, ale w głębi serca miała taką nadzieję. Zastanawiała się, czy wysłać mu z powrotem pieniądze, czy nie. Na pewno nie chciała jeszcze bardziej go obrazić. Sytuacja była trudna.

Po powrocie zadzwoniła do matki, zrobiła sobie kawę, przygotowała ubranie do pracy na następny dzień. A kiedy w końcu zadzwonił telefon, okazało się, że to tylko Fen. Przypominała jej, że w piątek odbędzie się próba ceremonii ślubnej. Laura miała przyjechać na nią prosto z pracy. Traktowała swoją rolę pierwszej drużyny bardzo poważnie.

Kiedy omówiły sprawę przygotowań do ślubu, Fen zagadnęła jeszcze o pobyt Laury w Wenecji, bo zdawało jej się, że przyjaciółka od powrotu stamtąd jest jakaś nieswoja.

- Nic strasznego się tam nie zdarzyło? - zapytała nagle.

- Nie, było cudownie.

- Bo już myślałam, że Giando... że Domenico cię jakoś uraził.

- Nie, przeciwnie - odpowiedziała Laura. - Nawet dbał o mnie i zaprosił na kolację.

- To dopiero teraz mi o tym mówisz? - wybuchnęła przyjaciółka. - I jak się ze sobą dogadywaliście?

- Bardzo dobrze, tylko że przez cały czas ukrywał przede mną, że jest spokrewniony z Lorenzem i że kieruje hotelami w Wenecji.

- A co to za tajemnica?

- Chciał, żebym go polubiła dla niego samego, a nie dla jego pozycji i majątku.

- Czy on oszalał?

- Myślę, że to taki uraz z przeszłości. Po tym, jak narzeczona porzuciła go dla jego przyjaciela - wyjaśniła Laura.

- To było wiele lat temu. A teraz na pewno już nie Alessa mu w głowie, bo wiem od Jess, że w jego życiu pojawiła się jakaś nowa kobieta - odpowiedziała Fen.

- Naprawdę? Kto to jest? - Laura zeszywniała.

- Jess nie wiedziała dokładnie, ale znając go, to na pewno jakaś seksbomba, od stóp do głów wystrojona przez Versace. Zresztą sama możesz go o to zapytać. Będzie na moim ślubie!

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Zazdrość spustoszyła Laurę jak tsunami. Bezsen-  
ną noc spędziła, przeklinając chwilę, w której po-  
znała Domenica. Następnego ranka kupiła euro, które  
mu była winna. Chciała mieć tę satysfakcję, że wrę-  
czy mu je osobiście; bez względu na to, czy będzie ze  
swą nową panią przy boku, czy nie.

Podjąwszy tę decyzję, dołożyła wszelkich wy-  
siłków, żeby choć na parę dni wymazać z pamięci  
wenecki epizod i jego bohatera. W pracy nawet  
jej się to udawało, bo jej obowiązki w Banku In-  
westycyjnym Docklands wymagały pełnego zaangażowania. Praca Laury łączyła w sobie umiejętności  
sekretarskie i badawcze; należało do niej zbieranie  
odpowiednich informacji z Internetu i instytucji tak-  
kich jak agencja Reutera, zbieranie ich w raportach  
bieżących i przekazywanie urzędnikom w sali ope-  
racyjnej banku.

Po południu wychodziła z koleżankami z pracy na  
drinka, albo coś zjeść. Wieczorem, korzystając  
z obiektów sportowych znajdujących się w jej bloku,  
pływała albo ćwiczyła na siłowni.

Problemem były tylko bezsenne noce. Laura za-  
ciskała zęby ze złości i w nieskończoność przewra-  
cała się z boku na bok. Jeśli takie były skutki posia-

dania kochanka, to dobrze, że nie miała ich wielu.  
*fi on?* Pewnie taką samą taktykę stosował w przypad-  
li każdej kobiety, którą pięknymi słówkami starał  
się zwabić do łóżka.

Tymczasem Abby wyjechała na wakacje do Fran-  
cji, a Isabel zadzwoniła, że ma już rezerwację na  
wyjazd nad jeziora, dokąd wybierała się z przy-  
jaciółką.

Poradziła matce z goryczą, żeby uważała na waka-  
cyjne romanse.

Sen dopadł jej w momencie najmniej pożądanym,  
to znaczy w czwartek nad ranem. Zasnęła, więc  
szybko wyskoczyła z łóżka. Nie zdążyła wypić kawy,  
nie mówiąc już o śniadaniu, i pobiegła na stację.

Nieszczęście nie kazało na siebie długo czekać.  
W biegu potknęła się o obluzowaną płytę chodniko-  
wą i upadła jak długa prosto na twarz. Kiedy z trudem  
usiadła na ziemi, w głowie jej się kręciło i widziała  
gwiazdy przed oczami. Przez chwilę badała, czy ma  
wszystkie zęby w porządku. Kiedy trochę ochłonęła,  
próbowała się podnieść, żeby pozbierać swoje rze-  
czy, które leżały porozrzucane dookoła. W tym mo-  
mencie jednak dotkliwy ból przeszył jej kostkę.

Opierając się na zdrowej nodze i przytrzymując  
się latarni, wstała niepewnie i nieporadnie wytarła  
krew z twarzy.

- Przepraszam, nic się pani nie stało? - odezwał  
się ktoś obok i Laura zobaczyła młodego mężczyznę  
wyglądającego na urzędnika. Widział, jak upadła,  
i podszedł, żeby jej pomóc.

- To bardzo uprzejmie z pana strony - wyjąkała.  
 - Gdyby zauważył pan tu gdzieś mój telefon, zadzwoniłabym po taksówkę, żeby mnie zawiozła do szpitala.

Telefon się znalazł, lecz niestety był niezdatny do użytku. Na szczęście dobry samarytanin pomógł Laurze wszystko załatwić i odszedł dopiero wtedy, gdy się upewnił, że bezpiecznie wsiadła do taksówki.

W Izbie Przyjęć było pełno. Kiedy w końcu zdołała porozmawiać z pielęgniarką w rejestracji, ta powiedziała, że lekarz będzie mógł ją przyjąć za jakieś trzy godziny.

Kiedy doczekała się wreszcie na wizytę, miała już potworny ból głowy, w kostce jej pulsowało i ledwie widziała z powodu opuchlizny pod prawym okiem.

Na szczęście prześwietlenie wykazało, że nic sobie nie złamała. Kostka była boleśnie skręcona, obrażenia twarzy i głowy tylko zewnętrzne.

Kiedy to wszystko stwierdzono, dostała środki przeciwbólowe i mogła wracać do domu. Z automatu zadzwoniła więc znów po taksówkę i spokojnie czekała na ławce przed szpitalem.

Nagle zamarła na widok postaci w białym fartuchu, o znajomej, chłopięcej twarzy.

To był dobrze jej znany doktor Edward Lassiter.

- Laura, to ty? Co ci się stało? Czy ktoś cię napadł? Byłaś już u lekarza? - zasypał ją z miejsca lawiną pytań.

- Cześć, Edwardzie - odpowiedziała chłodno.  
 - Wywróciłam się po drodze do pracy. Właśnie

miałam prześwietlenie i na szczęście nic sobie nie złamałam. Nie wiedziałam, że tu się przeniosłeś.

Gdyby wiedziała, pojechałaby gdzie indziej.

- Pracuję tu od zeszłego tygodnia. - Spojrzała na zegarek. - Odwiózłbym cię do domu, ale mam dyżur.

- Nie ma potrzeby, zaraz będzie taksówka.

Wziął ją za rękę.

- Teraz muszę lecieć, ale wpadnę potem do ciebie.

- Dziękuję, ale mnie nie będzie. Jadę do domu, do Stavely.

Laura czuła, że znowu go dotknęła, lecz nie miała siły, żeby się tym przejmować.

Po dotarciu do domu przejrzała się w lustrze. Musiała pogodzić się z brutalną prawdą, że wygląda strasznie. Jedną brew miała rozciętą, pół twarzy otarte i opuchnięte, a oko przez to jakby skośne. Wszystko jednak zdawało się bez znaczenia. Fatalne było nie tylko to, że nie będzie mogła wziąć udziału w ślubie swej najlepszej przyjaciółki, lecz że straci także szansę zobaczenia Domenica.

Na tę myśl łzy popłynęły jej z oczu, lecz ponieważ od tego jeszcze bardziej piekła ją policzek, otarła je, parę razy odetchnęła głęboko i wzięła się w garść.

Zostawiła matce wiadomość, że przyjedzie o jeden dzień wcześniej i prosi, żeby wyjechała po nią na stację. Zadzwoniła też do Fen, której z trudem wytłumaczyła, co się stało i że, niestety, będzie musiała sobie jakoś poradzić bez pierwszej drużyny.

Potem spakowała torbę, zrobiła sobie herbatę i przyłożyła okład z lodu na policzek. Kiedy trochę

wypoczęła, włożyła stare buty na płaskiej podszwie, owiązała sobie głowę szalem, żeby jak najmniej było ją widać i założyła ciemne okulary. Tak ucharakteryzowana wyszła z domu, by złapać pociąg do stacji Bow Road, co było pierwszym etapem jej podróży. Po kilku godzinach dojechała do Bristolu i z ulgą zobaczyła czekającą na peronie matkę.

- Jak to dobrze, że odebrałaś na czas moją wiadomość - powiedziała z wdzięcznością, zdejmując szal i okulary. - Tylko nie zemdlej na mój widok - uprzedziła. - Dziś rano przewróciłam się na ulicy, ale to nic poważnego, tylko wygląda okropnie.

Isabel, dowiedziawszy się, co powiedział lekarz i co zalecił, zawiozła córkę do domu.

- Do łóżka! - zarządziła stanowczo, kiedy przyjechały, i sama zajęła się wszystkim.

Laura z trudem wgramoliła się na górę i przysiadła na skraju łóżka, zbyt zmęczona i obolała, żeby się rozebrać.

Na szczęście przyszła matka, która ochłonawszy z szoku na widok córki, przejęła kontrolę nad sytuacją.

Pomogła jej położyć się do łóżka, a po chwili wkroczyła z dzbankiem parującej herbaty, co jak wiadomo, jest najlepszym lekiem na wszystko. Przyniosła także torebkę z lodem na okłady.

Laura opowiedziała jej o spotkaniu z Edwardem.

- No i jak było? - zapytała matka.

- Chciał mnie odwiedzić, ale powiedziałam, że mnie nie będzie i chyba znów go obraziłam.

- Nie myśl teraz o Edwardzie. Wypij herbatę, a potem poleż trochę z lodem na twarzy, to ci dobrze zrobi.

W chwilę później wpadła Fen. Na widok przyjaciółki wydała okrzyk przerażenia.

- Rany boskie! - zawołała. - Czy jesteś pewna, że nic sobie nie złamałaś?

Tego akurat Laura była pewna, co jednak nie poprawiało sytuacji w kwestii ślubu.

Fen do tej pory miała jeszcze nadzieję, że trochę grubsza warstwa makijażu pozwoli Laurze wziąć udział w jej uroczystości, lecz teraz pozbyła się złudzeń.

- Wszystko bym dała, żeby być na twoim ślubie - zapewniła Laura smutno - ale mogę być tam obecna tylko duchem. Gdybym przyszła, wystraszyłabym ci wszystkich gości.

Próbowała żartować, ale przyjaciółka nie dała się zmylić.

- Czujesz się fatalnie, prawda, kochanie? - zapytała.

Laura tylko kiwnęła głową.

Fen wycofała się, żeby jej dłużej nie męczyć, i obiecała, że zadzwoni następnego dnia.

Matka dogadzała jej, jak mogła, chcąc oszczędzić córce wysiłku. Jednak już następnego dnia rano Laura pojawiła się na dole.

- Czuję się już dużo lepiej i nie musisz koło mnie skakać - uprzedziła pytania Isabel. - Sińce mam teraz na szyi.

- Brodę też masz mocno podrapaną - stwierdziła

matka, przyglądając jej się uważnie. - A jak twój kostka?

- Da się wytrzymać. Ze dwie tabletki przeciw bólowe i parę filiżanek herbaty powinno mi pomóc

Kiedy matka wyszła do pracy i Laura została sama, kilkakrotnie dzwoniła Fen z różnymi pytaniami i życzeniami zdrowia od wszystkich członków swojej rodziny.

- Podziękuj im ode mnie. - Laura była wzruszona. - A teraz idź już zająć się sobą, Fenello Dysart. Jutro jest twój wielki dzień, więc skup się na tym i bądź szczęśliwa.

- Zobaczymy się, jak wrócę z Włoch - zapewniła Fen. - Zrobimy sobie wtedy specjalne przyjęcie!

W dzień ślubu było słonecznie i gorąco, ale Laura, złożywszy rano życzenia pannie młodej, zносиła go z trudem.

Z żalem myślała, że powinna być teraz we Friars Wood, towarzyszyć pannie młodej i czuwać nad trójką młodziutkich druchen.

Po lunchu Isabel zeszła na dół, gotowa do wyjścia i przybrawszy teatralną pozę, zapytała, jak wygląda. Miała na sobie prostą, płócienną sukienkę i wielki, brązowy kapelusz.

- Wspaniale! - oceniła Laura. - A teraz jedź już, bo nie znajdziesz miejsca do parkowania. Zrób masę zdjęć i ucałuj ode mnie Fen.

Nieomal wypchnęła matkę za drzwi, zanim obie zdążyły się wzruszyć. Potem znowu popadła w przy-

gnębienie. Jakoś musiała przetrwać to popołudnie i wieczór.

Dla zabicia czasu umyła głowę i bardzo delikatnie wytarła włosy ręcznikiem, bo użycie suszarki czy tym bardziej lokówki, było w jej stanie zabronione, postanowiła więc wysuszyć się na słońcu. Wyniosła na dwór magnetofon, wzięła dzbanek soku pomarańczowego i szklanekę i zasiadła przy ogrodowym stoliku, oparłszy nogi na stołku. Nareszcie, będąc sama, mogła się trochę odprężyć. Przez pierwsze pół dnia starała się zachować wesołość, ale dużo ją to kosztowało.

Teraz z przymkniętymi oczami wsłuchiwała się w dźwięk kościelnych dzwonów, witających gości przybyłych na ślub najmłodszej córki Dysartów.

Zacisnęła usta na myśl o tym, czy pewien szczególnie dla niej gość przybył i czy jest w towarzystwie. Odpędziła tę myśl i kiedy dzwony umilkły, pomyślała serdecznie o pannic młodej, a potem włączyła magnetofon i zaczęła słuchać nagrania powieści.

Słuchała, półleżąc i stopniowo ogarniała ją senność.

Obudziła się z niespokojnej drzemki i natychmiast usiadła, przestraszona. Serce zabiło jej gwałtownie na widok stojącego nad nią Domenica, który pewnie już od dłuższej chwili wpatrywał się w nią w milczeniu.

Rozpaczliwym gestem odgarnęła z twarzy wilgotne włosy, ale to w niczym nie poprawiło sytuacji. W jego oczach dostrzegła wyraz niekłamano przeżycia.

To trwało tylko przez sekundę, zaraz potem jego twarzy pojawił się znajomy, czarujący uśmiech

Domenico wyglądał wspaniale w świetnie skrojonym odświętnym garniturze, z kwiatem gardenii w butonierce. A ona tym bardziej poczuła się za wstydzona wyglądem swojej pokiereszowanej twarzy i niedbałym, domowym strojem.

- *Come esta*, Laura - zagadnął łagodnie, przysiadając koło niej.

- Raczej nie jestem **W** najlepszej formie - odpowiedziała. - Zrobiłeś mi niespodziankę.

- Och, Lauro. - Jego głos był pełen współczucia. - Twoja matka powiedziała mi o wypadku, ale nie przypuszczałem...

- Że wyglądam aż tak przerażająco?

- Że masz takie obrażenia - poprawił. - Czy bardzo cię boli?

- Trochę, ale już mniej. - Uśmiechnęła się chłodno. - Gdybym wiedziała, że kogoś przerażę, założyłabym maskę. Tę, którą kupiliśmy w Wenecji, pamiętasz?

- Pamiętam. I nie przeraziłaś mnie - zapewnił. - Po prostu ci współczuję.

- Najgorsze, że ominął mnie ślub Fen - wyznała z zaciśniętym gardłem. - Jak to się odbyło?

- Ślub był bardzo piękny. Ale ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu, nie było cię wśród druhen.

- Teraz wiesz dlaczego. To bardzo ładnie z twojej strony, że przyszedłeś mnie odwiedzić - powiedziała uprzejmie. - Ale czy nie powinieneś być teraz na przyjęciu we Friars Wood, razem z innymi gośćmi?

- Już tam byłem. Złożyłem życzenia promiennej pannie młodej i jej szczęśliwemu mężowi, oraz przedstawiłem się twojej matce. Poznałem ją bez trudu, jest do ciebie bardzo podobna. Pani Dysart w porozumieniu z twoją matką zaproponowała, że bym wziął ze sobą butelkę weselnego szampana i razem z tobą spełnił toast za państwa młodych. Co ty na to?

- Świetnie, ale czy to znaczy, że przyjechałeś na wesele sam?

- Oczywiście - odparł zaskoczony. - Dzwoniłem do ciebie dwukrotnie, żeby cię uprzedzić, że przyjeżdżam, ale telefon nie odpowiadał.

Wyjaśniła mu, że jej telefon zniszczył się przy upadku.

Próbowała się podnieść, ale Domenico był szybszy i porwał ją w objęcia.

Znów poczuła jego dobrze znany zapach i prawie zapomniała, że się na niego gniewa.

- To jak będzie z tym szampanem? - zapytał. - Mam przynieść?

- Dobrze - powiedziała bez entuzjazmu. - A ja pójdę po kieliszki.

- Dostyc ostro rozmawiałeś ze mną ostatnio przez telefon - zauważyła Laura, kiedy oboje siedzieli znowu przy ogrodowym stoliku.

- Bardzo mnie wtedy zraniłaś, Lauro.

- Ciebie, czy twoją dumę?

Domenico wrzucił ramionami.

- I jedno, i drugie. Zapłaciłem za ciebie bardzo niewielką część twojego rachunku hotelowego, a ty

oskarżasz mnie, że tak płacę za twoje ciało? Skąd ci to przyszło do głowy? Tak, uraziłaś moją dumę.

- Ty moja też - odpowiedziała z płonącymi oczami. - Kiedy odkryłam, że sobie ze mnie zakpiłeś.

- Miałem swoje powody - przypomniał.

Przerwali tę rozmowę, gdy z hukiem strzelił korek od szampana i przyszedł czas wznieść toast za państwa młodych.

- A teraz toast za twoje zdrowie, Lauro. - Domenico znów wznosił kieliszek. - Żeby twoja piękna twarz jak najszybciej się zagoiła.

- Wypiję ten toast - odrzekła sucho - chociaż naprawdę, nawet w najlepszych czasach daleko mi do piękności.

- Dla mnie zawsze jesteś piękna - powiedział cicho.

Laura jednak nie potrafiła zapomnieć wyrazu przerażenia w jego oczach, kiedy ją zobaczył, nie potrafiła też zapomnieć, że w Wenecji ma inną kobietę.

- Gdzie się tu zatrzymałeś? - zapytała.

- W gospodzie „U Leśnika”. Znasz to miejsce?

- Tak. To taki wiejski zajazd z dobrym jedzeniem, ale daleko mu do Pałacu Forli.

Jemu jednak zupełnie to nie przeszkadzało.

W pewnym momencie zadzwoniła Isabel, żeby sprawdzić, jak Laura się czuje. Chętnie zostałaby jeszcze na przyjęciu, gdyby wiedziała, że córka nie jest sama.

- Mama pytała, czy jeszcze jesteś - poinformowała, wróciwszy od telefonu. - Ale jeśli chcesz,

piożesz już iść. Dam sobie radę sama, dopóki ona nie wróci.

Twarz mu pociemniała. Nie rozumiał, dlaczego tak go traktuje.

- Chcesz, żebym sobie poszedł? - zapytał.

- Jeszcze nie. Pozostało coś, co chciałam ci powiedzieć...

W tym momencie jednak zaczęło padać i musieli zbierać rzeczy i schować się do domu.

Tam Laura zapaliła lampę w saloniku, wskazała Domenico fotel, a sama usiadła na sofie, z nogą opartą na stołku.

- Więc co mi chciałaś powiedzieć? - podjął.

- Po pierwsze - zaczęła - kiedy zostaliśmy kochankami, nie wiedziałam wcale, kim jesteś.

- Co to znaczy?

- Oczywiście, zdawałam sobie sprawę, że dobrze zarabiasz, ale sądziłam, że jesteś jednym z menedżerów w hotelu. Nie przypuszczałam, że jesteś jego właścicielem.

- Nie jestem właścicielem. Hotel należy do sieci hoteli Forli, a więc i do mnie, bo jestem członkiem tej rodziny - tłumaczył. - Teraz odpowiadam za wenecką część przedsięwzięcia, bo mój ojciec przeszedł na emeryturę. Ale jakie to ma znaczenie?

- Dla mnie bardzo duże - odpowiedziała. - Ty mieszkasz wśród kolumn i fresków Pałacu Forli albo w swoim ekskluzywnym mieszkaniu przy placu Świętego Marka, z widokiem na Canale Grandę. A ja mieszkam tutaj albo w moim maleńkim mieszkanku w Londynie. To dwa całkiem inne światy.



- Ja nie widzę problemu.
- Ja już też nie. - Laura dumnie zadarła broda
- Tego ostatniego wieczoru, kiedy się rozstawaliśmy, myślałam jeszcze, że jakiś związek między nami jest możliwy. Teraz, kiedy znam fakty, wiem, że to wykluczone. Oszukałeś mnie, Domenico.
- Nie oszukałem - westchnął - po prostu nie powiedziałem ci całej prawdy. Tak dobrze mi było mieć kogoś, kto lubi mnie dla mnie samego...
- Nie o to mi chodzi. Powiedziałeś, że nie ma w twoim życiu żadnej kobiety, a siostra Fen, Jess, twierdzi, że jest. - Laura utkwiała w nim oskarżycielski wzrok.
- Nie mam żadnej innej kobiety. I nie kłamałem, kiedy mówiłem ci, że cię kocham. - Wstał z miejsca i choć panował nad sobą, widać było, że wstrząsa nim wściekłość. - Jeżeli wierzysz w takie rzeczy na mój temat, to masz rację, Lauro. Związek między nami nie jest możliwy.
- To po co tu dzisiaj przyjechałeś?
- Z uprzejmości, miałeś wypadek.
- Jak miło z twojej strony - odpowiedziała z bolesną ironią.
- Miał już odejść, kiedy jeszcze sobie o czymś przypomniała.
- Poczekaj, mam coś dla ciebie.
- Przez chwilę szukała w torbie, po czym podała mu kopertę.
- Domenico otworzył ją i zobaczył pieniądze.
- To już zdecydowanie przeważało szalę.
- *Grazie* - wydusił z wściekłością, wciskając

kopertę do kieszeni. - Teraz możesz być zadowolona, nic już nie jesteś mi winna. Tylko powiedz mi, po co mnie tu w ogóle dzisiaj zatrzymałaś?

- Z nudów - uśmiechnęła się słodko. - Wolałam twoje towarzystwo niż żadne.

Spojrzał na nią po raz ostatni, odwrócił się i wyszedł w deszcz.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Isabel wróciła niedługo po wyjściu Domenica i zaraz zaczęła wypytywać Laurę, jak było. Chciała wiedzieć, dlaczego już wyszedł.

- Wyszedł pod pretekstem, że chce jeszcze pożegnać państwa młodych, zanim wyjadą w podróż poślubną - odpowiedziała Laura - ale tak naprawdę, to miał już mnie dość, mamó.

- Pokłóciliście się?

- Niezupełnie. Ja po prostu wyjaśniłam pewne sprawy.

Isabel usiadła przy stole.

- Podoba mi się ten Domenico - oświadczyła.

- Ty jemu też - rzekła Laura.

- Był przestraszony, kiedy powiedziałam mu o twoim wypadku.

- A jeszcze bardziej, kiedy mnie zobaczył.

- Ach, o to chodzi! - Isabel zaczynała rozumieć.

- Drzemałam w ogrodzie, a on mnie obudził. Tylko że księżę zapomniał treść bajki. Wpatrywał się w Śpiącą Królową z przerażeniem, zamiast ją pocałować.

Laura wzruszyła ramionami.

- To trwało tylko przez ułamek sekundy, ale wystarczająco długo.

- I dlatego kazałaś mu się zabierać? - westchnęła jej matka.

- Nie od razu. Wypiliśmy jeszcze szampana za szczęście Fen i Joego i siedzieliśmy w ogrodzie, dopóki nie zaczęło padać.

- I co się stało?

- Powiedziałam mu, że związek między nami nie jest możliwy ze względu na naszą nierówną pozycję.

- Co?

Laura aż się skurczyła pod piorunującym spojrzeniem matki.

- No przecież tak jest, prawda? Żebyś tylko zobaczyła, w jakich warunkach on żyje...

- Nie mów nic więcej! Dziewczyno, czyś ty postradała zmysły? Dawno nie słyszałam takich bzdur! Obrażasz mnie i swojego ojca, twierdząc, że nie jesteś dość dobra dla Domenica Chiesy... czy jakiegokolwiek innego mężczyzny, jeśli idzie o ścisłość.

- Nie chciałam, żeby tak wyszło - wyjąkała Laura, zbita z tropu.

- Jest dwudziesty pierwszy wiek, Lauro. Opamiętaj się. Już mając kilkanaście lat, zrobiłaś się szczególnie drażliwa, kiedy czułaś, że ktoś ci „robi łaskę”, ale nie miałam pojęcia, że masz kompleks niższości w stosunku do ludzi, którzy posiadają więcej niż my. Ale wróćmy do Domenica... Więc zakochałaś się w mężczyźnie, który wydawał ci się kimś zwyczajnym, mimo że miał piękne mieszkanie i świetnie się ubierał. A teraz, kiedy poznałaś prawdę o nim i wiesz, że jest nie tylko uroczy i przystojny, ale i bardzo bogaty, już go nie kochasz?

- Robisz ze mnie kompletną idiotkę, mamó.! Wiem, że nią jestem, ale rzeczywiście go kocham
  - wyznała Laura żałośnie.
  - Odprawiłaś go.
  - Musiałam zrobić to pierwsza, bo związek między nami i tak nie byłby możliwy. Domenico mnie oszukał.
  - Co do swojej tożsamości?
  - Nie, znacznie gorzej. W Wenecji powiedział mi, że nie ma nikogo i że mnie kocha.
  - A ma kogoś?
  - On twierdzi, że nie, ale Jess powiedziała Fen, że tak. Więc coś tu się nie zgadza.
  - O tym mi nie mówiłaś.
  - Chciałam z nim najpierw porozmawiać, ale rozmowa do niczego nie doprowadziła. Zachował się arogancko, a ja jeszcze oddałam mu pieniądze, które zapłacił za mnie w hotelu. Powiedział *grozie* i wyszedł. Lepiej opowiedz mi o weselu.
- Isabel jęknęła.

Następnego dnia Laura wybierała się z powrotem do Londynu, a jej matka miała właśnie rozpocząć upragniony urlop.

Kiedy ze swojego domu zadzwoniła do matki, dowiedziała się, że zaraz po jej wyjeździe odwiedzi ją Domenico.

- Czego chciał? - zapytała.
- Przypuszczam, że chciał się z tobą zobaczyć. Porozmawialiśmy przez chwilę, wybierał się na obiad, który Jess i Lorenzo wydawali w Chesterton dla rodziny. A ja zabrałam się do pakowania.

Laura życzyła matce, żeby jechała ostrożnie i odpuściła podczas urlopu. Isabel niepokoiła się, że córka zbyt wcześnie wybiera się do pracy, zanim zdążyła wydobrzeć.

- Jeśli nie dasz rady, weź jeszcze parę dni zwolnienia - upominała.

I rzeczywiście, pierwszy dzień w pracy okazał się dla Laury bardzo męczący. Odetchnęła z ulgą, kiedy przyszedł czas, żeby iść do domu.

Jak zwykle zajrzała do skrzynki na listy i znalazła tam paczuszkę pokwitowaną przez dozorczynię. Kiedy ją rozpakowała, okazało się, że był to nowy telefon komórkowy, z dołączonym do niego liścikiem:

*To nie jest filantropia, Lauro. To tylko praktyczny prezent wraz z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia.*

*Domenico*

Laura z uśmiechem oglądała ładny przedmiot, który był nie tylko praktyczny, lecz opatrzony wszystkimi nowoczesnymi dodatkami, dzwoneczkami i melodyjkami. Ten prezent najwyraźniej miał służyć jako gałązka oliwna.

Zadzwoniła do niego natychmiast, zanim zdążyła zmienić zdanie. Podziękowała mu za niespodziankę, jaką był prezent.

- Przyjmiesz go ode mnie? - zapytał po chwili milczenia.

- Tak, Domenico. Gdybym go nie przyjęła, pewnie całkiem byś się ode mnie odsunął - powiedziała

szczerze. - A ja tak bym chciała, żebyśmy pozostali co najmniej przyjaciółmi.

- Bardzo bym chciał - odpowiedział natychmiast. - Czy kiedy będę w Londynie, zgodzisz się zjeść ze mną kolację?

- Tak. Pozwolę ci nawet za nią zapłacić!

- No to już postępowanie - zauważył. - A jak twoja twarz?

- Zaczyna się goić - powiedziała, zerkając do lustra. - Już niedługo będę wyglądać normalnie.

- *Bene*. Dbaj o siebie i nie pracuj za dużo. *Ciao*.

- Do widzenia. I jeszcze raz dziękuję.

Po tej rozmowie Laura poczuła się dużo lepiej. Wzięła prysznic, wklepała sobie maść przeciwbólową w kostkę, przebrała się w dżinsy i związała włosy niebieską wstążką. Zaczęła się właśnie zastanawiać, co by tu sobie zrobić na kolację, kiedy odezwał się dzwonek domofonu.

- Wpuść mnie, *per favore* - odezwał się głos Domenica, kiedy podniosła słuchawkę.

Zaniemówiła ze zdumienia

- Nie jesteś w Wenecji? - wydusiła w końcu bezsensownie, a on wybuchnął śmiechem.

- Nie, jestem tutaj, pod twoim blokiem.

Jeszcze oszołomiona, nacisnęła guzik i wpuściła go do środka, a on wbiegł po schodach, przeskakując po dwa na raz, żeby szybciej być u niej.

W skórzanej kurtce i dżinsach wyglądał oszałamiająco, jak zresztą zawsze, a lekko wzburzone włosy dodawały mu tylko uroku. Uśmiechał się do niej

i najwyraźniej był tak z siebie zadowolony, że i Laura się roześmiała.

- Powiedziałaś, że zjesz ze mną kolację, kiedy będę w Londynie - rzekł, całując ją w zdrowy policzek. - Więc jestem.

- Nie mówiłeś, że to ma być dzisiaj! Miałam nadzieję, że do naszego następnego spotkania będę już wyglądać po ludzku.

- Nie mogłem wyjechać ze świadomością, że wierzysz w jakieś kłamstwo o innej kobiecie w moim życiu!

Popatrzyła mu w oczy i poznała, że mówi prawdę.

- Wierzę ci, skoro mówisz, że to kłamstwo - powiedziała.

- Nie ma nikogo poza tobą, Lauro. *E verità*.

- W takim razie przepraszam.

- *Bene*. Będziesz musiała mi jakoś zrekompenzować to fałszywe oskarżenie. Sprawiło ból i tobie, i mnie.

- A jak? - uśmiechnęła się zalotnie.

- Doskonale wiesz jak, a jeśli zapomniłaś, chętnie ci przypomnę. Ale lepiej nie... - przypomniał sobie z żalem. - Poczekajmy, aż się znowu spotkamy. Dziś pewnie nawet pocałunek mógłby cię urazić.

- Myślę, że jeden pocałunek by mi nie zaszkodził - szepnęła, a Domenico wziął ją w ramiona i pocałował z taką czułością i delikatnością, że w jednej chwili spłynęło z niej całe napięcie poprzednich dni i odczuła bezgraniczną ulgę, że wreszcie dzieje się tak, jak trzeba, a ona jest tam, gdzie przynależy, czyli w jego objęciach.

- Jesteś o mnie zazdrosna - stwierdził z nieukrywaną satysfakcją. - Bardzo mnie to cieszy. Ale twoja zazdrość była zupełnie niepotrzebna. Zaraz ci to wytłumaczę.

Pociągnął ją na sofę i usiadł przy niej blisko.

- Więc dlaczego Jess Forli mówiła, że masz kogoś? - dopytywała się niecierpliwie, szczęśliwa, że znów jest przy nim.

- Zadzwoń do mnie z wiadomością, gdzie mam mieszkać, kiedy przyjadę na ślub Fenelli. I jak zwykle zapytała mnie, czy kogoś mam. Tym razem odpowiedziałem, że tak, ale nie powiedziałem nic więcej. Chciałem przedtem porozumieć się z tobą, *tesoro*.

- Więc to chodziło o mnie?

Laura wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

- Oczywiście. Przecież kocham cię, Lauro. Tylko ciebie. A skoro chciałaś mnie zabić - dodał z satysfakcją - to i ty mnie kochasz, prawda?

- Bezgranicznie!

- Jak to dobrze, że wreszcie wszystko sobie wyjaśniliśmy - oświadczył z ulgą. - A teraz powiedz mi, *carissima*, gdzie pójdziemy na kolację.

- Ja nigdzie nie wyjdę w takim stanie. - Laura potrząsnęła głową. - Ale potrafię zrobić omlet... pamiętasz?

- Nigdy nie zapomnę. Zjem omlet z przyjemnością, ale mam ochotę na coś więcej niż jedzenie, tylko nie chciałbym zrobić ci krzywdy.

Popatrzyła na niego przez chwilę.

- Nic mi się nie stało, jak mnie pocałowałeś. A kostka mnie nie boli, kiedy leżę.

- Naprawdę?

- Z całą pewnością - odpowiedziała i uśmiechnęła się, gdy wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni.

Rozbierał ją tak ostrożnie, jakby była bezcennym darem, i kochał się z nią tak czule i delikatnie, że było to doznanie równie wspaniałe, jak ognista namiętność ich pierwszego razu w Wenecji.

A potem, przy olbrzymim puszystym omlecie, Domenico uświadomił Laurze, że w przyszłości tak muszą zorganizować sobie życie, żeby jak najwięcej czasu móc spędzać razem.

- Jeśli kochasz mnie - powiedział, żegnając się z nią - to przyjedź do mnie, do Wenecji, jak najszybciej.

- Kocham cię. I przyjadę - obiecała, wspinając się na palce po ostatni pocałunek.

Niespodziewana wizyta Domenica przyczyniła się do nadzwyczajnej poprawy stanu zdrowia i ducha Laury, znacznie skuteczniej niż jakiegokolwiek lekarstwa. Sińce na twarzy zbladły i mogła już trochę zamaskować je makijażem, a w pracy przestała mieć problemy z koncentracją. Dostała pocztówki: od Abby z Francji, od matki znad jezior i od państwa młodych z Włoch. Najjaśniejszymi chwilami każdego dnia stały się jednak regularne rozmowy telefoniczne z Domenikiem. Czuła się tak szczęśliwa, że nie można było tego nie dostrzec.

Minęło trochę czasu, zanim mogli się znowu spotkać. Domenico był bardzo zajęty w samym szczycie sezonu turystycznego, a i Laurze niełatwo

było dostać urlop. Mogła wyjechać na tydzień dopiero w połowie września i kiedy się o tym dowiedziała, natychmiast zarezerwowała sobie lot do Wenecji.

Na wiadomość o tym Domenico nie posiadał się z radości.

Laura tymczasem na weekendy jeździła do domu, do Stavely, i miała okazję zobaczyć państwa młodych po powrocie z podróży poślubnej, a nawet wziąć udział w ich przyjęciu powitalnym.

Raz jednak pozostała na weekend w Londynie i poranne niedzielne lenistwo przerwał jej nagły dźwięk domofonu.

Kiedy podniosła słuchawkę, ku swemu zdumieniu usłyszała zachrypnięty i zrozpaczony głos Abby, a po chwili jej siostrzyczka pojawiła się na schodach, wyraźnie zbolała.

Laura rzuciła się, żeby jej pomóc.

- Na litość boską, co ci się stało, kochanie? - pytała przerażona.

Odpowiedział jej tylko przejmujący jęk, a kiedy Abby, wspierając się na jej ramieniu, weszła do mieszkania - natychmiast, chwiejnym krokiem skierowała się do łazienki.

Kiedy stamtąd nadal dochodziły jęki, Laura zaczęła się w końcu domyślać, co to może być - poronienie.

Nie zważając na protesty siostry, weszła do łazienki i kiedy nieodwracalny proces dobiegł końca, udzieliła jej takiej pomocy, jak umiała. Teraz pozostawało przewieźć ją do szpitala i dać znać matce, co się stało.

Mimo protestów Abby, tak zrobiła.

Z poczuciem déjà vu Laura zgłosiła się z siostrą w recepcji szpitala, gdzie jeszcze tak niedawno trafiła po swoim wypadku. Tym razem jednak nie trzeba było czekać i pielęgniarka natychmiast odwiozła Abby na badanie.

Niestety, Laura i tym razem natknęła się tu na Edwarda Lassitera.

- Coś ci się stało? - zapytał.

Uspokoiła go, że tym razem nie o nią chodzi. Przyjrzał się jej twarzy i stwierdziwszy z zadowoleniem, że wszystko pięknie się zagoiło, popędził dalej.

Laura tymczasem odnalazła Abby już na sali.

- Jak się czujesz? - zapytała z pozorną wesołością.

- Tak sobie - Abby próbowała się uśmiechnąć. - Ale przynajmniej nie muszę mieć żadnego zabiegu. Dali mi jakieś lekarstwa i najpóźniej wieczorem będę mogła iść do domu. Dzwoniłaś do mamy?

- Tak, już jest w drodze.

Abby jęknęła z przerażenia, a potem popatrzyła siostrze w oczy i chciała coś wytłumaczyć, lecz Laura powstrzymała ją ruchem ręki. Teraz dla chorej najważniejszy był spokój i odpoczynek.

- Przepraszam, że tak narozrabiałam - westchnęła Abby słabo.

- Nie myśl o tym w ten sposób - powiedziała stanowczo Laura. - Posłuchaj mnie, Abigail Green. Zostaw to za sobą. Niedługo jedziesz do Cambridge, zaczniesz nowe, studenckie życie i o wszystkim zapomnisz.

Tego samego dnia wieczorem, kiedy już wszystkie

trzy znalazły się razem w mieszkaniu Laury, a Abby została ulokowana bezpiecznie w łóżku, matka ze starszą córką rozmawiały po cichu o tym, co się stało. Isabel była przerażona faktem, że Abby w takim stanie przeszła pieszo ponad trzy kilometry do Chepstow, skąd miała autobus do Londynu.

- A ja myślałam, że jest u Rachel. Dlaczego ona mi nie powiedziała? - Isabel nie mogła się z tym pogodzić.

- Spójrz na to z jej punktu widzenia - powiedziała łagodnie Laura. - Dotąd zawsze była dobrą córeczką, nigdy nie sprawiała kłopotów. I nagle coś takiego. Na pewno zdawało jej się, że złamała życie i sobie, i tobie.

- Rozumiem, o co ci chodzi - westchnęła Isabel.  
- Ale kto to był? Mówiła ci coś?

- Ani słowa. Może powie nam jutro?

Matka była bardzo zmartwiona, obawiała się, czy jej młodsza córka nie padła ofiarą gwałtu. Bardzo jej zależało, żeby dowiedzieć się prawdy i miała nadzieję, że może Laurze się to uda.

Tymczasem Laura z podziwu godną przytomnością umysłu zapanowała nad sytuacją. Podgrzała zupę dla pacjentki, która jak na swój stan wykazywała zadziwiający apetyt, a dla matki i dla siebie usmażyła swoje popisowe omlety.

Postanowiła też, że zostaną u niej przez parę dni, dopóki Abby nie odzyska sił. To, poza wszystkim, oszczędziłoby im pytań i niepotrzebnych komentarzy w Stavely.

Jej mieszkanko było trochę ciasne i nie miało dość

miejsc do spania, lecz Isabel zaproponowała, żeby Laura spała razem z Abby, podczas gdy ona położy się w saloniku na sofie.

Takie rozwiązanie zdawało się wszystkim odpowiadać, a Isabel dodatkowo miała nadzieję, że przy okazji Laura zdoła się od siostry czegoś dowiedzieć.

I rzeczywiście, pod osłoną nocy doszło do zwierzeń.

Abby twierdziła, że na całe życie ma już dosyć seksu, lecz okazało się, że jej doświadczenia ograniczają się do feralnego jednego razu.

- Abby, proszę, powiedz mi, kto to był - nalegała łagodnie siostra. - Mama się zamartwia.

- Nie mogę!

- Ona myśli, że zostałeś zgwałcona.

- To zależy, co się rozumie przez gwałt. Nikt mnie nie napadł i nie przyłożył mi noża do gardła. Myślałam, że skończy się na pocałunkach i pieszczotach, ale nie. Byłam głupia, prawda? On później był bardzo przestraszony, bo to był mój pierwszy raz i sprawił mi ból. Później żartował, że może za to pójść do więzienia...

- A on, jako prawnik, coś o tym wie! - podchwyciła w lot Laura. - A na dokładkę jest bratem twojej najlepszej przyjaciółki, a ty bardzo lubisz jego matkę.

- Więc już wiesz, dlaczego nie chciałam nikomu mówić - rzuciła Abby z rozpaczą. - Powiesz mamie, że to był Marcus?

- Nie, ty samaj powiesz. Musi o tym wiedzieć. Ale nic się nie martw, jeśli ci na tym zależy, obie

dochowamy tajemnicy. To się pewnie stało wtedy po koncercie?

- Tak. Padało, więc jeszcze przed końcem koncertu wróciliśmy do samochodu. Miałam na sobie tę koszulkę od ciebie i minispódniczkę, a on cały czas prawił mi komplementy. Po drodze do domu wjechał w boczną dróżkę...

- Reszty się domyślałam. Co za drań! - zawołała Laura z gniewem.

- Nie, to nie tak. Prawdę mówiąc, był bardzo miły. Tylko że jest o tyle ode mnie starszy; nie wiem, co on we mnie widzi.

- Nikt nie musi o tym wiedzieć, a ty niedługo wyjedziesz do college'u i o wszystkim zapomnisz - podsumowała trzeźwo. - Na przyszłość jednak postaraj się o pigułki antykoncepcyjne.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Goście Laury nie zabawili jednak u niej tak długo, jak oczekiwała. Kiedy następnego dnia wróciła z pracy, Isabel i Abby były już gotowe do wyjazdu. Uznały, że tak będzie lepiej i wygodniej dla wszystkich.

Odprowadziwszy je do samochodu, Laura wróciła do mieszkania, które nagle stało się dziwnie ciche i puste. Pocieszała się, że już niedługo, bo za niecałe dziesięć dni będzie w Wenecji, z Domenikiem.

Los jednak chciał inaczej. W następnym tygodniu bank opanowała epidemia letniej grypy i Laura, jako jedna z niewielu, którzy nie zachorowali, musiała pozostać na posterunku. Głęboko zawiedziona, zadzwoniła do Domenica i powiedziała mu, że na razie musi podróż odwołać.

- Dlaczego? Liczyłem dni i godziny do twojego przyjazdu.

- Ja też - zapewniła go smutno. - Przyjadę, jak tylko będę mogła, przyrzekam. Ja też jestem rozczarowana. Przepraszam. - Kichnęła głośno.

- Ach, *carissima*, wybacz mi.

Domenico zrozumiał, że Laura sama jest na skraju choroby, a zmiana planów nie wynikała przecież z jej winy. Musieli oboje się z tym pogodzić.



Tego wieczoru rozmawiali ze sobą jeszcze długo i po tej rozmowie obojgu zrobiło się raźniej.

A jednak przez cały następny dzień nie odstępowała jej myśl, że miała lecieć do Wenecji, a zamiast tego siedzi w pracy. Za to po powrocie do domu czekała ją miła niespodzianka. Domenico zadzwonił dwie godziny wcześniej niż zwykle.

- *Come esta*, Laura? - zaczął.

- Jestem zmęczona, dopiero przyszedłam. Dzisiaj miałam ciężki dzień. A ty?

- Jestem bardzo z siebie zadowolony.

- Tak? A dlaczego? - Parsknęła śmiechem.

- Nie jestem w stanie dłużej czekać, żeby cię zobaczyć. Przylecę na Heathrow w piątek i zatrzymam się w tym hotelu, gdzie zwykle. Po południu chcę załatwić trochę interesów, ale poza tym do końca weekendu będę wolny. Zarezerwowałem podwójny pokój. Pomieszkaaj tam ze mną, *tesoro*. Będziemy razem, jak nie w Wenecji, to chociaż w Londynie.

Laura była pomysłem zachwycona. Jeszcze nigdy nie mieszkała w hotelu w Londynie. Obiecała, że przyjedzie tam do niego w piątek, prosto z pracy.

Kiedy się spotkali, nie musieli wiele mówić. Ich rozmową były pocałunki i pieszczoty, których tak bardzo byli spragnieni.

Domenico chciał mieć teraz Laurę wyłącznie dla siebie, dlatego postanowił, że kolację zjedzą w jego apartamencie, korzystając z obsługi hotelowej. Laurze ten pomysł bardzo przypadł do gustu. Jednak nie jedzenie było teraz najważniejsze.

Kochali się długo, czule i tak pięknie, jak tylko dyktowała im to nagromadzona w obojgu tęsknota.

- O czym myślisz, *tesoro*? - zapytał, kiedy leżeli przytuleni i powoli wracali do rzeczywistości.

- W najśmielszych marzeniach nie przypuszczałam, że seks może być tak wspaniały - szepnęła.

- My mamy nie tylko seks - odpowiedział cicho.

- Kiedy się kochamy, łączą się nasze serca. Czy może jest to zbyt romantyczne dla mojej praktycznej Laury?

- Nie, ale tylko z tobą.

- Więc nie mówmy o nikim innym. Ty jesteś moja, moja i tylko moja.

Pocałował ją, żeby to potwierdzić. A potem zaproponował kolację, dowodząc, że i on potrafi być praktyczny.

- A może nie praktyczny, tylko po prostu głodny - droczyła się z nim.

Kiedy wstała z łóżka, Domenico wodził za nią rozkochanym wzrokiem; przypominała mu „Wenus” Botticellego. Jako Włoch wiedział, co mówi; znał się na pięknie i na sztuce.

Na kolację jedli homara, a potem truskawki, wypili trochę szampana i dopiero teraz rozmawiali bez przerwy i opowiadali sobie nawzajem o wszystkim, co się wydarzyło od czasu ich poprzedniego spotkania.

Domenico pytał o siostrę i matkę Laury i o to, czy Isabel wie, że jej starsza córka spędza z nim weekend. Miło mu było usłyszeć, że to nie tajemnica i że Isabel bardzo go polubiła.

- Szkoda, że nie mogłaś przyjechać do Wenecji - powiedział z żalem. - Moi rodzice bardzo chcieliby cię poznać.

Laura szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

- Go w tym dziwnego? - nie rozumiał. - Na pewno cię polubią. Następnym razem, jak przyjedziesz, zapraszają cię do swojego domu w Umbrii.

- Ale Domenico...

- Nie ma „ale” - zamknął jej usta pocałunkiem. - Opowiadałem im o tobie, więc nic dziwnego, że chcą cię poznać.

- A co właściwie im o mnie opowiadałeś? - zapytała z obawą.

- Ze poznałem piękną młodą damę, która wygląda jak księżniczka z bajki i pracuje w banku Docklands w Londynie. Bardzo się ucieszyli, tym bardziej, że od czasów Alessy nigdy nie interesowały mnie trwałe związki.

- Trwale związki?

- Tak cię to przeraża? - Domenico łagodnie pogłaskał ją po policzku. - Bardzo cię kocham, Lauro. Te kradzione wspólne chwile są cudowne, ale mi nie wystarczają. Chciałbym być z tobą przez cały czas.

Patrzyła na niego zaskoczona i nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- A ty? - zapytał. - Nie chciałabyś być ze mną cały czas?

- Tak, chciałabym - westchnęła. - Ale rozsądek mówi mi, że za krótko jeszcze się znamy, żeby móc robić tego rodzaju plany.

- Rozumiem. Więc jak długo powinniśmy się znać, żebyś zgodziła się ze mną zamieszkać? Tygodnie, miesiące? Oczywiście, ty jesteś jeszcze prawie dzieckiem...

- Mam dwadzieścia trzy lata!

- Ale ja mam trzydzieści cztery. Dopóki cię nie spotkałem, nie czułem się samotny, ale teraz bez ciebie nie umiem sobie poradzić. Moje mieszkanie wydaje się puste i moje życie też. - Przysunął się do niej bliżej i z napięciem patrzył jej w oczy. - Kiedy jesteśmy z dala od siebie, marnujemy cenny czas, *amore*.

- Wiem - przyznała - ale dla mnie' byłaby to wielka zmiana w życiu.

- Byłoby ci trudno rozstać się z matką i z siostrą - powiedział ze zrozumieniem. - Ale Wenecja nie jest daleko; mogłyby cię odwiedzać tak często, jak tylko by chciały.

- Jak twoje plany lokują się w czasie?

- W styczniu zwykle wyjeżdżam na narty - odpowiedział bez wahania. - Tym razem mógłby to być nasz miodowy miesiąc.

- To znaczy, że chcesz się ze mną ożenić? - Patrzyła na niego osłupiała.

W jednej chwili trzymał ją w objęciach i uśmiechał się na widok jej zdumienia.

- Czy to taka niespodzianka? Powinienem był podać ci pierścionek z brylantem razem z homarem?

Laura potrząsnęła głową przecząco.

- Nie oczekiwałam tego, bo mówiłeś, że historia

z Alessą skutecznie wyleczyła cię z myśli o małżeństwie.

- Tak było. Ale kiedy poznałem ciebie, wszystko się zmieniło.

Pocałowała go spontanicznie, ale zaraz coś jej się przypomniało.

- Czy ty jesteś katolikiem, Domenico?

- Tak, chociaż nie tak gorliwym jak moja matka.

- Z tym więc może być problem.

- Przecież nie oczekuję, że zmienisz wiarę - rzekł. - Chociaż dzieci, oczywiście, muszą być wychowane po katolicku.

Laurę zaskoczyło i przestraszyło tempo, w jakim rozwijała się ta rozmowa. Uważała, że jeszcze za wcześnie mówić o dzieciach. Poza tym wspomniała o rozwodach, które w Kościele katolickim nie istniały, w odróżnieniu od Kościoła anglikańskiego, do którego należała. Wolała, żeby mieli czas poznać się lepiej, zanim podejmą jakiegokolwiek nieodwracalne decyzje.

Domenico zdawał się to bagatelizować. Ewentualnego rozwodu nie przyjmował do wiadomości; kiedy Laura zostanie jego żoną, nigdy i pod żadnym pozorem nie pozwoli jej odejść. Jego miłość była tak silna, że wobec niej wszelkie trudności wyglądały na błahe i wysrane z palca.

- Kochasz mnie, Lauro?

- Tak, ale...

- Więc nie ma żadnych „ale”. - Pocałował ją znowu. - Uwielbiam cię, Laura *mia*, więc dam ci trochę czasu dla oswojenia się z sytuacją, ale nie za długo. Nie jestem zbyt cierpliwy.

- Zdażyłam to już zauważyć, kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy - zauważyła sucho.

- Skąd mogłem wiedzieć, że ta dziewczyna w wielkim kapeluszu i w okularach przeciwsłonecznych jest moim przeznaczeniem? - bronił się żartobliwie.

- Ja też nie przypuszczałam, że jesteś moim przeznaczeniem, mimo że byłeś bez wątpienia najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek znałam.

- Naprawdę? - zapytał ucieszony.

- Ależ tak, i to nawet zanim zdjąłeś ciemne okulary. A wiesz, że twoje błękitne oczy mają wielką moc.

- Cieszę się, jeśli przyczyniły się do tego, że mnie pokochałaś.

Laura zarzuciła mu ręce na szyję, lecz widać było, że nie wypowiedziała jeszcze wszystkiego, co ją trapi.

- Jeśli wyjdę za ciebie, Domenico... - zaczęła.

- Kiedy za mnie wyjdiesz - poprawił.

- Co ja właściwie będę robić? Jestem przyzwyczajona do tego, że pracuję. Bardzo lubię twoje mieszkanie, ale przecież nie będę tam siedzieć całymi dniami sama, czekając, kiedy wrócisz z pracy.

- Będziesz mogła pracować ze mną w hotelu, jeśli tylko będziesz chciała. - Uśmiechnął się zadowolony z pomysłu, który w tej chwili mu zaświtał. - Pomogłabyś mi trochę w pracy; byłabyś moją asystentką.

- To brzmi atrakcyjnie, ale pozostaje jeszcze

problem języka - zauważyła, choć pomysł ją zachwycił. - Znam włoski tylko trochę ze szkoły.

Domenico zupełnie się tym nie zrażał i od razu miał rozwiązanie.

- Możesz przecież się trochę poduczyć w tym czasie, kiedy każesz mi czekać. Ale najważniejszych rzeczy jestem gotów nauczyć cię od razu - powiedział. - Powtarzaj za mną. *Ti orno*, Domenico.

- *Ti amo*, Domenico - powtórzyła z zapamiętaniem. - *Ti amo per sempre*.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Następnego ranka po śniadaniu Laura wystąpiła z propozycją, która zaskoczyła Domenica.

- Pobyt w tym hotelu musi kosztować majątek - stwierdziła. - Co powiedziałbyś na to, żebyśmy przenieśli się do mnie?

- Wolałabyś? - Uniósł brwi.

- Tak. A ty?

- Mnie zależy tylko na tym, żeby być z tobą - odparł bez namysłu. - Gdzie, nie ma znaczenia. Chcesz, żebyśmy przenieśli się od razu?

- Tak, bo musimy kupić coś do jedzenia.

- Z przyjemnością pójdę z tobą na zakupy, *tesoro*.

Szybko się ubrali i spakowali rzeczy, a po załatwieniu formalności przejechali taksówką do mieszkania Laury.

Kiedy tylko wsiedli do windy i drzwi się za nimi zamknęły, Domenico zaczął ją całować z taką zachłannością, jakby nie robił tego już od bardzo dawna.

Tymczasem dojechali na piętro Laury i trzeba było wysiąść.

- Mieliśmy iść na zakupy - przypomniała mu bez tchu.

Najpierw jednak Domenico rozpakował swoje

rzeczy, co samo w sobie stworzyło między nimi klimat nieznaney im dotąd zażyłości.

Z żalem przypomniał sobie, że zaraz wychodzą po zakupy.

Dzień był słoneczny i piękny i krótki spacer do supermarketu napełnił Laurę uczuciem szczęścia.

Problemy zaczęły się już w sklepie, kiedy Domenico uparł się, że kupi kosztowną włoską maszynkę do parzenia kawy, a następnie zaczął wrzucać do wózka przeróżne produkty, których malutka kuchnia i lodówka Laury nie były w stanie pomieścić. Szczególnie zależało mu na produktach koniecznych do przygotowania dań włoskich, a o dziwo, sporo ich tu znalazł. Laura upierała się przy podstawowych produktach, lecz musiała dać za wygraną. Kiedy doszli do kasy, Domenico odsunął ją delikatnie i uścił rachunek.

- Chyba nie odmówisz mi tej drobnej przyjemności - powiedział pojednawczo. - To przecież tylko maszynka do kawy i kilka głupstw do jedzenia.

Okazało się, że proste, codzienne czynności, wykonywane razem, sprawiają im obojgu wielką przyjemność. Nawet zwykłe zakupy stały się tego dnia wydarzeniem odświętnym.

Cieszyło ich też, gdy omawiali menu na wieczór. Tym razem gotowaniem miał zająć się Domenico.

Propozycja Laury, żeby przez te kilka dni pomieszkali razem, miała być pierwszą przymiarką do wspólnego życia i póki co, próba ta wypadła znakomicie.

Rozmawiali ze sobą bez przerwy, dowiadując się

jak najwięcej o sobie nawzajem, chodzili po mieście, pojechali do banku Laury, bo Domenico chciał zobaczyć jej miejsce pracy. Jedyny cień pojawił się w niedzielę wieczorem, kiedy wspólnie przygotowywali kolację.

Zadzwoił Edward. Chciał zaprosić Laurę na drinka i zrezygnował z pomysłu dopiero, kiedy powiedziała, że na weekend przyjechał do niej przyjaciel.

Ta rozmowa wystarczyła, żeby wywołać falę zazdrości ze strony Domenica. Musiał dowieść, że Laura należy do niego, do niego i tylko do niego, a nie do jakiegoś tam doktora. Pojednanie nastąpiło w łóżku, lecz Domenico, normalnie czuły i namiętny kochanek, teraz okazał się władczyim zdobywcą. Laura odczuła każdą cząstką ciała, że do niego należy i nawet gdyby chciała, nie byłaby teraz w stanie myśleć o kimś innym.

- Lepiej ci teraz? - zapytała, kiedy już dopłynęli do spokojnego brzegu i leżeli razem bez tchu i bez siły.

- Dużo lepiej. Byłem o ciebie zazdrosny.

- Wiem, ale niepotrzebnie.

Dopiero teraz mogli skupić się na kolacji, a okazało się, że zazdrość zaostrza apetyt.

Kolacja - dzieło Domenica - była wyśmienita. Jedli włoską pastę z sosem pomidorowym, przyprawionym czosnkiem, czerwoną cebulą i chili.

- Jak się teraz czujesz? - zapytał, kiedy po kolacji siedzieli razem na sofie, a on karmił Laurę słodkimi winogronami.

- Cudownie! Nakarmiona i dopieszczona!

- *Bene*. Ja też. - Domenico uśmiechnął się zagadkowo. - Ale nie o to mi chodziło. Odkąd opuściliśmy hotel, przez cały czas jesteśmy razem. Czy to przekonuje cię, że możemy być razem na co dzień i będziemy szczęśliwi?

A więc i on był świadom tego eksperymentu! Lecz cóż można sądzić po dwóch wspólnych dniach? Oboje wiedzieli, że to za krótko.

- Niestety, we wtorek rano muszę wracać do Wenecji - westchnął Domenico.

- A ja muszę jutro iść do pracy.

I tak w ich bajkowy świat we dwoje zaczęła wdzierać się rzeczywistość.

A Domenico mimo wszystko nie zapomniał o Edwardzie. Jeszcze tego samego wieczoru wypytywał o niego Laurę i chętnie wyjaśniłby mu wszystko osobiście, gdyby tylko wiedział, gdzie go szukać. Tu jednak ukochana nie kwapiła się z informacjami. Miała nadzieję, że z czasem cała sprawa ucichnie.

Następnego dnia wróciła z pracy, jak tylko mogła najszybciej. Otworzyła drzwi, oczekując gorącego powitania, lecz zamiast tego na blacie kuchennym zauważyła kartkę:

*Amore, poszedłem na zakupy. Do zobaczenia wkrótce. D.*

Ledwie zdążyła odwiesić płaszcz do szafy, odezwał się dzwonek.

Niestety, nie był to Domenico. Kiedy otworzyła, w drzwiach stał Edward z bukietem kwiatów.

Trudno byłoby wyobrazić sobie mniej komfortową sytuację i Laura zamierzała przerwać ją jak najszybciej. Przeprosiła Edwarda, że nie zaprasza go do środka, lecz lada moment oczekuje Domenico.

On jednak nie zamierzał odejść tak szybko. Chciał wiedzieć, czy to ten „przyjaciel”, który przyjechał do niej na weekend, i czy Domenico jest jej kochankiem.

Na oba pytania odpowiedziała twierdząco, co jeszcze wzmogło jego rozgoryczenie.

- Czy to z tego powodu odrzuciłaś moje oświadczenie? - pytał dalej.

Wyjaśniła, że nie, bo poznała Domenica dopiero w Wenecji.

- Miłość od pierwszego wejrzenia? - zauważył zgryźliwie i patrząc w dół klatki schodowej, dodał głośniej:

- A przy okazji, Lauro, mam nadzieję, że po poronieniu nie było żadnych komplikacji?

- Nie... - Laura zamarła na widok Domenica, który właśnie wszedł po schodach i musiał słyszeć ostatnie słowa Edwarda.

- No to już jesteś - powiedziała nieprzytomnie.  
- Poznajcie się: Domenico Chiesa. Edward Lassiter.

Panowie przywitali się chłodno, po czym Edward zaraz wyszedł, lecz zdołał skutecznie zatruć atmosferę.

Domenico chciał wiedzieć, co miała znaczyć ta wizyta, a w szczególności kogo dotyczyło ostatnie pytanie, które chcąc nie chcąc, usłyszała, wchodząc po schodach.

Laura nie była w stanie opanować rumieńca, który czerwoną łuną zalał jej twarz.

- Chodziło mu o moją przyjaciółkę, która ostatnio poroniła. Kiedy przywiozłam ją do szpitala, Edward miał akurat dyżur.

- Co to za przyjaciółka? - chciał wiedzieć, lecz Laura odmówiła odpowiedzi.

Bardzo chciał jej wierzyć, lecz nie był w stanie. Nawet ten nagły rumieniec przemawiał na jej niekorzyść.

Jeszcze raz poprosił, żeby zdradziła mu imię przyjaciółki, a wtedy mógłby o wszystkim zapomnieć.

- Co właściwie sugerujesz? - Laurę zaczynała ogarniać złość.

Domenico też stracił panowanie nad sobą.

- Myślę, że to ty miałaś *aborto* - wybuchnął.  
- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

Laura zeszywniała.

- Jak możesz wierzyć w coś podobnego? - zapytała lodowato.

On jednak chwycił ją za ramiona i wbił w nią bezlitosny wzrok.

- Powiedz mi prawdę, Lauro! - wydusił. - Spodziewałaś się mojego dziecka?

- Nie. I weź te ręce. - Czuła w tej chwila tylko gniew.

Puścił ją, lecz nadal nie odrywał od niej wzroku. Nie rozumiał, jak Edward mógł pytać o kogoś trzeciego, nie przestrzegając tajemnicy lekarskiej.

Laura była pewna, że Edward użył tego wyrafinowanego sposobu, żeby się z nią policzyć. Musiał

dostrzec Domenica i tylko dlatego wspomniał o poronieniu, na wszelki wypadek nie wymieniając niczyjego imienia.

Domenico był rozdarty przez wątpliwości. Był gotów za wszystko przeprosić, gdyby Laura zdradziła mu imię nieznanej przyjaciółki. Ona jednak nie chciała tego zrobić.

- Nie potrzebuję też twoich przeprosin - dodała zjadliwie. - Słowa to tylko słowa. Jeszcze nie tak dawno mówiłeś, że zawsze mnie będziesz kochał, a ja jak głupia myślałam, że to prawda.

- Bo to prawda!

- Dlaczego mam ci wierzyć, skoro ty nie chcesz wierzyć mnie? - Nagle poczuła się strasznie zmęczona. - Proszę, wyjdź stąd zaraz. Mam nadzieję, że w twoim hotelu znajdą dla ciebie miejsce.

Nie wierzył, że ta kłótnia zaprowadzi ich aż tak daleko, lecz niezachwiana wola Laury dodatkowo go rozwścieczyła.

- Uważaj, Lauro - ostrzegł w końcu - bo jeśli teraz odejdę, to już nie wrócę.

- W porządku. Zamówię ci taksówkę.

- Nie fatyguj się, sam to zrobię - rzucił zimno.

Popatrzyła na niego z poczuciem, że jej świat nagle rozsypuje się w kawałki. Nic jednak nie mogła na to poradzić. Odwróciła się do niego tyłem i zajęła się kwiatami od Edwarda, które nie były niczemu winne i trzeba było wstawić je do wody.

Domenico szybko spakował rzeczy i był gotów do wyjścia.

Ku jej zaskoczeniu na koniec podszedł i wziął ją w ramiona. Przez moment patrzył jej w oczy

- *Arrivederci* - Potem odsunął ją od siebie, wziął bagaże i wyszedł, zatrzasnąwszy drzwi.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Po powrocie z Londynu Domenico Chiesa sprawiał wrażenie człowieka, którego dotknęło jakieś straszne nieszczęście. Z jego oczu znikł blask, pod oczami pojawiły się cienie. Otaczała go tak gęsta atmosfera przygnębienia, że w Pałacu Forli wszyscy to dostrzegli i komentowali.

W pracy nadal spełniał swoje obowiązki, może nawet gorliwiej niż przedtem; często pracował do późnego wieczora. Miało to jeszcze tę przyczynę, że niechętnie wracał teraz do swojego mieszkania, gdzie wszystko przypominało mu Laurę. Widział ją wszędzie i czasami tęsknił za nią aż do bólu. Chciał do niej zadzwonić, lecz nie zrobił tego w obawie przed odrzuceniem. A już zupełnie zarzucił tę myśl w chwili, gdy otrzymał od Laury przesyłkę z telefonem, który jej nie tak dawno kupił.

Praca była teraz dla niego jedynym lekarstwem, ale niezależnie od tego, jak dużo pracował, nie potrafił o Laurze zapomnieć.

Widząc, w jakim jest stanie, Roberto i Lorenzo Forli zaproponowali mu urlop, lecz Domenico odmówił. Wiedział, że jego ranę może zaleczyć tylko czas, ale to jeszcze potrwa.



Laura, podobnie jak Domenico, pograżyła się w pracy i niechętnie wracała do swego mieszkania. Wspólne dni, które tu spędzili, sprawiły, że wszystko jej go przypominało.

Odesłała mu telefon i pewnie zrobiłaby to samo z maszynką do kawy, gdyby nie wysoka opłata pocztowa.

Chcąc zerwać z przeszłością, dokonała w swoim życiu dwóch drastycznych zmian: kupiła samochód i obcięła piękne, długie włosy.

Kiedy którejś soboty przyjechała do Briar Cottage, matka wydała na jej widok okrzyk zdumienia. Samochód wyglądał na dobry, natomiast nowa fryzura córki wzbudziła u Isabel mieszane uczucia.

W ogóle Laura nie wyglądała dobrze i matka od razu to zauważyła. Uznała, że młodsza córka, mimo swych niedawnych przeżyć, lepiej sobie daje radę niż starsza.

- Co się właściwie stało między tobą a Domenikiem? - zapytała. - Bardzo się o ciebie martwię. Od euforii przeszłaś do zupełnej rezygnacji. Możesz mi to wytłumaczyć?

Od krytycznego popołudnia minęło już sześć tygodni i Laura uznała, że przyszedł czas, żeby matka dowiedziała się, co zaszło.

- To przez Edwarda - wybuchnęła.

Isabel była zdumiona i Laura opisała jej pokrótce wydarzenie na schodach.

Wiadomość o tym, że Edward posłużył się Abby, żeby zemścić się na Laurze, dodatkowo ją rozgniewała. Zaczęła się nawet zastanawiać, czy nie należa-

łoby wobec niego wyciągnąć konsekwencji, bo niewątpliwie nadużył swej pozycji. Laura przyznała, że już o tym myślała, ale poprzestała na spotkaniu z nim i groźbie, że gdyby jeszcze kiedykolwiek wspomniał o sprawie Abby, to zawiadomi jego przełożonych.

- A Domenico myślał, że Edward mówi o tobie?

- zgadła Isabel.

- Nie uwierzył mi, kiedy tłumaczyłam, że chodzi o moją przyjaciółkę, a ja nie chciałam powiedzieć którą.

- Na litość boską, Lauro. - Matka była wstrząśnięta. - Powinnaś była mu wszystko wyjaśnić.

- Jak mogłam? Przecież przyrzekłam Abby, że nikt się nie dowie.

- W takich okolicznościach na pewno by to zrozumiała.

- Mamo, przyrzekłam. - Laura zadarła brodę do góry. - A poza tym nie o to chodzi. Domenico powinien mi wierzyć.

- A kiedy go okłamałaś, to zaczerwieniłaś się tak samo, jak zwykle?

- No oczywiście. Musiałam wyglądać jak uosobienie winy, ale to nie ma znaczenia. Powinien był mi zaufać. Szczególnie że planował ślub ze mną już w Nowy Rok.

- O Boże! Tak nagle?

- Też próbowałam go trochę ostudzić. I jak widać miałam rację - stwierdziła gorzko.

- Może i tak - rzekła matka z żalem - ale i tak mi przykro. Bardzo polubiłam Domenica. Czy od tego czasu już się nie odezwał?

- Nie. Telefon, który od niego dostałam, ode-  
słałam do Pałacu Forli, a poza tym zmieniałam numer  
w swoim domowym telefonie, tak że nawet gdyby  
chciał, nie mógłby do mnie zadzwonić.

W głębi duszy Laura miała nadzieję, że Domenico  
do niej napisze. On jednak milczał.

Odezwała się natomiast Fen, chcąc się dowie-  
dzieć, co słyhać u przyjaciółki. Jak można się było  
spodziewać, rozmowa zeszała na Domenica, który  
właśnie przysłał nowożeńcom spóźniony prezent ślub-  
ny. Fen nie posiadała się z zachwytu, opisując Laurze  
wspaniały żyrandol z Murano, który dziwnym trafem  
doskonale pasował do świeczników od niej.

Nie mogła też nie podzielić się z Laurą nowinami  
od Jess. Otóż słyszała, że Roberto i Lorenzo Forli  
zaniepokojeni byli stanem swego kuzyna. Podobno  
wyglądał strasznie i Jess miała wrażenie, że porzuciła  
go kobieta.

Laura udawała brak zainteresowania, lecz przyja-  
ciółka nie dała się zmylić. Ona już dawno odgadła,  
kim była tajemnicza nowa kobieta w życiu Domenica  
i czuła, że stało się coś złego.

- No tak - westchnęła Laura z rezygnacją. - Ze-  
rwaliśmy ze sobą z przyczyn, którymi nie będę cię  
nudzić.

W rzeczywistości chętnie wylałaby przed Fen  
wszystkie swoje smutki i żale, gdyby nie to, że  
musiałaby wtedy opowiedzieć także o poronieniu  
Abby. Przyrzeczenie było jednak przyrzeczeniem  
i chciała go dotrzymać.

Isabel Green wybierała się na kolejny krótki wy-  
pad wypoczynkowy i uprzedziła córkę, żeby zor-  
ganizowała sobie jakoś weekend we własnym za-  
kresie.

Laura uznała, że skoro nie pojedzie do Stavely,  
najlepiej będzie, jeśli zajmie się zaległymi pracami  
domowymi, a nagromadziło się tego sporo; zakupy,  
pranie, sprzątanie, prasowanie. W sobotę wieczorem  
wybierała się na przyjęcie, które wydawały jej kole-  
żanki, Ellie i Claire. Prawdę mówiąc, wołałaby raczej  
spędzić wieczór w domu, przed telewizorem, lecz  
uznała, że powinna bywać między ludźmi.

Tego samego wieczoru przed blokiem Laury za-  
trzymała się taksówka. Pasażer wysiadł i nacisnął  
dzwonek z napisem „L. Green”. Nie było odpowie-  
dzi, więc spróbował znowu i chwilę poczekał, trzy-  
mając klucze w ręce. Wreszcie otworzył główne  
drzwi i po schodach wbiegł na pierwsze piętro. Znow  
zadzwoił, teraz już bez większej nadziei. W końcu  
sam otworzył drzwi kluczem i wszedł do środka.  
Zawołał Laurę po imieniu, lecz jak mógł się spozdie-  
wać, w mieszkaniu nie było nikogo.

Dawno nie czuł się tak zmęczony. Wszedł tu jak  
intruz i złodziej, a na dokładkę zewsząd opadły go  
śladki obecności Laury, zapach jej perfum. Na myśl,  
że mogłaby wrócić do domu z mężczyzną, ogarnęła  
go nagle wściekła zazdrość i zapragnął jak najszyb-  
ciej stąd uciec.

Usiadł na sofie, chcąc napisać do niej liścik i przy-  
mknął oczy, żeby się lepiej skupić. Och, gdyby  
choć mógł chwilę odpocząć...

Laura wróciła późno. Zaparkowała samochód na parkingu pod domem, a potem zdjęła diabelnie niewygodne buty na wysokich obcasach i boso wsiadła do windy. Weszła cicho do mieszkania i omal nie padła z wrażenia na widok mężczyzny, który spał na jej sofie.

Podeszła bliżej, żeby przyjrzeć się gościowi. Leżał bez ruchu i wyglądał jak martwy. Delikatnie sprawdziła mu puls, ale był spokojny i miarowy.

Nie rozumiała, po co i dlaczego się tu znalazł, skoro zaklinał się, że nigdy nie wróci.

Oczywiście mogła zmienić zamki, a skoro tego nie zrobiła, to widocznie gdzieś w głębi duszy miała nadzieję, że któregoś dnia Domenico pojawi się u niej.

Najprościej byłoby go obudzić i dowiedzieć się, co się stało, lecz wyglądał na tak wyczerpanego, że po prostu nie miała serca tego zrobić.

Zmizerniał i jakby się postarzał od czasu, kiedy go ostatnio widziała.

W pewnym momencie zaczął coś mówić przez sen i kręcić się na sofie. Może by nawet spadł, gdyby go nie przytrzymała. Wtedy otworzył oczy i zaraz wstał. Nie mógł uwierzyć, że jest już dobrze po północy; chciał przecież tylko zostawić jej klucze i liścik.

- Zwykle spędzam weekendy w Stavely - zauważyła chłodno. - Jestem tu tylko dlatego, że moja matka wyjechała.

- Wiem. - Domenico kiwnął głową.

Najpierw przeprosił ją za najście, a potem wyjaśnił, co się stało.

- Pani Green zadzwoniła do mnie do hotelu - oświadczył, wprawiając tym Laurę w absolutne zdumienie.

- Skąd wiedziała, że jesteś w Londynie?

- Twoja matka zadzwoniła do mnie do Pałacu Forli, Lauro.

- Zadzwoniła do Wenecji? - Laura nie wierzyła własnym uszom.

- Tak, ale mnie akurat wtedy nie było, więc zostawiła mi wiadomość, aja oddzwoniłem. Przeraziłem się, że coś ci się stało.

- Kiedy to było?

- Wczoraj. Twoja matka była u twojej siostry w Cambridge. Kiedy zadzwoniłem, telefon przyjęła Abigail i wytłumaczyła mi, że to ona jest tą „przyjaciółką”, której imienia nie chciałaś mi zdradzić. Wygłosiła ostre przemówienie pod moim adresem, za to, że ci nie zaufałem, ale twoja matka na szczęście była dużo łagodniejsza. Teraz już wiem, dlaczego nie mogłaś zdradzić sekretu Abby. Gdybym spotkał tego *bastardo*, który jej to zrobił, obdarłbym go ze skóry.

Laura uśmiechnęła się lekko.

- Jeżeli rozmawiałeś z moją matką i wszystko ci wyjaśniła, to dlaczego po prostu do mnie nie zadzwoniłeś...?

- Bez porozumienia z tobą nie chciała podać mi twojego nowego telefonu, więc zdecydowałem, że pozostaje mi tylko jedno, przylecieć do Londynu. Miałem szczęście, że Roberto zgodził się mnie zastąpić i dostałem od razu bilet na samolot.

- Podróżowałeś taki kawał świata, przy bardzo

niewielkim prawdopodobieństwie, że w sobotę wieczorem zastaniesz mnie w Londynie - zauważyła chłodno.

- Co innego mogłem zrobić? - Domenico rozłożył ręce. - Ponieważ cię nie było, usiłowałem napisać parę słów, ale usnąłem. Resztę już wiesz.

W tym momencie uświadomił sobie, że jest późno i powinien wyjść, żeby i Laura mogła się położyć. Zadzwoił po taksówkę. Czekając na jej przyjazd, postanowił powiedzieć wreszcie to, z czym tu do niej przyjechał.

- Kocham cię, Lauro - rzekł po prostu.

Serce zabiło jej szybciej i czekała, co będzie dalej, lecz Domenico milczał i chciał usłyszeć jej odpowiedź.

- Gdybyś mi to powiedział przed rozmową z moją siostrą, to może bym ci uwierzyła - powiedziała w końcu i z satysfakcją patrzyła, jak pobałdł.

- Nie wybaczysz mi - rzekł cicho.

- Dziwisz się?

- Nie. Ale tak bardzo wyglądałaś na winną, kiedy mówiłaś, mi o tej przyjaciółce. Zaczerwieniłaś się i odwróciłaś wzrok.

- To dlatego, że nie umiem kłamać, a musiałam mówić o „przyjaciółce”, zamiast o siostrze. Gdybym oczekiwała twojego dziecka, Domenico Chiesa, byłbyś pierwszym, który by się o tym dowiedział.

Na tę wiadomość po raz pierwszy na jego twarzy zagościł cień uśmiechu.

W tym momencie rozległ się dzwonek, znak, że taksówka przyjechała.

- Musisz już iść - powiedziała.

Domenico patrzył na nią, wkładając kurtkę.

- No tak - rzekł. - Więc pozwolisz, żeby ten twój mściwy przyjaciel triumfował?

- O co ci chodzi?

- Chciał nas rozdzielić i mu się udało. - Ujął ją za rękę. - Jeśli mi teraz powiesz, że mnie już nie kochasz, odejdę. I tym razem na pewno nie wrócę. Ale musisz powiedzieć mi prawdę. Teraz poznam, czy nie kłamiesz - uśmiechnął się lekko.

- Wciąż coś do ciebie czuję - przyznała Laura niechętnie.

- *Bene*. W takim razie odezwę się jutro.

Pocałował ją w rękę i wyszedł, zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć.

Następnego dnia Laura obudziła się z poczuciem, że dawno tak dobrze nie spała. I zaraz uświadomiła sobie dławczego. Domenico znów pojawił się w jej życiu. Przez czas, kiedy się nie widzieli, bardzo się zmienił, lecz jedno spojrzenie na jego wymizerowaną twarz przekonało Laurę, że kocha go *per sempre*, jak mu to kiedyś powiedziała. A on na pewno czuł to samo, skoro tu do niej przyjechał. Sprawili sobie nawzajem wiele bólu - całe sześć tygodni. Ale teraz mieli szansę, żeby to naprawić.

O wpół do jedenastej zadzwonił. zaproponował jej, żeby zjedli razem lunch, a ona przyjęła to z radością.

Tym razem wjechał windą i kiedy wyszła do

niego na korytarz, zobaczyła, że taszczy ze sobą olbrzymi kosz piknikowy i małą, przenośną lodówkę.

Okazało się, że pomyślał o wszystkim i zamówił lunch, który mogliby zjeść razem, nie wychodząc z domu. Bardzo ją ucieszyła ta niespodzianka.

- Lepiej dziś wyglądasz - zauważyła.

I rzeczywiście, nie miał już tak przekrwionych oczu i cienie pod oczami jakby się zmniejszyły. Ubrany też był równie starannie jak dawniej. Dostrzegła w nim jednak zmiany, od których ścisnęło ją w sercu. Domenico wyraźnie schudł, rysy mu się zaostrzyły, a w lśniących czarnych włosach pojawiły się srebrne nitki. Wróciła za to jego radosna pewność siebie.

- A ty, Lauro, jesteś piękna - rzekł, kłaniając się dwornie i całując ją w rękę.

- Nigdy się taka nie czułam, a od kiedy się ostrzygłam, jeszcze mniej - westchnęła smutno.  
- Kiedy zobaczyłam się w lustrze, byłam bliska płaczu.

- Więc dlaczego to zrobiłaś?

- Zgadnij!

- Żeby zrobić mi na złość? Rzeczywiście, żal mi twoich długich włosów, ale w tym uczesaniu też jest ci pięknie. I wyglądasz jeszcze młodziej.

Z każdego jego słowa bił podziw i uwielbienie.

Na lunch było jeszcze za wcześnie, więc Laura zaproponowała kawę, przy której mogli spokojnie porozmawiać.

Kiedy usiedli obok siebie na sofie, każde z kubkiem parującej kawy, ona pierwsza zaczęła mówić;

o tym, że nigdy nie przestała go kochać. Nawet wtedy, kiedy zarzucał jej coś, do czego nigdy nie byłaby zdolna.

- Posłuchaj, Domenico - powiedziała z trudem.

- Rozumiem, że dla niektórych kobiet aborcja może być jedynym rozwiązaniem, ale nie dla mnie.

- Dlaczego mi to mówisz? - Popatrzył na nią, zdziwiony.

- Bo oskarżyłeś mnie o to, że miałam aborcję.

- *Cosa?* Nie! Pomyślałem tylko, że poroniłaś, straciłaś nasze wspólne dziecko i nic mi nie powiedziałaś...

W tym momencie w jego oczach pojawił się nagły błysk zrozumienia.

- *Dio!* - wykrzyknął. - Teraz już wiem, co to jest bariera językowa! Po włosku *aborto* oznacza także poronienie, Lauro.

- Naprawdę?

- Możesz to sprawdzić w każdym słowniku. W szkole cię tego nie uczyli?

- Niestety nie. A oszczędziłoby to nam całego nieszczęścia ostatnich sześciu tygodni - odpowiedziała, zupełnie wytrącona z równowagi.

Z tłumionym jękiem przyciągnął ją do siebie i zaczęli całować się z zachłannością ludzi stęsknionych za sobą i spragnionych do granic wytrzymałości.

W końcu Domenico powiedział urywanym głosem:

- *Ti amo*, Laura. Nie wierzyłem, że taka chwila jeszcze nadejdzie. Powiedz mi, że też mnie kochasz, *tesoro*.

- Oczywiście, że cię kocham, Domenico. Byłam nieszczęśliwa, kiedy mnie zostawiłeś.

- Nie zostawiłem cię - zaprzeczył gorąco. - To ty kazałaś mi się wynosić.

- A wszystko przez nieporozumienie - szepnęła, gładząc go po policzku. - Zaraz zacznę lekcje włoskiego, żeby się to już nigdy więcej nie powtórzyło.

- Nie powtórzy się, my należymy do siebie, Laura *mia*.

- Tak, Domenico.

- A teraz chciałbym powiedzieć ci to wszystko, co chcę, tylko przytul się do mnie i byłym szczęśliwy, gdybyś na wszystkie moje pytania odpowiadała tak, jak przed chwilą: „Tak, Domenico.”

- Tak, Domenico.

- Zanim twoja matka do mnie zadzwoniła, byłem już gotów sprzedać swoje mieszkanie. Bez ciebie nie chciałem w nim dłużej mieszkać.

Laura otworzyła szeroko oczy z przerażenia.

- W takim razie lepiej będzie, jeśli kiedyś przyjadę i z tobą zamieszkać - powiedziała.

- Niedługo, Lauro - odpowiedział, nagle rozpromieniony. - Dość już czasu zmarnowaliśmy oddzielnie. Dzisiaj szedłem tu z takimi dobrymi zamiarami, *amore*. Miałem być cierpliwy, starać się o ciebie i dać ci czas, żebyś wiedziała, jak bardzo mi na tobie zależy. Ale nie umiem dłużej czekać. Potrzebuję twojej odpowiedzi już teraz. Powiedz, że za mnie wyjdiesz.

- Tak, Domenico.

- Niedługo?

- Tak.

Wydał głębokie westchnienie ulgi, a w oczach Laury pojawiły się łzy wzruszenia i szczęścia.

Domenico wzięła ją na kolana i na przemian całowali się lub szeptali sobie nawzajem słowa miłości.

Kiedy trochę oprzytomnieli, okazało się, że są głodni jak wilki. Przyszedł czas na wspaniały lunch, dostarczony przez Domenica. Nie zabrakło serów, szynki w soczystych plastrach i pieczonego indyka na liściach sałaty. Do tego był chleb *ciabatta* i schłodzone wino.

Kiedy już zjedli i posprząтали po posiłku, Domenico o czymś sobie przypomniał.

Tamtego fatalnego wieczoru, przed powrotem Laury wyszedł coś kupić, lecz potem nie było już okazji, by jej to dać.

Z kieszeni wyjął pudełeczko, opatrzone nazwą znanej na całym świecie firmy.

Laura nacisnęła zameczek i z zapartym tchem wpatrywała się w złoty pierścionek z połyskującym kamieniem koloru koniaku.

- Miałem rację - powiedział cicho Domenico. - Nie jest ani w części tak piękny, ale ma prawie dokładnie kolor twoich oczu.

Wzruszenie dławiło ją w gardle, lecz zdołała wyjąkać, że jest cudowny i że nigdy nie widziała tak oszlifowanego topazu.

Domenico wsunął jej pierścionek na palec.

- Tak cię kocham, Lauro - powiedział z niezrozumiałym dla niej rozbawieniem. - A więc, wyjdiesz za mnie? - zapytał, przyklękawszy przed nią na jedno kolano.

- Tak.
- Nawet pomimo że to nie jest topaz? Mówię ci to tylko dla ścisłości - dodał przeprasząco.
- W takim razie, co to jest? - zapytała, spoglądając na lśniący kamień.
- To brylant szampański, *tesoro*.

Zaniemówiła z wrażenia, a potem wybuchnęła płaczem. Wiele silnych wrażeń spadło na nią tego dnia i jej odporność zdawała się wyczerpywać.

Pierścionek był wspaniały, lecz zapewniła Domenico, że kochałaby go tak samo, bez względu na to, czy to topaz, czy brylant.

Zaczęli mówić o ewentualnym terminie ślubu, ale tu Laura chciała poradzić się matki. Postanowiła, że następnego dnia weźmie parę dni wolnego i jeśli Domenico się zgodzi, pojedą do Stavely porozmawiać z Isabel.

Nie miał nic przeciwko temu.

Poza tym powtórzył się scenariusz sprzed sześciu tygodni, bo uznała, że rozsądniej będzie, jeśli na te parę dni w Londynie ukochany znów wprowadzi się do niej. Tylko że tym razem miało się to już odbyć bez zakłóceń.

Kiedy pojechał wymeldować się z hotelu, posprzątała trochę w mieszkaniu, raz po raz popatrując na swój nowy pierścionek.

A gdy odezwał się telefon i jej matka oznajmiła, że już jest z powrotem w Stavely, z ust swej starszej córki wysłuchiwała samych najlepszych wiadomości.

- Mamo, jesteś najukochańszą mamą na świecie - oświadczyła Laura na zakończenie. Przecież tylko

małej ingerencji i podstępowi Isabel zawdzięczała nagłą przemianę swego losu.

Zapowiedziała, że przyjadą następnego dnia, by omówić sprawę ślubu.

Matka nie posiadała się z radości.

Dwa miesiące później, pięknego grudniowego popołudnia, samolot, którym lecieli Laura i Domenico, schodził właśnie do lądowania na lotnisku Marco Polo. Widać już było połyskujące w słońcu kanały i jasne budynki Wenecji.

- Denerwujesz się, *carissima!* - zapytał Domenico.

- Nie, jestem tylko przejęta. - Uśmiechnęła się do niego promiennie. - i szczęśliwa. Wczoraj był wspaniały dzień, a twoi rodzice tacy dla mnie mili. Wydaje mi się, że mnie polubili.

- Jakby mogli cię nie polubić? Zawsze chcieli mieć córkę. Byli też pod wrażeniem twojej matki i siostry. Isabel obiecała, że pokaże im co ciekawsze miejsca w okolicy Stavely.

- To ładnie z ich strony, że udostępnili nam swój dom w Umbrii na czas podróży poślubnej.

- Mam nadzieję, że ci się tam spodoba.

Kiedy wysiadali z samolotu, kapitan wraz z załogą złożyli życzenia im obojgu, a zdumiona panna młoda otrzymała nawet bukiet bladoróżowych róż.

- Zdradziłem im nasz sekret, kiedy rezerwowałem bilety - wyjaśnił jej mąż.

W hali przylotów powitał ich młody mężczyzna, który wydał jej się znajomy. On też najpierw złożył im życzenia. Był to Carlo Mancini, jeden z recepcjo-

nistów w Pałacu Forli. Dziś miał za zadanie odebrać ich bagaż i dostarczyć go do mieszkania Domenica.

Oni tymczasem, nie kłopotząc się już niczym, poszli do przystani i tu czekała Laurę kolejna cudowna niespodzianka. Domenico poprowadził ją bowiem wcale nie do wodnej taksówki, lecz do czekającej na nich, ubranej kwiatami gondoli.

Uśmiechnięty *gondolierę* uchylił słomkowego kapelusza, kiedy wsiadali do jego łodzi, a z brzegu przyglądały im się grupki turystów.

Domenico usiadł obok Laury i czule objął ją ramieniem, a jego błękitne oczy zajaśniały triumfem.

- Ciesz się tym, póki możesz, signora Chiesa - powiedział. - My, weneccjanie, płyniemy gondolą tylko w dzień naszego ślubu. Wiem, że moja żona, jako osoba praktyczna, nie lubi romantycznych gestów, ale to jest tradycja, Laura *mia*, nawet jeśli spóźnił się o jeden dzień.

- Jest wspaniale - westchnęła, przyglądając się, jak późne, zimowe słońce odbija się w wodzie Canale Grandę. - Ten romantyczny gest mnie zachwycił - zapewniła go. - A teraz powiedz mi, co nas dziś jeszcze czeka.

- Pojedziemy do domu, gdzie możesz odpocząć i napić się swojej ulubionej herbaty, a potem czekają na nas w Pałacu Forli, gdzie będzie spotkanie z personelem i uroczysty obiad. Wszystko dość wcześnie, żebyśmy mogli pójść do łóżka przed jutrzejszą podróżą do Umbrii.

- Domenico - szepnęła mu do ucha - widzę, że łóżko też zostało uwzględnione w programie.

- Oczywiście. - Uśmiechnął się zwycięsko. - Panna młoda musi się z tym liczyć.

Sielankowa podróż po kanale była dla Laury ukoronowaniem ostatnich dwóch dni, które miała zapamiętać na całe życie.

Zaczęło się od ceremonii ślubnej w Pennington, gdzie ojciec Fen, zastępując nieżyjącego ojca panny młodej, poprowadził Laurę do ołtarza i przekazał ją tam w ręce pana młodego.

Miała na sobie tradycyjną suknię ślubną, chociaż oświadczyła, że nawet nie miała okazji włożyć, przygotowaną dla pierwszej drużyny na ślubie Fen. Suknia była długa, piękna, koronkowa, lecz nie biała, a w kolorze szampana.

Na ich ślub przyleciało wielu gości z Włoch, którzy zachwycali się nie tylko panną młodą, lecz także jej matką i siostrą. Po ceremonii odbyło się przyjęcie, na którym Domenico wygłosił piękną mowę, dziękując Isabel, że zgodziła się oddać mu swą piękną córkę za żonę, i zapraszając ją wraz z Abby do Wenecji, kiedy tylko będą chciały.

Z rozmarzenia wyrwał ją Domenico. Słońce jak wielka czerwona kula zaczynało właśnie zachodzić, kiedy ich gondola zatrzymała się w wąskim kanale niedaleko jego mieszkania.

- *Allora*, signora Chiesa, jesteśmy na miejscu - rzekł, pomagając jej wysiąść na ląd.

Trzymając się za ręce, wspięli się po schodach na pierwsze piętro, po czym młody małżonek otworzył drzwi i przeniósł żonę przez próg.

Z radością przeszła się po mieszkaniu, sprawdzając,



czy nic się nie zmieniło, i wydawała okrzyki zachwytu na widok porozstawianych wszędzie wazonów z kwiatami. Potem wyszła na balkon i patrzyła, jak słońce zapada powoli w wody laguny.

- Witaj z powrotem w Wenecji, *tesoro*.

- Czyja śnię, czy to wszystko dzieje się naprawdę? - zapytała, odwracając się do Domenica.

- Nie, *sposa mia*, nie śnisz. Jesteś tutaj, w Wenecji, w moim domu i w moim sercu.

I połączyli się w długi, uroczystym pocałunku, jakby moment był zbyt podniosły na samą tylko namiętność. Potem weszli do środka, zamykając za sobą szklane drzwi i zostawiając na zewnątrz wenecki wieczór.

- Czy teraz, kiedy już jesteśmy małżeństwem, przestaniemy tak strasznie siebie pragnąć? - zapytała niemal bez tchu.

- Nigdy - zapewnił z całym przekonaniem. - Od dawna wiedziałem, że jesteś moim przeznaczeniem.